BIBLIOTEKA PWSP
9540
KDN., 15. 10. I. 53, 20.000

BARTOSZEWICZ

SZKICE I PORTRETY LITERACKIE

TOM I.

PAPROCKIEGO: DZIESIĘCIORO PRZYKAZANIE MĘŻOWO - RZECZPOSPOLITA BABIŃSKA - MAŁPA-CZŁOWIEK, NIEZNANA SATYRA XVIII W. - J. J. ZAŁUSKI I JEGO NIEWYDANE DZIEŁO - INICJATOR KOMISJI EDUKACYJNEJ - NAPOLEON W RYMACH POLSKICH - A. NAPOLEON MICKIEWICZ.

KRAKÓW 1930
GEBETHNER I WOLFF — WARSZAWA — KRAKÓW.

AUTORA TEJ KSIĄŻKI PRACE HISTORYCZNE ODDZIELNIE WYDANE:

ZAPISKI TYMOTEUSZA LIPIŃSKIEGO. Kraków 1885.
KSIĘGA PAMIĄTKOWA KONSTYTUCJI 3 MAJA. 2 tomy, Kraków 1891.
X. PAWEŁ RZEWUSKI, BISKUP SUFRAG. WARSZAWSKI. Kraków 1891.
ROK 1863. Historja na usługach ludzi i stronnictw. 2 tomy, Kraków 1895—6.
KONSTYTUCJA 3 MAJA. (Bibl. dzieł wyborowych). Warszawa 1906.
DZIEJE INSUREKCJI KOŚCIUSZKOWSKIEJ. Wiedeń 1909 (wydanie drugie, Wiedeń 1913).
WOJNA ŻYDOWSKA W R. 1859. Warszawa 1913.
ODRODZENIE POLSKI ZA STANISŁAWA AUGUSTA. Warszawa 1914.
MUZA MARGRABIEGO. Warszawa 1914.
PRZYJACIEL KSIĘCIA JÓZEFA. Warszawa 1914.
TADEUSZ OGIŃSKI, WOJEWODA TROCKI I JEGO PAMIĘTNIK (odbitka z „Przeglądu historycznego"). Warszawa 1914.
ANTYSEMITYZM W POLSCE XV—XVII W. Warszawa 1915.
UTWORZENIE KRÓLESTWA KONGRESOWEGO (1815), Kraków 1916.
DZIEJE GALICJI. Warszawa 1917.
KOŚCIUSZKO I RACŁAWICE. Kraków 1917.
KU POLSCE. Kartka z dziejów Śląska. 1920.
CARYCA PRASKOWJA. Warszawa 1927.
RADZIWIŁŁOWIE. Monografja historyczno-obyczajowa. Kraków 1928.

TEGOŻ AUTORA INNE KSIĄŻKI I BROSZURY:

Z WESOŁYCH CHWIL. (pseud.) Kraków 1876. — NIEMCY CZY MOSKALE. Kraków 1882 (bezimiennie). — ŻYCIE JANA KOCHANOWSKIEGO. 1883. — 40 KRONIK PRZEGLĄDU ART. LIT. 1883. — „OGNIEM I MIECZEM", poemacik humorystyczny. 1883 (trzy wydania). — POLITYKA GALICYJSKA. 1889. — FEJLETONIKI. 1891. — NOWA ERA W KRÓLESTWIE POLSKIEM. 1897. (bezimiennie). LENARTOWICZIANA. 1893. — BAJKA O LISIE, KOZŁACH, NIEDŹWIEDZIU I POMNIKU (satyra polit. bezimiennie). 1897. — LUKRECJON (satyra, pseud. F. Lemnicki). Kraków 1898. — TRZY DNI W ZAKOPANEM. 1899. — TRZECI MAJA (odczyt). 1900. — KWESTJONARJUSZ MAŁŻEŃSKI. 1901. — MICHAŁ BAŁUCKI. 1902. — LISTY ROSYJSKIE (bezimiennie). — KOŚCIUSZKO KANDYDUJE (satyra) 1908. ŁYKI I KOŁTUNY (pamiętnik mieszczanina). 1917. — KANDYDAT NA RADCĘ (humoreska). 1919. — SŁOWNIK PRAWDY I HUMORU. 1905.

SZKICE I PORTRETY LITERACKIE

KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ

00491

SZKICE I PORTRETY LITERACKIE

TOM I.

PAPROCKIEGO: DZIESIĘCIORO PRZYKAZANIE MĘŻOWO - RZECZPOSPOLITA BABIŃSKA - MAŁPA-CZŁOWIEK, NIEZNANA SATYRA XVIII W. - J. J. ZAŁUSKI I JEGO NIEWYDANE DZIEŁO - INICJATOR KOMISJI EDUKACYJNEJ - NAPOLEON W RYMACH POLSKICH - A. NAPOLEON MICKIEWICZ.

KRAKÓW 1930
GEBETHNER I WOLFF — WARSZAWA — KRAKÓW.

L. dr. 450

BIBLIOTEKA
Państwowej
Wyższej Szkoły Pedagogicznej
W KRAKOWIE
9540

PRZEDMOWA.

W przedmowie do monografji: „Radziwiłłowie“ wspomniałem o „jakiejś setce moich większych rozpraw i artykułów, przeważnie źródłowo opracowanych, które spoczywają w dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach, a zatem na cmentarzyskach bibljotecznych“! „Ba! — dodawałem — gdyby choć tam spoczywały, ale każdemu pracującemu na polu naukowem i literackiem dobrze wiadomo, że do największych rzadkości bibljograficznych należą nasze czasopisma... Niektóre stały się prawdziwymi białymi krukami, — a wychodziły i takie, których niema w żadnej bibljotece, które tak całkiem przepadły, że dowiadujemy się o nich jedynie z zapisków bibljograficznych“.

Możnaby się temu mniej dziwić, gdyby szło o czasopisma z w. XVIII lub z pierwszych lat w. XIX. — Nieodrazu bowiem zrozumiano wartość tego nieoszacowanego źródła nietylko do dziejów politycznych i historji literatury, ale i do dziejów kościoła, sztuki,

rodzin, życia społecznego itd. Zdumiewać się jednak trzeba, widząc jak tego samego losu doznały niektóre dzienniki i tygodniki wydawane już za naszych czasów. Ileż to razy mnie samemu wypadło pożegnać się z nadzieją odszukania czasopisma, wychodzącego przed 40—50, a nawet przed 30 laty. Dało mi się to we znaki, zwłaszcza kiedy w Szkole nauk społecznych wykładałem dzieje dziennikarstwa polskiego. Wobec zupełnego prawie braku opracowań tego przedmiotu, trzeba było samemu zapuszczać się w te „przepastne krainy", zaledwie w niektórych odcinkach dotknięte stopą badaczy. W tej podróży po nieznanych lądach co chwila napotykałem na niedające się usunąć przeszkody, a mianowicie na brak wielu czasopism w tak zasobnych bibljotekach krakowskich.

Podam jeden przykład, bardziej niż inne, rażący.

Po dziejach pierwocin dziennikarstwa polskiego przyszło mi z kolei mówić o „Kurjerze Polskim, który dał początek stałym, nieprzerwanie już od r. 1730 wychodzącym „gazetom" polskim, których to gazet dwusetny jubileusz mamy obchodzić w roku bieżącym. Do dziejów tego „Kurjera" miałem już gotowy, jak mi się zdawało, materjał, podałem bowiem o nim obszerną wiadomość w kilku fejletonach „Kurjera Krakowskiego" z r. 1889. Tymczasem nie zna-

lazłem owego „Kurjera Krakowskiego“ w żadnej z naszych bibljotek publicznych. Że go nie było w bibljotekach warszawskich i poznańskich to zrozumieć łatwo, że go nie posiadało Ossolineum słynące z największego zbioru czasopism polskich, to jeszcze wytłumaczyć można, ale czem usprawiedliwić, że pisma codziennego, przez trzy lata wychodzącego w Krakowie, nie posiadała żadna z bibljotek krakowskich, a zwłaszcza Jagiellońska, która otrzymywała należne jej „egzemplarze obowiązkowe“ wszystkich druków krakowskich, a więc i „Kurjera“. Zginął on, przepadł bez śladu — prochów jego nie przechowała nawet ta ziemia bibljoteczna krakowska, na której się urodził, żył i zmarł bezpotomnie.

Ten nieszczęsny los czasopism, a więc i artykułów w nich pomieszczonych, które albo całkiem giną, albo „nieznane i dalekie“ leżą w spokoju na półkach bibljotecznych, skłonił mnie do zebrania prac moich, rozproszonych po różnych perjodykach, i do częściowego ich wydania własnym nakładem.

Nie przeczę, że w tego rodzaju wydaniach gra rolę miłość własna, śmieszna, bardzo nawet śmieszna chęć pozostawienia dowodu, że nie za darmo chleb się jadło, że się coś w miarę sił i możności robiło.

Sądzę, że taką „miłostkę“ i „małostkę“ zarazem,

można mi przebaczyć, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, w których coraz częściej ukazują się wydania zbiorowe nietylko fejletonów przygodnych, ale i sprawozdań teatralnych.

Na usprawiedliwienie moje i to jeszcze dodać muszę, że wydania oddzielne pism moich, których spis podaję na karcie przedtytułowej, stanowią mniej niż połowę, a może zaledwie trzecią część tego, co „przelałem na papier" w ciągu lat przeszło sześćdziesięciu mojej pracy literackiej. Artykułów moich historycznych i literackich oraz życiorysów i „sylwetek", rozrzuconych po czasopismach, doliczając do nich krytyki i sprawozdania literackie i artystyczne, zebrałoby się na jakie 8 tomów; artykułów politycznych i w sprawach społecznych na jakie dwa tomy. Wątpię, czy dałyby się pomieścić w 6 tomach wszystkie moje kroniki tygodniowe, codzienne „notatniki", „fejletoniki", drukowane w „Słowie Polskiem", „N. Reformie", „Dzienniku Polskim", „Gońcu Warszawskim", „Przeglądzie artyst i literackim", „Kurjerze Warszawskim", „Gazecie Polskiej", „Dzienniku Bydgoskim", „Głosie Narodu", „Kurjerze Krakowskim", „Kurjerze Polskim" i w kilku tygodnikach. Było ich bodaj czy nie do tysiąca. Tyleż co najmniej tomów wypełniłaby moja „beletrystyka", a więc: obrazki ro-

dzajowe, humoreski, satyry, monologi i ogrom artykulików humorystycznych i wierszydeł, które wyjątkowo tylko podpisywałem nazwiskiem lub pseudonimem.

Oczywiście na myśl mi nawet nie przychodzi ratować to wszystko od zapomnienia. Tak daleko moja miłość własna nie sięga. Pragnę z prac moich, o których wyżej mowa, wybrać to tylko, co według mego przekonania posiada jakąkolwiek większą wartość, a co się da pomieścić w 5—6 tomach.

Czy ta chęć moja jest naganną? — czy ona komu jaką szkodę przyniesie?

Przeciwnie. Zarobią na niej: fabryka papieru, drukarnia, introligatornia, mecenasi literatury: pp. księgarze, zarobi nawet państwo (kolej i poczta). Literatura zaś na tem nic chyba nie straci.

Owszem, śmiem twierdzić, że choć nie wiele, ale bądź co bądź coś zyskać może. Dam na to choćby jeden dowód.

W pierwszym tomie moich „Szkiców i portretów literackich" znajduje się rozprawka p. t. „Małpa-człowiek, nieznana satyra z początku w. XVIII", drukowana w warszawskiem „Ateneum" z r. 1882.

Prof. Chrzanowski opierając się na mojem jej streszczeniu „dokładnem i umiejętnem" (jego słowa),

nazywa tę satyrę „wszechstronnym wizerunkiem ujemnych cech społeczeństwa polskiego"..., dodając, że „bije ona wszystkie satyry (ówczesne) treścią i stanowi jedną z bardzo cennych pozycyj literatury zdziczałych czasów saskich" (Chrzanowski w studjum: „Z dziejów satyry polskiej w. XVIII").

Prof. Brückner w „Pamiętniku literackim" (r. 1910) przytaczając słowa prof. Chrzanowskiego, zgadza się najzupełniej z opinją jego o tej „ciekawej satyrze". „Mamy o niej — powiada — studjum K. Bartoszewicza, ale dotąd nie wydano samego tekstu".

Wspomina wreszcie o tej satyrze prof.. Sinko w rozprawach Wydziału filologicznego Akad. Umiejętności (t. XXX, serja II), a Korbut pod osobnym tytułem przytacza jej bibljografję.

Rozprawa moja zatem przyniosła pożytek literaturze. Ale kto ją dziś czyta, kto o niej wie? Kto, oprócz małego kółka badaczy, przegląda rocznik Ateneum z przed lat 48?

Przedruk zatem rozprawy o satyrze „Małpa-człowiek będzie nowością dla dwu conajmniej pokoleń miłośników literatury, po raz pierwszy bowiem zapoznają się z treścią tej satyry, którą, jak przytoczyłem,

Chrzanowski i Brückner uznają za „jedną z bardzo niewielu cennych pozycyj literatury czasów saskich".

Jestem przekonany, że i w innych moich „szkicach i portretach" znajdzie Czytelnik wiele rzeczy dla siebie nowych, bo wydobytych ze starych druków i archiwów — a więc nie jest zbyt śmiałem wypowiedziane przezemnie twierdzenie, że na mojej „miłości własnej" literatura choć nie wiele, ale bądź co bądź coś zyskać może.

Idź więc książczyno w świat. Szczęśliwej drogi! A kłaniaj się odemnie... panom krytykom.

Kazimierz Bartoszewicz.

SPIS RZECZY.

Str.

Przedmowa 7

Bartosza Paprockiego: „Dziesięcioro przykazanie mężowo“ 17

Rzeczpospolita Babińska 37

Małpa-człowiek, nieznana satyra z początku XVIII. wieku 127

Józef Jędrzej Załuski i jego niewydane dzieło . 182

Feliks Oraczewski, inicjator Komisji Edukacyjnej 219

Napoleon w rymach polskich od 1809—1812 r. 254

A. N. Mickiewicz (notatka) 298

Tom drugi „Szkiców i portretów literackich“ ukaże się w połowie stycznia 1930 r.

BARTOSZA PAPROCKIEGO „DZIESIĘCIORO PRZYKAZANIE MĘŻOWO".

Pierwszy heraldyk polski (autor „Gniazda cnoty" i „Herbów rycerstwa polskiego"), żył na stopie wojennej z płcią piękną. Może zresztą nie z całą, może istoty zostające jeszcze w panieńskim „staniczku" cieszyły się jego względami, ale mężatki (z małym wyjątkiem) stanowczo nie znajdywały u niego łaski. Miał zresztą ku temu słuszne powody, bo gdyby posiadał taką sławę, jak Sokrates, to to godna jego połowica dzieliłaby rozgłos Xantypy. Pan Bartosz ożenił się młodo, mając zaledwie lat dwadzieścia kilka, a pożycie małżeńskie tyle mu wkrótce dostarczyło przyjemności, że, aby się od nich uwolnić, zaciągnął się do orszaku Andrzeja Taranowskiego, głośnego w swoim czasie dyplomaty, w chwili, kiedy ten udawał się do Konstantynopola w poselstwie od Zygmunta Augusta do sułtana Selima. Wróciwszy z tej pełnej niebezpieczeństw wyprawy, o czem wspomina w swoich „Herbach" [1]) wymknął się, jak świadczy Starowolski [2]), z domu do Warszawy, skąd zamierzał aż za Alpami wśród italskich gajów oliwnych szukać zapomnienia o cieple domowego ogniska. I byłby się puścił w podróż na długie lata, gdyby nie wiadomość, iż szanowna małżonka, uwzględniając jego tajne życzenia, w sobotę kwietnią r. 1572 przeniosła się do wiecz-

[1]) Pod Taranowskimi, w wydaniu Turowskiego, str. 428.
[2]) Scriptorum polonicorum Hecatontas.

ności. Odetchnął pan Bartosz, ale uprzedzenie do płci pięknej pozostało mu na całe życie. Niesłusznie zresztą winił losy, bo w znacznej części sam sobie był winien. Należąc do łowców posagowych, ożenił się ze starszą od siebie Jadwigą Kosobudzką, kasztelanką sierpską, która oprócz Krajkowa i połowy Lipy, posiadała jeszcze zapewne zapisy po dwóch swych pierwszych mężach: Wiśniewskim, staroście mławskim i jakimś Życzku[1]). Jeżeli zaś już u wdowy po jednym mężu znajdowali dawni Polacy chleb wprawdzie „gotowy, ale nie zdrowy", to rzecz prosta, że chleb pani Bartoszowej Paprockiej, wdowy po dwóch mężach, podwójnie ciężkim był do strawienia dla naszego heraldyka. Nic dziwnego, że od jejmości, która dała radę dwu małżonkom, uciekał trzeci pomiędzy sprośne Turki i okrutną Wołoszę, i że jeszcze we dwadzieścia lat po jej śmierci w dziełku swojem: „Próba cnót dobrych"[2]), takich rad praktycznych małżonkom posiadającym złe żony udzielał:

Naprzód weźmij surowiec ów tęgi, wołowy,
A obwiąż jej koszulę czyście koło głowy:
Smarujże ją po członkach, a polewaj wodą,
Niechajże chodzi kłusem a nie jednochodą:
Bij godzinę: a jeślić nie przyobiecuje
Być dobrą, otoć karę drugą pokazuję:
Za nogi ją związawszy, w kominie zawiesi,
A potem psiego sadła funt i dwa przyniesi,
Smarujże co najlepiej, a kijem w nię wcieraj,
Z oburącz po godzinie, a potym obieraj

[1]) Zmarła w r. 1572. „Ciało jej leży w ojczyźnie jej własnej Krajkowie — powiada „nieutulony" wdowiec i życzy jej, aby spoczywała w spokoju. „Herby", wyd. Turowskiego, str. 233.

[2]) „Próba cnót dobrych: k'temu nauka do obyczaiow poćciwych i t. d." (Kraków), in 4-to, koło 1590.

Spoczywając któreby drewno lepsze było,
Coby w tym złym stworzeniu upor odmieniło.
Stłukłszy o nię sto kijów, zagrzeb w końskim gnoju.
Będzie zła, znowuż w nię wywiódłszy z pokoju.
Bij a ręku nie żałuj,
Po lędźwiach ją mocno smaruj:
Wężowej jest natury,
Dosięgaj dziewiątej skóry.

Ale nie poprzestał pan Bartosz na tych radach. Owszem, tak przedtem jak i potem, gdzie tylko mógł i jak mógł, zaznaczał swoje wrogie dla białogłów usposobienie, i to zarówno w języku polskim, jak i czeskim, bo, jak wiadomo, należał do najpłodniejszych pisarzów w obu tych pokrewnych językiem literaturach.

W „Nauce rozmaitych filozofów obierania żony“ [1]) wybrał rozmaite zdania o tym przedmiocie z tych starożytnych mędrców, którzy jak Likurg, Chilon, Demokryt, Kleobul, byli zwolennikami bezżeństwa, lub przeciwnikami kobiet. Na końcu „Nauki“ podał pan Bartosz swoje własne „okazanie (wywód) skąd się białogłowy rodzą“, w którem to okazaniu wyprowadzając ród kobiet z ziemi, morza, a przeważnie od zwierząt najwięcej wstrętnych i pogardzanych, jako to od psów, lisów, świń i osłów, dał zupełną folgę swym uczuciom, wszystko złe, co istnieje na świecie, przypisując niewieście. Kończył swą opinję słowy:

Na przeciw złey żenie nie naydzierz lekarza,
Chociażby y z apteką ziadłeś Aptekarza.
Nad lekarstwy lekarstwa nie masz, wierzay każdy,
Tylko dębczak porzonny — tym okładay zawżdy.

[1]) „Nauka rozmaitych Philosophów obierania żony. Jako młodzieńcom iedni radzą, drudzy odradzaią żenić się, dla przyczyn rozmaitych“. Bez miejsca druku i bez roku. Ż. Pauli podaje rok 1590 i druk Wirzbięty — ale nie wskazuje gdzie się z tem wydaniem spotkał.

W „Panoszy“ chwalił rodzinę Birułtów za to, że „nie dadzą nigdy żonom przewodniczyć na sobie“. W przytoczonej już „Próbie cnót dobrych“ przeprowadzając różnicę między matkami Spartankami a matkami Polkami, tak pisze:

“Żaż tak dzisiejsze matki syny swe miłują?
Na miejscach im poczciwych służyć zakazują:
Woli nędznica patrzeć, iż po karczmach chodzi,
A za złem wychowaniem, złą jej sławę rodzi!
Potem pana kochanka prowadzą miłego
Wiesić, albo ćwiartować o rozbój drugiego“.

Z kobietami — w innem miejscu „Próby cnót“ mówi pan Bartosz — wogóle trudno sobie poradzić, bo kiedy:

Najsroższego zwierzęcia zrozumiesz naturę,
U niej jeden czart w sercu, drugi wlazł za skórę.

Całe zakończenie „Próby cnót“ jest poświęcone sprawom małżeńskim. Oprócz dwóch rad powyżej w całości podanych, a które stanowią naukę „zacnego człowieka jako żonę ma karać“, znajdują się też rady dla młodzieńca aby sobie żonę umiał obrać“, dalej rady „jakich rodzice mają małżonków patrzać dziewkom swoim“. Pan Bartosz i tu idzie za wzorem mędrców starożytnych. Dawniej Perykles mając dla córki do wyboru bogacza i uczonego, dał ją temu ostatniemu; — dziś, narzeka Paprocki, jest inaczej: matka bierze byle „ziętaszka“, a ojciec aż się prosi, aby mu córkę wziął byle elegancik co ma „bótek świeży“ i służbę swą ładnie ubiera. Chilon uczył młodzież, aby nie szukała posagów, („na posag się nie sadź“) ale brała żony równe sobie i cnotliwe, bo kiedy z „niecnotliwą wszystko marnie zniszczeje“, to dobra żona

Kiedy cnotą napełni-ć kąciki ubogie
Za jedność stanie co smaragi[1]) drogie.

[1]) Szmaragdy.

Widać z tego, że pan Bartosz, aczkolwiek obce mu były kanary małżeńskie, przypuszczał istnienie lepszych małżonek niż kasztelanka sierpska, to też dla wyjątków tych nie szczędził pochwał. Mówił, że żonę dobrą „miłować, czcić, powinna rzecz jest każdemu“, że „żona posłuszna, cnotliwa i powolna małżonkowi czyni w domu niebo drugie“. Męża bijącego dobrą żonę uważał za godnego „utopienia w plugawym jezierze“, a to głównie dlatego, iż złe żony „nie hamują się w złościach“ widząc, że mężowie dobrych nie szanują.

Również w „Nauce i przestrogach“ [1]) nie opuszcza Paprockiego jego do kobiet animozja. Wprawdzie w jednem miejscu znowu przyznaje, że żona jest „wiernym przyjacielem w domu“, ale to rzadkość, bo „acz się nie w każdej taka złość pokaże“, to jednak należy dać wiarę mędrcom i prorokom, którzy wiele przypisują „temu narodowi“. Przytacza więc liczne zdania tych powag, jak n. p.: *Thesaurus malorum mulier mala*, lub: *Non est ira super iram mulieris*. Tłomaczy z Katullusa:

Gdyć co powiada panienka w łagodzie,
Pisz to na wietrze i na bystrej wodzie.

Radzi mężowi za Martialisem, aby ostro i jasno postawił swe warunki: „Zgadzaj się pani, chceszli ze mną siedzieć“ (Uxor, vade foras, aut moribus utere nostris). Ale jest to ostatnie remedium i lepiej całkiem się nie żenić i rady Martialisa nie potrzebować:

Dobrzeć Menander poganin powiedział
(Nie wadzi o tem, abyś i ty wiedział):
Chceszli pokoju w domku swym używać,
Nie raczże tej płci nigdy k'sobie wzywać.

[1]) „Nauka y przestrogi na różne przypadki ludzkie, z pisma doktorów Ś. y z innych mężów uczonych.“ W drukarni Sternackiego (około r. 1595). W Bibljografji Estreichera w.

Bo zresztą trudna rzecz wymagać od kobiety, aby pozbyła się swej natury. Mówcie sobie, białogłowy, co chcecie, przymilajcie się, prawcie o swojej łagodności — wszystko to z waszej strony prosta obłuda, boć dobremi być nie możecie. Wszak Pan Bóg

...z bokowej uczynił was kości,
Gdzie największe schadzają się złości.

W jaki sposób ostrzegał Paprocki Czechów przed „złością“, wyszłą z bokowej kości, i jakich im rad udzielał na „złości“ tych poskromienie, nie jest mi wiadomo, ale to pewna, że nie zaniedbał i w czeskiej literaturz silnie zaznaczyć swych ujemnych zapatrywań na białogłowy. Widzimy to z samych tytułów jego czeskich utworów, przytoczonych przez Jungmanna i Jireczka. Jeden z nich brzmi: „Staw manżelski, ku przikladu a nauczeni mladym manżelum sepsany“ [1]). Druga broszura nosi tytuł: „Panna“. Trzeci jego czeski utwór p. t. „Nowa kratochwile“, jak widać z dalszego ciągu tytułu, zawiera „pięćset żartów i uciesznych przykładów“, a zdaje się chyba nie ulegać wątpliwości, że w tych żartach i przykładach płeć piękna pięknie nie wygląda; zresztą były to żarty, mające tak mało wspólnego ze skromnością, iż książeczkę tę pomieszczono na indeksie dzieł zakazanych. Estreicher w swojej Bibljografji chronologicznej przytacza jeszcze jedną tego rodzaju czeską broszurę Paprockiego: „Bicz na złe żeni“, ale nie zna jej żaden z bibljografów czeskich [2]).

XV—XVIII podane jest tylko wydanie z r. 1613 w drukarni Kampiniego.

[1]) Jireczek podaje, że jestto tłómaczenie „Nauki rozmaitych filozofów“ (Časopis Musea Kralostvi Českeho 1866).

[2]) Broszurę tę można śmiało wykreślić z pism Paprockiego. Estreicher polegał na Wiszniewskim (Hist. lit. VII 510), który

O uczuciach Paprockiego dla kobiet w literaturze czeskiej daje zresztą niejakie pojęcie dwuwiersz przytoczony z jego dzieła „*Obora aneb zahrada*“:

O svatý Kyji přzjď' nám ku pomoci
A nedej ženám těm nad námi moci.
(O święty Kiju przyjdź nam ku pomocy
A nie daj żonom tym nad nami mocy [1])

Ale wszystkie te „paskwilusy“ na płeć piękną wogóle, a żony w szczególe, poprzedziła wydana pod świeżem wrażeniem przyjemności małżeńskich broszura, której pełny tytuł brzmi: „Dziesięcioro Przykazanie mężowo, które każda paczciwa a cnotliwa małżonka ma umieć, A po Bożym przykazaniu pierwsze ma być o tym iey myślenie, pilno ie w sercu swym chować a nigdy go nie ma odmieniać. Zebrane z rozmaitego pisma Philozophow y Doktorow Świętych. — Masz też Dziesięcioro Przykazanie żony od niey zmyślone, które każdy Małżonek ma

---

rzecz pobałamucił pisząc: „W e l e s l a w i n w dziele *Rzeszatka, Rosacia, bicz na złe żony* 1583 wiele myśli wziął z Paprockiego“ (z „Dziesięcioro przykazań“). Książka pod tym tytułem wyszła dopiero r. 1787 jako przedruk dzieła „O svornosti manželske“. Napisał ją Jan Sušicky Rosacius (Rzeszatek) a wydrukował w r. 1583 Adam Daniel z Veleslavina, ówczesny „arcydrukarz“ czeski. sam autor dzieł religijnej treści. Tak więc Wiszniewski drukarza wziął za autora, z autora zaś zrobił tytuł książki. Z dalszego, rozwiniętego jej tytułu, gdzie jest mowa o „dziesięciu radach“, Wiszniewski wywnioskował, że autor korzystał z Paprockiego, co zdaje się być mylnem choćby dlatego, że kiedy broszura Paprockiego jest drobiazgiem dwunastokartkowym, to dzieło Rosaciusa liczy stron 449. Wiszniewskiego powtarza Maciejowski (Piśmiennictwo I 598). — Przypisek późniejszy: W nowem, alfabetycznem wydaniu Bibljografji Estreichera już „Bicz na złe żeni“ opuszczono.

[1]) Cytata ze studjum Jireczka o Paprockim. (Čas. M. Kral. Čes. 1866).

przeczytać. Bart. Paproc. w Krakowie. Z Drukarnie Macieia Wirzbięty". (in 4-to) [1]).

Ze samego tytułu widać, że „Dziesięcioro przykazanie mężowo" nie było całkiem oryginalnym utworem Paprockiego, bo wszak je zebrał „z rozmaitego pisma filozofów i doktorów świętych". Zachodziłoby pytanie: czy Przykazania nie były prostem tłumaczeniem z obcej literatury, bo pisarze nasi wieku XVI, jak nam dziś aż nadto dobrze wiadomo, nie czynili sobie skrupułu, tłumacząc żywcem obce utwory i podając je za dzieła oryginalne, a że Paprocki do skrupulantów nie należał, mamy dowód w jego „Kole rycerskim" (Kraków, 1576), które było tłumaczeniem zbioru bajek „Dialogus Creaturarum", napisanego w XVI wieku przez włoskiego lekarza Mayno de Maynesi [2]),

---

[1]) Podaję tytuł według egzemplarza Bibljoteki Akademji Um. i Czartoryskich. Zdaje się jednak, że jest to wydanie drugie z 1587 r., gdyż Wiszniewski a potem Estreicher przytacza ten sam tytuł, ale nieco odmienną, starszą pisownią: „Dzyesięcyoro Przykazanie" i t. d. Bibljoteka Jagiellońska posiada wydania dopiero z XVII wieku, które mają w tytule drobne zmiany lub opuszczenia, i w których brak dedykacji Taranowskiemu. Estreicher zna sześć wydań; pierwsze wydanie kładzie pod r. 1575.

[2]) Brückner: Kazania średniowieczne (Bibljoteka warszawska, 1892. I. 452). Wiszniewski mylnie podawał „Koło rycerskie" jako przekład wierszem czeskiego dzieła Paprockiego „Obora aneb zahrada". Właśnie było przeciwnie. Sam Wiszniewski znał tylko wydanie „Obory" z 1602, a więc znacznie późniejsze od pierwszego wydania „Koła", które miało wyjść 1576. Wcześniejszego wydania „Obory" nie zna ani Jungmann (Historie literatury czeské, 1840, str. 140), ani Jireczek (Rukovet k diejinam literatury czeské, 1875. II. 70). Jireczek mówi nawet wyraźnie, że Paprocki wydał w 1602 r. „czeską przeróbkę" swego „Koła rycerskiego". Swoją drogą może być, iż wydanie „Obory" z r. 1602 było drugiem z rzędu, czego dowodziłyby słowa tytułu „w nowu wydana". Ale ponieważ Paprocki pierwszy raz bawił w Czechach w roku 1579, a dopiero za drugim razem (od

do czego Paprocki całkiem się nie przyznawał. Zresztą sam Paprocki oryginalność swych Przykazań nieco kwestjonuje, pisząc w dedykacji, że słyszał „jeżdżąc po rozlicznej stronie“, jak pewien „mąż baczny“ udzielał tych przykazań swojej żonie, a ona, „pięknie łagodząc“, nawzajem mu swoje dała. Można jednak powołanie się na owego „męża bacznego“ zaliczyć do tego rodzaju niewinnych kłamstw, jakich dopuszczają się do dziś dnia niektórzy autorowie, już to znajdujący na strychu pamiętniki, już wydający poematy „pozostałe w papierach przyjaciela“ i t. p. W każdym razie, choćby oryginalność Przykazań była zakwestjonowaną, sama ich niezwykła poczytność (osiem znanych wydań w wieku XVI i XVII) przemawia dostatecznie za tem, że treść ich odpowiadała zapatrywaniom naszych warstw inteligentnych z XVI wieku i ówczesnemu stosunkowi obojej płci w związku małżeńskim. Z tego właśnie powodu Przykazania są cennym materjałem do historji obyczajów naszych w wieku XVI, rzucają bowiem wogóle nieco światła na pożycie domowe stadeł szlacheckich, a conajmniej dają nam dość dokładnie poznać, czego wymagały ówczesne „głowy domu“ od „kapłanek domowego ogniska“, i nawzajem, jak te kapłanki zapatrywały się na obowiązki własne i powinności swych

---

r. 1586) dłużej w nich przebywał, przeto owo pierwsze wydanie „Obory“, jeżeli wogóle istniało, nie mogło być wcześniejsze od wydania „Koła rycerskiego“. Jireczek zresztą podaje jako pierwszą książkę czeską Paprockiego: „Zrcadlo slavneho Markrabstvi Moravského“, wydane w roku 1593. Estreicher ma dwa tytuły wcześniejsze, a mianowicie: z r. 1582 „Bicz na złe żeni“, o czem już było wyżej, i z 1590 r. przekład czeski „Nauki“ o czem nic nie wiedzą bibljografowie czescy. — Przypisek późniejszy: W wydaniu alfabetycznem Estreichera również i „Naukę“ czeską opuszczono. Czermak w przedruku „Koła“ stwierdza, że data 1576 jest kombinacyjna, na podstawie, że „Koło“ zostało w tym roku napisane. Prawdopodobnie wyszło między 1576 a 1582.

„mężów najmilejszych“. I dlatego też, jeżeli nie dla czego innego, warto Przykazaniom pana Bartosza bliżej się przypatrzeć.

Na tylnej stronie karty tytułowej znajduje się ośmiowiersz na „zacny klejnot Jego Miłości Pana Andrzeja Taranowskiego sekretarza K. J. M.“, poczem idzie dwukartkowa dedykacja wierszem temuż Andrzejowi Taranowskiemu. Dowiadujemy się z niej, że Paprocki wiele mu zawdzięczał: „chowałeś w ziemi cudzej głowę mą spokojną“. Chce mu się więc odwdzięczyć za dobrodziejstwa, ale ponieważ ma „mieszek spustoszały i chudobę“, przeto piórem tylko może dać dowód swej wdzięczności. Taranowskiemu pora już ożenić się, a więc Przykazania mogą mu stać się pożyteczne. Następuje dość długi opis rozlicznych poselstw i przygód Taranowskiego. Położył on niemałe dla Rzeczypospolitej usługi. Trzy razy jeździł w poselstwie od Zygmunta Augusta do króla duńskiego, a pojednawszy obu królów, wojnę zażegnał [1]). Kiedy później posłował do Szwecji, okręt jego został „rozerwany“ przez lody; wielu kupców potonęło, on ze sługami ocalał. Wspominają go i „Olszackie“ (holzackie) książęta, do których również sprawiał poselstwo. Jeździł do Sułtana Selima, układał się z Imibrajbekiem [2]), poczem zaraz „przez hordy tatarskie“ jechał z Mechmetcausem [3]) do Azji „pod morze Kaspium“. Stamtąd „nazad obrócił“ wielkie wojska tureckie, które obległy Astrachań. Wracając z tem wojskiem do Grecji, często w pustych polach po kilka dni nie jadł i nie pił; z 26.000 tego wojska wróciło do Grecji tylko 2.000, bo reszta „pozdychała“ z głodu i pragnienia [4]).

---

[1]) „Obu królów“, trzeba rozumieć: duńskiego i szwedzkiego.

[2]) Renegatem, z domu Odrowążów.

[3]) Mechmet czausz.

[4]) Poselstwo to swoje opisał sam Taranowski p. t. „Krótkie wypisanie drogi z Polski do Konstantynopola, a stamtąd zaś do

Po wygnaniu Bogdana z Wołoszy znów jeździł Taranowski z poselstwem do Turcji, skąd wracając, zapobiegł napadowi Iwoni, wojewody wołoskiego, na ziemie ruskie [1]). Podczas bezkrólewia po Zygmuncie Auguście „naprawił pokój z okrutnikiem"; ledwie wyszedł z jednej niewoli, „w drugą go wepchano"(?). Kiedy Walezjusz uciekł z Polski, znów trzeba było wysłać poselstwo do Selima, a więc Taranowskim „dziurę zatkano". Podczas pobytu jego w Turcji umarł Selim, a więc już z jego następcą Muradem zawarł pokój. Wogóle dziesięć razy posłował, a poselstwa jego były Koronie „potrzebne i smaczne" [2]). Kiedyś więc, (zwraca się Paprocki do Taranowskiego) tak pogany, jak i „okrutne tyrany" chrześcijańskie „umiał ubłagać", to ożeniwszy się, „i to zwirzę będziesz umiał ukrócić i woli swej nauczyć". Nie dziw się, dodaje, że zwierzęciem nazywam białogłowę, — to nie ja, to Pismo Święte tak ją

Astrachania... Przytem, jako wojsko tureckie, które jeździło pod Astrachan roku 1569, zginęło. K'temu sprawa tatarskiego wojska w ciągnieniu. To wszystko przez Jędrzeja Taranowskiego, komornika króla J. M. P., który sam wszędzie jeździł, od J. K. M-ci posłany będąc, wypisano". Pamiętnik ten wydał Kraszewski w. r. 1860 w Bibljotece polskiej Turowskiego p. t. „Podróże i poselstwa polskie do Turcyi".

[1]) W tem to poselstwie właśnie brał udział Bartosz Paprocki, który Taranowskiemu w „Herbach" poświęca sporo miejsca, nazywając go „człowiekiem miernego wzrostu i nauki, wszakoż przespieczności wielkiej i serca" (Herby, 427 i 428). W Herbach też znajduje się dokładniejszy opis poselstw, odprawionych przez Taranowskiego, aniżeli w Przykazaniach, w których dla rymu i miejsca Paprocki nieco pobałamucił.

[2]) Posłował on także do Iwana Groźnego podczas bezkrólewia 1572. Za Batorego nietylko posłował, ale brał udział w jego wojennych wyprawach, odznaczając się męstwem i roztropnością. Rzeczpospolita uznała zasługi jego, zapisując mu uchwałą sejmową z 1581 r. 10.000 złotych na dobrach Bratkowice, i to tak jemu, jak potomkom, „aż tę sumę wydzierży do sta lat". Volumina legum, wyd. Ohryzki, II. 212.

nazywa. Jeżeli ci jednak „moje głupie pisanie nie ku myśli“, to nic sobie z niego nie rób, a serce mi swoje zachowaj.

Po tej przedmowie przystępuje Paprocki ad rem i wypowiada wszystkie dziesięć przykazań mężowskich, każde w osobnym ośmiowierszu trzynastozgłoskowym. W pierwszem mąż przykazuje swej „miłej żonie“, aby była nabożna i Boga miłowała, a za najlepszy sposób miłości Bog uważa, jeżeli żona będzie posłuszną mężowi, bo tak Pan Bóg przykazał. We „wtorem“ przykazaniu rozkazuje „cnotliwej żoneczce“ (żonetce),

Aby nie roztrząsała chodzęcy po mieście
Tajemnice Małżeńskiey słowy wszetecznemi,
Aby się nie stroiła sprawami cudzemi.
A od męża własnego by we wszem wzór brała.
Jako własne ciało swe, tak go miłowała;
Bez woli jego żadnych upominków nie brać,
Także w żadne nietrefne rozmowy się nie wdać.

Z trzeciego przykazania widać, że teściowe i ciotki żonine, również jak dziś, występowały w charakterze zaczepnym; stąd mąż żąda, aby żona posłuchu im nie dawała, choćby jej ich rada „smakowała“. W czwartem przykazaniu przypuszcza mąż, że jako człowiek ułomny, może nieraz pobłądzić i zawinić, ale to nie racja jeszcze, aby żona w jego ślady wstępowała; zaleca więc jej: „byś z drogi nie schodziła, choć ja ustępuję“. W piątem przykazaniu jest mowa o skromności („wstydzie“) w mowie, będącej „skarbem“ kobiety. Najlepiej mało mówić, nie odzywać się niepotrzebnie.

Albowiem wielomowna wymowić się musi,
A swey głupiey powieści nigdy nie udusi.
Wiedz, że sławą poczciwą każda zacna żona,
Nie jedwabiem ni złothem, ma być przystrojona.

W następnych trzech przykazaniach nie radzi naprzód żonie wiele trzymać o swym rozumie. Pilnować domu to jej główne zadanie; ale w tem powinna ograniczyć swą działalność. Obowiązkiem jej „kuchnią rządzić“, utrzymywać czystość w domu; „o mleku tylko, o kądzieli gadaj“, a nie wdawaj się w te części gospodarstwa, które do ciebie nie należą. Powinna nie mieć innych krom niego przyjaciół, biesiad niepotrzebnych zaniechać, „bo biesiady i próżnowanie rado czyni z statecznych bardzo bujne panie“.

Dziewiątego (przykazania) też proszę, abyś przestrzegała,
Zbytnich strojów i pstrocin byś na się nie brała,
Też pierścieni na ręku wiele nie nosiła,
U szat zbytnich ogonów abyś nie włóczyła.
Boga takimi zbytki barzo obrażamy,
A sami w niepotrzebną szkodę się wprawiamy;
Bo nie złoto, nie Szmarag, nie perły cię zdobią, —
Cnota tylko, nie ogon, co chrzęści za tobą.

W dziesiątem przykazaniu daje autor radę żonie, żeby go się „pilniuchno rozgniewać chroniła“, a zwłaszcza kiedy on się gniewa, aby nie „hukała“, a dopiero gdy go gniew ominie „mówiła uczciwie“. Następuje tych dziesięciu przykazań „Zamknienie“:

A nadewszystko proszę pilnie, miła żono,
Gdy ja rzekę: „golono“, nie mów ty: „strzyżono“.
Do łoża ochędożnie masz chodzić do niego,
Aby się nie nalazło tam nic plugawego.
Uczciwość y wstyd zaraz niech z tobą przychodzi,
To oboie u ciebie niech pod bokiem chodzi.
A gdy się tak uczciwie będziesz sprawowała,
Będziesz szczęście od Boga, u mnie miłość znała.

Po „Zamknieniu“ idzie do „wszytkich uczciwych Białych głów krociuchna Przedmowa“. Powinnaś, „baczna

białogłowo“ (mówi Paprocki), nie zapominać, że i tak już „srogie plagi za ciebie cierpimy“: gdyby nie Ewa, nie bylibyśmy skazani na „prace sprośne“. Bierz białogłowo, wzór z męża; wszak on głową, a ty członkiem, lub według Pisma Świętego: on słońcem a ty miesiącem. Czemu się wyłamujesz od posłuszeństwa przykazaniom Bożym? — czy chcesz, aby Pan Bóg jeszcze srożej wszystkich za ciebie pokarał? Chowaj „język za zęby“, nie mieszaj się do prawa. Jeżeli pochodzisz z domu zacnego, pilnuj „wzorków i kądzieli“, a jeżeli z podlejszego, to rano wstań, przypilnuj, aby ogień w kuchni rozniecono, bydło wydojono. Strzeż się takiej sławy, jaką mają Xantypa, Julia, Helena trojańska, lub owa Semiramis, która:

choć ją mądrą zową,
Lepieyby świnią była, a niż Białogłową.

Pychą się nie unoś, mów mało. Mylnie ci się zdaje, że twoją największą zaletą umieć się ładnie ukłonić i

Siedzieć wzniowszy kolana, jak kokosz krokorać,
A jako koło młyńskie tak językiem orać.

Później przypomina Paprocki starożytny zwyczaj wyganiania żon nieposłusznych z kraju i przypuszcza, że gdyby zastosowano ten zwyczaj w Polsce, „jużby były panienki u nas w większej cenie“. Ale na samym końcu wychodzi szydło z worka: pan Bartosz nie jest (w tem przynajmniej miejscu) takim nieprzejednanym wrogiem kobiet, za jakiego sam się podaje, bo zwracając się do nich, oświadcza, że przestanie ganić („szacować“) ich obyczaje, ale pod warunkiem:

Chcecie mnie ubłagać, więc obierzcie jedną,
Cnotliwą, bogobojną — dajcież mi za żonę.[1])

[1]) W chwili pisania Przykazań, miał Paprocki dopiero lat trzydzieści kilka, ale do późnego wieku nie znalazł jakoś godnej siebie „cnotliwej, bogobojnej“, małżonki.

Z kolei przychodzą „odpowiedzi żonine“ na każde z dziesięciu przykazań. Poprzedza je następująca uwaga prozą: „Tu masz odpowiedź żony na dziesięcioro przykazanie mężowo. Y iako ona obiecuie łagodnemi słowy wszytko spełnić mężowi. A chcąc iednak iemu w tym się równą uczynić, choć iey Bóg tego zabrania, pięknemi słowy z płaczem go prosi, aby iey też thak wiele artykułów spełnił, iako iey sam wiele rozkazał — Które każdy mąż winien przeczytać“.

Odpowiedzi są bardzo sprytnie ułożone. Jeżeli kobiety nasze wieku XVI. były rzeczywiście zdolne do takiej polemiki ze swoimi „mężami najmilejszymi“, to dowodziłoby ich znacznej inteligencji i sporego dowcipu, to dowodziłoby nawet, że w szermierce językowej lepszego gatunku stały o całe niebo wyżej od mężczyzn. Przez usta męża przemawia siła, pewność siebie i niejaka brutalność — „odpowiedzi żonine“, pomimo pozorów łagodności, pokory i dobroduszności, pełne są ironji i lekkiego sarkazmu. Jeżeli Paprocki cudzych myśli nie przekładał, a sam był twórcą tych odpowiedzi, to okazałby się w tym wypadku pisarzem artystą, bo umiał znakomicie wejść w rolę kobiety, broniącej środkami iście kobiecemi swych praw i swego stanowiska, a posiadającej przytem wszystkie cechy, uznane jako nieodłączne od natury kobiecej.

Naprzód używa pani żona płaczu, jako środka niezawodnego do zmiękczenia serca swego pana. I tak popłakując, udając przygnębioną, pokorną, posłuszną, nazywając męża „serdeczkiem“ swojem, umie jednak odcinać się zręcznie i tłumaczyć mu, że wymagania jego są przesadne, że bawi się w sędziego, choć sam powinien czasem zasiąść na ławie oskarżonych. W taki sposób daje sześć odpowiedzi na sześć przykazań. Żądasz, panie mężu, abym przez posłuszeństwo dla ciebie dała dowód miłości Boga — dobrze:

Jam to pełnić gotowa (godna rzecz a słuszna)
Wszakże Cię o to proszę, mężu namileyszy,
Żebyś mi sam w tym podał przykład niepodleyszy.

Zaręcza dalej, iż żadnych tajemnic małżeńskich nie będzie „słowy mazać“ tylko prosi pokornie, aby sam pan mąż „z łaski swojej“ nigdy w słowach i uczynkach nie był wszeteczny:

Masz mi się me serdeczko tak pokazać prawie,
Równym być anyołowi w każdey swoiey sprawie.

To nie ładnie ze strony męża, że podejrzywa teścię i ciotki żonine o jakieś przeciw niemu intrygi, więc: kochany mężu, „przeciwko nim zatrzyj ten zły umysł“. Mówisz w czwartem przykazaniu, żt choćbyś sam zeszedł z drogi właściwej, to ja z niej schodzić nie powinnam. Na to nie ma zgody: kiedy podajesz się na słońce, to „świeć jasno“ — ja we wszystkiem będę z ciebie przykład brała. Piąte przykazanie, zalecające skromność w mowie i powstrzymanie się od wielomówności, a więc będące zamachem na przyrodzone „prawa“ kobiece, bardzo a bardzo się nie podoba „cnotliwej żoneczce“:

Zakazujesz mi mówić, a to na mię trudna,
Nazywaiąć milczącą, że każda obłudna.
Zaprawdęć też to pismo fałszywe was zwodzi;
A co to jest za człowiek, co to by mruk chodzi?
Gdyż pismu chcemy wierzyć, niechże na tem siędzie:
Jaką żonę mąż chce mieć, niech sam taki będzie.

W szóstem przykazaniu żądasz, panie mężu, bym nie trzymała wiele o swoim rozumie. Nie trzymam też, ale jeżeli tobie dał Pan Bóg „wiele umieć“, to i „mnieć nie upośledził“; wszakże, jak sam mówisz, „jestem człowiekiem z twego ciała“, a więc istotą, równie jak ty, rozumną. Będąc taką, zwracam twoją uwagę na to, że jeśli się na

mnie rozgniewasz, nie powinieneś mi wobec ludzi zadawać pokuty. Każesz mi w siódmem przykazaniu pilnować gospodarstwa — czynię to chętnie, ale niech mam za to wdzięczność z twojej strony. Nie pozwalasz mi wszędzie wglądać, ale wątpię, czy to będzie z twoją korzyścią, bo jeżeli nie zajrzę np. do piwnicy, to przekonasz się, że słudzy w niej szkodę uczynią.

W tem miejscu przestaje żona płakać i przyjmuje inną taktykę. Wprawdzie już odpowiedziała ośmiowierszem na siódme przykazanie, lecz się jeszcze nie wygadała, więc snuje rzecz dalej już w tonie kobiety obrażonej. Chce i sama „cokolwiek sobie otrzymać; ponieważem ci żona a nie niewolnica“, — oto jej pierwsze słowa w nowej roli; jakby żywcem wyjęte z ust dzisiejszych „niewolnic“. „Spólne przeżegnanie i od Boga mamy, niechże też spólnie sobie prawa ustawiamy“ (ustanawiamy). Zginęła łagodność „żonina“, rozpoczyna się walka na ostre. Nie pozwalasz mi mieć przyjaciół i uczęszczać na biesiady — czyliż „mam przy piecu siedzieć?“ A dlaczegóż sam masz pełno przyjaciół i z nimi „w żarty się wdajesz?“

Mamże tak iako sroka wszytko w klatce siedzieć?
Co się na świecie dzieie, iuż nie mam nic wiedzieć?

Dziewiąte przykazanie, tyczące się zbytnich „strojów“, ogonów u sukni i pierścieni na ręku, najbardziej ukłuło „miłą żonę“, to też daje ujście upustom swojej wymowy i trzy razy odpowiada: na osiem wierszy mężowskich, ma swoich dwadzieścia cztery. „Waszmość“ (już nie „serdeczko“) jesteś „dziwny“, chcesz być „gorzej niż anioł stateczniejszy“:

Mam chodzić o dwu fałdach w staroświeckiey kietce?
Każ mi w płaszczyku łazić, iako iakiey mieszczce!
Pierścień cóż komu wadzi? — matkać mi go dała,
Prosząc, abym z nim chodząc, iey nie zapomniała.

Kiedyby też wam chodzić przez portek kazano,
Prawieby was kosztownie dopiro ubrano.

Cóż ci szkodzi, prawi dalej, że „letnika sobie przyczynię“ (sukni przydłużę)? przecież musi być jakaś różnica między mną a kobietami z warstw niższych. „Czy jak szynkarka, ma chodzić w sukience do kostek, albo iako nędznica w prostey koszulecce?“

Jeślić ręku szmaragiem, aksamitem grzbieta
Nie przystroię, rzekąć wnet: A taż, czyli nie ta?

Wy, panowie mężowie, wciąż się na Pana Boga powołujecie — co wam samym w głowach się uroiło, to na Niego składacie. Czyż nie wiecie, że dziś „aksamitu a złotu każdy pokłon daje?“ Kiedy żądacie od nas, abyśmy skromnie się ubierały, dajcie nam przykład i sami chodźcie w siermięgach, jak chłopi.

Po tym wybuchu oburzenia, do którego doprowadziła „miłą żonę“ sama myśl, że mogłaby (nieszczęsna!) stroje porzucić, przychodzi do upamiętania, czuje, że się zanadto uniosła. A więc w dziesiątej odpowiedzi mąż już nie jest „Waszmością“, lecz tylko znowu „namileyszym“. Wolałabym (zaręcza) „precz z domu odejść“, aniżeli cię „me serce, w czem rozgniewać“. Zaraz jednak dodaje maleńkie zastrzeżenie:

Ale to tylko w niebie, iako powiadaią,
Aniołowie są tacy, czo się nie gniewaią.

Czuje jednak, że tej odpowiedzi za mało, więc drugi raz wraca do dziesiątego przykazania i prosi męża, aby nie wierzył bajkom, jakie na nią do jego uszu dochodzą. „Jak mi Bóg miły, służę tobie“ — i nie chcę cię gniewać, ale i ty powinieneś być pobłażliwy i „równać się cierpliwością Jobowej osobie“. Ten ostatni frazes wygląda znowu na kpiny, boć mąż posiadający Jobową cierpliwość,

stałby się ideałem pantoflarzy, najniższym służką jejmości. Żarty trzymają się miłej żony i w „Zamknieniu“. „Bodaj mi się noga wywróciła“ (mówi), gdybym nie uczyniła, co ty czynić każesz. Ale wracając do kwestji strojów przyrzeka (jeśli mąż da na nie), „tak się stroić, iż mię nie poznacie“ bo to jest „wielka roszkosz“. A co? czy nie wesoła i nie sprytna białogłowa?

Wygadali się małżonkowie, ale pan Bartosz ma jeszcze ostatnie słowo. Jest niem parokartkowa „Do wszytkich Małżonków Przemowa“. Występuje tu znowu w charakterze wroga kobiet i wad ich karciciela. Mniemasz, mówi, panie małżonku, żeś sprawę wygrał, boś żonie swojej „nabajał“, ale „ona tobie widzę niemniej nabajała“. Zmiękczyła cię płaczem; już samemi odpowiedziami na twoje Przykazania wybiła się z posłuszeństwa winnego tobie. Na pobłażliwości źle wyjdziemy — obyśmy z żon nie mieli panów. Pytam cię wprost: czy żona pełni twoją wolę? Aha! mieszasz się, jąkasz! Wiem ja dobrze, że ty jej więcej „folgujesz“, niż ona tobie. Pozwoliłeś jej wziąć „na kieł“, zwodzi cię swoją „łagodną postawką“. W Polsce coraz więcej burmistrzują „rzędziochy“.

Już dzisia pani żona Biblią wykłada,
Równo z sędziem, z podsędkiem druga w sądzie siada.

Starościny, sędziny, mięszają się do obowiązków mężowskich; one, a nie ich mężowie rozsądzają szlachtę. A my, zamiast temu zapobiegać, wzdychamy tylko i mówimy: kara Boska! Wstydźmy się, że „rzędziochy wprawują nas w te błędy“. Wiem dlaczego, mężu, ustępujesz; — boisz się poprostu wyjawienia domowych tajemnic. Ale nie zapobiegniesz temu, bo „chociabyś jej na gębę młyński kamień włożył“, pani żona „wygada się“ ze wszystkiem. Nie uchronisz się od tego, choćby była niemową, bo czego nie będzie mogła powiedzieć, to na migi pokaże. Wkońcu prze-

biega Paprocki jeszcze raz całą treść przykazań mężowskich, a wspominając o ich „zamknieniu“, puszcza się na grę słów i radzi żonę „zamknąć za łeb i wwieść pod ławę“. To najlepsza odpowiedź na jej odpowiedzi — „niech świnia, gdy nie umie, na dudach nie gędzie“. Po tym zwrocie, nie odznaczającym się grzecznością i elegancją dla dam, woła jeszcze pan Bartosz do każdego z mężów: „Bądź tym, czem cię Bóg zowie, a milusia pani, będzie za piecem sądzić myszy z kotkami“.

Ale nie na tem kończy się „Dziesięcioro Przykazań mężowo“, bo pan Bartosz przytacza jeszcze na ostatniej karcie ujemne zdania o kobiecie poety Katona i „drugiego filozofa“. Ostatnie z tych zdań, najłagodniejsze z najłagodniejszych, twierdzi, że kobieta jest *malum necessarium*. Czy ów „drugi filozof“ ma słuszność, osądźcie roztropnie i sprawiedliwie, „małżeńskiego staniczku“ cechowi towarzysze.

1897.

RZECZPOSPOLITA BABIŃSKA.

I.

Nietylko ludzie w czepku się rodzą; szczęście to spotyka różne instytucje, stowarzyszenia, książki, pomysły, przedsięwzięcia, a nawet... wesołe kółka towarzyskie. Giną często na kartach historji ślady zacnych usiłowań, rdza niepamięci pokrywa nazwiska wielkich prawodawców, artystów i myślicieli, tysiące wielkich lub szlachetnych czynów zarasta pleśń dziejowa, a natomiast jakiś drobiazg obojętny, nazwiska ludzi niczem niezasłużonych, niczem niewyróżniających się z pośród szarego tłumu, przechodzą z pokolenia w pokolenie, zajmują poważnych badaczów i cieszą się przez całe wieki rozgłosem, jedynie dzięki wzmiance współczesnego kronikarza.

W czepku urodziła się i Rzeczpospolita Babińska. Trzysta kilkadziesiąt lat upłynęło, jak podał o niej wiadomość Sarnicki, a kiedy współczesne mu dzieje polityczne i wewnętrzne, współczesny rozkwit literatury, nauki i sztuki, znane są w dokładniejszym zarysie tylko garstce miłośników przeszłości, to chyba niema nikogo z czytających, coby nie miał jakiego takiego pojęcia o wesołem towarzystwie Imci pana Pszonki. Co chwila, jakiś dłuższy lub krótszy artykuł otwiera nam podwoje Babina i zapoznaje z jego konceptami i dygnitarzami. Najwięksi mistrze literatury i sztuki hołd mu oddawali. Mickiewicz, zaznaczywszy w swoich prelekcjach o literaturze słowiańskiej jaskrawy kontrast między duchem, panującym

w Babinie, a w „Monasterze Iwana Groźnego“, podniósł tem samem Rzeczpospolitą Babińską do stanowiska wytworu wysokiej cywilizacji. W 40 lat po nim Matejko genjalnym swym pędzlem przypomniał Babin, a nie krępując, jak zazwyczaj, swojej fantazji, umieścił na obrazie w towarzystwie Imci pana Pszonki najznakomitszych naszych wieku XVI-go statystów, poetów i humanistów. Babin w ogólnem przekonaniu wyrastał na jakąś akademję satyry i dowcipu, na salon, w którym koncentrowało się życie umysłowe kilku następujących po sobie pokoleń inteligencji polskiej.

To mało, ostatni jego historyk prof. Stanisław Windakiewicz Rzeczpospolitą Babińską uważa za wyraz pewnego stronnictwa politycznego. Oto w skróceniu jego słowa: „Rzeczpospolita powstała w wirze walk politycznych, kiedy powoli program szlachecki wcielał się w rzeczywistość i ze sfery książkowych kwinkunksów przechodził w organizację dotykalną... Fundatorowie jej byli genjalnymi satyrykami, którzy czerpali pełną ręką żywy materjał w bieżącem życiu politycznem... Powstanie Rzeczypospolitej należałoby odnieść do czasu walki o egzekucję praw... Wymyślili ją członkowie stronnictwa środkowego, którzy z dworków swych i zameczków patrzyli z równym spokojem na zakusy magnatów i drobne ambicyjki partji dworskiej. Była ona więc wyrazem siły ekonomicznej i niepodległości sądu ziemian małopolskich... I na potem pozostawała w bliskich stosunkach ze sferami poselskiemi i w główniejszych przełomach swego stronnictwa udział przyjmowała... Istniała ściśle określona tradycja w tym związku, mocą której łatwo czynić wnioski wsteczne i zblakłym rysom późniejszych podań nadawać istotne znaczenie. Rzeczpospolita była manifestacją zdrowego rozsądku w społeczeństwie polskiem, przenosiła bowiem w krainę chimery i utopji wszelkie wygórowane preten-

sje. Była niejako wysuniętą placówką stronnictwa ziemiańskiego; jednocześnie z niem powstała, jednocześnie z niem upadła. I swojem tłem duchowem łączy się ściśle ze stronnictwem piastowskiem, bo tak, jak i ono, pozostaje w bliskim związku z reformacją. Stanęła na gruncie ówczesnego liberalizmu, garnęła wszystkich, co do żadnej koterji nie należeli. To jej dało potężny wpływ wśród ówczesnych zaognionych stosunków religijnych. Wyrażała wymownie opinję tolerancką swego czasu i skupiała w sobie mimowoli treść duchową danej chwili. Jest ona w Polsce pierwszą afirmacją indywidualizmu ludzkiego w całej pełni i, jako taka, jest doskonałą kreacją czasów nowożytnych. O zdolności obserwacyjnej i trafności definicji i charakterystyce fundatorów babińskich mówi Sarnicki; słowa jego są wyznacznikiem maksymalnej prężności ducha owego czasu. Rzeczpospolita babińska wydobywa na jaw szerokie masy społeczeństwa polskiego i do rysów etnograficznych dodaje rysy osobiste i na gruncie ogólno-ludzkich problematów psychicznych te masy stawia.

„Dewiza *Omnis homo mendax*, szukanie pokrewieństwa duchowego z postaciami starożytności klasycznej, dowodzi, jak prędko społeczeństwo polskie przewodniemi ideami humanizmu się przejęło i granice obserwacji lokalnej z tą pomocą przekroczyło. Rzeczpospolita skupić w sobie musiała niemal całą inteligencję Polski".

Już z przytoczonego w streszczeniu poglądu widzimy, jak wysokie stanowisko wyznacza prof. Windakiewicz Rzeczypospolitej babińskiej w pewnem stadjum cywilizacyjnego rozwoju naszego społeczeństwa. Ale nie na tem koniec. Jest dla niego przedewszystkiem faktem, iż wielki Jan Zamojski stał się *spiritus movens* klubu babińczyków, a to wiele mówi, to uzasadnia poniekąd wszystkie powyższe twierdzenia. Dalej, zgodnie z Sarnickim, uważa

prof. W. Rzeczpospolitę niejako za *pedagogium*, w którem otrzeć się należało młodemu szlachcicowi i którego działanie na umoralnienie ogółu, a zwłaszcza młodzieży, było bardzo znaczne. Wreszcie Babin miał się przyczynić do rozwoju nowelistyki w naszym kraju, a znaczenie jego dla literatury polskiej ma być takie, jak salonów towarzyskich z czasów Odrodzenia literatur wcześniej rozwiniętych, niż polska.

A więc miał słuszność Mickiewicz, że stawiał Rzeczpospolitę tak wysoko; nic też dziwnego, że natchnęła Matejkę.

Czy jednak Rzeczpospolita Babińska była rzeczywiście taką, za jaką uchodzi, możemy przekonać się właśnie dzięki jej aktom, wydanym przez prof. Windakiewicza [1]). Akta te, „prześliczny pomnik życia i humoru“ (słowa Windakiewicza), były już znane kilku badaczom, ale dopiero odniedawna stały się dostępne szerszemu ogółowi. Są one obok relacji Sarneckiego jedynem źródłem, z którego poznać możemy organizację klubu babińczyków, jego idee, zajęcia, zakres i okres działania, a przedewszystkiem charakter. A nie ulega żadnej wątpliwości, że historja Babina z wydaniem tych aktów jest już zamknięta, bo lubo obejmują one tylko drugą większą epokę jego istnienia, to przecież sam ich układ świadczy, że po pierwszej epoce nie pozostał pomnik tego rodzaju... Rękopis bowiem rozpoczyna się od przytoczenia ustępu z *Annales* Sarnickiego i dwóch wierszy łacińskich Wrześnianina (Wresnanus) i Nieznajomego, które widocznie dla Jakóba Pszonki, syna założyciela Rzeczypospolitej, były jedynym materjałem do przeszłości Babina. Sam własnych wspom-

[1]) Akta Rzeczypospolitej babińskiej według oryginalnego rękopisu, wydał St. Windakiewicz, Kraków, 1894. Przed aktami znajduje się monografja Babina, a raczej pogląd na Rzeczpospolitą, pióra wydawcy.

nień widocznie nie miał, bo w chwili śmierci ojca liczył zaledwie lat 18-cie, a był już przedtem na dworze Jędrzeja Górki, ojciec zaś i brat starszy pozostawili wprawdzie cenny dla niego zbiór aktów, tyczących się rodziny Pszonków, w których jednak z natury rzeczy nie było żadnych faktów, mających jakąkolwiek styczność z Rzeczpospolitą Babińską.

Przed przystąpieniem jednak do przejrzenia aktów i do charakterystyki Babina, przejdźmy pokrótce jego literaturę, co pomoże do wyprowadzenia ostatecznych wniosków.

II.

W roku 1587-ym wydał St. Sarnicki swoje *Annales*, w których na str. 395 „ku rozweseleniu czytelnika“ znajduje się *Descriptio Reipublicae Babinensis*. Ponieważ jest to jedyny współczesny opis pierwszej epoki Babina, bez którego, jak się przekonamy, może całkiem o Babinie nie doszłyby nas wieści, ponieważ wreszcie na opis ten, jakoby na wiarogodny dokument, powołują się wszyscy historycy wesołej rzeczpospolitej, wypada przeto treść jego szczegółowo przytoczyć.

Rzeczpospolita, która była *res faceta et plena iucunditatis*, powstała wśród szlachty ziemi lubelskiej. Nazywała się dlatego babińską, że inicjator jej („autor“, mówi Sarnicki), za którego też Rzeczpospolita najbardziej kwitnęła, był właścicielem Babina. Sama nazwa tej miejscowości miała pobudzać do śmiechu, baba bowiem oznacza starą niewiastę, a *babine* to, co do niej należy, wszelkie zaś gadaniny, bałamuctwa i żarty zwykło się babskiemi bredniami nazywać [1]).

[1]) Babinów „Słownik geograficzny“ wylicza siedmnaście, nie licząc trzech potoków tego nazwiska, ale niema jakoś śladu,

Babińczycy wzorowali się na porządku i urządzeniach Rzeczpospolitej Polskiej. Wybierali dla siebie króla, senat, arcybiskupów, biskupów, wojewodów, kasztelanów, hetmanów, *(praefectos oppidorum et militiae)*, sekretarzy i t. d. Jeżeli ktoś mówił o rzeczach podniosłych, niemających nic wspólnego z jego stanowiskiem, zostawał arcybiskupem lub wielkorządcą *(magnus satrapa)*. Jeżeli ktoś mylił się w mowie, rzucał paradoksami, lub przytaczał rzeczy niewiarogodne, tego mianowano mówcą *(rethor)* lub kanclerzem. Chełpiącemu się z męstwa lub odwagi, mówiącemu w chwili nieodpowiedniej o sprawach wojennych, przyznawano godność dowódcy, hetmana, albo rycerza pasowanego *(eques auratus)* [1]). Kto okazywał zbyt wielki zelotyzm ze stanowiska Kościoła rzymsko-katolickiego, albo jakiego innego wyznania *(cuiuspiam alterius sectae)*, temu nadawano tytuł inkwizytora. Godność łowczego przyznawano rozprawiającym w niewłaściwej chwili i szeroko o psach, dzikich zwierzętach i sokołach.

Nominacje wydawano albo zaraz na miejscu podczas wesołej zabawy, lub też ludzie wybitniejsi *(non contemnendi viri)* odnosili je na piśmie wybranym dygnitarzom. Pisma takie opatrzone bywały pieczęcią woskową, a odnoszący wręczali je z całą powagą. Mało można było znaleźć kogoś pomiędzy senatorami, duchownymi, dworzanami, coby nie był zaszczycony takim dyplomem. Zwykle

---

ażeby którykolwiekbądź z nich pobudzał swą nazwą do wesołości. Jeżeli zresztą rozśmieszał Babin, to powinny były rozśmieszać również miejscowości, zwące się Baba, Babanka, Babce, Babcze, Babiaków, Babica, Babie, Babienta, Babino, Babińce, Babki, Babuchowy, Baby, itd., a niejednej z nich jest znowu po kilka. Toż to musiało być śmiechu w Polsce na wsze strony!

[1]) Nazajutrz po koronacji król odbierał przysięgę od Krakowa i innych miast głównych, poczem dotykając mieczem, kilku mieszczan kawalerami pasował. Kawalerowie nazywają się „Equites Aurati“. Skrzetuski, „Prawo polit.“.

przyjmowano te godności bez wahania, a jeżeli kto opierał się przyjąć nominację, narażał się na wyśmianie, a im bardziej się gniewał, tem więcej śmiano się z niego i to dopóty, aż wreszcie musiał przed Babinem czoła uchylić.

Dalej Sarnicki opowiada, iż nie każdy odrazu mógł zostać urzędnikiem babińskim. Jeżeli zaś jakiś „nowicjusz“ powiedział dowcip, zachowywano pozory namysłu, czy godzien wejść do towarzystwa; musiał naprzód dać poznać, w jakim kierunku ma zdolności, aby właściwy urząd otrzymał. Nie uchodził żart kłamliwy, mogący kogoś obrazić lub potępić. Z tego może powodu, zapewnia Sarnicki, że te żarty towarzyskie przyczyniały się wielce do poprawy obyczajów wśród młodszych, wyrabiały dowcip, uczyły ich skromności. Byli przytem między babińczykami tacy wyborni znawcy, cenzorowie życia i obyczajów, iż żaden lekarz nie rozpoznał dokładniej ludzkich skłonności, żaden profesor etyki nie wyłożyłby tak dobrze wad i obyczajów, żaden fizjognomista nie poznałby tak dokładnie natury ludzkiej z twarzy, z ruchów, chodu i ogólnego wejrzenia, jak ci boscy ojcowie *(divini patres)*.

Miejsce zebrań nazywano giełdą *(gelda)*, zapożyczywszy tej nazwy od gdańszczan; wyraz ten oznaczał także hałaśliwe zgromadzenie. Babińczycy przechwalali się, że posiadają przywileje zatwierdzające ich Rzeczpospolitą przez królów, cesarza, a nawet papieża[1]). Z ludzi, stojących na ich czele, przytacza Sarnicki dwóch: Piotra Kaszowskiego *(Cassovius)*, sędziego i posła ziemi lubelskiej,

---

[1]) Tarnowski w swojej rozprawie o Babinie niezbyt wyraźnie akcentuje treść tego ustępu Sarnickiego, pisząc, iż Rzeczpospolita „pyszniła“ się przywilejami królów i t. d. Pysznić się można z rzeczy posiadanej, a więc mógłby ktoś sądzić, że Rzeczpospolita rzeczywiście miała tego rodzaju przywileje. Co innego „przechwałka“, bo w samem znaczeniu tego wyrazu leży już kłamstwo. Sarnicki wyraża się „jactabant“.

o którym skądinąd wiemy, że był właścicielem Wysokiego w Krasnostawskiem i Pszonkę *(Pszomka)*, właściciela Babina, który był zarazem burgrabią Rzeczpospolitej *(praefectus)*. Obaj mieli być ludźmi poważanymi i bardzo przyjemnymi w towarzystwie; obecność tych starców *(beati senes)* mile była widziana na każdem zebraniu, lub godach weselnych. W chwili, kiedy Sarnicki pisał Annales (1582), Kaszowski żył jeszcze, Pszonka zaś już przed dwoma laty przeniósł się do wieczności. Sarnicki przytacza nagrobek, napisany wierszem łacińskim temu założycielowi towarzystwa babińskiego przez pewnego, wcale niepospolitego poetę *(poeta quidam haud vulgaris)*.

Wreszcie opowiada Sarnicki dwie anegdoty. Oto razu pewnego zapytał się Pszonki Zygmunt August, czy babińczycy mają także swojego króla, na co Pszonka miał odpowiedzieć: „Uchowaj Boże, najjaśniejszy panie, ażebyśmy za twego życia mieli myśleć o wyborze innego króla; panuj tu, panuj i w Babinie...“ Król miał się roześmiać i całe otoczenie jego śmiechem wybuchnęło [1]).

Innym razem, kiedy w pewnem towarzystwie mówiono o starych monarchjach: perskiej, babilońskiej i rzymskiej, jeden z babińczyków zauważył, że Rzeczpospolita babińska jest starszą od greckiej i perskiej i wszystkich innych, a wytłumaczył to w ten sposób: „Przecież już Dawid powiedział, że każdy człowiek kłamca *(omnis homo mendax)*, a wszak kłamstwo jest fundamentem i istotą Rzeczpo-

[1]) W licznych kompilacyjnych artykulikach o Babinie, autorowie ich, idąc za Szaniawskim (o którym niżej), rozmowę tę króla z Pszonką przyjmują za fakt historyczny. Nawet Tarnowski w swej rozprawie o Babinie nie kładzie dostatecznego nacisku na podejrzaną autentyczność tej anegdoty. A przecież sam Sarnicki wtrąca do swego opowiadania „fertur“, co znaczy, że „tak mówiono“, „tak opowiadano“, „tak wieść niesie“.

Biblioteka Jagiellońska w Krakowie

spolitej babińskiej, mieści więc ona w sobie i Darjuszów i Aleksandrów i świat cały“ [1]).

Na tem koniec relacji Sarnickiego, na tem właściwie koniec i wszelkich z pierwszej ręki wiadomości o pierwszej epoce Babina.

Odtąd cisza o nim zupełna przez lat 30. Dopiero w r. 1617 przybywają nowe szczegóły, ale bardzo podrzędnej wartości. Syn założyciela Babina, Jakób, wydawał wtedy córkę swą, Katarzynę, za Mikołaja Stradomskiego. Rozpowszechniona już wówczas była moda pisania wierszy okolicznościowych w tonie panegirycznym. Znalazło się więc dwóch poetów, którzy fakt przemiany Pszonkówny na Stradomską przekazali potomności i nie omieszkali przytem sławić Rzeczpospolitej Babińskiej. Pierwszym z nich był Bartłomiej Wrześnianin *(Wresnanus)*, magister i profesor Akademji krakowskiej, autor kilku innych panegiryków łacińskich, któremu za ten wiersz, za wynoszenie Babina *ad summum honorem*, nadano tytuł propagatora i amplifikatora Rzeczpospolitej Babińskiej. Szanowny magister powtarzał mniej więcej Sarnickiego, — dowiadujemy się przeto z niego bardzo mało. Kiedy nowicjusz wstępował w grono obywateli Rzeczpospolitej, musiał wypić wielki kielich, wilkom *(vilkum)*, zwany [2]), który mu podawał burgrabia (Pszonka) ze stosowną przemową.

---

[1]) I tutaj przez dowolne parafrazowanie podniesiono anegdotę. Szaniawski nie wiadomo na jakiej zasadzie pisze, że ta rozmowa odbyła się wobec króla, kiedy rozmawiał poważnie o dawnych dziejach. Tarnowski znowu przemienia monarchję perską i rzymską na asyryjską i macedońską i rozszerza żartobliwą uwagę babińczyka, dodając, iż Rzeczpospolita babińska była już za Adama, Daryuszów, Aleksandrów i... Cyrusów.

[2]) Wilkom, Wilkiem nazywano wogóle w Polsce wielki kielich powitalny, tak zwany z niemieckiego od Willkommen, das Bewillkommen. Kochowski we fraszkach wspomina o nim w czterowierszu:

Po tej przemowie „weseli bohaterowie“ *(heroës gaudentes)* zabierali głos koleją, siląc się na dowcipy. Podaje ich kilka Wrześnianin, ale są one tak mało zajmujące, że bez ujmy dla Rzeczpospolitej opuścić je można. Ważniejszą jest wzmianka, iż mieli należeć za dawnych czasów do Babina: Kochanowski, Rej, Trzycieski[1]).

Drugim poetą, którego natchnęło zamążpójście Pszonkówny, był Jan Achacy Kmita, tłumacz klasyków i autor wielu broszur i dziełek, przeważnie przeciw żydom w tonie krotochwilnym pisanych[2]). I ten powtarza Sarnickiego, a nawet tłumaczy z niego nagrobek dla Pszonki, którego, równie jak Sarnicki, Pszomką nazywa. Jest w nim jednak sporo nowych anegdot babińskich. Opowiadał ktoś, że widział dzwon z iłżeckiej gliny, w który jak uderzą w Krakowie, to po ośmiu tygodniach w Rzymie go słychać będzie.

Skarżysz się, że cię wilkom ktoś wczora pić musił,
Który cię wilk chrzypotą o włos nie zadusił,
Ale się dobrze skarżysz, wszak to pospolita
Wilkowi, że za gardło każde bydlę chwyta.

[1]) Tarnowski, wiersze:

Hic Kochanovius doctus, Reivsque faceto
Est vates calamo, Tricesiusque sacer...

odczytał mylnie: Hic Kochanovius doctus reginoque faceto i t. d,. przez co opuścił Reja, a Kochanowskiego zrobił wieszczem królewskim“.

[2]) O Kmicie pisałem obszernie w mojej książce: „Antysemityzm w literaturze polskiej XV—XVII. w.“, Warszawa, 1914, III. 60—72. Nawiasem pozwolę sobie zaznaczyć, że T. J. Choiński w „Historji Żydów w Polsce“, „pożycza sobie liczne, długie, kilkukartkowe ustępy z tej książki, zaledwie parę razy zacytowawszy „źródło“, swych wiadomości. Jestto jeden z łatwych środków wpojenia w czytelników przekonania o trudach własnego badania. To też w artykułach dziennikarskich często spotykałem i jeszcze dziś spotykam ustępy z mojej książki, jako cytaty ... z Choińskiego. *Przypisek późniejszy.*

To takiego w Babinie historykiem zwano
Y dochód my każdy rok pożyteczny dano,
Za każdy kunszt z gorzałki dwa achtela piany.
Godność każda na świecie ma mieć swe zamiany.

Inny chwalił się, że gdy pięścią uderzył wołu, to mu drugą stroną aż ręka wypadła, za co otrzymał urząd hetmański. To znowu ktoś inny opowiadał o wieprzu (dziku), który, mając wybite przez myśliwych oczy, prowadzony był przez swego „syna“, młodego dzika, trzymając się zębami jego ogona; jakiś myśliwy złożył się i „ustrzelił synowi figiel przy guzicy“; młody wieprz uciekł, a stary został z „chwostem w pysku“; strzelec ujął za ten chwost i przyprowadził wieprza do zamku swego, o dwie mile oddalonego. Anegdota ta, bardzo często spotykana w druku i rękopisach, w samych aktach babińskich dwa razy jeszcze z warjantami jest opowiedziana.

Fraszka to, powiem ia coś, rzekł drugi, lepszego
Y wiadomości godno y coś pewnieyszego —

i opowiadał, jak „car moskiewski, chcąc króla Stefana ubłagać, aby go przestał swojem zwycięstwem przemagać, przez biskupa rzymskiego jął się starać o to. Przysłał więc Papieżowi krogulca w podarku y złoto“. Papież, jako nie myśliwy, krogulca podarował królowi hiszpańskiemu, ten znowu francuskiemu, tamten cesarzowi, od którego dostał się krogulec Batoremu, przy którym wreszcie pozostał, gdyż ten jeden tylko monarcha był „dobrym żołnierzem i też myśliwcem“. Pewnego razu Batory, będąc na polowaniu, wystrzelił do jelenia; krogulec schwytał kulę w locie i sam „zgonił jelenia wylotnem ćwiczeniem“, poczem usiadł na głowie jelenia, który chcąc go ze siebie zrzucić, zaplątał nogę między rogami. Opowiadający tę anegdotę, został posłem do Niemiec od Babińskiej Rzeczy“.

Dziad znowu Kmity, za to, że, zajęty rozmową, nie uważał na zwrócone do niego zapytanie, tyczące się ścięcia w Piotrkowie posła tureckiego, został tureckim tłumaczem [1]). Kiedy podstolego Garnysza ominęło starostwo sandeckie, dano mu wielkorządctwo w Babinie. Wojewodzie Witebskiemu, Zawiszy, posłano dyplom na cześnika, ponieważ pijał tylko wino. Anegdotę o Zygmuncie Auguście powtarza Kmita szeroko z Sarnickiego, z tą różnicą, że nie Pszonka miał być autorem dowcipnej odpowiedzi, ale kanclerz babiński, Kaszowski. Dymitrowski Stanisław, dziad Kmity po kądzieli, opowiadał cały szereg anegdot i zmyślań; miał takiego charta, który zająca brał za paznogieć; na Mazowszu widział bróg ogórków i konia, mającego tam głowę, gdzie ogon; w Sochaczowie pokazywano mu znowu przetak, pełen deszczowej wody i siekierę z wełny; pewnego razu w Pęcławicach złapał kilka sokołów, które przybiegły aż z Francji, zapędziwszy się tak daleko podczas polowania, urządzonego przez króla francuskiego. Prócz anegdot babińskich, przytacza Kmita inne też anegdoty, których bohaterowie lub opowiadacze mieli również nadane tytuły przez koło swoich przyjaciół, ale nie w Babinie.

Zgodnie z Wrześnianinem, do cechu babińczyków zalicza Kmita „miodopłynnego pisoryma“ Kochanowskiego, Reja „w polski rym łacnego“ i Trzecieskiego; prócz nich wylicza jeszcze Paprockiego i Sępa (Szarzyńskiego), który „wierszem smaczny, miał urząd niepośledni w tym sławnym Babinie“. Pszonkę nazywa stuletnim, lubo miał on w chwili śmierci lat 65 zaledwie.

---

[1]) Ścięto nie posła tureckiego, lecz jakiegoś Turczyna „Cyrkasanina“, który śmiertelnie ranił Gajskiego. Kazał go ściąć Mikołaj Cikowski, ochmistrz Izabelli, królowej węgierskiej, siostry Zygmunta Augusta. Pisze o tym Grochowski w swoim poemacie: „August Jagiełło wzbudzony“.

Do dziejów wewnętrznej organizacji Babina nic nam z Kmity nie przybywa, z wyjątkiem potwierdzenia, że dawano przywileje i że je rozsyłano. Jest w nim także luźna wzmianka o jakichś rejestrach skarbowych Rzeczpospolitej, o jakichś „prawach porządnych“ i o „wakansach“ [1]).

Jak widzimy, Wrześnianin i Kmita nadzwyczaj mało uzupełniają opis Sarnickiego. Nawet anegdoty przez nich przytoczone, odnoszą się w znacznej części do drugiej epoki Babina. Sarnicki więc pozostał wciąż jedynem źródłem do początków Rzeczpospolitej Babińskiej, to też powtarzają go dosłownie Chwałkowski (Singularia quaedam Polonica 1696, str. 85(i Hartknoch (Respublica Polonica, 1694, str. 94) [1]). Pomimo stu kilkunastu lat ubiegłych od wydania Annales Sarnickiego i pomimo, iż obaj pisarze żyli jeszcze za czasów istnienia Rzeczpospolitej, żaden z nich nie zdobył się na drobne choćby przyczynki do dziejów Babina i do jego ustroju. Nieznane im były nawet widocznie wiersze Wrześnianina i Kmity, co zresztą nic dziwnego, bo takich ulotnych piśmideł pojawiało się tysiące, a czytano je tylko w drobnych kółkach przyjaciół rodzin rymem chwalonych.

Dopiero w r. 1818 ks. Szaniawski, dowiedziawszy się znacznie więcej o Babinie, czytał o nim dnia 15 stycznia na publicznem posiedzeniu Towarzystwa królewskiego warszawskiego Przyjaciół nauk. Zważywszy na wstępie, iż „słodycz towarzyskiego życia ujmuje serca wszystkich“, poświęcił kilka słów „niewinnej miłości“, wspomniał, iż

---

[1]) Wiszniewski w VI. tomie literatury str. 621, pierwszy dał poznać wiersz Kmity szerszemu ogółowi, ale w skróceniu i jak się zdaje z rękopisu, gdyż sporo w nim błędów.

[2]) I w trzeciem wydaniu Hartknocha (1698, str. 86) znajduje się opis Babina „verbis Stanislai Sarnitii“. Chwałkowski w „Effata regum Poloniae“ podaje tylko anegdotę o Zygmuncie Auguście (1694 str. 70).

Izys w Egipcie, Ceres i Bachus u Greków „były powodem do utworzenia rozlicznych owych czasów widowisk“, które miały wzbudzać „czułość i śmiech dla poprawienia obyczajów“. Wspomniawszy jeszcze coś o Rzymianach, „czasach kawalerskich i krzyżackich“, przeszedł Szaniawski do czasów Zygmunta Augusta, w których nietylko prowadzono walki z nieprzyjacielem i radzono wymownie na publicznych zjazdach, ale poświęcano się i pewnym naukom, trudniono się „dowcipną zabawą“, która, „oświecając umysły i wzruszając przyjemnie serca, może skuteczniej poprawia wady ludzkości, niżeli suche częstokroć filozofów szkoły“. Dowodem na to dostatecznym może być „rys Rzeczpospolitej Babińskiej“. Do opisu jej „mową Rzymian kreślonego“ przybywa materjał z księgozbioru Czartoryskich w Puławach, „gdzie zdaje się, że Muzy ulubione dla siebie założyły siedlisko“. Jest w tym księgozbiorze rękopis, obejmujący część aktów czyli protokołów Rzeczpospolitej babińskiej. Zanim jednak przystąpił ks. Szaniawski do jego opisu, przetłumaczył, a raczej przeparafrazował Sarnickiego. Nie trzymał się jednak go ściśle, jak to już wyżej w przypiskach zauważyłem. Był znany również Szaniawskiemu wiersz Kmity, nadesłany mu przez Ambrożego Grabowskiego z Krakowa. Po szczegółowym opisie zewnętrznym aktów babińskich, które do bibljoteki puławskiej dostały się ze Szwecji, gdzie je odnalazł Felicjan Biernacki, członek towarzystwa K. W. P. N., autor rozprawy, przytoczył z nich kilkanaście wyjątków, a zakończył wzmianką o podobnych towarzystwach, jakie istniały we Francji i Włoszech.

Ciekawym jest szczegół, iż w Warszawie w r. 1807 było towarzystwo pod nazwą Betomanie, składające się z osób miejscowych i wojskowych francuskich. „Członki towarzystwa tego zgromadzały się na obiady składkowe“; nosili jako oznakę wiązeczkę siana na wstążce przy gu-

ziku na piersiach, czytali i deklamowali „roboty własne wierszem lub prozą dowcipne i wesołe“. Rozprawę swoją wydrukował ks. Szaniawski w „Pamiętniku warszawskim“ (zeszyt lutowy, 1818, Windakiewicz, mylnie podaje rok 1817) i w „Rozmaitościoch“ ,dodatku do „Gazety Korespondenta warszawskiego“ (1818 nr. 11 i dalsze).

Jak przedtem Sarnicki, tak teraz ks. Szaniawski stał się jedynem źródłem do artykułów o Babinie. Było ich sporo, ale szkoda miejsca na ich omawianie. Słabe te komplikacyjki przesadzały się jedynie w superlatywach, przez które Rzeczpospolita babińska wzrastała coraz więcej w opinji. O popularności jej świadczy tytuł „Pszonki“, nadany dwom wydawnictwom satyryczno-humorystycznym (Kaczkowskiego w roku 1832 i Zienkowicza, w Paryżu), jako też trzyaktowa komedja Wężyka: „I ja też, czyli Rzeczpospolita Babińska“ [1]).

Dodać należy, że Babin znany był zagranicą, dzięki piszącym o Polsce. W dziele „Essai politique sur la Pologne“ (1764, a Varsovie de l'imprimerie de Psombka) znajduje się obszerny opis Babina, wzięty z Sarnickiego, i ze wzmianką o francuskiem towarzystwie tego rodzaju, noszącem nazwę „Regiment de la Calotte“. F. A. Schmidt, domownik Brühla, w dziełku „Abrégé chronologique de l'histoire Pologne“ (1763) pomiędzy „savans illustrés“ umieścił i Kaszowskiego z tego tylko tytułu, że był kanclerzem babińskim. Ze Schmidta wziął tę wiadomość Constant d'Orville („Le fastes de la Pologne et de la Russie“), a z niego znowu Nougaret („Beautés de la histoire de la Pologne“). W taki sposób poczciwy Kaszowski stał się znanym zagranicy na równi z największymi mężami naszej nauki i literatury.

[1]) W kilkanaście lat po wydrukowaniu mej rozprawy, napisał Adolf Nowaczyński komedję „Rzeczpospolita Babińska“. *Przyp. późniejszy.*

W bibljotece Czartoryskich znalazłem ośmiokartkową broszurę p. t. „Beschreibung des Ursprungs der Alabander“ (1654, bez miejsca druku). Jest to opis początków założonego w Prusiech książęcych stowarzyszenia humorystycznego. Opis ten jest bardzo krótki, bo większą część broszury zajmuje przedruk dosłowny wiadomości Sarnickiego o Babinie, wraz z dosłownem tłumaczeniem niemieckiem. Jest to tem więcej charakterystyczne, że na przekład polski Sarnickiego nikt się do naszych czasów nie zdobył.

Wreszcie dzięki uprzejmości dyr. Estreichera, wypisałem z jego notat tytuł broszury niemieckiej (bez daty i miejsca druku), podany w jakimś niemieckim katalogu antykwarskim. Oto jego brzmienie dosłowne: „Nosce te ipsum. Noth und Hülfs Büchlein für die sichtb.- und unsichth., sowohl weibl. als männl. Glieder des in Dülken v. unseren Vorfahren zugleich auch in Polen gestft. u. d. Namen Babiena bekannten sofort v. uns bei'm diesjähr. Fasching erneuerten Narren-Ordens“.

Stał się więc Babin sławnym w kraju i zagranicą. Ale po wielkim rozgłosie i uwielbieniach przyszedł pomału czas na krytykę,

Już Wiszniewski, lubo pisze, że „w Rzeczpospolitej Babińskiej znakomici nauką i dostojeństwy w kraju mężowie bawić się umieli, karcąc lekkie w ludziach przywary“ (VI, 4), to przecież, przytoczywszy w skróceniu wiersz Kmity, dodaje: „z czasem zwykłą rzeczy ludzkich koleją, wkradł się zbytek do Rzeczpospolitej Babińskiej, a pierwotne godło *ridendo castigo mores* zamieniło się na *scribimus et bibimus*“.

W r. 1845 przeglądał W. A. Maciejowski w Sieniawie przywieziony z Puław rękopis Aktów babińskich i w „Piśmiennictwie“ swojem opisał go, podając przytem kilkanaście z niego wyjątków (III str. 258). Kilka ostatnich

zapisków nazywa Maciejowski „konceptami“, a to dlatego, że „nader lichymi ukazują się być dowcipki, wylęgłe w głowach nowszych babińskich republikantów“. Zobaczymy później, czy Maciejowski słusznie ocenił owe „dowcipki“, tu zanotujemy narazie, iż nie miał słuszności, czyniąc w ocenie różnicę między całością aktów, a przydanemi do nich na końcu „konceptami“.

Tenże sam Maciejowski widział w bibljotece zakładu im. Osolińskich księgę rodziny Pszonków, która jednakże nie ma żadnego związku z Rzeczpospolitą. Bielowski w r. 1873 wydał część tej księgi, jako „Pamiętnik Jakóba Pszonki“. Jest on dość zajmujący, oprócz bowiem materjału do rodowodu Pszonków, zawiera nieco wiadomości historycznych. Dla Rzeczpospolitej jednak jest on całkiem obojętny.

Trzecim, który oglądał akta babińskie, a raczej z nich skorzystał, był Stanisław Tarnowski. Kiedy Matejko wystawił swój obraz, przedstawiający Rzeczpospolitą Babińską, zajrzał Tarnowski do bibljoteki Czartoryskich i porobił z aktów babińskich stosowne wyciągi, które mu posłużyły do napisania barwnego artykułu o Rzeczpospolitej. Do pojawienia się pracy Windakiewicza, była to najobszerniejsza jej monografja. Poza aktami i przytoczonemi powyżej drukowanemi źródłami, nie znalazł Tarnowski żadnego więcej do swej rozprawy materjału. Jest to rzecz bardzo wymowna, na którą później zwrócimy baczniejszą uwagę. Tarnowski pierwszy stanowczo zachwiał zbytnie zaufanie, jakie pokładano w humorze i satyrze Babina, w drugiej, większej epoce jego istnienia. Jak widzieliśmy, już Wiszniewski i Maciejowski podnosili zarzuty, ale dopiero Tarnowski silnie zaakcentował swoje „rozczarowanie“. Usiłuje wprawdzie dowodzić, że nie można z epoki drugiej sądzić o pierwszej: „Nieraz tak bywa — pisze — że to, co żywotne i silne, zapisuje się czy-

nami w pamięci ludzkiej i o to nie dba, by zapisać się na papierze, dopiero, gdy czuje, że z życia wychodzi, że może zniknąć zupełnie, wtedy, chcąc ślad jakiś i pamięć po sobie zostawić, ucieka się do pióra i inkaustu".

Tak miało być z Babinem; dopóki kwitł, stał *moribus antiquis virisque*, a kiedy gwiazda jego zbladła, chciał zabezpieczyć pamięć o sobie. Czy to odróżnienie dwóch epok ma podstawy, jest rzeczą zapatrywania, dość, że Tarnowskiemu było cokolwiek przykro, iż w czasach bardzo już nieszczęśliwych „bawiono się spisywaniem złych czy dobrych konceptów i kłamstw wszystkich z Korony i Litwy".

Zapewnia, że nie było w tem złej myśli, lecz prosta naiwność. Dziwne i to, że „żart tak długotrwały nie sprzykrzył się, nie przejadł". Ale gdyby chociaż te koncepta i wymysły były zabawne! Zawiedzie się, kto sądzi, iż znajdzie w aktach niewyczerpaną kopalnię dowcipów ciętych, satyrycznych. Tego, co było najciekawsze, a stanowiłoby zarazem zasługę Rzeczpospolitej, t. j. satyry politycznej, aluzji do stosunków, lub zdrożności życia politycznego, do bieżących wypadków, niema w aktach wcale. Najwięcej jeszcze interesować mogą nazwiska, z któremi czasem spotykamy się na kartach dziejów i literatury. Ku końcowi swej rozprawy Tarnowski podejrzywa nawet wielkość pierwszej epoki Babina. „Za Zygmunta Augusta już może nie wesoła do widzenia przez swą lekkomyślność, ale przez naiwność swoją, przez samorodny popęd wesołości sympatyczna, za Jana Kazimierza ona nie do śmiechu usposabia, ale do politowania. Wziętości zawsze miała dosyć (i to jeszcze pytanie *(przyp. autora)* i więcej naprawdę, niż dowcipu i fantazji". Może w swoich początkach Babin był ożywiony myślą głębszą i był trafną satyrą, ale później nie można się niczego podobnego w nim dopatrzeć.

Tak wygląda w streszczeniu pogląd Tarnowskiego na

Rzeczpospolitą Babińską. Widzieliśmy, jak krańcowo jest mu przeciwny pogląd Windakiewicza. Który z nich jest prawdziwszy, przekonamy się, przejrzawszy „Akta Rzeczpospolitej Babińskiej".

III.

Na pierwszych kartach „Aktów babińskich" znajdują się: opis Rzeczpospolitej przez Sarnickiego, wiersz Wrześnianina i wiersz nieznanego autora p. t.: „Inclitae Babinensis monarchiae brevis discriptio". Ten ostatni utwór, najlepszy bez wątpienia pod względem literackim, nie przynosi jednak nic nowego do dziejów Babina. Po nim zaraz idzie: „Dla pamięci Urzędników babińskich Regestr", który wypełnia resztę całej księgi.

Regestr ten rozpoczął prowadzić w r. 1601 Jakób Pszonka, syn założyciela Rzeczpospolitej. Po jego śmierci w r. 1622, zięć tegoż, Wacław Zamojski, opiekował się księgą, zanim nie objął rządów w Babinie ostatni z Pszonków, syn Jakóba, Adam, później chorąży chełmski i podkomorzy lubelski. Z nagrobka Adama w Lublinie dowiadujemy się, że umarł w roku 1677 i na tym też roku kończy się właściwie „Rejestr urzędników babińskich". Wyginął ród Pszonków, zgasła z nim Rzeczpospolita Babińska. Po śmierci Adama przybyły do aktów już tylko dwa zapiski. Wreszcie położył ktoś datę 2. kwietnia 1782 roku — i nic pod tą datą nie umieścił. Cały „Rejestr", z bardzo małym wyjątkiem, jest księgą nominacyj. Czasem, ale to rzadko, nominacja jest zanotowaną bez motywów, motywem zaś była jakaś anegdotka, a przeważnie jakieś nieszkodliwe, dla przyjemności właściciela Babina wymyślone na poczekaniu kłamstwo. Spotykamy w „Aktach" wyraźnie: „X, chcąc wkupić się, powiedział" to a to. Znajdzie się i rym od czasu do czasu, lub anegdotka poza-babińska, przez kogoś nadesłana, lub ustnie za jego pobytu w Ba-

binie przytoczona. Za czasów Jakóba Pszonki prowadził księgę on sam, przy pomocy paru innych babińczyków, znajdujemy bowiem czasem autografy gości babińskich, w dniu położonego zapisku mianowanych urzędnikami Rzeczpospolitej. Adam Pszonka przeciwnie był wielkim zwolennikiem autografów, bo prawie na połowie nominacyj są podpisy własnoręczne nominowanych, a częstokroć i świadków nominacji.

Niesposób prawie wyliczyć wszystkich urzędów, nadawanych przez Babin za czasów tej drugiej jego epoki. Wogóle, bardzo mało udzielała Rzeczpospolita większych godności. Gdzieniegdzie tylko spotykamy się z nominacją na arcybiskupa, sufragana, podstolego, referendarza spraw cudzoziemskich, rotmistrza, pułkownika, admirała — za to roi się w rejestrze od kuchmistrzów, koniuszych, rybitwów, łowczych, aptekarzy, medyków, lektorów, piwniczych i t. d. Znajdujemy też po jednym i po parze architektów, konserwatorów, cyrulików, anatomistów, budowniczych, świadków, ślusarzy, tokarzy, dystylatorów, zegarmistrzów, bankietników, osaczników, karocjerów, ogrodników, kapelanów, sędziów, ptaszników, spowiedników i t. d. Jest nawet apostoł, jest *major domus*, kucharz sobotni (postny), narożnik, spekulant, miodowarnik, łaziebnik. Czasem jedna i ta sama osobistość posiada parę, a nawet kilka urzędów, bo „in Republica Babinensi compatibilia sunt dwa urzędy miecz“. A nikt się tak o te urzędy nie ubiegał, jak p. Tomasz Zaporski, skarbnik lubelski, widocznie bliski sąsiad Babina, bo często go odwiedzający. Został naprzód w tym samym dniu „alfabetistą“ i „życząc mieć jak najwięcej urzędów sobie w Babinie“ zarazem „antipatistą much“; niedługo potem przybyły mu urzędy: łowczego, stawidlarza, starszego cechu kuśnierzy i skrupulanta. Należałby mu się jeszcze urząd „skromnisia“ bo łobuz wierutny był ten pan Zaporski;

gdzie tylko mógł coś o „kobietkach“ wtrącić, nie liczył się ze słowami, ani ze stanem kapłańskim. I sam wiersze pisał i do niego rymy układano.

Z czasów Jakóba Pszonki (1601—1621) pozostało 158 zapisków. Przypatrzmy się im bliżej.

Rozpoczyna „Rejestr“ Wincenty Wielogłowski, *oficialis babinensis*, a na przydatku „dozorca babiński“.[1]) Wyniesiony został na te urzędy babińskie z tej przyczyny, że wstawione przez niego trzy beczki wina do zakrystji wypito w ciągu dwóch tygodni. Wielogłowski dodał jeszcze uwagę, że „do mszy św. wina było dostatek“.

Po nim p. Cieszkowski został przewodnikiem i ślusarzem, a p. Szamotulski rotmistrzem — za co spotykały ich te zaszczyty, „Rejestr“ nie podaje.

Najwięcej w tej epoce było myśliwców, strzelców i łowców babińskich. Został nim naprzód p. Jakób Dąbrowski, „Jego Mci Pana Dunina ze Skrzynna sługa“, ponieważ za jednem puszczeniem jastrzębia po Trzech Królach 9 kuropatw ugonił. Po Dąbrowskim został strzelcem (urząd więc ten sam) Stanisław Bobrownicki, bo za jednym strzałem 50 kaczek zabijał, a każdy ptak „zdechł“, skoro tylko kula choć po pierzu go musnęła. Krzysztoł Średziński, podczaszy halicki, znał strzelca, który ptaki tak „zamawiał“, że „przypaść do ziemi musiały“; zamówione, nie ruszały się, aż do tego dnia, kiedy przyszedł i wszystkie wystrzelał; — „*et ideo supremus ioculator*, alias strzelecz zwierzyni (y) dla kuchnie babińskiej“. Łowiectwo „sobolowe“ konferowano Adamowi Jordanowi z Zakliczyna, wsławionemu później pod Cecorą i Chocimem, który, powróciwszy z wyprawy Dymitra Samozwańca, albo „raczej żałosnego wesela“, opowiadał, że za Laponją wychodzą so-

[1]) Słowa: „Qua propter sit in aeterna saecula officialis Babinensis“, odczytał prof Tarnowski: „Qua propter sit in Ecclesia officialis Babinensis“.

bole stadami, liczącemi po kilkadziesiąt tysięcy, a Lapończycy zabijają tylko te sobole, które przynajmniej trzy lata mają. Nie wiadomo, dlaczego nie dostał nominacji na łowczego Jan Dzierżek, chociaż powiedział przed „autorem Rzeczpospolitej Babińskiej“, że widział w Niemczech, jak 14 tysięcy jeleni przebiegało przez pewne miasteczko. Za to nie ominął urząd łowczego Mikołaja Spytka Ligęzy, kasztelana czechowskiego, głośnego mówcy sejmowego, posiadającego taką wronę, „czo kuropatwy uganiała“. Nie wydało się babińczykom prawdą, jakoby książę Konstanty Ostrogski w nocy przy świetle „lanich świcz“ szczwał zające, a ponieważ opowiadał to p. Wacław Zamojski, ożeniony później z Pszonkówną, przeto „dał się Jego Moszczy urząd *supremus venator* babiński“. Myśliwcem „otokowym“ został Marjan Sierakowski, co miał sługę, który zamiast wyżła na otoku wszystko wiatrem poczuł; był mu więc pomocny we Włoszech, bo wywąchiwał zboże, szaty i klejnoty zakopane. Do łowczych należeli jeszcze: Stanisław Snopkowski, który miał jastrzębia, goniącego kulę wystrzeloną z muszkietu;[1]) Jan Zaręba, starosta Stawiszyński, głośny awanturnik, bo słyszał, jako jeden z jego krewnych miał krogulca, który uciekajcego wpław przez rzekę wilka dogonił i zatłukł, bijąc go po głowie; Jerzy Rzeczyński, starosta urzędowski (zginął podczas oblężenia Zbaraża) za opowiadanie, iż żubr, gdy chce dosięgnąć ozorem chłopa przed nim za sosnę chowającego się, tak drzewo zliże, że je „do kęsa z kory obierze“; Mikołaj Ożarowski, który „za późnych i nie zamrożonych siewów“ szukał kuropatw na wodzie; Jan Tarnowski (kasztelan żarnowski) za to, że miał rękawicę, w którą ułowioną została przepiórka.

Ta wielka ilość łowczych, myśliwych, strzelców, zwró-

[1]) Porównaj anegdotę Kmity o krogulcu Batorego.

ciła uwagę Pszonki i jego towarzyszów, namyślali się więc, czyby nie wstrzymać dalszych na ten urząd nominacyj, ale cóż robić, kiedy urodzony p. Piotr Gieratowski miał charta tak rosłego, że człowieka „przedniego wzrostu“ dosięgał do pachy, a dogoniwszy zająca, nogą go trącał i dopiero, „naigrawszy się z nim“, brał go zmordowanego.

Wobec tego faktu uradzono, że lubo już „kilkom konferowany jest urząd łowiecki“, to jednak, ponieważ Rzeczpospolita ma swoje własne prawa i nie podlega konstytucjom koronnym, przeto nie może pomijać zasług p. Gierałtowskiego, który też był ostatnim łowczym, mianowanym za życia Jakóba Pszonki.

Po łowczych największą była liczba kuchmistrzów, podczaszych i cześników, bo aż do dwudziestu. Przytaczam tylko co ważniejszych, lub takich, których powody nominacji mieszczą w sobie choć odrobinę dowcipu. Ks. Wysocki Szymon, Jezuita[1]), został cześnikiem, ponieważ „powiedał“, że dla poczęstowania jednego filozofa potrzeba było „kocziel klosków nawarzicz“, a gdy komuś zabrakło pszennej mąki, szyszek sosnowych dwa kotły ugotował „y tem onego filozofa uczęstował“. Wojciech Zawisza został podkuchmistrzem za to, że widział tak wielkie ryby w Moskwie, że kiedy je warzono w kotłach, to szumujący owe ryby czółnem musiał jeździć po kotle. Jednego dnia przybyło Babinowi odrazu dwóch kuchmistrzów: p. Mikołaj Plesznicki, kasztelan małogoski i p. Koryciński (może Jędrzej, kasztelan wiślicki); pierwszy z nich opowiadał (choć nie był naocznym świadkiem), iż na pogrzebie Mniszchowej, wojewodziny sandomierskiej, matki Maryny, zabito 160 karmnych wołów, a drugi zachęcony widocznie

---

[1]) Głośny jałmużnik i kaznodzieja w Wilnie, zwany „ojcem ubogich“.

tem opowiadaniem zaręczał, iż na bankiecie u arcybiskupa gnieźnieńskiego, Gamrata, kuchmistrz „nie mając materyi, z czegoby półmiski wymyślał, aż z sieczki wymyślać i przyprawiać dobrze kazał“, a ponieważ potrawy te dawano na końcu, kiedy się wszyscy już najedli, arcybiskup pokosztowawszy ich, frasował się, „iż co najlepsze z sieczki półmiski na ostatek zachowano“.

Również jednego dnia (17. lipca 1612 r.) przybyli Rzeczpospolitej cześnik i podczaszy. Pierwszym mianowano Krzysztofa Buczyńskiego, który opowiadał, iż Stanisław Czelabski (Czelapczky) „miewa na się takie godziny“, w które go takie pragnienie napada, że bez upicia się dziesięć garncy duszkiem „garniecz po garnczu“ wypija. Jak poprzednie opowiadanie Plesznickiego było zachętą Korycińskiemu, tak tu znowu p. Buczyński pociągnął za język p. Zbożnego Pieniążka, który widział, jak Joachim Siemichowski, przybywszy do Krzysztofa Byliny, naprzód wypił dwa garnce gorzałki, po obiedzie dwa garnce małmazji, którą popłukał dwoma garncami przedniego wina, „a iż sobie podpić nie mógł, konkludował pół achtelek dobrego piwa, a przedsię trzeźwo odjechał“, golnąwszy jeszcze sobie strzemiennego kilka garncy miodu. Słysząc to pani Pieniążkowa, uniesiona snać ambicją prześcignięcia wesołych towarzyszy, wlała duszkiem (naturalnie słowy tylko) w gardło jakiegoś pana Gładysza, ni mniej, ni więcej, tylko 3 beczki wina, za co Babin cześniczką ją swą ustanowił. Mąż tej pani Pieniążkowej, Jędrzej, otrzymał urząd pokrewny, bo „austeryarza“ za opowiadanie o p. Bielskim, który we Wrocławiu, kazawszy na 50 osób „nagotowacz ieszcz“, sam wszystko zjadł, a chciał zapłacić od jednej osoby; gdy zaskarżono do sądu, sędzia, pragnąc wydać wyrok, oparty na „doświadczeniu“, kazał uwarzyć kopę karpi, które p. Bielski zjadł, popiwszy dwoma achtelami piwa i w ten sposób uwolnił się od zapłaty gospo-

darzowi. Adam Regowski widział w Anglji, jak kupujący szczupaki, rozrzynają im brzuchy i patrzą, czy są tłuste; w przeciwnym razie, puszcza się je napowrót do wody, aż wyzdrowieją — „za to dał się jegomości urząd kuchmistrz rybny babiński“. W roku 1615 p. Pieniążkowa „cześniczka“, otrzymała koleżankę, w osobie p. Doroty Rejowej, za to, iż młode wina przemieniała w stare, lejąc je do starych szklenic.

Do liczniej reprezentowanych w Babinie urzędników należeli jeszcze koniuszowie, rybitwowie, rybołowi i ekonomi. Stanisław Jankowski[1]) został rybołowem pstrągów i łososi, bo widział w Podgórzu nurków, co cały dzień i noc siedzą w wodzie, pstrągom łamią głowy, kładą je pod kamień, a potem wybierają. Mikołajowi Brzozowskiemu przypadł ten sam urząd za szczupaka długiego na dwa sążnie i pięć piędzi. Latalski, „upiwszy się w stajni za koniem spał“, a więc został koniuszym. Mikołaj Wolski, marszałek koronny nadworny, karmił kapłony sieczką drobno rzezaną, „kiedy ią vkropem wrzącem zatrze“, a więc otrzymał tytuł ekonoma. Ten sam urząd nadano Mikołajowi Osolińskiemu, bo znał ekonoma wojewody kijowskiego (Tom. Zamojskiego), który miał dochodu od każdej gęsi 6 złotych, a od kokoszy 3 złote, „sam zaś Jego Moszcz miał gospodynię, która sama kurczęta z iaiecz wilegała, także y gąsięta“.

Zaznaczywszy, iż najwięcej było urzędników od jadła, picia i polowania, nie zatrzymam się przy innych urzędach, a tylko w chronologicznym porządku podam jeszcze w streszczeniu lub całości kilkanaście najlepszych,

---

[1]) Maciejowski, a za nim Tarnowski, nie wiadomo dlaczego przerobili go na Stanisława Tarnowskiego kiedy (jak to sprawdziłem) najwyraźniej jest w oryginale: Jankowski.

najdowcipniejszych, lub mogących czem innem zainteresować zapisków.

„Anno 1603, 15 Octobris w Radomiu, pan Biesiekiersky został urzędnikiem babińskim riualis Babinensis, iss do domu, w posczieli polozony, czepiecz prziwiosl, ktori czepiecz tak wiele rozruchu vczinil w domu, że piethnasczie razy przisiegal, ass w Krakowie na iubileussu z tego wziol rozgrzessenie. Mial natenczas lath do 70".

Walerjan Trepka został doktorem „z tej miary", iż kilka garncy małmazji kazał wypić w najcięższej gorączce; „powiedal, że pana ojca tak uleczył. Probatum".

Jakób Ostrowski otrzymał tytuł rewizora, gdyż przez 12 lat, będąc dwa razy tylko w Babinie, „bardzo się bał, aby się nie uprzykrzył częstem bywaniem swojem".

P. Stanisław Sokół uraził widocznie Pszonkę, twierdząc, iż w Chorążycach (koło Proszowic) jest izba, „jako tych trzy babińskich wzdłuż i wszerz", — za co został architektem i geometrą.

Marcin Silnicki „ma być zwany na potem Herkules", bo powadziwszy się w Niemczech o elekcję „dzisiejszego Pana" (Zygmunta III-go), mimo, że miał dopiero 14 lat, tak ciął Niemca w ramię, że szpada dopiero o pas żelazny się oparła, płuca wypadły, a ręka tak się spuściła, że ze stopą się zrównała. „A przedsię niemiecz żiw zostal".

Jan Jatmański, dotychczas kapelmajster babiński, postąpił na admirała morza babińskiego, bo widział jak wóz opatrzony w żagiel 14 mil „za dwie godziny ubieżal". Takich wozów bez koni szybko posuwających się jest w „aktach" jeszcze kilka; zwykła tu nominacja: karocyer babiński.

Chorąży Czerny proponował, aby przy wnoszeniu zdrowia nie wstawać, czapki nie „zdejmować", a sam się do

tego nie stosował, „aż z naprzykrzeszeniem“. „Legislator babiński s tey miary“ [1]).

Krzysztof Latyczyński, marszałek babiński, opowiadał bajdy jakiegoś księdza Ziemiana. Był on w jakimś mieście, które się na śrubach obracało, a którego panem jest Farnodziej. Płynie przez nie mleczna rzeka, mająca jaglane brzegi, a trzy razy szersza od Wisły. Na środku rynku stoi wół pieczony z wielką bułą chleba papieskiego między rogami [2]). Każdy może ukrajać chleba i wołu, ile mu potrzeba, a nic nie ubywa. W temże mieście jest zegar, „co go jeszcze nieboszczyk najpierwszy człek Adam zrobił i zaraz nakręcił“. Ks. Ziemianowi dawano w tamtejszym klasztorze urząd z wielkimi dochodami, ale nie przyjął, bo to zakon „przytwardy“: każdemu mnichowi ucinają nogi po kolana i musi przysiądz, że nie uciecze. Tego miasta jest siedm mil, a ptaki w niem są tak wielkie, że kiedy jedną nogą stoją na jednej bramie miasta, to drugą opierają się na drugiej. Pewnego razu stłukło się jajo takiego ptaka i 3 prowincje zalało. „Dało się jego mości oficjałem być babińskim“.

Inny ksiądz, scholastyk włocławski, Krzysztof Charbicki, został sufraganem, bo, będąc w Rzymie, musiał przejść dzienie 40 mil włoskich, „a stho dziewiecz kosczie-

---

[1]) Kochanowski w „Apophtegmatach“ opowiada podobną anegdotę o Myszkowskim, biskupie płockim, tylko, że tamta jest dowcipniejsza.

[2]) Maciejowski zauważył z powodu owego chleba papieskiego, że „protestant powiedział ten dowcip“. Ponieważ jednak ks. Ziemian był „starszym sługą jegomości ks. biskupa chełmskiego“, przeto chyba tylko powtarzał dowcip protestanta. Wogóle tego rodzaju bajeczki były wówczas nadzwyczaj upowszechnione za granicą — Windakiewicz przytacza kilka tytułów dzieł obcych dla porównania. Ks. Ziemian powtarzał więc to tylko, co gdzieś wyczytał, lub co usłyszał od tego, który wyczytał.

low obchodzacz". Konfirmację polecono Charbickiemu wyjednać sobie u Jegomości księdza arcybiskupa babińskiego. Kto nim był i czy wogóle był, nie wiadomo, bo z arcybiskupem spotykamy się dopiero w 40 lat później.

Ostroróg, wojewoda poznański, teolog babiński, (z jakiej racji, niema wyjaśnienia), zapisuje w księdze dwuwiersz:

Dajcie mu w skok kałamarza,
W każdym stanie znajdzie łgarza.

Dwuwiersz ten znajduje się napisany z boku przy wierszu łacińskim ks. Stanisława Łubieńskiego, proboszcza gnieźnieńskiego, późniejszego biskupa płockiego, wybitnego historyka. Wiersz swój komponował ks. Łubieński w obecności Jakóba Pszonki (siedzacz z burgrabiem babińskim). „Zanim się nie otworzy urząd wielki, dał się jegomości urząd laureatus poeta Babinensis".

„Jego M. Pan Krzisstow Rawa odźwiernem babińskiem został s tey miary, iss dwa razi przez lath kilka bedacz, bał się, aby się nie uprzykszył y zeby sie zaviasi nie wyrobili".

Jan Potocki otrzymał urząd ochmistrza, a jego żona ochmistrzyni, ponieważ burgrabia babiński, „mając małżonkę swoją własną, z którą chwała Bogu lat już 20 i więcej przemieszkiwał, córkę ich pannę Annę, za małżonkę sobie z pozwoleniem Ich Mości upatrzył". A urząd ten Potoccy mieli sprawować dopóty, „aż się skończy skutek tej rzeczy".

Zapisek 109: „Samuel Xiąże Korecki czcić (pisać?) się ręką swą uczył". Ten Korecki, jest to ów znany z dum awanturnik i bohater, który zginął uduszony w więzieniu tureckiem.

Zapisek 109 jest o tyle jedynie interesujący, że wy-

stępuje w nim jako narrator Jakób Sobieski, późniejszy kasztelan krakowski, ojciec króla Jana.

„Anno Domini 1617 die 6 Juny. Jego Moszcz Pan Marczin Sypowski został rufianem i praczką babińską z pewnych prziczin, których się nie godzi białey płczi wiedziecz. A ktorabi nie wierzela, że temu urzędowi podolac może, niech sie da sprobowacz".

Andrzej Zborowski został „skatulnikiem" za to, że gdy ktoś „bardzo się wyrywał z rozumem swym" przed trybunałem, zawołał do niego: „milcz błaźnie! bo ty jedno pusdro masz na głowie, a więcej nic!" Znać Zborowskiego.

Mikołaj Stradomski, zięć Pszonki, na którego ślub pisali wiersze Wrześnianin i Kmita, drzewo grabowe tak długo moczył, aż się w krzemień obracało i można z niego było wykrzesać ogień. Został chemikiem.

Zuzanna Komorowska, „nie wytrwała, aby nie miała ksiąg babińskich widzieć", a więc mianowano ją pacyentką.

Michał Stanisław Tarnowski, kasztelan sandomierski, na weselu Pszonkówny ze Stradomskim, został „moderatorem tańców weselnych", ponieważ innych zachęcając do umiarkowania w tańcu, sam nie ominął żadnego.

W jednym dniu w r. 1618-tym utworzono sąd babiński. Adam „Ibiecwińsky" został sędzią, Bernath Sobieski podsędkiem, a Roman Wieczkowski notarjuszem. Za co spotkały ich te zaszczyty, nie wiadomo.

Ponieważ „źle tak zacznemu grodowi bez żołnierzów", przeto przejeżdżających pięciu szlachciców z ziemi pruskiej: Miliusa, dwóch Engelków, Wündmilera i Gerwina przyjęto „*in milites laureatos*, by bili *defensores Reipublicae Babinensis*".

Jan z Polanowic Polanowski „ochotą i ludzkością gospodarza smacznego ukontentowany będąc, wypiwszy stosownie do praw i powinności Rzeczypospolitej Vilcomen

kielich wielki dobrego wina“, pisze się na wszystkie prawa Rzeczpospolitej. Natomiast Jan Siedlikowski, widocznie słabego zdrowia, lub nie tęgi do kielicha, uwolniony został od „wilku“ z tytułem liber baro i rachmistrz babiński, „bo quatuor tak pisze P“.

Wybrałem wszystko, co było najdowcipniejszego — nie moja wina, jeżeli te dowcipy rzadko i mało kogo rozśmieszą. Bawiły one jednak widocznie Babińczyków, kiedy przekazywali je potomności. Widzimy, że przeważnie cały dowcip zasadzał się na wypowiedzeniu czegoś, co zazwyczaj żadnego sensu nie miało. Dowcipniejsi umieli wynaleźć jakąś anegdotę, która jako taka ratowała honor humoru Rzeczpospolitej; mniej dowcipni zato mówili trzy po trzy, co ślina do ust przyniosła. P. Kasper Kiepski (prawda, że kiepski) został cerotanem (aptekarzem), bo poddanego jego mszyca zjadła na śmierć. Krzysztof Uzarzowski wskrzeszał ciepłym popiołem zdechłe muchy. Referendarz cudzoziemskich spraw i podskarbi babiński, Stanisław Korzeński, mówił, że w Rzymie niedokończony kościół kosztuje więcej, niż dziesięćkroć sto tysięcy miljonów. Cyrulik babiński, Walerjan Otwinowski, zaręczał, że gdy powracał z Turcji z Piotrem Zborowskim, słudzy jego usłyszeli w górach psalmy łacińskie; wyśpiewywał je chłop, któremu Turcy zdjęli czaszkę z głowy, a wsadzili na to miejsce łeb barani z rogami. Mikołaj Viesczky,[1]) znał sekret robienia djamentów z „białka jajowego“. Ks. Myszkowski był na górze, opanowanej przez złego ducha, a zawierającej skarby „króla Matatiasza“ (Macieja Kor-

[1]) Prof. Windakiewicz pisze go w indeksie: Wiescki. Brzmienie to dziwnie niezgodne z naturą naszego języka. O Wiesckich nie znalazłem nigdzie wzmianki. Za to są w Niesieckim Wieszczyccy, w Lubelskiem, a więc blisko Babina. A może ten Viesczki to Uiescki, Ujejski, bo w tym czasie żył Mikołaj Ujejski, komornik graniczny proszowski.

wina). Mikołaj Charmęski, będąc w Babinie, chciał widzieć przez rurę, co konfederaci pod Krakowem robią (1613), za co został ostrowidzem babińskim. Jakób Dunin Prymusz, peregrynując z Radziwiłłem Sierotką, zwiedzał w Neapolu górę tak wysoką, że szpadą nieba sięgał. Laskowska widziała jabłoń, na której dom zbudowano, a gałęzie okrywały domek „i król Stefan tam siadał". Piotr Zaklika woził żywe karpie bez wody o mil trzydzieści, „wbiwszy im gwóźdź w łeb i małmazyą napoiwszy".

Tak się przedstawiają akta babińskie w pierwszych 21 latach ich prowadzenia. Zostawiłem sobie wprawdzie z nich kilka szczegółów na później, ale tyczą się one przeważnie organizacji wesołego Towarzystwa, o czem osobno przyjdzie pomówić.

„Jeżeli wierzyć źródłom — powiada Windakiewicz — to czasy Jakóba były niewątpliwie dla Rzeczpospolitej najświetniejsze". Babin, według niego stał się „kasynem średnio zamożnej i wesołej szlachty". Żałuje też W., że pomysłu albumu wcześniej nie powzięto. Od r. 1607 Rzeczpospolita zaczyna się cieszyć „ugruntowaną powagą". Dzięki pomyślnym warunkom, „następuje swobodny rozkwit idei towarzyskiej w Rzeczpospolitej i łagodny i potoczysty rozwój wesołości i humoru wśród babińczyków". Zapiski z czasów Jakóba „rzucają pęki świateł na ówczesne stosunki towarzyskie". Sam p. Jakób „przedstawia rysy indywidualności tęgiej, wykutej jakby kilku energicznemi rzutami z jednej bryły ciosowej".

Wszystko to prof. Windakiewicz wyczytał w tej części „Aktów babińskich", z której możliwie dokładne złożyłem sprawozdanie. Może mają wzrok zepsuty ci, co nie zdołają dostrzec tego wszystkiego, co dojrzał ostatni historyk Babina. Pocieszmy się tem, że zachwyt Windakiewicza nie udzielił się dotychczas nikomu z tych, co mieli

poprzednio sposobność przeglądania przed nim „Aktów babińskich“.

IV.

Gdy Jakób Pszonka umarł, nastąpiło w Babinie bezkrólewie, a właściwie bezburgrabie. Trwało ono blisko lat 13, to jest od r. 1622 do końca 1634, zanim Adam, syn Jakóba, objął rządy w Babinie. Przez ten czas, jak widzimy ze zapisków, sprawował rządy w Babinie Wacław Zamojski, marszałek babiński, zięć zmarłego Jakóba. Mamy z tych czasów tylko 15 zapisków, jeden z r. 1622, pięć z r. 1625, dwa z r. 1627 i siedm z r. 1629. Małe to co do ilości i jakości żniwo na lat przeszło dwanaście!

Aleksander Myszkowski, żonaty z Pszonkówną, córką Jakóba, a więc szwagier Zamojskiego, miał w swych dobrach tak wielkie dęby, „że jednym żołędziem trzy wieprze nakarmił“, a kiedy był w Niemczech, to pił u mnichów wino z tak wielkiej beczki, że klucznik z kluczami w niej utonął; kiedy dopito beczki, znaleziono tylko klucze i kości. Za to opowiadanie dał mu szwagier dwa urzędy: ekonoma i piwnicznego. Drugi szwagier Zamojskiego, Mikołaj Stradomski, płynąc Wisłą na szkucie, wjechał w stado łososi tak, że ich kilkadziesiąt w szkutę wskoczyło; „dla lepszej wiary“ przysłał ich kilka swemu szwagrowi. Ks. Zamojski, Dominikan, „a synowiec mój“ (dowód, że sam Wacław Zamojski Rejestr prowadził), był na bankiecie, na którym podano 70 sałat, „a każda inaksza“. Jan Wydżga, poseł na Sejm walny warszawski, będąc „na ekspedycji chocimskiej“, miał kucharza, który złapał w locie turecką kulę działową, a cisnąwszy ją na obóz turecki trzy namioty obalił, — za co został „starszym nad cekauzem babińskim“. Trzeci szwagier Zamojskiego, Oktawian Samborzecki, został miodowarem.

Ale największym facetusem okazał się ks. Jakób Pia-

secki, archidjakon lubelski, bo aż pięć naraz facecyj opowiedział. Naprzód „w Karyntji ułowiono takiego pstrąga, że go zaledwo 12 wołów siecią wyciągnęło, a z jednego jego dzwona „całą beczkę nasolono“. On sam na bankiecie u kardynała Burgiezego (Borghese) w Rzymie, widział jak popieczone gołębięta uciekły z misy „do gołębnika do maciorów, aby ich pokarmili“. U tegoż kardynała jadł kołacz, który 500 piekarek piekło; tak był tłusty, że gdy go niesiono na stół, 20 fasek masła z niego napłynęło, a w odrobinach na stole zostało „fik 5“ a „rozenków“ 10 kamieni.

Wreszcie ks. archidjakon jadł w Styrji muszkatelki, które w ustach zmieniały się w cukier lodowaty, a w Wenecji karczochy, z któremi spożył 20 fasek masła i dwa kamienie pieprzu i soli. Dzięki „Aktom babińskim“ ks. archidjakon przedstawia się niezbyt ciekawie, gdyż wszystkie jego anegdoty obracają się w ciasnem kółku żarłoctwa. Summus piscator, kuchmistrz, wielki ortulian, kredencerz i kołacznik, oto 5 urzędów, jakie otrzymał, choć byłby wystarczył mu jeden: smakosza lub żarłoka babińskiego, a właściwie stosując się do idei Rzeczpospolitej: propagatora postów, lub umartwiacza ciała.

Jak widzimy, przez te lat 12 cicho było w Babinie, a odwiedzali go głównie zięciowie Pszonki i krewni Zamojskiego. Na pochwałę tych zięciów zapisać należy, iż prawdopodobnie żyli ze sobą w zgodzie, kiedy do siebie jeździli i w dobrym humorze czas ze sobą spędzali.

Tymczasem Adam Pszonka, syn Jakóba, uczył się w Wenecji i Bononji. Skończywszy lat 24, powrócił do kraju i brał udział w elekcji Władysława IV. (1632), poczem niezadługo objął rządy w Babinie. Od r. 1634 „Rejestr urzędników“ systematycznie już pod jego okiem jest prowadzony[1]).

---

[1]) Ponieważ Adam Pszonka miał siostry i ciotki, przeto

Adam Pszonka, zostawszy *iure successionis* burgrabią babińskim, czuł się w obowiązku od czasu do czasu podsycać humor Babińczyków własnemi opowiadaniami. Doszedł sposobu, jakim Archimedes popalił na morzu okręty — oto zapomocą soczewki z lodu, położywszy ją ku słońcu. Obiecywał też, że jak tylko Wenecja przeniesie się wraz z morzem do Rzeczpospolitej babińskiej („jako już pewne nowiny tego"), zastosuje swój wynalazek, gdyby, uchowaj Boże, nieprzyjaciel z okrętami przypłynął. Za ten dowcip sam sobie nadał, „za zgodą urzędników babińskich", urząd matematyka. A musiało być w tym dniu wesoło w Babinie, bo gospodarz do pomocy w częstowaniu gości zaprosił p. Marka Zwiartowskiego, który tak dokumentnie obowiązki swe spełniał, iż „ante omnes gospodarza i burgrabiego babińskiego upoił". Innym razem opowiadał p. Adam, już wówczas chorąży chełmski, swoje wspomnienia z Bolonji, a między innemi, że widział w tem mieście skoczka, który wyskakiwał z trzeciego piętra, a „trzy razy koziołka w powietrzu wywróciwszy, znowu tamże oknem wskakiwał". Chorążemu chełmskiemu dano trzeci urząd referendarza, a „Wielebny w Panu Chrystusie ociec Stephan Przybilo", doktór św. teologji, ofiarował się skakać tak samo, byle mu za to Rzeczpospolita

---

dla prof. Windakiewicza jest to już dostateczne, aby go oddać pod ich „wpływ wyłączny". Zapomina, że Adam miał szwagrów i pedagogów. Ustawiczne obcowanie z kobietami, twierdzi dalej W., zmiękczyło naturalnie i wydelikaciło jego nerwy. Biedny p. Adam został niewieściuchem i nerwowym. A przecież Niesiecki nazywa go mężem rycerskim, na wojnach przeciw Szwedom i Moskwie wsławionym. Jak zaś pił, jak bawił się po męsku, dowiemy się później. Zanotuję także, iż on pierwszy w rodzinie starał się o urzędy ziemskie: po Zamojskim został w r. 1646 chorążym chełmskim, a po 20 latach podkomorzym lubelskim.

100.000 talentów dała. Zgodzono się, a tymczasem „Wielebnemu ojcu konferowano urząd skoczka babińskiego".

Jak za czasów Jakóba, tak i za czasów Adama najliczniej obsadzone były urzędy łowczych, koniuszych, kuchmistrzów, ekonomów i t. d. Musiano wówczas zwłaszcza wiele polować w Babinie, gdyż anegdot o psach, a przedewszystkiem o chartach jest najwięcej. Zgodnie z tradycją bawiono się też i to nie na żarty kielichem. Humor Rzeczpospolitej, pomimo zmiany czasów i ludzi, był również tego samego co poprzednio rodzaju. Na pochwałę babińczyków zapisać należy, iż otwarcie już nazywali się łgarzami. Nazwę tę często w aktach spotykamy. P. Paweł Unieszewski n. p. zdobywszy sobie urząd contemplatora babińskiego, podpisał się pod własną anegdotą, lecz dodał przez skromność: „ale pan Franciszek Wysocki większy łgarz!".

Przypatrzmy się więc bliżej temu łgarstwu, czy też, jak kto woli, temu humorowi.

Wojciech Myszkowski widział u Krzysztofowej Radziwiłłowej, wojewodziny wileńskiej charcicę, która porodziła za jednym razem „troje charciąt, troje ogarząt i troje bardzo cudnych wyżląt". Został łowczym. Mikołaj Stogniew, porucznik chorągwi J. K. M., opowiadał, że biskup poznański Opaliński kazał drewka do komina malować, aby ogień był piękniejszy, a on, sam Stogniew, miał taką „klaczę, która, urodziwszy źrebię, gdy jej zdechło, klęcząc nad niem płakała".

Ilością anegdot odznaczał się Hyacynt Konstanty z Michałowa Michałowski, stolnik rożański, starosta krzepicki, a w Babinie kuchmistrz, magister arsenału, karocier, szczwacz i kalwakator. Szczwał raz zająca, który miał osiem nóg; co cztery zmordował, to na czterech drugich biegł dalej. Inna jego anegdota potrąca o Talmud. Gdy Mesjasz nadejdzie, żydzi będą mieli cztery potrawy: pierw-

szą z wołu szuroboru, który jest tak wielki, że jaskółka z jednego jego rogu na drugi rok leci, drugą z ryby lewiatana, która całą ziemię okrąża, a kiedy Pan Bóg igrając z nią po obiedzie, nie zachowuje ostrożności i ogonem jej o ziemię trąci, następuje trzęsienie ziemi; trzecia potrawa będzie z kury, stojącej po kostki w Czerwonem morzu, gdzie jest tak głęboko, iż wrzucona siekiera leci na dno przez siedm tygodni, siedm dni i tyleż godzin; czwarta wreszcie potrawa będzie z czapli tak wielkiej, że gdy raz jajo z gniazda wyrzuciła, zatopiło ono siedm miast i wiele wsi [1]). Zwracamy uwagę, iż takie samo jajo mieliśmy już za czasów Jakóba Pszonki w opowiadaniu ks. Ziemiana. Nie wiadomo, kto podał do aktów wiadomość o kaczkach, które się rodzą z owoców spadających do morza, a szkoda, bo może to antenatki kaczki dziennikarskiej. Jan z Michałowa Michałowski został jubilerem, bo widział w Dreźnie dyamenty, które na każdy rok trzeciego urodzą. „Przy teiże kompany“ Jakób z Poniatowa Poniatowski, podstarości lubelski, powiedział: „iż pewne awizy słyszał, że Niderlandzi usadzili się na to Wenecyę osuszyć“ [2]). Pan Celudziński widział, jak u Jędrzeja Potockie-

---

[1]) Porównaj Achacego Kmity: „Talmud albo wiara żydowska“ (1610). Jest tam również wół Surobur „w Arabiey pustey, który z 1.000. gór na każdy dzień trawę zjada, a jaskółka mu od rogu do rogu leci 12 dni“. Jest i czapla Soloch.

[2]) Prof. Tarnowski zapisuje nazwisko Poniatowskiego, jako „odpowiedź“ tym, którzy w wieku XVIII powątpiewali o szlachectwie i starożytności rodziny Poniatowskich. Odpowiedź nie jest żadną odpowiedzią, bo Jakób Poniatowski był z innej rodziny, pieczętował się nie Ciołkiem, lecz Junoszą. (Niesiecki zapisuje go pod r. 1635). Zresztą odpowiedź wogóle zbyteczna, bo i o Ciołkach Poniatowskich pisał już sporo Niesiecki. Stanisława P., ojca króla, nazywano ekonomczukiem jedynie dlatego, że pochodził z biednej rodziny, a nawet podejrzywano go, że „przypytał“ się do Ciołków.

go (późniejszego kasztelana kamienieckiego) podczas nieurodzaju na owies („płacono tego roku korzec po 4 talary"), psy sałatą z octem i oliwą „y z kysłością" karmiono. Obiecano kanonizować tegoż pana Celuzińskiego za to, że on jastrzębia co utonął, położywszy między poduszki, do życia powrócił. W dwa lata później przypomniano sobie o tej kanonizacji, kiedy Celuziński znowu opowiadał, że ożywił karasie, które leżały na wozach już kilka tygodni „i nie piękny zapach już był od nich". Tego rodzaju anegdot o przywróceniu życia ptakom i zwierzętom znajduje się jeszcze więcej w aktach babińskich.

Hieronim Lasocki, „szczególny kompan Rzeczpospolitej", widział na Pokuciu kiełbasę z dwudziestu kilku wieprzów nadzianą; właściciel, nie mogąc jej spieniężyć na miejscu, do obozu niemieckiego „ten salssetan na targ posłał".

„Octorobem" babińskim został Paweł Blinowski, który przedni ocet winny robił w ten sposób: warzył w nim stal aż „on oczet wyprze"; później gdy octu potrzebował, stal tę rozpalał, wkładał do zwykłej wody i miał ocet gotowy. Po tym przepisie, nie obojętnym dla Ćwierciakiewiczowych, występuje ks. Walenty Turobojski, oficjał lubelski, później kanonik krakowski, z wielorybem, na którym zamek wielki zbudowany był z armatą; przyznano mu urząd architekta. Stanisław Wronowski, medyk babiński „z tey miary", że gorączkę leczył rzucaniem w rzekę „zwłaszcza koło Gromnic", a febrę wsadzeniem chorego do gorącego pieca. Szymon Stawski znał w Wielkopolsce księdza, zwanego Kłonicą, który wziąwszy za dyszel pół woza z parą kół kowanych, przecisnął go przez kościół, a konie żołnierskie wyganiał ze swych łąk, przez płot je przerzucając. Poddany Pawła Słotowskiego wyorał raz żywego karasia na miejscu, gdzie był staw przed trzema laty. Wojciech Sierakowski opowiadał o pewnym zakonie na Węgrzech,

w którym każdemu zakonnikowi dają „na porcyę“ 12 garncy wina, „ale choćby najbardziej prosił, chcąc więcej wypić, tedy mu nie dadzą“. „Spodobał się bardzo ten pobożny zakon Rzeczpospolitej babińskiej, i życząc go tu mieć, czyni Jego Mości fundatorem tego zakonu“.

Andrzej Sokołowski miał w służbie moskwicina Olewę Obduła Pardiowicza, który zjadł na jeden raz po kolei: szczupaka łokietnika (na łokieć długiego) surowego, siedm żywych piskorzów, kiełbasę surową, sztukę niemałą „potaszu“ i żywą srokę; na lekarstwo zjadł kilka łyżek tabaki, a na pragnienie wypił kusz niemały ługu i wiadro słonej wody na strawienie. Dominikan ks. Anatazy Grodowski za młodszych lat swoich leżąc na boku, „przeciskał talarem wieżę gnieźnieńską“. Jerzy Uliński radził kaszlącym zjeść śledzia surowego, wypić pół garnca małmazji, a potem wypocić się. U Piotra Szyszkowskiego, kasztelana wojnickiego, tak kaczki na jeziorach łowiono: naprzód dawano ponętę, potem ją w pęcherz grochu włożywszy, puszczano na wodę, poczem dopiero osoba łysa wchodziła do wody „i kaczki miasto grochu łysego w głowę dziobiąc“ wszystkie przez niego schwytane zostawały. Stanisław Krasowski dość szeroko opowiadał o tak wielkiej beczce, „w niemiecki ziemi za Renem“, że wjechał szpontem do niej w parokonnej kolasie, poczem „chcąc więcej kompanię swoją ucieszyć“ kazał „rurami“ miedzianemi wody do tej beczki napuścić i wszyscy się wykąpali; a było takich beczek w jednej piwnicy 12-cie [1]).

15-go czerwca 1646 roku sporo gości zjechało do Ba-

[1] W „Peregrynacji Dziadowskiej“, wyd. 1614, „Maciek z Chodawki, syn Kurpetowy“, wszedł do beczki z dziurą, czop wyjąwszy. Wogóle Maciek mógłby zostać najpierwszym senatorem w Babinie, bo sadził się na koncepty często lepsze od babińskich. Przedrukowałem jego opowiadanie w „Księgach humoru polskiego“.

bina. Rejestr powiększył się o siedm zapisków, pomiędzy któremi trzy były rymowane. Janowi Piaseczyńskiemu, późniejszemu kasztelanowi chełmskiemu [1]), cztery pszczoły tyle miodu robiły w pasiece, że 10 „drożników“ nie zdołało miodu wynosić; więc p. Andrzej Przerembski potwierdził istnienie tych pszczół i dodał, że jedna z nich czterem wilkom się obroniła. Ks. Ludwik Zagórski, kanonik chełmski, często skowronki wędą łowił, a w sąsiedztwie p. Fabiana Milewskiego była sosna nad stawem, z której spadł niedźwiedź podbierający się do barci, i upadkiem sym zabił 50 kop karpi.

Stanisław Jełowicki opisywał wierszem tak wysoki budynek, że cieśla, pobijając jego dach „za obłoki zawadził bindasem stalowym“, który wytrącony z jego rąk leciał na dół, ale nim doleciał do ziemi, już toporzysko zgniło. Drugim poetą z dnia tego był ks. Wojciech Brzeski, kanonik płocki. Był on zdania, że:

Nie wadzi czasem, zjachawszy z Lublina,
Co uciesznego przynieść do Babina.

— a więc opowiadał rymem powszechnie znaną anegdotę o Litwinie, któremu w drodze, gdy usnął, zjadły wilki konia; jeden z wilków wszedł między hołoble, „pośród chomąta“, więc gdy się Litwin ocknął, zaciął „wilczaka“ i tak dojechał do wioski, przez resztę wilków goniony. — Trzeci wreszcie poeta nie podpisał się, ale taki wiersz na cześć Babina ułożył:

---

[1]) Piaseczyńskiemu temu, kiedy był w niewoli kozackiej, zmarła żona, Poniatowska z domu. Piaseczyńscy wydobyli się silnie na wierzch za Wazów. Archiwum ich rodzinne było przed kilkudziesięciu laty w Lipowcu — o czem redagowana przez J. Bartoszewicza, „Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych“, 1857, nr. 180.

Kto twe akta opisze zacnych Pszonków domie,
Może pierwszą koronę odnieść w Helikonie.
Twoja ludzkość, ochota i chęć niezwyczajna,
A komuż jest w tych krajach z twych przyjaciół tajna?
Lecz i obcym w tym domu tego się dostaje,
Że ją w sercu odnosi w swoje dalsze kraje.
Niechże da Bóg fortunę i pomyślne rzeczy,
Ciebie i dom twój mając na swej świętej pieczy.

W miesiąc potem znów było kilku gości w Babinie, bo aż siedm zapisków zostawili. Najwięcej dowodził p. Jan Chrząstowski, który był „w poimaniu w Tatarzech“ i z tej niewoli tatarskiej wspomnienia opowiadał. Chodził w koszulach „pokrzywianych“, z których każda dwa lata trwała. Pewien Tatar zdarł skórę z piersi jednej białogłowy i dał ją pewnemu więźniowi na chodaki „z tą kondycyą“, że gdy ją zedrze, będzie mógł do kraju powrócić. Chodaki jednak były tak mocne, że biedny więzień nie miał nadziei być wolnym; dopiero go nauczono sekretu, że należy je moczyć *in urina humana*. Wreszcie Chrząstowski jeden „sekret wielki, białogłowom należący rewelował“. Kiedy Tatarzy zajęli Jaćmierz, zastali tam kobietę będącą *in partu*. Tatarzyn zabił dziecko, a matkę wsadził na konia, dawszy jej przedtem zjeść jabłko i „za tą persecutią jabłka zdrowo zajechała do hordy“. Należy więc kobietom po połogu jeść jabłka, a będą zdrowe. Urzędnicy babińscy zauważyli, że to nie musiało być jabłko „rajskie, „bo w raju jabłko biedy białogłów nabawiało“. Po raz pierwszy występują tu w aktach babińskich na większą skalę „sekreta białogłowskie“, które w kilka lat później dość już szeroko są opowiadane.

Stanisław Sikorski w nocy po ciemku, lub przy świecy łojowej dowiadywał się z kompasów, która jest godzina. Franciszek Mniszech, kasztelan sądecki, widział pannę,

którą, gdy szpilkę połknęła, wsadzono na bardzo chromego konia, kazawszy jej przedtem dużo chleba zjeść i piwa wypić; w ten sposób szpilka pannie nie szkodziła, a panu kasztelanowi dopomogła do zostania protomedykiem babińskim.

Nadeszły ciężkie dla kraju czasy. Umarł Władysław IV-ty, zanim go dobiegły wieści o wybuchu kozackim. Jan Kazimierz wziął po nim w spadku koronę, żonę i walkę z Chmielnickim. Po klęsce korsuńskiej następuje sromota pilawiecka i obrona oblężonego Zbaraża. Nie były to chwile odpowiednie do żartów, nawet w Babinie. A więc przez cały rok 1648 i 1649 nie rozbrzmiewał śmiech w jego fantastycznie pomalowanej sali, a przynajmniej, jeżeli rozbrzmiewał, wstydzono się może pomnażać akta nowemi zapiskami.

W roku 1650 przenieśli Babińczycy stolicę do Giełczwi, drugiej posiadłości Pszonki w Krasnostawskiem, o kilka mil na południe. Może być, iż ta Giełczew była pewniejszą w czasach wojennych, gdy kozackie oddziały posuwały się aż pod Lublin. Dość, że fakt tych przenosin *sub tempus luctuosae et feralis rebellionis ac incursionis Barbarorum* mamy zanotowany w księdze aktów pod dniem 4-tym czerwca 1650 roku. W tych najsmutniejszych czasach zapisaną została najpiękniejsza karta aktów babińskich. Jest nią wiersz Andrzeja Morsztyna, jednego z najzdolniejszych polskich rymotwórców. Dziś laury opadły nieco z wieńca jego poetyckiej sławy, odkąd dowiedziono, że mało sam tworzył, a więcej przyswajał z obcych poetów, a zwłaszcza z Marina,[1]) ale w każdym razie pisarz ten, lubo mało oryginalny, dla samej piękności swego ję-

[1]) Mam na myśli pracę p. Edwarda Porębowicza o Morsztynie.

zyka i formy, będzie zawsze zajmował wysokie stanowisko w naszej literaturze.

Jak dziś literatom, a zwłaszcza poetom podsuwają albumy, prosząc o autografy, tak Pszonka podsunął „Regestr“ Morsztynowi. Grzeczny poeta, chwyciwszy za pióro, napisał:

Na wiersz Orpheów i na wdzięczne strony
Zbiegało ptactwo i zwierz zgromadzony,
Dzikie niedźwiedzie i przebiegłe liszki,
Ale w tym domu szklanki i kieliszki
Tańcują zaraz, jako im zagrają
I ścigają się, chociaż nóg nie mają.
I jako prędko zarzną w gęśle krzywe,
Szkło się pomyka jakby było żywe.
A to i do mnie skoczył kubek wina,
Za co zostałem poetą z Babina.
A że nie dosyć na jednym urzędzie,
Za to, żem pilno chronił przy obiedzie
Kielicha, który stary jak te księgi,
Godzien pochwały, bo spory i tęgi,
Wielki burgrabia uczynił mnie szklarzem...

Do „szklarzem“ był rym łatwy: „łgarzem“, ale nie chciał go użyć poeta, a więc dopisał prozą: „proszę, niech mi wolno będzie nie kończyć tey iedney cadenciey“ — widocznie jednak zaprotestowano silnie przeciw temu, bo dodał na marginesie, „kiedy się to nie zda, więc tak kończe“ i dopisał:

A że w strych piję, zostaję strycharzem.
Andrzej z Raciborska Morsztyn
stolnik sendomirski y deputat woiewództwa
sendomirskiego mpp.

Pod całym tym ustępem napisał ktoś „Trzy przywi-

leje!“ — zapewne więc chciano Morsztynowi dać urzędy: szklarza, łgarza i strycharza. Nie na tem koniec. Byli jeszcze dnia tego w Babinie Jan Orzęcki, rejent kancelarji trybunalskiej, Ignacy Jan Kitnowski, deputat chełmski, i Franciszek Wysocki, cześnik sochaczewski. Więc p. Kitnowski napisał czterowiersz:

Nie dopisał Jego Mość cadentiej wiersza...
Nie dziw! bo się bał, aby jego pierwsza
Nie była notowana w Babinie ta zmaza,
Że gospodarza szklarza, siebie czynił łgarza.

Po nim zaprotestował ktoś przeciw nazwaniu Morsztyna łgarzem:

Sam pan dobry, choć łgarzem go tu mianowano,
Pije dobrze, niesłusznie mu ten tytuł dano. —

— poczem znowu p. Kitnowski drugi czterowiersz wpisał do Rejestru:

Słyszałem ja to dawno o sławnym Babinie,
Ktoby chciał być w tych księgach, kielich go nie minie,
Kielich, który wypiwszy, głowa w koło chodzi.
Ochota w sławę idzie, wina zbytek szkodzi. —

i dodał. „dziś dosyć, jutro ostatek“.

Ochota była wielka, musiano pić *honeste*, bo zaraz z następnych zapisków dowiadujemy się, że poważny rejent kancelarji trybunalskiej, p. Jan Orzęcki, po półkach tańcował, za co został pułkownikiem, p. Cześnik sochaczewski w stodole na słomie *vertebat capros*, koziołki wywracał, a deputat chełmski po zachodzie słońca „pod kompasem siedział i godzina, która miałaby być upatrował“, za co został matematykiem. Zapisano też ku wiecznej pamięci „wielką ochotę znacznych gości a najwyższych Trybunału koronnego sędziów“, a gospodarz, „uniżenie czo-

łem bijąc, konferował Morsztynowi strycharstwo babińskie, iż Jegomość już po części sfatygowanym będąc, strychem sobie kazał nalewać i dobrze strychował".

Każdy wybitniejszy poeta ma zwykle naśladowców, a przynajmniej zachęca innych do rymowania, — skąd też po bytności Morsztyna w Giełczwi i powrocie Pszonki do Babina, przez pewien czas Rejestr gęsto rymami wypełniano.

Pierwszym z owych przygodnych rymotwórców był Jerzy z Tęczyna Ossoliński, starosta lubelski, obecny na chrzcinach w Babinie 29 stycznia 1651 r.

Był to może jego wiersz pierwszy i ostatni zarazem, bo wkrótce potem król Jan Kazimierz stanął w Lublinie, zwołując pospolite ruszenie (20 kwietnia 1651 r.) a Ossoliński, przyłączywszy się do zbrojnych hufców, poszedł pod Beresteczko i padł na jego polach, „kiedy w oczach króla z wielkiem sercem nacierał" [1]).

Aż niemiło po tem wspomnieniu zapisywać dowcip p. Łukasza Wysockiego, na tychże chrzcinach hucznym zapewne śmiechem przyjęty. Ale trudno go opuścić, bo nie należy do najgorszych. P. Wysocki będąc na Górze Biskupiej nad Gdańskiem, widział takiego puszkarza, który na wieży gdańskiej spostrzegłszy komara, „wyrychtował do niego działa tak, że komarowi od postrzału obiedwie oczy wypadły, a sam komar żywo uleciał".

Później znowu idą wiersze. Jest ich aż pięć, ale wszystkie bardzo słabe i niedowcipne.

W następnym roku, w roku nieszczęsnego Batowa, Jerzy Lemka, doktor medycyny [2]) i to, jak dowiadujemy się

---

[1]) Rudawski i Niesiecki, Helcel w Księdze pam. Michałowskiego mylnie nazywa go Adamem.

[2]) Tarnowski zapisuje to „literackie imię", gdyż Jerzy Lemka „był" autorem książki „Traktacik i dyskurs o Rzeczpo-

później, doktor Jego królewskiej Mości, wpisał do Rejestru następujące „axiomata“ jakiegoś Włocha, nadwornego doktora króla „Franciszka“:

Quando sol est in leonis
Non bibas vinum potentis
Comedebis cum agrestis
Et faemina nihil.

„*Item* tenże powiedział, doktor Włoch, widząc dwóch młodych (mnichów) prossacych jalmuzny od Jego Mości Pana Łowczego koronnego, w te słowa: „*Ego istos monachos juvencos tanquam diabolos odi, quando veniunt ad meum uxor*“ *Cui dixit* Jego Mosc pan Łowczy koronny: „*Domine Doctor tuum uxor est vetus*“. On odpowiedział: „*Vetus gunta facillius concipit ignem, quam nova*“. Za co Rzeczpospolita babińska Jego Mości Panu Lemce, doktorowi Jego królewskiej Mości conferuie referendarstwo babińskie“.

Niepowściągliwość języka doktora Lemki udzieliła się i panu Janowi Orzęckiemu, który wracając prosto z nabożeństwa i zapisawszy się w kościele do bractwa, widocznie „w kontemplacji po nabożeństwie“ prowadził z jakimś doktorem teologji rozmowę tego rodzaju, iż gdyby nie była do Regestru wpisaną po łacinie, aktów babińskich ówczesna płeć piękna odczytywaćby nie mogła.

Znowu wiersze i znowu Rzeczpospolita przenosi się do Giełczwi w drugiej połowie 1652 r., a to z powodu zarazy.

W czasie między 29 września 1652, a 14 czerwca 1654 r. wpisano tylko trzy utwory rymowane, a właściwie dwa, gdyż jeden z wierszy polskich przetłumaczono na łacinę.

---

spolitej“. Siarczyński jednak, odróżnia dwóch Jerzych: prawnika i lekarza, z których pierwszy oczywiście był autorem „Traktaciku“.

Może być, że w tym czasie burgrabia babiński był, „przypasany do miecza“. Wiersz w dwóch językach podany stanowczo zamknął akta babińskie przed ciekawością białogłowską. Odtąd już nie jedna tylko pani Komorowska, ta, co to „nie wytrwała“ aby nie miała widzieć ksiąg babińskich, musiała zostać „pacyentką babińską“.

Z r. 1654, w którym znów Rzeczpospolita we właściwej obradowała stolicy, jest kilka zapisków. P. Hermolaus Tyrawski (fundator Reformatów przemyskich) opowiadał, w jaki sposób Krzsyztof Stadnicki wyleczył z herezji żonę swoją, Niedrwicką z domu, a więc krewnę Pszonków; założyciel Babina bowiem, Stanisław, był żonaty z Niedrwicką. Oto pan Krzysztof kazał wybudować bardzo wysoki sernik, w którym sery suszono, bo je „jadał rad“. Pewnego razu poprosił żony, aby poszła „na ów sernik i ser obrała jaki dobry“. Gdy ta weszła i zamknęła drzwi za sobą, Stadnicki kazał nakłaść słomy około sernika i zapalił ją na cztery węgły, przysiągłszy przez złożenie palców na krzyż, że żonę spali, jeśli nie odrzeknie się błędów heretyckich. Stadnicka widząc, że to nie „żart“, zgodziła się na żądanie męża, ale chcąc niewieścim zwyczajem mieć ostatnie słowo, powiedziała, że „sama miała tę wolę“, że mąż ją tylko „uprzedził“, że tedy nie z przymusu, ale ze swej dobrej woli odrzekła się herezji. — Mniej energiczny, ale dowcipny, był p. Zbigniew Wąsowicz, który oświadczył, że jeżeli się ożeni, a żona będzie chorowała, albo się gniewała, tedy każe jej zagrać i w taniec z nią pójdzie, a z pewnością wyzdrowieje. P. Hermolaus został apostołem, a p. Zbigniew medykiem.

Zajechał do Babina i rycerz zbaraski p. Józef Nyrski. Ten raz zobaczył komara na dębie lewą nogą się skrobiącego; zastrzelił go, a komar spadając, wszystkie gałęzie na dębie otłukł. Pan Nyrski skórą jego obił bryczkę,

a uwędzonem z niego mięsem żywił się wraz z czeladzią podczas oblężenia.

Aleksander Regulski taką receptę zapisywał na żołądek: „Accipe z pająka sadła, z much oleiu, komarowego szpiku, szczupakowego świstu, młyńskiego szumu, kowalskiego puku, dzwonowego głosu, wielkanocney radości, rakowey krwie. To pomieszawszy zawiązać w chustki, osuszyć w cieple. Wziąwszy sklenicę wenecką, samotrzeć wilczem ogonem utłucz — potym w garnku woskowym zagrzać, żeby dobrze zawrzało. Wipić to duszkiem. Potym siecią zaiącą starą owinąwszy się, na polu położyć y tak długo się pocić, asz będzie pot kolana lizał. Co ieśli nie pomoże, ieśli nie do nieba, pewnie do djabła poidzie". Recept tego rodzaju pełno znajdujemy w starych, rękopiśmiennych t. zw. Sylwach (Silva rerum).

Nadszedł nieszczęsny rok 1655, rok „potopu". W aktach babińskich jest tylko jeden z tego roku zapisek pod dniem 27 czerwca.

W parę tygodni później Karol Gustaw stanął w Szczecinie, Wittemberg za poradą zdrajcy Radziejowskiego rozpoczął rokowania z magnatami wielkopolskimi. Po zdradzie Opalińskiego i Grudzińskiego pod Ujściem, nastąpiła kiejdańska zdrada Janusza i Bogusława Radziwiłłów. Za Litwą Mazowsze, za Mazowszem Małopolska poddała się Karolowi Gustawowi. W końcu września król szwedzki zajął Kazimierz pod Krakowem i zaczął zdobywać stolicę, bronioną przez Czarnieckiego. Kiedy się poddała na zaszczytnych bardzo warunkach, zebrana w Krakowie garstka posłów z województw: krakowskiego, sandomierskiego, kijowskiego, ruskiego, wołyńskiego, lubelskiego i bełskiego, aktem z dnia 21 października „szczerze i święcie" przyrzekła w imieniu tych województw odstąpić króla Jana Kazimierza, a pozostać wierną i posłuszną J. Kr. Mości szwedzkiej, jako prawemu swemu królowi".

Na akcie tym znajdował się własnoręczny podpis Adama Pszonki, burgrabi babińskiego [1]). Dziwna rzecz, że na ten fakt nie zwrócił uwagi żaden z historyków Babina. Prawda, że wielbicielom humorystycznej Rzeczpospolitej byłoby nieco trudno pogodzić go z jej „doniosłem społecznem i cywilizacyjnem znaczeniem“, z jej wpływem dodatnim na młodzież i inteligencję krajową.

Na miesiąc przed podpisaniem tego aktu „wierności“, widział zapewne Babin u siebie, a jeśli nie u siebie, to w sąsiedztwie, oddziały Chmielnickiego, we wrześniu bowiem zajął on Lublin przy pomocy moskiewskiej, zniszczywszy miasto i zmusiwszy magistrat lubelski do wykonania przysięgi na wierność Moskwie.

Król wygnaniec siedział w Głogowie. Wśród nieszczęść zabłysło światełko od Jasnej Góry, broniącej się Wrzeszczowiczowi i Müllerowi; Częstochowa podniosła serca, odżywiła nadzieję, przywołała szlachtę do opamiętania.

Obudziło się jej sumienie i dnia 29 grudnia zawiązała w Tyszowcach konfederację i „węzeł powszechny“ *(vinculum universale)* tak wojska, jak i innych obywateli Królestwa, dla obrony przed szwedzkim najazdem [2]).

Obudziło się, tak przynajmniej przypuszczać należy, i sumienie Adama Pszonki. Przez dwa lata, 1656 i 1657, zawiesiła swe czynności Rzeczpospolita Babińska. Snać burgrabia jej przystąpił do „węzła powszechnego“ i osobę swoją poświęcił rycerskim rozprawom, o czem, bez podania daty, wspomina Niesiecki.

W następującym roku 1658 raz tylko wpisano i to

---

[1]) Rudawski.

[2]) Jeszcze przed konfederacją tyszowiecką zebrała się w Sączu dnia 21. grudnia szlachta województwa krakowskiego i pierwsza uchwaliła zrzucić orężem jarzmo szwedzkie. (Księga pam. Michałowskiego 782), ale rozgłos Tyszowiec zakrył na kartach dziejów ten objaw dodatni.

w jednym dniu dwa koncepty do księgi babińskiej i to nie w Babinie, ale w Giełczwi. Rok 1659 znowu nie powiększył aktów ani o jeden zapisek.

Dopiero od października 1660 roku pomnaża się mniej więcej regularnie „Regestr“ urzędników, ale już przyrost ich znacznie słabszy aż do końca Rzeczpospolitej w r. 1770. Przez te 10 lat przybyło wszystkiego 65 zapisków.

Konstanty Tomicki, ożeniwszy się z Agnieszką Myszkowską, siostrzenicą Adama Pszonki, dla pozyskania urzędów, zdobył się na pięć bardzo niezabawnych dykterjek. P. Brant, oberszter J. Kr. Mości, idący do obozu pod Cudnów, wsławiony za chwilę zwycięstwem nad Moskwą, wymyślił do mielenia krup dla swych ludzi młyn, niedający się przyzwoicie opisać. Ale nie wstrzymał się od opisu tego młyna i to wierszem p. Remian Kiełczewski, który zarazem zrymował dodatkowo uzupełnienie tego konceptu, wyszłe od facetusa nad fecetusami, p. Tomasza Zaporskiego.

W roku 1661-ym znowu przebywał Pszonka w Giełczwi, ale na krótko. Powróciwszy do Babina, zapisywał dalej koncepty swoich gości, ale prawie wszystkie powtarzały się. Snać p. burgrabia słabą miał pamięć, kiedy tego nie dostrzegał.

Z r. 1668 jest tylko wiersz rymujący anegdotę już poprzednio zapisaną.

W roku następnym króluje w Babinie znany Tomasz Zaporski, ciągle bowiem spotykamy się z jego nazwiskiem, nawet pod wierszami. Ale wesołość jego wciąż w jednym obraca się kółku; i dziś wprawdzie taka wesołość uchodzi w ściśle męskiem towarzystwie, i to przy kieliszku[1]), ale

[1]) Rozprawkę moją napisałem w r. 1895 i dlatego... gorszyłem się. Ale w r. 1929 „wesołość“ tego rodzaju uchodzi nietylko w męskiem towarzystwie i nietylko przy kieliszku. Tempora mutantur. — *Przypisek z r. 1929.*

jej się nie zapisuje. Nie trzeba jednak sądzić, aby p. Zaporski był wyjątkiem. Tego rodzaju humor miał i p. Rzeczyński i p. Orzęcki i p. Jaślikowski, a później nawet ks. karol Waśniowski, archidjakon i oficjał Lubelski.

P. Stefan Zamojski, siostrzeniec Pszonki, późniejszy kasztelan lwowski, opowiadał w r. 1661 bardzo niezgrabną dykteryjkę, którą w dwa lata później wpisał do aktów wierszem, tej samej co dykteryjka wartości.

Ks. Piotr Dobielowicz nie tęgo też ruszył konceptem, opowiadając, iż ma taką kapustę włoską, której na jednym głąbiu jest głów czterdzieści tak wielkich, „jako misa największa być może".

Dziwnie odbija słabiuchny pod względem formy, a całkiem nieodpowiedni swą treścią w aktach babińskich, sześciowiersz Domicela Czarnieckiego, zakonnika. Mówi on, że „korona już blisko do upadłej goniła", a Pan Bóg ją dźwignął przez dobrych obywateli, pomiędzy którymi Pszonkę uważa za „pierwszego". Ta wzmianka o rzeczach poważnych, choć dziwnie odbijająca, powtarzam, od błazeństw wszelkiego rodzaju, (tem więcej, jeżeli sobie przypomnimy podpis Pszonki pod aktem wierności Karolowi Gustawowi) — jest wszakże potwierdzeniem, iż burgrabia babiński opamiętał się i nie pozostał głuchym na głos obowiązku, lecz stanął w szeregach walczących za Ojczyznę.

Raz p. Poniatowski uciekł z Babina, pozostawiwszy swoją małżonkę, a więc p. Szczęsny Szaniawski kazał p. Poniatowskiej spełniać kielichy w miejsce męża; dekret ten Rzeczpospolita akceptowała i rozszerzyła go na wszystkich małżonków, „którzy żon swoich odbiegają i kompanię wydają".

409-ty zapisek stanowi „Comput Towarzystwa woyska Litewskiego nowego zaciągu, będącego na consistentiey w powiecie y starostwie upickim". Koncept to nie babiń-

ski, spotykany dość często w licznych Sylwach w. XVII i XVIII. I Babin zresztą do niego się nie przyznaje, tylko przyjmuje do ksiąg swoich. Jest to dosyć dowcipne zestawienie nazwisk litewskich. Naprzód idą zakończenia ich na *a*, a więc: Ometa, Szuksta, Pukszta, Puciata, Kluciata... Wereszczaka, Durniaka, Sołonina, Botwina, Szczuka, Sielawa, Podbipięta, Wścieklica, Widlica i t. d. Później idą alfabetycznie nazwiska kończące się na *b, c, d* i t. d. aż do *z*. Prócz tego, podane są także w humorystycznem zestawieniu nazwiska miejscowości, jak n. p. kwatery na wojsko: Rumszyszki, Purwiszki, Psikuszki, Dzikuszki, Kukusiszki, Sołtaniszki i t. d.

Ale czas już kończyć przegląd „Aktów Babińskich". Wybrałem z nich prawie wszystko, co było dowcipniejszego, co odnosiło się do osobistości wybitnych w społeczeństwie, lub wreszcie co naiwnością swoją charakteryzowało dowcip babiński. Wypada teraz zastanowić się, jak na podstawie tych aktów wygląda Rzeczpospolita, o ile uzasadnione są szumne pochwały, udzielane jej do dnia dzisiejszego przez niektórych badaczy i przez powtarzających pacierz za panią matką — czy wreszcie, pomijając wartość dowcipów Babina, można go uważać za ów salon towarzyski, który zgromadził w swych ścianach, jeżeli już nie całą polską inteligencję, to „przynajmniej pewien jej odłam i to znaczny".

V.

Postawmy sobie naprzód pytanie, czem była mniemana organizacja Babina za czasów Jakóba i Adama Pszonków. Windakiewicz starannie podkreśla w aktach wszelkie wyrażenia, mające dowodzić tej organizacji. I rzeczywiście, spotykamy w jednym miejscu: *Respublica duxit prout statuit et decrevit*, w drugiem *de privilegio ex actis Babinensibus*, w trzeciem mowa jest o *speciale privilegium*

authenticum. Z innych zapisków znowu dowiadujemy się o jakichś „instrumentach“, o wakującem pisarstwie, o „introdukcji na urząd według dawnego zwyczaju“ o fundacji babińskiej“, o „starodawnościach babińskich“, o „generalnem zjechaniu urzędników“ i t. d. Ale przyglądając się bliżej tym wszystkim wyrażeniom, należy je uważać jedynie jako mniej lub więcej dowcipne zwroty, którymi babińczycy starali się podnosić humor swych zapisków. Nigdzie bowiem niema śladu potwierdzenia, iż organizacja rzeczywiście istniała. Czasami jest mowa o jakichś „innych księgach“ prócz Regestru, a więc w nich może było to, czego w Regestrze niema? Należy jednak o tem bardzo wątpić, bo naprzód samo położenie przed Regestrem opisów Sarnickiego i t. d. dowodzi poniekąd, iż Regestr był jedyną księgą Babina, powtóre sami babińczycy o tych innych księgach czysto humorystycznie się wyrażają. Księciu Aleksandrowi Pruńskiemu (zapisek 175) nie dano niby urzędu, ponieważ prawdopodobnie urząd już miał, a nie było pod ręką „ksiąg kanclerza wielkiego“; dziwnem więc byłoby naprzód, aby księgi takie trzymano poza Babinem, a powtóre, cóż szkodziło dać urząd Pruńskiemu, jeżeli wolno było mieć w Rzeczpospolitej po kilka urzędów, a zapisek 17 zaznacza nawet wyraźnie, że „dwa urzędy miecz“ jest dozwolonem.

Pewnego razu dano p. Czapskiemu urząd komornika ziemskich i grodzkich ksiąg, ponieważ już akta babińskie „większego schowania potrzebują“. A więc są akta? — Ba! kiedy mówi dalej zapisek, że się „naznaczy miejsce do leżenia i chowania księgom“ i wspomina coś o jakichś „wierzbach“, na których leżeć mają i że komu wyciągu z aktów będzie potrzeba, to „muszą komornicy na strych chodzić“, na co są owe wyżej przytoczone „instrumenta“. Żart tu widoczny od początku do końca. Wreszcie nieznany z nazwiska gość babiński notuje w Regestrze (zap.

103), że „są jeszcze w Babinie takie księgi, które się otwierają raz na tysiąc lat“ i dodaje, że „we Włoszech na ulicy Weneckiej 5 tysięcy Polaków z Babina mieszka, co te księgi drukują“. Wszystkie te żarty o księgach babińskich zbyt wyraźnie wskazują, co o ich istnieniu sądzić należy. Regestr więc był jedyną księgą i to niezbyt szanowaną, bo dopiero Adam Pszonka zdobył się na oprawienie go w pergamin i to najwcześniej dopiero w dziesięć lat po objęciu rządów w Babinie, gdyż kazał na oprawie wybić litery A. P. CH. CHM., był już więc chorążym chełmskim, a wiadomo, że został nim dopiero w r. 1643.

Jeżeli byłaby wogóle jakakolwiekbądź organizacja w Babinie, to przedewszystkiem podstawa Rzeczpospolitej: rozdawnictwo urzędów, miałoby pewne formy przepisane. Tymczasem widzimy, że tak jeden jak i drugi Pszonka rozdaje urzędy na prawo i na lewo, nikogo się nie pytając, jako samowładny rządca i pan Rzeczpospolitej. Nietylko, że sam rozdaje, ale Tomaszowi Zamojskiemu pozwala (zapisek 78) „urzędy rozdawać, konfirmować arcybiskupy, biskupy, inne urzędniki duchowne i świeckie introdukować“ i wreszcie „wszystek inssi reimenth babińsky odprawowacz“. Czasem w Regestrze znajduje się akt, mający pewne formy prawne, dowodzące niby jakiejś organizacji. Tak np. w roku 1620 trzech komisarzy Najjaśniejszej Rzeczpospolitej babińskiej przybywa na rewizję grodu babińskiego, a towarzyszy im woźny Alon, „*qui dicitur błazen Balon*“. Wszystko znaleźli w porządku, twierdza była dobrze zaopatrzona (prawdopodobnie w beczki wina). Akt rewizji podpisali komisarze „*semper Augustae Reipublicae Babinensis*“ i ów Alon „woźny komisarzom grodzkim do łgarstwa“. Ale czyż ten akt spisany w Regestrze, nie dowodzi naprzód, że niebyło innej księgi, prócz Regestru, a powtóre, czy kilka mu podobnych aktów wpisanych w ciągu lat 70 nie świadczy jasno, że to były zwykłe

żarty, podobne do innych, a nie wyniki jakiejkolwiekbądź organizacji. Gdyby ta organizacja istniała, tobyśmy się przecie spotykali często z otwierającemi się wakansami, a tymczasem raz na lat 70 mianowano kogoś arcybiskupem, raz na lat 70 utworzono na razie jednego dnia pełny sąd babiński, raz jedyny mianowano podkanclerzego i t. d. Czyżby wszyscy babińczycy byli tak długowieczni? I owe „starodawności“ babińskie, którym nawet wybrano konserwatora, redukują się do tego wielkiego kielicha „wilkiem“ zwanego — o innych bowiem starodawnościach nic w Aktach nie słychać. I zdaje się, iż cała organizacja babińska, wszystkie jej tradycyjne zwyczaje, polegały tylko na tym kielichu, z którym proszono ostrożnie się zachowywać, „ochraniając *antiquitatem*“ (zap. 256).

Przypatrzmy się teraz z kolei dowcipowi babińskiemu. Materjału mamy sporo, bośmy wyciągnęli z aktów wszystko, co wyciągnięcia było warte. Rozpocznijmy od porachowania tego dowcipu... na sztuki.

Wszystkich zapisków jest 413. Można ich ilość nieco powiększyć, zważywszy, że w niektórych zapiskach znajduje się po parę, a nawet po kilka owych (jak chcą niektórzy) „pereł humoru“. Ale takich zapisków jest zaledwie kilka. Co najwyżej więc można ilość wszystkich zapisków oznaczyć na 440.

Z tej liczby odetnijmy naprzód jakich 40 zapisków, w których jest tylko sucha wzmianka o nominacji. P. Ostroróg, teolog babiński, pan Cieszkowski przewodnik i t. d. — więcej nic w nich niema. A więc te „perły“ mogą iść do kosza.

Z pozostałych 400 odciągnąć należy pewną ilość rymów, z których dowiadujemy się tylko n. p., że p. Wilczogórski pił w Babinie i dostał w prezencie charta, że pili w nim również jak on p. Raszewski, p. Kitnowski i inni panowie. Czasem znowu zapisek notuje tylko wychylanie

kieliszków, nie podając nawet przez kogo, np. zapisek 404 brzmi w całości „*coronatur rozis et stipatur kieliskami*“. Albo znowu inny (214): „Tenże Jego Mość pod temże actem powiedział“, i co powiedział, nie wiemy. W tym rodzaju zapisków mamy z pewnością przynajmniej 30. Zostaje więc ich 370.

Ale nie na tem jeszcze koniec odejmowania. Jest przynajmniej kilkanaście dowcipów po parę lub kilka razy się powtarzających. Trzy razy zachwycał się Babin owym ślepym, starym dzikiem, który młodego trzymał się zębami za ogon. O reparacji zegarów w jeden i ten sam sposób znajdujemy aż cztery zapiski. Dwa razy mówią babińczycy o polowaniu na zające przy świecach, dwa razy o olbrzymiej kiełbasie, kilka razy o karocach, co same biegają, dwa razy o rozpłatywaniu żywych ryb dla przekonania się, czy są tłuste i t. d.

Kiedyśmy rozpoczęli odejmowanie, musimy iść konsekwentnie dalej i odłączyć z dowcipu babińskiego wszystkie relacje nadesłane lub opowiedziane, których znowu jest liczba dość znaczna. Czasem burgrabia babiński wpisuje nawet do księgi to, co sam gdzieindziej usłyszał. I tak ów przytoczony powyżej w całości zapisek o czepcu, który narobił tyle kłopotu p. Biesiekierskiemu, pochodzi z pobytu Jakóba Pszonki w Radomiu.

Czasami znowu otrzymywano nominację całkiem niesłusznie — brano za kłamstwo i koncept rzeczy wypowiedziane na serjo. Oto kilka przykładów:

P. Drohojowski opowiadał, iż w Niederlandach puszczają na wodę skrzynie z kaczkami chowanemi, nasypawszy hreczki na ponętę i w ten sposób dzikie kaczki chwytają. Nic w tem nieprawdopodobnego i zdaje się, że Drohojowski niezasłużenie został ptasznikiem.

Ktoś inny, jak wiemy, kaszlącemu radził zjeść śledzia surowego, wypić małmazji i zapocić się. Receptę

zupełnie podobnego rodzaju, słyszeliśmy parokrotnie z ust poważnych lekarzy.

Andrzej Ruszkowski widział gołębie, które nosiły listy. Babińczycy śmiali się z tego, ale chyba do śmiechu nie mieli powodu. Nie śmiał się jedynie ks. Piotr Mieszkowski, sufragan kujawski, który opowiadał, że będąc w Holandji, widział jak pewien dziad przenosił w brodzie sekretne listy do Maurycego ks. Oranji. I znowu nie wiadomo dlaczego babińczycy wybuchali śmiechem na to opowiadanie, które może niczem nie uwłaczało prawdzie. Wpisano je do Regestru, lecz Mieszkowski dodał własnoręcznie: „Z prawdy fałsz, z fałszu prawda skore być zawsze“, a tem samem zaznaczył, iż w Babinie często z prawdy fałsz robią. Śmiano się i z polowania przy lanych świecach, ale owe świece nie były to dzisiejsze stearynowe, czy łojowe, lecz pochodnie[1]). Wielcy panowie miewają fantazje, a czyż wielu było większych panów na świecie od Konstantego Ostrogskiego, wojewody kijowskiego, najbogatszego obywatela Rzeczpospolitej. A on to właśnie, nie kto inny, przy owych lanych świecach „lasy niemi ostepując“ miał w nocy polować według relacji babińskiej.

Albo znowu sprawa z zegarami. Cztery razy aż opo-

---

[1]) Samuel Maskiewicz w pamiętnikach swoich, opisując klęskę cecorską, wspomina, że Żółkiewski „rozkazawszy świec lanych tak wiele, ile ich miał na ten czas w obozie, zapalić dla światła, aby go wszędzie widzieć można przy nocy, sam na koń wsiadł i jeździł po wszystkim obozie od pułku do pułku, od roty do roty, aby go widziano, animując ich i dodając serca swym“. Pamiętniki S. M-cza, str. 108. Linde pod wyrazem „świeca“ cytuje: „Sposób robienia kul i świec lanych, których ani wiatr, ani deszcz nie zgasi“. Jako źródło podaje Artiller, co zapewne oznacza „Archelią albo artyleryą“ Diega Uffano, wydaną w Lesznie w r. 1643, tłumaczoną z niemieckiego przez Jana Dekana.

wiadano, że gdy zegar iść nie chce, można przez uderzenie nim dalszy ruch jego wywołać. Może babińczycy mieli słuszność żartując z opowiadającego, a może jej nie mieli, bo jest rzeczą wiadomą, że kiedy zegar nakręcony stanie, często silne nim uderzenie lub potrząśnienie wystarcza, aby dalej spełniał swe czynności. Marek Zwiartowski został znów referendarzem, ponieważ referował prawa miasta Jaworowa takie, „iż tam w tem mieście są stawy bardzo głębokie, w których wolno łowić mieszczanom, a jeżeli który z rybitwów utonie, powinni według prawa tamecznego jego sukcesorowie dać grzywien dziesięć". Potwierdził to ks. Aleksander Brzeski i został konserwatorem rybitwów. Tymczasem wesołość babińczyków w tym razie miała nikłą podstawę, gdyż i Zwiartowski i ks. Brzeski byli bliskimi prawdy [1]).

Jeszcze jeden przykład: Piotr Zawisza opowiadał o bobakach żyjących na Ukrainie. Mówił. że mają swój rząd, że kolejno straż odprawiają, że kradną sobie dzieci i „za niewolniki mają", na których grzbiecie „żywność, które sobie na zimę gotują, to jest siano, korzonki, etc., jako na sankach nałożywszy, wożą", a bywa tych bobaków „w kupie i kilka tysięcy". Za to opowiadanie najniewinniej w świecie otrzymał Zawisza godność strażnika, jeżeli bowiem było w niem co fantazji, to nadzwyczaj mało. Współczesny mu Beauplan w opisie Ukrainy podaje o bobakach to, co na własne oczy widział, nad przypatrywa-

---

[1]) W notatkach moich mam dosłowne prawie potwierdzenie praw jaworowskich, tyczących się rybołówstwa — przez przeoczenie jednak nie zanotowałem źródła. W „Starożytnej Polsce" Balińskiego i Lipińskiego prawo to opiewa: „Wolno mieszczanom będzie... łowić ryby, i jeżeli który bezpotomnie umrze (a więc i taki co „utonie"). wszystko co po nim zostanie, na nas spadnie", II, 564. Prawo zaiste ciekawe i bliskie babińskim opowiadaniom.

niem się czemu „trawił godziny“. Bobaki, według niego (co zresztą jest rzeczą przez naturalistów stwierdzoną) żyją gromadami, stanowią prawdziwą rzeczpospolitę; w jesieni zamykają się w swych norach na całą zimę, na którą w lecie składają zapasy, do czego używają „jakoby niewolników“. Wywracają ich grzbietem na dół, ładują na nich suche zioła, które leżące bobaki obejmują i trzymają łapkami, a następnie chwytają ich za ogon i ciągną do jamy. Potwierdza też Beauplan, że gdy wychodzą na żer, zawsze jeden stoi na czatach. Inne szczegóły podane przez Beauplan'a pomijam [1]).

Jeżeli zatem od pozostałych 370 dowcipów odejmiemy i te jeszcze, które się powtarzały, dalej dowcipy nie babińskie, a tylko w księgi Babina wpisane i wreszcie nominacje całkiem nie zasłużone, to dobrze rachując, wszyst-

---

[1]) Niemcewicz „Zbiór pamiętników historycznych o dawnej Polszcze“, wydanie lipskie, 1839, tom III, str. 278. O bobaku (Arctomys Bobac) wszyscy naturaliści dość szeroko piszą jako o zwierzęciu ciekawych obyczajów. Bobak należy do rodzaju świszcza. X. Remigjusz Ładowski w tłumaczonym z francuskiego „Dykcyonarzu historyi naturalnej“ (Kraków 1783) podaje o nim wiadomość pod wyrazem Marmotte. Potwierdza w części to, co mówił o nim p. Piotr Zawisza i pisał Beauplan. Oto ustęp odnośny: „jedni kopią (robiąc sobie mieszkanie) a drudzy noszą mech. Utrzymują niektórzy, że każdy z nich koleją kładzie się na wznak, a drudzy napakowawszy na niego prowiantu, albo mchu, ciągną za łapki do jamy i dlatego grzbiet mają zawsze wytarty. Jeden z nich stoi na warcie i przestrzega całą trzodę o niebezpieczeństwie; skoro gwiźnie tak zaraz wszystkie bobaki uciekają do swoich jam, a szyldwach za nimi dopiero ostatni“. (II 54). Tenże Ładowski w „Historji naturalnej Królestwa Polskiego“ (wyd. 1804, I, 39) nie wyraża się już: „utrzymują“, ale wprost twierdzi o woženiu w opisany sposób siana przez bobaków „i dlatego trafiają się bobaki ze grzbietem wysmulanym“. Rzączyński w swej „Historia naturalis“ pisze o bobaku pod „Mus alpinus“.

kich dowcipów babińskich, lepszych i gorszych, znajduje się w Rejestrze conajwyżej 320.

Trzysta dwadzieścia dowcipów na lat 70! Czy to trochę nie za mało? Bądźmy jednak sprawiedliwi i przyznajmy, że była kilka razy przerwa w działalności Rzeczpospolitej, że od r. 1622 do 1634 panowało interregnum, w którem akta pomnożyły się zaledwie o 15 zapisków. Odtrąćmy więc wspaniałomyślnie całe lat 20 i te kilkanaście zapisków z czasu bezkrólewia, a przyjdziemy do obliczenia, że na 50 lat wypowiedziano w Babinie 300 dowcipów. Pomińmy już nawet to, że znaczna ich część nie jest oryginalną, że sam wydawca „Aktów“ często przytacza ich źródła, że gdyby warto było zachodu, to przejrzawszy całą literaturę żartobliwą, a zwłaszcza wszystkie fraszki napisane przez lepszych lub gorszych poetów i liczne broszury treści zabawnej, przejrzawszy wreszcie rękopisy, co je Lasem rzeczy (Silva rerum) dziś zwiemy, przekonalibyśmy się niejednokrotnie, że wiele dowcipów babińskich nie w Babinie miało swe miejsce urodzenia

A więc 300 dowcipów na lat 50, czyli na rok dowcipów sześć. Strasznie marny omłot, jeżeli się jeszcze zważy, ile to głów na owe dowcipy się składało i sadziło!

A może nie wszystkie zapisywano? Może, — ale trudno temu uwierzyć. Gdyby każdy z tych dowcipów był rzeczywiście dowcipem, to możnaby przypuszczać, że tylko najlepsze weszły do Rejestru. Ale kto go przejrzy, ten stanowczo to przypuszczenie odrzuci. Babin nic nie wykluczał, brał wszystko co się dało, bez wszelkiego wyboru. Podziwiać raczej należy, z jaką zapamiętałością gonił za dowcipami. Upatrywał je wszędzie; najnaiwniejsze kłamstwo już go radowało. P. Trzemeski widział tak rosłego wieprza, że dano za niego sto talarów i zaraz Pszonka czy inny z babińczyków, chwyta za pióro i dowcip ten uwiecznia. Władysław Leszczyński, jóźniejszy wojewoda łęczyc-

ki, słysząc, że jakiś sługa głośno w sieniach rozprawia, powiedział o nim, że byłby dobrym na woźnego — i zaraz musiał własnoręcznie ten dowcip wciągnąć do Rejestru. Adam Janczewski czytał opis Babina pióra Sarnickiego — było to już dostateczne, aby go zrobić lektorem babińskim. Pani Pieniążkowa, jak to już wiemy, kazała wypić Gładyszowi duszkiem trzy beczki wina — a ten dowcip od siedmiu boleści dał jej urząd cześniczki. A dowcipów tego rodzaju, przynajmniej mało co lepszych, jest bezwarunkowo trzy czwarte w całym Rejestrze. Nie, doprawdy nie do uwierzenia, jakie małe wymagania od dowcipu miała ta sławna Rzeczpospolita. Dziwić się tylko należy, że ten, co przypadkiem kichnął, nie otrzymał *stante pede* urzędu puszkarza, a nie byłby to dowcip najgorszy, kto wie, czyby się nawet nie wyróżniał w powodzi innych.

Czyż jednak niema w Aktach babińskich zupełnie nic a nic dowcipnego? Tak twierdzić byłoby oczywiście przesadą. Z trudem, ale można na upartego wyszukać kilkanaście niezłych dykterjek lub dowcipów i kilkadziesiąt zwrotów dość uszczypliwych. Ależ kilkadziesiąt niezłych dowcipów i zwrotów, to znaczy zaledwie jeden na rok. Wolno tedy powinszować Rzeczpospolitej jej humoru, ale zazdrościć go niema chyba żadnego powodu.

Czemże bowiem to wszystko jest wobec choćby tego humoru, który się z w. XVI i XVII w druku do nas przechował. Ileż tysięcy lat potrzebowałby istnieć Babin, ażeby na kartach swoich zapisał tyle i takiego dowcipu, ile się go znajduje w „Figlikach“ Reja, lub „Fraszkach“ Kochanowskiego. A Krzycki, Janicki, Paprocki, Bielski, Górnicki, Błażowski, Jagodyński, Kochowski, Morsztyn, Gawiński, nieoceniony Wacław Potocki!? Nie wspominam już nic o poważnej satyrze, ani o dowcipach Stańczyka i innych „błaznów“ (Bienko, Jasiek Kmity), o „fraszkach“ Smolika, lub o paszkwilach drukowanych i rękopiśmien-

nych, dowcipem sporo wyposażonych, ależ ile jest jeszcze broszur z tych czasów, wypełnionych dowcipami i anegdotami. A toż cały dowcip babiński wygląda przy tem wszystkiem jakby jakieś nędzne pokurcze przy człowieku apollinowych kształtów i herkulesowej siły.

Po co nawet iść tak daleko? Jedna dobra fraszka Kochanowskiego lub Potockiego, to sztuka złota najlepszej próby przy kilku babińskich srebrnych groszach, kilkunastu miedzianych szelągach i pełnej torzbie sieczki. Mieli więc słuszność Wiszniewski i Maciejowski, wyrażając się niepochlebnie o drugiej epoce Babina — miał zupełną słuszność i Tarnowski, pisząc, iż po przejrzeniu „Aktów babińskich“ doznał „rozczarowania“...

Zdaje się, że i współcześni nie wiele sobie robili z Babina. Sam fakt, że tylko dwóch panegirystów pisało o nim i to z okazji godów weselnych w Babinie, że w całym wieku XVII. i to już po upadku Rzeczpospolitej babińskiej, zaledwie dwa razy powtórzono opis Sarnickiego i to bez żadnego uzupełnienia, dowodzi, jak mało kto zajmował się wesołą kompanją panów Pszonków. I gdyby Biernacki nie odnalazł przypadkowo w Szwecji Regestru, nie domyślilibyśmy się nawet, iż Rzeczpospolita babińska dotrwała aż prawie do schyłku XVII. wieku; myślelibyśmy, że Kmita i Wrześnianin swymi panegirykami nagrobek jej napisali[1]).

---

[1]) Jeden tylko Wespazjan Kochowski pomiędzy swojemi fraszkami podaje krótki wiersz p. t. „O babińskiej monarchii“, który jednak nie przynosi nic nowego i zdaje się być napisany po przeczytaniu Sarnickiego. Albo może przejeżdżał Kochowski przez Babin, na coby wskazywał początek wiersza:

Toć to knieja, te pola i ta jest równina
Sławnego w dziejach polskich n i e k i e d y Babina.

Owo „niekiedy“, znaczące dzisiejsze: niegdyś, może także służyć za dowód, że Rzeczpospolita nie była już sławną za Ko-

Obojętność współczesnych dla Babina wprost zdumiewająca, gdyż niema wzmianki o jego istnieniu nawet tam, gdzieby z natury rzeczy spodziewać się jej należało. Jest na to dowód niezwykły. Znakomity poeta, Szymon Szymonowicz, zostawał w bliskich stosunkach z Janem Zamojskim, był nauczycielem młodego Tomasza Zamojskiego, przebywał długo i często w Zamościu i Lublinie, przez czas dłuższy wreszcie pod Lublinem w Błotlicach, jeżeli kto więc, to on powinien był kiedyś zawitać do Babina, jeżeli ten Babin był rzeczywiście „salonem towarzyskim inteligencji", jeżeli Zamojscy otaczali Rzeczpospolitą swoją protekcją, jeżeli wielki Jan był *spiritus movens* towarzystwa babińskiego (Windakiewicz). Tymczasem, jak w aktach babińskich niema o Szymonowiczu ani śladu, tak niema też ani śladu o Babinie w obszernej korespondencji Szymonowicza. Ale nie to jeszcze mogłoby zdumiewać, — może to być bowiem dziełem prostego przypadku — inny fakt zdumienie wywołuje. W r. 1610 Wacław Zamojski ożenił się z Zofją Pszonkówną, córką Jakóba, burgrabiego babińskiego, a Szymonowicz fakt ten upamiętnił pięknym wierszem polskim. Jeżeli gdzie, to tu był poeta prawie zmuszony do słów pochlebnych dla Babina, łatwo bowiem zrozumieć, iż tego rodzaju wiersz okolicznościowy nie mógł się obyć bez „komplimentu" dla kojarzących się rodzin.

Tymczasem Szymonowicz „cieszy się uprzejmie z przedsięwzięcia" Wacława, życzy mu „aby w domu go-

---

chowskiego, a przecież trwała jeszcze za jego czasów. Epigramata Kochowskiego wyszły w roku 1674 (Nie próżnujące próżnowanie), zaś Adam Pszonka umarł w roku 1677. Z treści wiersza widać, że Kochowski nie wstępował w podwoje Babina, a inne jego fraszki dowodzą, iż przekładał nad Babin Rzeczpospolitą waśniowską, której aż trzy razy pióro swoje poświęcał.

dne pociechy oglądał“, pisze o przyszłym jego potomku, który powinien być godnym przedstawicielem swego wielkiego rodu i t. d. O Babinie zaś nic, nawet nazwisko Pszonków nie jest wymienione. Dopiero przy końcu zdobywa się Szymonowicz na zdawkowy frazes:

Staw się w domu ludzi zacnych, tam cię wzajem czeka
Serce życzliwe, Tobie przejżrzane od wieka.

I to wszystko — „zacny dom“ i basta! A jakikolwiekbądź byłby ten dom, to przecież nie mógł Szymonowicz odmówić mu przynajmniej zacności, choćby przez sam wzgląd na Zamojskiego i jego narzeczoną. Niepodobieństwem było więcej zbagatelizować Pszonków i ich Rzeczpospolitę.

Ale jest w listach Szymonowicza do jego pupila, Tomasza Zamojskiego, jeden ustęp, który bodaj czy nie odnosi się do babińczyków. Stawiającego pierwsze swe kroki Tomasza ostrzega Szymonowicz przed zgrają fałszywych przyjaciół. „Całe legiony (pisze) kręto-sporno-łgarsko-sprzedajno-krzywoprzysięgło-wiarołomkowiczów rzuciły się na ciebie. Muchy nie lgną tak do mleka, jak oni do twej młodości. Odpędzaj tę zarazę; trzeba ci będzie zaradzić“ [1]). Może nie o babińczykach myślał Szymonowicz, zauważyć jednak należy, iż w aktach babińskich spotykamy raz tylko Tomasza Zamojskiego i to nie w Babinie. Złapał go wtedy Pszonka na sądzeniu spraw trybunalskich w Lublinie i tam mu dał urząd totumfackiego po ojcu.

Jeżeli jednak tak mało jest o Babinie drugiej epoki we współczesnej mu literaturze, to za to o Pszonkach i o niektórych babińczykach mamy wiadomości z niedawno wydanych dokumentów. W „Rokoszu Zebrzydow-

[1]) Tłumaczenie Bielowskiego w monografji o Szymonowiczu, str. 147. List z dnia 18 maja 1616 r.

skiego“, stanowiącym ostatni tom „Bibljoteki ordynacji Krasińskich — Muzeum Świdzińskiego“, spotykamy się kilkakrotnie tak z Jakóbem Pszonką, jak i z jego bratem, Stanisławem. Ale nie zaszczytne to zaiste dla nich spotkanie, bo pomimo wszelkiej obrony ze strony Szmitta, rokosz Zebrzydowskiego jest jedną z plam naszej przeszłości. Około postaci dumnego i mszczącego się za mniemane krzywdy Mikołaja Zebrzydowskiego, zebrali się ludzie swawolni, zuchwali i rozpustni „wszystkie męty religijno-społeczne“ i doprowadzili do bratobójczej walki pod Guzowem. Od czasów walczących ze sobą książąt Piastowskich, był to jeden i jedyny wypadek bitwy stoczonej pomiędzy swoimi, nie wskutek zewnętrznych wpływów lub pomocy. Panowie Pszonkowie grali w rokoszu wybitną rolę i doprawdy podziwiać trzeba, kiedy się czyta „o atmosferze podniosłej“ Babina, lub pochwałę dla „ściśle określonej jego tradycji politycznej“. Tak jest, była to tradycja, ta sama tradycja, która założycielowi Babina dała nazwę „warchoł“, o czem będzie później, i która ostatniego z Pszonków, Adama, syna rokoszanina Jakóba, zaprowadziła, jak wiemy, do obozu Karola Gustawa. Nie, niech tam sobie co chcą prawią wielbiciele Rzeczpospolitej babińskiej, burgrabiowie jej i najbliżsi przyjaciele nie mogli służyć za wzór dobrych obywateli kraju[1]).

---

[1]) Na aktach rokoszu podpisywali się Pszonkowie Babińskimi: Stanisław Pszonka Babiński, Jakób Pszonka Babiński. „Rokosz Zebrzydowskiego“, str. 197, 253, 254. Jakób brał nawet udział w poselstwie rokoszan do króla, był allegatus, jak sam o tem wspomina w swoim pamiętniku wydanym przez Bielowskiego. Z pamiętnika tego przeziera człowiek może niezły, ale zwarcholony. Rokosz uważał jako ultimum remedium reparandae libertatis. Wszelkie podatki mocno go gniewają. Kiedy po klęsce cecorskiej król na gwałt ściągał wojska, Jakóbowi Pszonce wydawało się to zamachem na wolność.

Czy jednak i ci wszyscy, których Pszonkowie gościnnie przyjmowali w Babinie, byli bardzo zachwyceni Rzeczpospolitą i nadanymi im urzędami? Zdawałoby się, iż co do tego nawet wątpliwości być nie może, boć przecie kto zajechał do Babina, wiedział, co go czeka i prosta grzeczność nakazywała z dobrą miną stosować się do zwyczajów Rzeczpospolitej. A jednak, wprawdzie bardzo rzadko, trafiali się ludzie wymawiający się od zaszczytów babińskich. *Frater Vladislaus Dobrossołowsky* nie chciał przyjąć urzędów, co swoją drogą nic mu nie pomogło (zap. 205 i 206). Jan Poniatowski, choć był złączony z burgrabią „nietylko sąsiedztwem, ale i związkiem przyjaźni", gdy go pytano dlaczego dotąd na urząd nie zarobił, „ochronnym się być zawsze w tej mierze powiedział"; Szczęsny Stoiński „umyślnie na urząd nie chciał zarobić"; Paweł Sawicki kpił sobie najwyraźniej z Babina, kiedy „urzędy babińskie koniom rozdawał". Co więcej, ktoś, zapewne duchowny, wpisał do Regestru babińskiego następującą bardzo ostrą naukę:

Sicut Rempublicam conseruare ita mendacia extirpare solius Dei labor, iuxta illud: „Perdes omnes, qui loquuntur mendacium". Psalmo quinto.

I dodał jeszcze czterowiersz tej samej treści:

Conseruari equidem quamvis respublica potest
Viribus humanis, ast eget ope Dei,
Ut detestetur mendacia; namque Deus vult
Omnem perdere, qui mendacium loquitur.

A więc i w Babinie nie u wszystkich kłamstwo popłacało, nie każdy chciał zarobić na urząd i przejść jako łgarz do potomności. A wszakże kłamstwo było główną podstawą tej Rzeczpospolitej! Tak jest, nie dowcipem, lecz kłamstwem, czasem tylko w dowcipną formę ubranem,

głównie żyła i przedłużała bez celu swe życie Rzeczpospolita babińska. Nie wstydziła się tego bynajmniej, owszem, sama do „łgarstwa“ się przyznawała.

Ale nie kłamstwo wyłącznie było przyświecającą jej ideą, bo drugim jej fundamentem była na wielką skalę pijatyka. Nie gołosłowny to zarzut, bo stwierdzony aż nadto aktami babińskimi.

Wstyd mnie Lublanina
Żem nic u Babina
Dotąd nie otrzymał
Chociem łgał i pijał,

— pisze w „Aktach“ Zbigniew Sługoski, a przed nim Morsztyn stwierdza, że

.... w tym domu szklanki i kieliszki
Tańcują zara jako im zagrają
I ścigają się chociaż nóg nie mają.

P. Kitnowski świadczy:

Słyszałem ja to o dawnym Babinie:
Ktoby chciał być w tych księgach, kielich go nie minie,
Kielich, który wypiwszy głowa wkoło chodzi...

Przypomnijmy tu sobie jako podczas bytności Morsztyna w Babinie p. Orzęcki po półkach tańcował, p. Wysocki w stodole na słomie koziołki wywracał, a Kitnowski w nocy patrzył na kompas, aż legł pod nim strudzony.

Ba! bo też kielich babiński nie był to taki drobiazg, aby myśleć, że z winem i „szkło się połknie“. Mamy o jego wielkości wiarogodne świadectwa. P. Piotr Raszewski w ten sposób go opisuje:

Wypijali babiński kielich pijanicy,
Pili go też lubelscy grodcy urzędnicy.

Kielich babiński podszywszy futrem,
Grozi noclegiem i pijanem jutrem.
Bo nachyliwszy, głowa w niego wchodzi,
Ociec potomka podobnego rodzi.

To też nie wszyscy byli w stanie spróbować się z tym kielichem. Nie wypił „powinnej szklenicy“ Jan Dąbrowski, za co został „mitręgą“. Zato sędzia ziemi lubelskiej, Iżycki, wypił kielich, bo „tylko złe wino szkodzi oczom“. A musiano w dniu tym pić dobrze i długo, kiedy p. Daniel Węgliński mówił, że „jak tylko świta, to zaraz oczy jego do spania się biorą“. Stanisław Krasowski, lubo wiele mówił o dzielnem wychylaniu kielichów, „nie ochotnie“ wypijał kielich babiński, „ale go bardzo dzielił“. Aleksander Stanisław z Babina (potomek rodziny, która dawniej była Babina właścicielką) pisze o sobie wierszem, iż jest w „aktach babińskich pijanicą sławnym“. Ks. Wawrzyniec Pieczątkiewicz oburzał się na tych, co w kompanji babińskiej tylko po pół kielicha wina wypijali, a pisał, jak sam zaznacza, „po tych świętach bachusowych“. Ks. Zbąski stwierdza wierszami:

Kto być chciał przedtem pisany w Babinie,
Musiał się pierwej dobrze kąpać w winie.

Inny niewiadomy Babińczyk dwoma wierszami takie o sobie wydaje świadectwo:

Świadkiem te gluzy i babińskie ściany,
Że ten wiersz pisał śpiący i pijany.

„Odleżane“, to jest niewypite kieliszki nazywały się w Babinie dziczki (zap. 398). Kiedy ktoś opowiadał, że dla pewnego towarzystwa dość było dwóch kwart wina, aby się upić, proszono go, aby w Babinie „według starego postępował trybu“. Kiedy Lasocki chciał wcześniej z Ba-

bina wyjeżdżać, p. Jan Potocki zatrzymał go „dekretem“, iż w Babinie „powinna rzecz każdemu gościowi upić się i spać“. Musiał być dobrze „zmęczony“ p. Paweł Robertowski, kiedy go przestrzegano, aby kielicha nie opuścił i nie stłukł, czem obrażony, oświadczył, że się obawiać nie potrzeba, gdyż ma ten zwyczaj, „choćby najwięcej pił, gdy się jegomość obalić ma, wprzód kieliszek postawi“. A nie był jednak w stanie ten sam p. Robertowski wypić „wilka“ inaczej, jak dopiero za trzykrotnem do niego przyłożeniem się, co swoją drogą „applauz“ wywołało. Cóż więc dziwnego, że wobec dowodów męstwa Babińczyków przy kieliszku, p. Krzysztof Plecki radził im po „fatydze“ rozbierać się i wytarzać w kopie rozrzuconego siana.

„Wilk“ był nietylko „starodawnością“ Babina, ale i jego największą świętością. Jan z Polanowic Polanowski „powinności tej zacnej Babińskiej Rzeczpospolitej i prawom *in ea sancitis* wygadzając, vilcomem kielich wielki dobrego wina wypił“. Przy takiem zapatrywaniu się na powinności, zupełnie są w porządku rozsiane licznie w Rejestrze anegdoty o bohaterskich czynach na polu pijatyki.

Zakończmy rzecz o pijaństwie babińskiem dwuwierszem nieznanego babińskiego autora (zap. 84),

Ręka pióro piastuje, druga kielich spory:
Pijem, piszem, oraz to dojdzie swojej pory.

Dość tych cytat, aby poznać ducha panującego w Babinie. Babińczycy łgali, pili i pisali nie zawsze w trzeźwym stanie. Wydawca ich aktów „tego prześlicznego pomnika życia i humoru“, zaznaczył, iż bywają zapiski pośpieszne, złym atramentem i widocznie w chwilach pewnego podniecenia umysłowego czynione“. Czy to było podniecenie „umysłowe“, niech ocenią czytelnicy.

* * *

Znamy już organizację, znamy dowcip Babina i zasady, jakiemi się kierował. Pozostaje jeszcze do rozstrzygnięcia, czy prawdą jest, iż górował on życiem towarzyskiem, iż zgromadzała się w nim inteligencja, jeżeli nie całego kraju, to przynajmniej tego województwa, w którem leżał, tych najbliższych okolic, w których miał dzierżyć sztandar życia towarzyskiego. Akta babińskie muszą być naszym przewodnikiem w rozstrzygnięciu tego pytania, bo inych świadectw nie mając, na nich jedynie opierać się możemy.

Weźmy się znowu do rachunku. Odtrąćmy lata zaniku życia towarzyskiego w Babinie, a więc, jak poprzednio, przyjmijmy tylko okrągłe 50 lat działalności Babina w drugiej jego epoce.

Na te 50 lat mamy niespełna 400 zapisków. Wiemy już dobrze, że nie każdy z nich innego dnia zaciągniono do rejestru, że często za jednem zebraniem się gości w Babinie wpisywano po parę, a nawet po kilka odrazu konceptów. Jeżeli weźmiemy jeszcze pod uwagę różne relacje i koncepty, wpisane przez Pszonków, kiedy nikogo z gości nie było, to rachując jak najwzględniej, przekonamy się, że posiedzeń babińskich, zanotowanych w Rejestrze, było co najwyżej 200 na lat 50, czyli cztery posiedzenia, na rok, boć trudno przypuścić, aby były takie, podczas których nikt, choćby najgłupszej facecji na poczekaniu nie stworzył. Wszak mamy wyraźne dowody, że naumyślnie silono się, aby powiedzieć jakiś nonsens i zanotować go w Rejestrze.

Gdzież to życie, gdzież ten zjazd obywateli, gdzie salon towarzyski, jakiego w kraju jak długi szeroki, nie było?

A przecież właścicielom Babina łatwiej było niż komu innemu gromadzić u siebie liczne zastępy gości ze wszystkich stron kraju. Nie idzie tu o ich samo położenie materjalne; zamożność domu nie była tu decydującą.

Przy ówczesnym stanie komunikacji, nawet największy magnat nie mógł ciągle podejmować u siebie gości z dalekich okolic i musiał poprzestawać na przyjmowaniu sąsiedztwa. Wyższość Babinowi zapewniał Lublin. Miasto to do połowy XVII-go wieku, zanim odwiedzili je Szwedzi, Kozacy i Tatarzy, było jednem z najludniejszych i najzamożniejszych miast Rzeczpospolitej. Liczyło 40 tysięcy ludności, miało kilkanaście kościołów, wielcy panowie stawiali w niem swe pałace. To mało, Lublin był miastem trybunalskiem; cała Małopolska zjeżdżała się do niego, bo któryż magnat lub szlachcic nie uciekał się pod opiekę trybunału, lub nie był przezeń wezwany? Zbytecznem zaś chyba wyjaśniać, czem były owe trybunały, jakie budziły życie, jakie podczas ich funkcjonowania odbywały się zjazdy. Babin oddalony o dwie mile od Lublina, leżał na trakcie ku Krakowu. Stąd też właściciele jego mieli wyjątkową sposobność zadawalania odczuwanej przez siebie gościnności staropolskiej. I widzimy jasno z aktów babińskich, że Lublin rzeczywiście dostarczał Pszonkom znacznej ilości kompanów do kielicha. Na każdej prawie karcie spotykamy się z sędziami grodzkimi, ziemskimi, urzędnikami i duchownymi lubelskimi, z marszałkami i deputatami trybunału. Prócz tego, często ten i ów zapisuje w aktach, iż „zjechał“ z Lublina, powraca z niego, lub w nim czasowo przebywa. Są też ślady, że burgrabia babiński robił wycieczki do Lublina i zabierał do siebie, kogo się dało.

A jednak, jak zauważyłem, Akta babińskie przeczą, jakoby w ścianach babińskiego grodu płynęło pełnem korytem życie towarzyskie. Sądząc po nich, po ilości posiedzeń, można przypuszczać, że każdy sąsiad Babina cieszył się równą jak Babin, a może większą od niego liczbą gości i przyjaciół.

Ale nietylko o ich liczbę, lecz i o jakość iść nam po-

winno. Gdybyśmy się opierali na indeksie osób, ułożonym przez prof. Windakiewicza, mógłby się Babin dość świetnie zaprezentować. Ale przyjrzyjmy się nie indeksowi, lecz samym aktom. Spotykamy w nich pierwszorzędne nazwiska, ale po większej części są one tylko wymieniane, bo właściciele ich nogą nie postali w Babinie. Są wzmianki o dwóch Ostrogskich: Konstantym, wojewodzie kijowskim, i Januszu, kasztelanie krakowskim, o Jędrzeju Opalińskim, biskupie poznańskim, o dwóch Sapiehach: Kazimierzu, podkanclerzym litewskim i drugim nieznanego imienia, o dwóch Radziwiłłach, wojewodach wileńskich: Krzysztofie i Mikołaju Sierotce, oraz o Albrechcie, kanclerzu litewskim i t. d. — ale ich nigdy Babin nie oglądał, opowiadali o nich tylko goście babińscy.

Trzebaby zaś spisać całą olbrzymią litanję nazwisk, ażeby wyliczyć te znakomitsze w Polsce osobistości, o których nawet wzmianki nie było w Babinie. Charakterystycznem jest n. p., że niema śladu, aby zajrzał do niego Aleksander Tarło, wojewoda lubelski, a więc największy dygnitarz tego województwa, w którem się Babin znajdował.

Bywali jednak w Babinie i ludzie głośnych nazwisk. Zajrzał raz do niego Jerzy Lubomirski, marszałek wielki koronny, rokoszanin; odwiedzili też Jakóba Pszonkę Jan Ostroróg, wojewoda poznański, i Mikołaj Wolski, marszałek koronny; — możnaby wreszcie wyliczyć jeszcze ze trzydzieści nazwisk ludzi bardzo wybitnych w dziejach, albo wysokiego rodu czy stanowiska, których Babin ugaszczał w swoich ścianach. Lecz trzeba zrobić ważne zastrzeżenie. Spotykamy się naprzód z Zamojskimi i Myszkowskimi, ale wiemy, że tak jedni jak i drudzy połączyli się z Pszonkami węzłami rodzinnymi, a więc przybywali krewni do krewnych. Zresztą, co się tyczy Zamojskich, to z nich bywali w Babinie tylko sami młodsi, nie zajmujący jeszcze, albo nigdy, żadnego wybitnego

stanowiska. Osobną kategorję stanowią ludzie, którzy zasłynęli w kraju, lub doszli do wysokich stanowisk, ale dopiero później; za pobytu swego w Babinie należeli do ludzi przyszłości. Taki n. p. Stanisław Łubieński, późniejszy biskup płocki, spotkał się z „wilkiem“ babińskim, będąc dopiero proboszczem gnieźnieńskim. Jakób Sobieski, późniejszy kasztelan krakowski, ojciec króla Jana, został urzędnikiem babińskim, mając lat dwadzieścia kilka i nosząc tylko czczy tytuł wojewodzica lubelskiego. Andrzej Morsztyn, wpisując swój wiersz do Regestru urzędników babińskich, był dopiero stolnikiem sandomirskim i 30 lat jeszcze oddzielało go od podskarbiostwa. Jan Stanisław Zbąski, późniejszy biskup warmiński, przyjaciel i towarzysz w bojach króla Jana, przyjął kapelaństwo babińskie, będąc zwykłym księdzem, a może co najwyżej kanonikiem. Poprzestańmy na tych kilku nazwiskach, lubo możnaby ich wyliczyć znacznie więcej. Czegoż one dowodzą? Oto tego, że w Babinie bywali przedewszystkiem ludzie młodzi, rozpoczynający karjerę, lub dopiero w jej środku — a pomiędzy nimi sporo było znanych rokoszan i warchołów; wyjątkowo tylko mógł Babin się poszczycić odwiedzinami ludzi, mających w kraju władzę, powagę i znaczenie. Ale tych wyjątków było zaledwie kilkanaście, a więc jeden na lat kilka. Można zaś śmiało przypuszczać, iż każdy zamożniejszy dom w Polsce witał w swych progach raz na lat kilka jeżeli już nie hetmana, kanclerza lub prymasa, to przynajmniej jakiego biskupa, wojewodę lub kasztelana.

Kończąc więc uwagi nad aktami babińskimi, musimy przyjść na ich podstawie do następujących wyników:

a) Rzeczpospolita Babińska za czasów Jakóba i Adama Pszonki nie miała żadnej organizacji, nie była też instytucją humorystyczną, lecz zabawką właścicieli Babina, polegającą na niewyszukanem kłamstwie.

b) Dowcipu w Babinie w tej epoce było niesłychanie mało, a za to od czasu do czasu sporo pijatyki.

c) Babinem współcześni wcale się nie zajmowali, bo głucho o nim wszędzie, nawet tam, gdzieby się wzmianki o nim spodziewać należało.

d) Nie był on nawet jakiemś wybitnem ogniskiem towarzyskiem, gdyż dość rzadko zgromadzał u siebie szlachtę i inteligencję, choć miał nadzwyczajną łatwość potemu.

e) Stosunki właścicieli Babina z wybitniejszymi ludźmi ich szasów niczem się nie różniły od stosunków, jakie mieć musiał każdy *bene natus et possesionatus.*

Trudno więc wobec tego mówić, że Babin był salonem obywatelskim, najstarszym i najzacniejszym w dawnej Polsce (Windakiewicz), a trzeba mieć chyba olbrzymi polot fantazji, aby sądzić, że oddziaływał on na społeczeństwo w kierunku obywatelskim i cywilizacyjnym.

Co do samych Aktów babińskich, przeszedłszy do porządku dziennego nad ich nadzwyczaj naiwnym dowcipem, opartym na nużącem jednostajnością, często trywialnem, a prawie zawsze pospolitem, dziwnie jałowem kłamstwie, nie można im odmówić pewnej, lubo nadzwyczaj małej wartości. Wszystko, co nam mówi o przeszłości, jest już samo przez się ciekawe. Przy ubogich źródłach do dziejów naszych obyczajów, ma wartość każdy zapisek, który nam o nich cokolwiekbądź wspomina. Wprawdzie z wielkim trudem, ale można ułowić w Aktach pojedyncze rysy stosunków towarzyskich. Nie będą to drogie kamienie, wzbogacające skarbnicę naszych wiadomości, będą to tylko okruchy szlachetnych metali, ale zawsze będą. Może najważniejszą zdobyczą są luźne wzmianki o udziale kobiet w życiu towarzyskiem. Przyzwyczailiśmy się ciągle powtarzać za panią matką (lubo dość znamy już faktów, aby się tego oduczyć), że kobiety nasze aż do ostatnich czasów były jakby niewolnicami, które tylko domu strze-

gły i kądziel przędły, kiedy mężowie się bili i bawili. Otóż z Aktów babińskich przybywa temu nowe zaprzeczenie. Rzadko w nich wprawdzie występują kobiety, ale dotrzymują towarzystwa „tyranom“ i chętnie pomnażają zbiór kłamstw babińskich, za co też otrzymują stosowne urzędy. Wprawdzie na temat białogłów tworzą babińczycy często niezbyt przystojne żarty, ale niema w nich nic ubliżającego płci pięknej, nic, coby wskazywało na jej podrzędne stanowisko. Owszem widzimy, że taka p. Niedrwicka, wyszedłszy za Krzysztofa Stadnickiego, była nieczułą na wszelkie jego prośby, aby porzuciła herezję i ustąpiła dopiero pod tak silnym argumentem, jak groźba spalenia żywcem. Jak szanowano pamięć zmarłych małżonek, niech na dowód służy fakt, że pomiędzy 22. września 1614 a 5. lutego 1615 roku nie zapisano nic w Aktach babińskich, a to z powodu, iż w tym czasie chorowała i umarła (8. października) żona Jakóba Pszonki[1]). Nie jest to zresztą tylko przypuszczenie, bo burgrabia własną ręką wpisał do Regestru: *luctus compescit omnia joca.*

Prócz drobnych rysów obyczajowych, znajduje się w Aktach sporo jędrnych zwrotów, które przyjemność sprawiają każdemu zwolennikowi staropolszczyzny.

Ale owa wartość Aktów niema nic wspólnego ze stanowiskiem Rzeczpospolitej Babińskiej, nie uratuje też jej sławy, nie wzbudzi dobrego mniemania o jej dowcipie.

Nie chcę zaś nawet silić się na odpieranie twierdzenia, jakoby Babin przyczynił się do rozwoju nowelistyki w naszym kraju, bo trzebaby chyba spisywać olbrzymi rejestr drukowanych w Polsce w XVI. i XVII. wieku wierszem i prozą fraszek, figlików, anegdot, dykterjek i face-

---

[1]) W pamiętniku jego, wydanym przez Bielowskiego, znajduje się piękny napis nagrobkowy, jaki poświęcił zmarłej małżonce.

cyj, z których każda, lubo jej jeszcze daleko do noweli, jest przecie do niej dziesięć razy więcej zbliżoną, niż wszystkie, razem wziąwszy, zapiski babińskie. Smutna to zaiste byłaby nowelistyka, którejby źródła poszukiwać trzeba było w Aktach babińskich.

VI.

Pozostaje jeszcze jedno do rozstrzygnięcia pytanie, a mianowicie, czy Rzeczpospolita Babińska z czasów Jakóba i Adama Pszonki była karykaturą pierwszej swej epoki, czy też nieodrodną córą tej Rzeczpospolitej, którą założył Stanisław Pszonka i Piotr Kaszowski, o której pisał Sarnicki, której wielki Zamojski miał być czynnym członkiem i zwolennikiem, a która miała nawet zwrócić na siebie uwagę Zygmunta Augusta.

Rzecz napozór do rozstrzygnięcia bardzo trudna. Tarnowski przypuszcza wprawdzie, jak to już wiemy, iż może w swoich początkach Babin był ożywiony myślą głębszą i był trafną satyrą, może dopóki kwitł, nie dbał o to, ażeby zapisać się na papierze, może zresztą nie był on już i wówczas wesoły do widzenia przez swoją lekkomyślność, ale przez naiwność swoją, przez samorodny poped wesołości był sympatyczny. Wszystkie owe może bardzo już dużo mówią, bo wzbudzają podejrzenie. Słuszność zaś tego podejrzenia można udowodnić rozumowaniem, opartem na tem, co wiemy i czego nie wiemy o pierwszej epoce Babina. Złośliwy krytyk niech się nie uśmiecha na to, że pragnę budować także na niewiadomości, bo właśnie brak wszelkich wiadomości tam, gdzie podług prostej logiki być powinny, jest w tym wypadku bardzo silnym argumentem.

Ponieważ Sarnicki jest jedynem źródłem do historji pierwszej epoki Babina, musimy więc zastanowić się przedewszystkiem nad jego opisem Rzeczpospolitej. Już

Windakiewicz, lubo na tym opisie polega i wierzy mu, zauważył przecież, iż jest on „zdradliwy“. I dobrze zauważył.

Pisze Sarnicki, iż wybierano w Babinie króla, a jednocześnie podaje anegdotę o Zygmuncie Auguście, z której wynika, że króla nie wybierano. Autentyczność zresztą tej anegdoty już powyżej zachwiałem.

Przesada Sarnickiego jest widoczna, kiedy mówi, iż w Babinie byli tak wyborni znawcy ludzi, iż żaden lekarz nie rozpoznałby lepiej od nich ludzkich skłonności, że żaden profesor etyki nie wytłumaczyłby tak dobrze wad i obyczajów, żaden fizjognomista nie poznałby tak dokładnie natury ludzkiej z mowy, gestów i postaci.

Omnis homo mendax miał powiedzieć jakiś Babińczyk i dodać, że kłamstwo jest fundamentem i istotą Rzeczpospolitej Babińskiej. Widzimy, iż fundament ów przechował się ściśle w drugiej epoce Babina, że więc pod tym względem Rzeczpospolita Jakóba i Adama Pszonków była dalszym ciągiem Rzeczpospolitej Stanisława Pszonki. Stosownie też do tego fundamentu, udzielano nominacji za kłamstwa, co nie było przecież satyrą, lecz żartem. Jakże z tem pogodzić nominacje, przytaczane przez Sarnickiego, z których wypływa, iż starano się, aby każdy otrzymał godność, stosownie do wad swoich, a więc przeciwną przymiotom od tej godności wymaganym. Jeżeli nie za kłamstwa, lecz za owe wady dawano nominacje na arcybiskupów, hetmanów, inkwizytorów — toć to oczywista satyra; gdzie się tu da pomieścić maksyma *omnis homo mendax*. Wyraźna sprzeczność; słusznie „zdradliwym“ nazywa Sarnickiego Windakiewicz.

A teraz zastanówmy się nad podaniem Sarnickiego, iż prawie wszyscy najwybitniejsi dygnitarze musieli przyjmować nominacje babińskie, bo inaczej narażali się na wyśmianie. Gdyby szło o proste kłamstwo, możnaby jeszcze wierzyć temu podaniu, ale jeżeli szło o satyrę,

wszelka wiara ustąpić musi. Wyobraźmy sobie, że znajduje się gdzieś dzisiaj grono ludzi podrzędnych stanowisk, a takimi byli wszakże Babińczycy, którzy nietylko kpią sobie odważnie z ludzi, zajmujących wysokie stanowiska, ale jeszcze mają śmiałość drwiny te przenosić na papier w formie nominacyj i wręczać je ofiarom swoich żartów. Toby i dziś nie uchodziło: delegaci z nominacją najczęściej znaleźliby się za drzwiami, traktowanoby ich bowiem, jako zwyczajnych impertynentów. A przecież dziś jesteśmy więcej przyzwyczajeni do satyry, więcej otrzaskani z bolesnym żartem, a nawet z paszkwilem.

Czyż książę Kościoła, dumny hetman lub wojewoda, nie mieliby tyle mocy, aby wyprosić z komnat swoich wysłańców jakiegoś pana Pszonki, przychodzących do nich w ubliżającem im bądź co bądź poselstwie[1]). Jeżeli więc były wydawane owe nominacje, to przypuszczać się godzi, iż Babin wydawał je jedynie gronu swoich osobistych przyjaciół i znajomych, którym towarzyskie stosunki obrażać się nie dozwalały. Ależ w takim razie, gdzież jego znaczenie, gdzie ta satyra polityczna, której echo miało się rozlegać po całej Rzeczpospolitej nie Babińskiej, lecz Polskiej? Babin zatem stawał się zwykłą zabawką ograniczonego kółka swoich przyjaciół, był tem samem, czem w drugiej swojej epoce za czasów Jakóba i Adama.

---

[1]) Górnicki, któremu chyba nikt nie odmówi znajomości własnego społeczeństwa, w „Dworzaninie“, wyszłym za czasów pierwszej, tej niby świetnej epoki Babina, radzi być bardzo ostrożnym z „uszczknieniem trefnowania, aby człowiek wiedział, kogo dojechać ma... Więc i tych, którzy miłość a zachowanie mają, tykać nie trzeba, zwłaszcza możnych, bo igrzysko z nimi jest niebezpieczne“. „Z takimi — mówi dalej można kunsztować i niedostatki ich strofować, którzy nie są tak wielcy, iżby najmniejszy ich gniew mógł nam uczynić wielką szkodę“.

A dodajmy jeszcze, iż postać samego Stanisława Pszonki jest bardzo niewyraźna i to tak niewyraźna, iż można podać w wątpliwość nawet ową wielką popularność, jaką miał się cieszyć wśród. szlachty. Monografiści Babina opuszczają dyskretnie jeden fakt, wiele o nim mówiący. Czacki w swoich „litewskich i polskich prawach“ pisząc o pojedynku, przytacza w przypisku ciekawy dokument z r. 1550, tyczący się Stanisława Pszonki de Babin, a więc założyciela Rzeczpospolitej. Dokument ten jest ostatnim śladem istnienia w Polsce pojedynków, odbywanych za królewskiem pozwoleniem. Pszonka ubliżył słownie Mikołajowi Brzostowskiemu de Galczica, a wyzwany na pojedynek, nie stawił się. Przeto Zygmunt August wydał dekret, w którym go ogłaszał za burdę i tchórza. Dekret ten, znajdujący się w archiwum głównem warszawskiem, widział w oryginale W. A. Maciejowski [1]).

Burda i tchórz, to niebardzo zaszczytne epitety, zwłaszcza, jeżeli stwierdzone podpisem królewskim. Wprawdzie to nie wystarcza do zupełnego potępienia Pszonki; opierać się na jedynym dekrecie nie można. Mógł Pszonka odzyskać stracony honor, mógł się wytłumaczyć z niemożności stawienia się do pojedynku — ale bądź co bądź, dopóki niema przeciwnych dowodów, musimy się liczyć z dekretem Zygmunta Augusta. A licząc się, można powątpiewać o popularności Pszonki między bracią szlachtą, a przynajmniej pomiędzy jej częścią poważniejszą, stanowiącą wówczas rdzeń społeczeństwa. To znów pozwala poprzeć zarzut, stawiany Sarnickiemu, a tyczący się wiarogodności jego podań.

Ale kto to był sam Sarnicki? Nie może to być obo-

[1]) Czacki, wyd. z 1801, II. 147, Maciejowski, „Piśmiennictwo polskie“, t. III. str. 559. Czacki źle odczytał dokument, np. zamiast de Galczica, podaje de Gulezicza i później Pszonkę robi Mikołajem, przez zamianę imienia z Brzostowskim.

jętne, bo im pisarz poważniejszy, znakomitszy, prawdomówniejszy, tem większą wiarę przywiązujemy do słów jego. Sarnickiego wszyscy nasi historycy literatury lekceważą, a Juljan Bartoszewicz charakteryzuje jego wartość w dwu słowach: „nędzny pisarz“. I niema w tej charakterystyce przesady. Wszak *Annales* Sarnickiego należą bezsprzecznie do śmietnika naszej historjografji. Polacy są w nich Sarmatami, prowadzącymi ród swój od Assarmota, synowca Noego w szóstem pokoleniu. Zacząwszy od tego Assarmota, a więc od Noego, gdzie mu już tak blisko było do Adama i Ewy, ciągnie Sarnicki naprzód dzieje polskie (?) od tych czasów, aż do bajecznej historji Lecha, Krakusa i t. d., którego to ostatniego wywodzi od rzymskiego Tyberjusza Gracha.

W taki sposób zapisuje pięć ksiąg swoich roczników, a dopiero w trzech ostatnich na 105 kartach in folio, streszcza w sposób kronikarski dzieje narodu od Mieczysława do Stefana Batorego, wypisując żywcem całe ustępy z poprzedników. I w tem dziele, za które słusznie mu się należał tytuł historyka babińskiego, poświęcił Sarnicki przeszło trzy stronice Rzeczpospolitej babińskiej, to jest użyczył jej więcej miejsca, niżeli niejednemu całemu panowaniu, a tyleż, co panowaniom Bolesława Chrobrego i Zygmunta Augusta, z których każde streszcza na trzech stronicach. Tą proporcją zachowaną w *Annales*, uwydatnił sam Sarnicki swoją charakterystykę, jako pisarza [1]).

Co go zmusiło do tego, logicznie biorąc, czystego absurdu? Znajdujemy ku temu niejaką wskazówkę. Wiemy, że Sarnicki z wielkim szacunkiem odzywa się o Piotrze Kaszowskim, kanclerzu babińskim, właścicielu Wysokiego w Krasnostawskiem, sam zaś Sarnicki, urodzony

[1]) Opieram się na wydaniu pierwszem z r. 1587. Opis Babina znajduje się na str. 395—398.

w ziemi chełmskiej, blisko Krasnostawu, przebywał często w okolicach rodzinnych, bywał na synodach w Lublinie, a wreszcie Zygmunt III-ci mianował go wojskim krasnostawskim. Nie ulega przeto wątpliwości, że znał Kaszowskiego, co zresztą popiera wzmianka o tem, że Kaszowski „dotąd żyje“ i że ma „nadzwyczajne przymioty towarzyskie“. Nietylko zresztą znajomość łączyła Sarnickiego z Kaszowskim. Paprocki pisze: „Kaszewscy [2]) tamże w tym kraju (w województwie lubelskim), z których jeden, wieku mego, Piotr był sędzią ziemi lubelskiej, człowiek cnotliwy, chociaż był *alienus a fide catholica*“. Łączyła więc tych dwóch ludzi nietylko prosta znajomość, ale łączyło wspólne wyznanie i to w chwili, kiedy wyznania walczyły z sobą z największą zaciętością. Nieocenione jest dla zrozumienia tej łączności owe c h o c i a ż Paprockiego: Kaszowski był człowiekiem cnotliwym, c h o c i a ż był akatolikiem! Według zatem katolika Paprockiego, cnota z akatolicyzmem pogodzić się nie dała, a Kaszowski był tylko wyjątkiem. Naturalnie akatolicy odpłacali pięknem za nadobne, a co za tem idzie, trzymali ze sobą, wzajemnie się chwalili, reklamowali. Stąd przypuszczenie, samo się nasuwające: gdyby Kaszowski nie był akatolikiem i nie żył w bliższych stosunkach z Sarnickim, nie mielibyśmy w *Annales* tak dziwnie od całości dzieła odbijającego i nieproporcjonalnie wielkiego, a raczej olbrzymiego ustępu o Rzeczpospolitej Babińskiej.

---

[1]) Zwykła zamiana u heraldyków końcówek s z o w s k i, s z o w i c z na s z e w s k i i s z e w i c z — lub odwrotnie. Dziś e stale zwyciężyło i tylko chcący się popisać starożytnością rodu, są s z o w s k i m i i s z o w i c z a m i, tak jak i ci, co y zamiast j. używają, niepomni, że dawniej wszyscy się przez y pisali tak dobrze Zamoyski, jak Rogoyski, Gorayski i t. d. Właściwie, jeżeli ma być już starożytnie, to należałoby pisać: Zamoysky, Goraysky, Syedleczky, Skotniczky, Dębyenski, Dombrowsky, Pothuliczky, Czieskowsky zamiast Cieszkowski itd.

Była to zatem prawdopodobnie reklama dla swego znajomego, współwyznawcy, a co za tem szło wówczas i przyjaciela politycznego. Dziś taką reklamę łatwiej odczuć, a przecież czyż nie spotykamy się co chwila w dziennikach z wynoszeniem pod niebiosa różnych „salonów“, „ognisk życia towarzyskiego“, w których to „ogniskach“ nikomu nigdy ciepło nie było, albo z uchylaniem czoła przed „cichemi cnotami“, które rzeczywiście były tak ciche, że o nich właściciel ich nawet nie wiedział; albo z pochwałami dla mecenasów i znawców, którzy kupują obrazy na licytacjach, a znają się na ramach; albo wreszcie z szaloną reklamą dla najnędzniejszych ramot, wyszłych z pod pióra „przyjaciół politycznych?“

Sarnickiemu łatwiej przecież było reklamować Babin, bo nikt tej reklamie nie mógł nazajutrz zaprzeczyć, jak to dziś uczynić jesteśmy w możności, choć rzadko czynimy. A przyjaźń jego, jako akatolika z Babinem miała silny grunt pod sobą. Charakterystycznem jest n. p., że kiedy o innych Pszonkach wspomina się, iż umierali *catholica morte*, to Sarnicki pisze o Stanisławie, iż zeszedł z tego świata *christiana morte*. Z Sarnickiego też wiemy, iż wyśmiewano w Babinie gorliwych wyznawców Kościoła katolickiego, albo też innej sekty *(alterius sectae*, a nie *religionis)* i mianowano ich inkwizytorami. To też w Babinie jeszcze na początku wieku XVII. za czasów Jakóba Pszonki spotykamy sporo akatolików, a pierwszy w Regestrze zapisek opowiada o pijaństwie w zakrystji. Te stosunki z akatolikami, ta tolerancja, jak się wyraża wydawca Aktów babińskich, mogą nam w części wytłumaczyć i udział Pszonków w rokoszu Zebrzydowskiego, do którego, jak wiadomo, hurmem rzucili się akatolicy. Byłoby rzeczą niesłuszną, dziś zwłaszcza, oskarżać pojedyncze osobistości, lub ogół, na podstawie wyznania, ale trudno zaprzeczyć faktom historycznym, które poświadczają,

iż we wszystkich rokoszach, nieporządkach i kłótniach domowych, we wszelkiej opozycji władzy, a nawet w opuszczeniu sztandarów własnych, przeważny, stosunkowo do swej ilości, brali u nas udział akatolicy. Był w tem nawet pewien system, pewna teorja. Tak n. p. kalwińskich członków rodziny Radziwiłłów za czasów Pszonków widzimy wszędzie, gdzie dobry obywatel znajdować się nie był powinien, zacząwszy od rokoszanina Janusza, walczącego pod Guzowem (a byli w tym rokoszu i pp. Jakób i Stanisław Pszonkowie), a skończywszy na Januszu i Bogusławie, co służyli Karolowi Gustawowi (a służył mu i p. Adam Pszonka).

Wracajmy jednak do Sarnickiego. Świadectwo tego pisarza, jakeśmy się przekonali, nie wiele warte. Naprzód opowiadanie jego o Babinie jest bałamutne, „zdradliwe“, następnie on sam jako „nędzny pisarz“ nie bardzo na wiarę zasługuje, a wreszcie widocznem się wydaje, że pisząc o Rzeczpospolitej, miał na myśli reklamę dla swego przyjaciela i współwyznawcy, a zarazem dla tej szlachty, która sympatją otaczała nowinki genewskie i nie dwuznacznie żartowała z ludzi gorącej wiary. Sarnicki więc, jako świadek, należy do tych, od których przed trybunałem nie odbiera się przysięgi.

Potrzeba poszukać świadków innych, którzy, jeśliby nie powiedzieli coś pewnego o pierwszej epoce Babina, to przynajmniej stwierdziliby, iż Rzeczpospolita cieszyła się uznaniem w szerokich a poważnych kołach szlachty. Zdaje się, że o takich świadków nie powinno być trudno, boć wszakże Jan Achacy Kmita pisze wyraźnie:

w tym cechu znaczny
Miodopłynny pisorym Kochanowski zacny.
Był y w tey komitywie Rey w polski rym łacny,

Trzecieski y Paprocki y Sęp wierszem smaczny
Miał urząd niepośledni w tym sławnym Babinie [1]).

A więc idźmy za wskazówką Kmity i zajrzyjmy do tych pisarzy, co byli „znacznymi w cechu“. Jeżeli rzeczywiście należeli do przyjaciół Babina, piastowali urzędy babińskie, toć przecież w pismach ich powinny być jakieś ślady tego stosunku. Ale napróżnobyśmy ich szukali!

Jestto rzecz zaprawdę godna zastanowienia. Pomińmy już Trzecieskiego i Sępa, bo rodzaj literatury, któremu się oddawali, uwalniał ich od wzmianek o Babinie. Aleć Rej i Kochanowski do takiego Babina, jaki nam przedstawia Sarnicki, należeć rzeczywiście powinni i mogli. Wszak obaj ubiegali się za dowcipem, wszak sami należeli do najdowcipniejszych ludzi swej epoki, wszak Kochanowski pisał „Fraszki“, a Rej dla powiększenia ilości swoich „Figlików“ robił wycieczki wszędzie, do wszystkich literatur obcych. Przytem Kochanowski zbierał apoftegmata (anegdoty), a Rej całem swem życiem, usposobieniem, tak przyrastał do Babina, że jeżeli rzeczywiście do niego zaglądał, to musiał w jego sali siadywać na honorowem miejscu, to burgrabiowie, kanclerze i cały świat urzędniczy babiński pełnił przy nim obowiązki paziów i szambelanów. Wiemy też skądinąd, że Rej znał osobi-

---

[1]) Wrześnianin wylicza również między Babińczykami Reja, Kochanowskiego i Trzycieskiego, następujący jednak w nim zaraz obszerny ustęp o Kmicie, dowodzi, że czerpał po prostu z jego utworu. Naodwrót i Kmita pisze aż dziesięć wierszy o Wrześniowskim (Wrześnianinie), — stąd rzecz jasna, iż obaj natchnieni ślubem Katarzyny Pszonkówny ze Stradomskim, jednocześnie powzięli myśl uwiecznienia tego faktu i wzajem sobie w pracy pomagali, czego dowodzi rażące podobieństwo obu utworów. Stąd wiersze ich są dla nas jednem źródłem, a nie dwoma.

ście Pszonkę, był bowiem arbitrem w sporze jego z bratanicą Kaszowską [1]), żoną kanclerza babińskiego, wiemy, że miał dobra w pobliżu Lublina, że w nich nietylko gościł, ale i stale przebywał, że wreszcie, kiedy pośredniczył w sprawie Kaszowskiej, to musiał znać i jej męża, z którym go łączyła nawet wspólność wyznania. Co do niego więc nie ulega, zdaje się, wątpliwości, że był w „komitywie“ z Babinem, jak się wyraża Achacy Kmita. A te wszystkie okoliczności powiększają zdziwienie, że w pismach Kochanowskiego, a zwłaszcza Reja, nie odezwało się ani razu wspomnienie Babina.

Jeden jedyny z przytoczonych przez Kmitę Paprocki wiedział, że Babin istnieje, ale Babin miejscowość, a nie Rzeczpospolita. W swoich „Herbach rycerstwa“ pisze o Pszonkach: „Wieku mego był to dom znaczny w województwie lubelskiem, a pisali się d e B a b i n“. I to wszystko! Na wzmiankę o Piotrze Kaszowskim zdobył się Paprocki, nie zdobył się jednak na wzmiankę o Stanisławie Pszonce, ani o tej sławnej Rzeczpospolitej, do której sam miał należeć, którą miał się zajmować nawet Zygmunt August i Zamojski, około której miały się grupować „wszystkie znakomitsze imiona“, która miała mieć „potężny wpływ wśród ówczesnych zaognionych stosunków religijnych“. (Windakiewicz) [2]).

Lecz jeżeli ci wszyscy pisarze przez dziwną, przypadkową jednozgodność zapomnieli o Babinie, to był przecież

---

[1]) Pamiętnik Jakóba Pszonki, wydanie Bielowskiego.

[2]) Wypada wspomnieć, choć w przypisku, o mniemanym a wielkim udziale Jana Zamojskiego w Babinie, bo dla Windakiewicza „nie jest hypotezą, ale faktem, iż Zamojski był s p i r i t u s m o v e n s“ Babina. Otóż ten fakt polega na jednej wzmiance w „Aktach“, że Tomasz Zamojski został po ojcu totumfackim babińskim, przez co Pszonka nadawał mu prawo nominacji urzędników. Wiemy, iż T. Z. nietylko tego prawa

jeden taki, któremu zapomnieć o nim nie było wolno, jeżeli Babin rzeczywiście rej wodził w życiu towarzyskiem prowincji i trzymał berło satyry i humoru. Myślimy o Górnickim. Prawda, że wziął on swojego Dworzanina „z ksiąg Grofa Balcera Kastygliona“, ale przecież nie tłumaczył go dosłownie, „tego abo owego nie włożył“, nie jedno „odmienił“, i jak to powszechnie jest znane, sporo swojego dodał, a zwłaszcza rozmaitych anegdot czysto polskich. Sprawy dowcipu, „trefności“, traktował obszernie w księdze drugiej i tam też najwięcej dokładał swego.

Wyliczał wszelkie rodzaje dowcipu i na każdy z nich dawał przykłady. Poznajemy się tam z dowcipem lub żartami Tenczyńskiego, Tarnowskiego, Ocieskiego, Kmity, Reja, Białobłockiego, Bogusza, Rylskiego, Maika, Zembockiego i t. d. Co więcej, są tam dowcipy w rodzaju Babina; jest mowa o ziemianinie, „co na karasiu jesdża, a w szczuce nalazł jastrzębia, a on kuropatwę skubie“; są nawet nominacje a la Babin, bo Stanisław Białobłocki, mówiąc o siedmiu braciach Karnickich, nazywał ich kuchmistrzami, gdyż „niemal z przyrodzenia mają, iż każdy umie sobie rozkazać dobrze uczynić jeść“, a jeden tylko między nimi najmłodszy Jakób jest podczaszym, bo go „ludzie za tego wzięli, jakoby go trunek nie miał mierzić“. I w tym Górnickim, który z urzędu, że tak powiem, po-

---

nie wykonywał, ale nie zajrzał ani razu do Babina, nawet nominacji udzielił mu Pszonka... w Lublinie. Jakiż dowód, że wielki Jan Zamojski nie był takim samym totumfackim, jak jego syn, że nietylko miał tytuł, ale i z niego korzystał? Tytuł ten nie obrażał, owszem, był pewnem pochlebstwem, zaznaczeniem, iż w państwie Zamojski wszystko brał na swoje barki. Był to tytuł dowcipny, ale nic więcej — nie można z niego wyciągnąć żadnych wniosków o udziale Zamojskiego w Rzeczpospolitej babińskiej, a cóż dopiero nazywać go na tej podstawie „spiritus movens“ Babina.

winien był wiedzieć, i pisać o Babinie, niema o nim ani jednego słowa.

I w całej literaturze współczesnej epoki cisza o Babinie zupełna. A nietylko w literaturze, ale i wszędzie. W żadnym zbiorze wydanych, a pochodzących z wieku XVI. listów, nie odzywa się najlżejsze echo Babina. Przeglądałem, o ile możności, wszystkie współczesne pamiętniki, relacje i t. d. i zawsze z tym samym skutkiem, to jest raczej bez skutku. Istnieje cała np. literatura składająca się z relacyj nuncjuszów i legatów papieskich, przebywających w Polsce; wielu z nich szczegółowo opisywało zwyczaje, obyczaje i oryginalniejsze szczegóły z ustroju społecznego i towarzyskiego naszego kraju, a żaden nie wspomniał o sławnej Rzeczpospolitej, która miała udzielać godności prawie wszystkim senatorom duchownym i świeckim. Gdzież się podziały wreszcie te tysiące dyplomów babińskich, pisanych na pergaminie i opatrzonych pieczęciami? — chyba jakiś wróg zacięty Babina wykradał je wszystkie i niszczył, aby żaden nie przeszedł do potomności.

Pozostaje wciąż, jako wyłączne źródło wiadomości złego i dobrego, jeden, jedyny Sarnicki.

Czegoż to wszystko dowodzi? Oto chyba tego, że Babin w swojej pierwszej epoce był zupełnie taki sam, jak za czasów Jakóba i Adama Pszonków, że wszystkie wnioski, wyciągnięte z „Aktów“ babińskich, dadzą się zastosować i do tej pierwszej epoki. Sam wydawca „Aktów“ twierdzi, że druga epoka (Jakóba) miała być najświetniejsza, a wiemy jaką była. Bawiono się prawdopodobnie tak samo i za pierwszej epoki w Babinie, mniej lub więcej niewinnemi dykteryjkami, opartemi na kłamstwie; prawdopodobnie „wilk“ przechodził z ręki do ręki; kto lubił wypić, przybywał chętnie do Babina, ale nikt się nie chwalił, zwłaszcza drukiem, stosunkami z Najjaśniejszą

Rzeczpospolitą Babińską. Jeden tylko Sarnicki był bardziej naiwny, uwierzył przechwałkom Pszonki czy Kaszowskiego, którzy jako wyćwiczeni w kłamstwie, nagadali mu, co im na myśl przyszło, a on, jako pisarz bezkrytyczny, a może, jak przypuściliśmy, dla przypodobania się przyjacielowi Kaszowskiemu, obdarzył świat wiadomością o akademji humoru i satyry, która była zwykłą towarzyską zabawką grona sąsiedzkiego, a co więcej, bynajmniej nie oryginalną i bynajmniej nie wyjątkową.

Tak jest, towarzystw tego rodzaju, co babińskie, było na świecie, a nawet w Polsce dużo, tylko mało o nich pisano i tylko gdzieniegdzie jakaś drobna wzmianka we współczesnych broszurach, listach lub epigramatach zaznacza ślad ich istnienia. Piotr Chmielowski rodowód Babina prowadzi z Włoch, gdzie podobne humorystyczne związki od dawna były znane; rodowód ten jest bardzo prawdopodobny, wiemy bowiem, iż do Polski w pierwszej połowie XVI. wieku ciągnęli Włosi jakby sznur żórawi; na dworze królewskim roiło się od nich i dopiero odjazd Bony zatamował ten przypływ.

Windakiewicz przytacza ze źródeł francuskich nazwy dwóch takich towarzystw *La Mère folle* w Dijon i *Royaume de la Basoche*, które znacznie wcześniej istniały we Francji, a miały również urzędników, opierały się jak Babin na fikcyjnych przywilejach i parodjowały miejscowe urządzenia[1]). W roku 1450-tym spotykamy w Polsce *Fraternitas sacerdotum*, rezydującą w Łańcucie[2]). Stanisław Górski w życiorysie Krzyckiego wspomina o Korybucie Koszyrskim, szlachcicu z ziemi sochaczewskiej, który należał do najdowcipniejszych ludzi swego czasu; Koszyrski

---

[1]) „Akta“, str. 7.

[2]) Windakiewicz z Ulanowskiego „Analecta ad hist. iuris can. in dioec. Praemislensi“.

ten za Zygmunta Starego powołał do życia wesołe towarzystwo, złożone z obojej płci hulaszczej i nie liczącej się z moralnością, które wyprawiało orgje, a podkasany dowcip w wysokiej miało cenie[1]). Za tegoż Zygmunta Starego widzimy inne towarzystwo, *Sodalitium*, którego węgłami byli: Dantyszek, poeta, późniejszy biskup warmiński, dworzanin królewski Jan Zambocki i Mikołaj Niepszyc z królewskiej kancelarji; Zambocki nazywał członków bractwa *bibones et comendones*[2]). Z przytoczonych poprzednio słów Górnickiego widzimy, iż było w zwyczaju żartobliwe nadawanie urzędów, i że krążyły między szlachtą dowcipy w rodzaju babińskich. Aleksander Weryha Darowski w swoich „Przysłowiach[3]) wyraża się, iż mieliśmy kilka rzeczpospolitych podobnych do babińskiej. Bezimienny autor cytowanej poprzednio broszury: „*Beschreibung des Ursprungs des Alabander*“ przytacza z podobnych towarzystw naszą Rzeczpospolitą babińską, *andere zu geschweigen*, a więc były współcześnie i inne. Wespazjan Kochowski, jedyny z późniejszych poetów, który w pismach swoich wspomina o Babinie (w „Niepróżnującem próżnowaniu“), większą przecież kładzie wagę na Rzeczpospolitą waśniowską, bo

Tu *Raggion di statto* jak wieść o tem słynie:
W Waśniowie rząd pospólstwa, monarchy w Babinie.

„Przeciw waśniowskiej rzeczpospolitej“ dla Kochowskiego „wszystko fraszką i cieniem“ — wobec niej niczem

---

[1]) Do towarzystwa tego należał poeta Andrzej Krzycki, który w utworach swoich wiele korzystał z dowcipu Koszyrskiego. Kaz. Morawski sądzi, iż Krzycki zwalał tylko na Koszyrskiego autorstwo („Ze dworu Zygmunta Starego“ „Przegląd polski“, r. 1887, str. 537).

[2]) Tamże, str. 540.

[3]) Przysłowia, 115.

Sparta, Rzym i Ateny. To też oprócz dłuższego wiersza w „Lirykach“ pod tyt. *Encomium* miasta Waśniewa [1]) poświęca jeszcze tej Rzeczpospolitej dwie fraszki p. t. „Waśniow“ i „Votum Waśniowskie“, które jeżeli są w pomyśle produktem Waśniowa, dobrze świadczą o tej Rzeczpospolitej, bo mają w sobie więcej dowcipu niż połowa zapisków babińskich. W końcu doszła do nas jeszcze wiadomość o Rzeczpospolitej kleczewskiej. Ks. Lewandowski nadesłał do „Wspomnień Wielkopolski“ E. Raczyńskiego artykuł o miasteczku Kleczewie, który kończy w te słowa: „Od niepamiętnych czasów posiadacze pojedynczych wiosek w tej okolicy składają stowarzyszenie, które rzeczpospolitą kleczewską nazywają. Nie mogliśmy dociec, jaki początek tego przezwania, które dotąd w brzmieniu swojem w całej mocy się utrzymuje [2]).

Z czasem zapewne wykryje się więcej towarzystw tego rodzaju co Babin, wszystkie jednak będą o tyle nieszczęśliwe, że żadne z nich nie miało swojego Sarnickiego. Rzeczpospolita Babińska będzie miała jeszcze tę wyższość nad innemi, że pozostawiła po sobie swoje akta i weszła w ten sposób do literatury i historji życia towarzyskiego.

Przechowała się ona nawet w paru przysłowiach. Kiedy ktoś puszczał się na kłamstwa, opowiadał rzeczy nieprawdopodobne, mówiono, że „po suchych miejscach pływa“, lub, że „musiał to słyszeć w Babinie“. Ludzi tchórzliwych znowu, „śmiałych gębą“, nazywano „rycerzami

---

[1]) Kochowski, „Liryki“, ks. I, XXIII, w wydaniu Turowskiego, str. 49. Waśniów, niegdyś miasteczko w Opatowskiem — w pobliżu niego leżał folwark Gaj, miejsce urodzenia i pobytu Wespazjana Kochowskiego. (Patrz „Słownik geograficzny“). — Kochów, zapewne gniazdo Kochowskich, leży pod Opatowem między Strzyżowicami a Czernichowem.

[2]) „Wspomnienia Wielkopolski“ E. Raczyńskiego 1842—1843, II, 423. Kleczew leży w powiecie słupeckim w Kaliskiem.

z babińskiej wyprawy". Oba te przysłowia nie są zaiste zbyt pochlebnem dla Babina świadectwem.

„W czepku się urodziła Rzeczpospolita babińska" — napisałem na początku niniejszej rozprawy i pozwalam sobie sądzić, iż dowiodłem tego założenia. Pozostawiła ona po sobie stokroć lepszą pamięć, aniżeli pozostawić była powinna — żyje już blisko cztery wieki sztuczną reklamą, której tylko lękliwą gdzieniegdzie stawiano opozycję. Pierwszy Tarnowski usiłował sprowadzić jej znaczenie do właściwych rozmiarów, ale uczynił to połowicznie, i skutkiem tego zapewne zapatrywania jego pokryły tylko lekką zmarszczką spokojne potęgą swej tradycji wody Babina. Czy usiłowania moje w tym kierunku będą skuteczniejsze, czy zdołałem rozwiać iluzje otaczające Babin, a wciąż pokutujące w naszej literaturze — przesądzać nie mogę, a zresztą nie do mnie należy ocena siły mojej argumentacji.

1895.

MAŁPA-CZŁOWIEK.

NIEZNANA SATYRA Z POCZĄTKU XVIII. W.

Satyrę, której streszczenie podaję, znalazłem w starej, pisanej księdze, złożonej z kilku rękopismów XVIII. w. razem zeszytych i oprawionych. Książkę tę podarował niegdyś mojemu ojcu Cezar Biernacki, autor kilku rozprawek historycznych, sekretarz 28-tomowej Encyklopedji Orgelbranda. Biernacki był kaliszaninem, z Kalisza podobno rękopis przywiózł, więc też ojciec mój nazwał go Rękopisem kaliskim.

Rękopis satyry dość obszerny, zająłby prawdopodobnie do ośmiu arkuszy druku. Tytuł jego pierwotny: *Małpa-człowiek w cnotach*, tytuł zaś późniejszy, pełny: *Satyra. Małpa-człowiek w cnotach, obyczajach i kroju.* Te dwa ostatnie wyrazy i pierwszy dopisane są tąż samą ręką, ale innym, ciemniejszym inkaustem. Widocznie autor pomysł swój pierwotny rozszerzył, czego dowodzi i sam wstęp, w którym o tak rozległym zakresie pracy niema wcale wzmianki. Satyra, tak jak wyszła ostatecznie z pod pióra nieznanego jej autora, rozpada się na trzy części: 1) *Małpa-człowiek w cnotach*, 2) *Małpa-człowiek w obyczajach* i 3) *Małpa-człowiek w kroju.* Na każdą z tych części składa się kilka rozdziałów [1]).

---

[1]) Po napisaniu tej rozprawki dowiedziałem się ze sprawozdania o zajęciach naukowych, złożonego Uniwersytetowi Warszawskiemu przez Teodora Wierzbowskiego, że w Królewskiej bibljotece w Dreźnie znajduje się rękopis z XVIII. wieku,

Kto był autorem satyry — daremnie byłoby dociekać, niema bowiem żadnych wskazówek, mogących naprowadzić na ślad nazwiska autora. Gdyby można przypuszczać, że jestto utwór którego ze znanych pisarzy, prędzejby się można pokusić o dochodzenie ojcostwa tego dziecięcia; ale styl rubaszny, nieproporcjonalny układ, brak literackiego obrobienia, częste wreszcie powracanie do tego samego przedmiotu, nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że autor satyry, choć nie bez zdolności, nie był jednakże pisarzem z zawodu, ale tęgim szlachcicem, co ręką od korda odjętą, niewprawnie ale zamaszyście, od serca i do serca pragnął przemawiać.

Parę wyrażeń tchnących niechęcią do Sasów, jakoteż wspomnienie o pełnym pobożności „królu nieboszczyku“ wskazują wyraźnie pierwsze lata XVIII. w. jako czas powstania satyry. Pewna surowość i ton mentorski, jakim autor pracę swoję zabarwił, pozwalają wnosić, że w chwili kiedy jął pióro do ręki, był już mężem dojrzałym, a bodaj czy nie starcem.

Przypuszczenie to upoważniałoby do domysłu, że brał udział w odsieczy Wiednia, a może i do chocimskiej wiktorji się przyłożył. Że był to bowiem „człek rycerski“, jasny dowód w jego własnych słowach: „Czytając o wojnach i sam zaraz wojując, nauczyłem się wojować z niemałą męztwa swojego reputacją, bo pochop sercu i aplikacji wziąłem z opisanych na pochwałę naszych kawalerów akcji“. Nie można tego brać za czczą przechwałkę, boć autor starannie ukrył swoje nazwisko. Są wreszcie i inne poszlaki przemawiające za jego długim zawodem rycerskim, a najważniejszą bodaj z nich będzie stan ka-

---

zawierający kart 102 folio (sygnatura bibljoteczna G. 44), pod napisem: „Małpa-człowiek w cnocie, w obyczajach i w kroju, to jest na kształt ludzkiej, ale nie cale ludzka wieku teraźniejszego maniera“.

walerski autora. „Żołnierz za żonę miewa szablicę“ — mówi bardzo słusznie któryś z dawnych poetów, bo stan rycerski, jak go dawniej jako zawód pojmowano, nie mógł się godzić ze spokojem domowego ogniska. Nasz satyryk widocznie był tegoż zdania, mówiąc bowiem o „stroju białogłowskim“ dodaje, że ma „do tego wolność“, gdyż mu jej „przez przywilej stuły nie zawiązała żona“.

Charakterystykę autora wyciągnie sam czytelnik ze streszczenia satyry. Nie mogę się jednak powstrzymać od zwrócenia uwagi na kilka wybitnych rysów, cechujących jego indywidualność i przekonania.

Przedewszystkiem przyznać mu należy spory zasób odwagi cywilnej i prawdomówność. Każda prawie karta jego utworu silnie za tem przemawia, stąd na zupełną wiarę zasługują słowa, które mówi sam o sobie: „Za drzwiami respektów wystawać nie będę“.

Szczery, prawdziwy katolik, ubolewający nad „upadkiem chwały Boskiej i nabożeństwa“, upatrujący w tem nawet przyczynę wszelkiego złego, gromi jednakże wady duchowieństwa, choć wie, że „za to prawdziwego katolika gotowi zrobić heretykiem“. Rzeczywiście, dziwne u nas dotąd jeszcze panują w pewnych sferach pojęcia. Owi Opalińskiego „liżyobrazki i zmyśleni obojej płci nabożnisie“ nie pozwalają nawet wspomnieć, że ktoś gdzieś naganiał lub nagania ułomności ludzkie w osobach poświęcających się stanowi duchownemu. Przeglądając zaś dzieła naszych katolickich pisarzy od XVI. do końca XVIII. w. na każdym kroku spotykamy się z tą słuszną czy niesłuszną naganą. Kochanowskiego *carmen macaronicum* jest jakby wstępem do całego ich szeregu. Najszerzej rozwodzi się o tej sprawie Opaliński, choć jak sam powiada:

piszę prawowierny
Katolik, z synów jeden Kościoła świętego.

Nasz satyryk wreszcie pisze prawie to samo, co podnosili i uznawali współcześni dostojnicy Kościoła. Może o jakie lat 20—30 od niego oddalony Wacław Sierakowski, biskup przemyski, następnie arcybiskup lwowski, przestrzega w r. 1741 przed „zamienianiem się świątyń pańskich w jaskinie“ a potem w sprawozdaniu swojem do Rzymu (1763) uskarża się na lekkomyślne odbywanie służby Bożej; narzeka, że w jego nieobecności opuszcza się wyższe i niższe duchowieństwo, wspomina o oburzeniu ludu, o kanonikach „latających po wioskach okolicznych nawet po nocach“ itd. (Dzieduszycki. Żywot Sierakowskiego str. 5- i inne).

Na wszelkie uznanie zasługuje rozumne i uczciwe pojmowanie przez satyryka obowiązków rządzących względem rządzonych. Dość spory traktacik: „jakim szlachcic być powinien“ zawiera tyle zdrowych myśli, że obudza prawdziwy szacunek dla autora. A już najwyższy zaszczyt mu przynosi ustęp o biedzie i poniżeniu maluczkich.

„Języka polskiego obyczaj“ szczerze mu leży na sercu. Wogóle wszelka cudzoziemszczyzna jest mu wstrętna i niemiła.

Uposażenie umysłowe satyryka zdaje się być dość obfite. Wiele razy powołuje się na fakta czerpane z historji, chłoszcze dowcipnie nieuctwo kaznodziejów; Plutarchus, Diodorus Siculus są jego dobrzy znajomi. Ze czcią wyraża się o poprzedniku swoim Opalińskim: „Nie przyjdzie rzecz ta (satyra) do druku przez podłość swoją i prywatną zabawę wyrobiona. Ma ją na świecie w satyrze swoim sudanno, nader kształtnie, okrągło i rzetelnie wielki nad zamiar Opaliński“.

Skończywszy tę krótką charakterystykę autora, wypada mi jeszcze może usprawiedliwić się dlaczego streszczenia satyry dokonałem.

Literatura nasza drugiej połowy XVII. w. i pierwszej

wieku XVIII-go, najmniej była i jest znaną. Po Kochanowskim, Reju, Skardze, szli prawie zaraz w następnym szeregu Krasicki, Naruszewicz, Trembecki, a próżni stąd powstałej, nie starano się długo zapełnić. Epokę panegiryzmu sądzono z pogardą i uprzedzeniem. A jednak nabywa ona coraz więcej znaczenia w literaturze, coraz więcej domaga się sprawiedliwości. Kto wie nawet czy nie okaże się zczasem najobfitszą w prace umysłowe, pomiędzy któremi może być wiele śmiecia, ale jest i wiele pożywnej strawy. Trzeba tylko szukać i szperać, a za plon obfity ręczyć można. Wszakże dopiero przed trzydziestu laty odnaleziono perłę naszej epicznej poezji: „Wojnę chocimską“ Potockiego. Kochowski zaledwie w ostatnim dziesiątku lat otrzymał należne sobie stanowisko w rzędzie poetów. Z Morsztynami dopiero Małecki gruntownie nas zapoznał i uporządkowawszy chaotyczne o nich wiadomości, przyznał Andrzejowi to, co miał pisać nieistniejący Zbigniew [1]). O autora „Swady“ jeszcze się dziś sprzeczamy. Jemiołowskiego odnalazł w r. 1859 Bielowski, Jerlicza Wójcicki, Otwinowskiego Raczyński. Juljan Bartoszewicz podał pierwszy wiadomość w „Dzienniku Poznańskim“ o dwóch wierszopisach polskich z XVII. wieku: Janie z Krzyszkowic i Sebastjanie Kochanowskich. Religijny wierszopis Walenty Odymalski nawet dzisiejszym historykom literatury nie jest znany, lubo znał go dobrze Brodziński (Kursa literatury pols. w Uniw. Warsz.); z nowszych tylko Tyszyński poświęcił mu zaszczytną wzmiankę, na którą ze wszech miar zasługuje płynnością i siłą wiersza. Słowem, dziś każda chwila zdziera pomrokę z tej

[1]) Przed kilku laty wydał Dr. Wł. Seredyński wiele nieznanych wierszy ulotnych Andrzeja Morsztyna — piszący zaś te słowa jest w posiadaniu innych jego utworów dotąd całkiem niedrukowanych.

pogardzanej literatury, każdy rok przynosi jej zaszczytniejsze uznanie, każdy wzbogaca ją nowemi odkryciami[1]).

Do tej pracy, około wyrządzenia sprawiedliwości literaturze z czasów Sobieskiego i Sasów, pragnąłbym ze swej strony się przyczynić, a ponieważ styl autora satyry dość silne na mnie zrobił wrażenie, ponieważ język wydał mi się dziwnie jędrnym i dobitnym, a treść bardzo rozumną i poczciwą, postanowiłem więc wydobyć z ukrycia utwór choć niepierwszorzędny, lecz w każdym razie dorzucający co nieco do historji obyczajów i świadczący, że zdrowa myśl przebijała się ciągle przez powłokę gnuśności, nieporadności i upadku naszego w początkach XVIII. wieku.

I.

Satyra rozpoczyna się od zapytania: czemu przypisać należy ogólny upadek obyczajów i gdzie się podziały starodawne cnoty ojców naszych? Oglądając się naokoło, nigdzie ich autor nie dostrzega i pyta sam siebie, gdzie je znaleść może: „w państwach i królestwach całych, w zwierzchnościach czy władzach, w płci i stanach, w zgromadzeniach czyli w osobach?“ Przewiduje, że poszukiwania jego będą bezowocne. „O jak ciężkiej i nieskutecznej podjąłem się pracy! Żyć mi było z wami, strawione dawnością wieków z samemi grobami waszemi imiona, staroświeccy i poczciwi ludzie. Tam bym się był napatrzył w cnotach ludzi, w ludziach Boga, w Bogu pokoju, w pokoju wszystkich żyjących szczęśliwości, w szczęśliwościach słodkiej i spokojnej dawcy wszystkiego chwały“.

Pomroka wieków pokryła te czasy, kiedy w państwach

---

[1]) Zwracam uwagę, że pisałem to w r. 1882 — przez 48 lat wiadomości o literaturze tej epoki znacznie się powiększyły. (Przypisek dzisiejszy).

i królestwach widziano „ową przyobiecaną ludowi bożemu ziemię, w której dla pobożności, dla zachowania przykazania swojego, dla cnoty i świętobliwych narodu obyczajów, pomnażał Pan Bóg wszelakie dostatki i obfitości, spokojnemu onych błogosławiąc zażywaniu“. Wtedy to wznosiły się w tych błogosławionych ziemiach „mistyczne trony“, a na nich zasiadali monarchowie pomni, że lubo ich Pan Bóg nad wielu podwyższa ludzi“, to jednak chce ich mieć „w równości skazitelnej natury ludziekiej“, aby o ludzkie nad ludźmi starali się panowanie. To też w owych czasach Pan Bóg „uprzywilejował cudownemi cnotami i mocami same nawet berła, laski i insze przełożenia znaki, tak dalece, że skinienia ich, jakoby samych ordynansów i rozkazów, nietylko ludzie, ale same nieba, twarde opoki, bezdenne morza i insze elementa słuchały i w cudownem obserwowały posłuszeństwie“. Żyli wówczas pobożni Auguści, wstydliwe Bolesławy, czyści i wstrzemięźliwi Józefy, sprawiedliwi Aureljusze, gorliwi o całość państwa Alfonsi, że się już nie wspomina Dawidów, Jozafatów, Barachiuszów, owe „wzory bogomyślności, pokory, pokuty i starania o pomnożenie wiary i chwały boskiej“.

Wspomnienia tych znakomitych monarchów smutne nastręczają porównanie. Dziś „tron osiada albo nieodrodna od nieprawości antecessorów natura, albo sama panowania ambicja, w panowaniu ludziom ciężka potęga, w potędze własna, pasjonalna wola, w woli nieznośne bezprawie, w tem przykry nieporządek, we wszystkiem bezbożne uciemiężenie i tyrańskwo. Kędy miejsce pobożności zabrała bezbożność, miłości boskiej wszeteczeństwo i nierząd, wierze pozór i niedowiarstwo, sprawiedliwości bezprawie, przysiędze gwałt i nieposłuszeństwo, powadze lekkość, sercu słabość, akcjom infamia, wojnie pretekst, po-

kojcwi wewnętrzne zamięszanie, dobru pospolitemu interes, prywatnemu ździerstwo i oppresja, całości ruina, zasługom krzywda, zgoła błogosławieństwu we wszystkiem boskiemu same łzy i nieoszacowany krwi dostojnej szafunek". Jaka tego przyczyna? w czem leży to złe, które wykorzenić się nie daje? Odpowiedź prosta: przyczyną złego jest ogólny upadek cnoty. Monarchowie połączeni są ścisłym węzłem ze swoim ludem, są kością jego kości, krwią jego krwi. Jaki lud, taki monarcha: przedtem „ludzie według Boga bywali, a według ludzi królowie, według tych zaś Pan Bóg dla ludzi". Winy ludów spadają na monarchów i odwrotnie: „dla ladajakiego monarchów życia całe, choć niewinne Pan Bóg zwykł karać narody". Dla ladajakich poddanych król dobry, dla złego króla dobrzy poddani być nie mogą. Poszanowanie majestatu nie dozwala pisać „co się teraźniejszych lat przez nieprzyzwoitą zwierzchność w różnych państwach i królestwach dzieje". Wyręcza się więc autor słowami „poety", którym prawdopodobnie sam będzie. Poeta zadługo rozprawia, aby przytaczać wiersz cały *in extenso*. Oto niektóre wyjątki.

Nie na królestwa, licz teraz na groby
Najwyższej ziemie poddane zwierzchności,
Gdzie tylko smutne kiry i żałoby,
Ale po polach widzieć martwe kości,
Gdzie Mars wyssawszy z ludzkiej krew wątroby,
Albo głód, zjadłszy do szczętu wnętrzności,
Łakomym cały zbiór zagarnął łupem,
A tylko samym miejsca usłał trupem.

Gdzie pokój i czas zmierzywszy spokojny,
Własnym popiołem ozdoby zagrzebła
Niesprawiedliwej chęć prywatna wojny.
I lub interes nie zaważył ździebła,

Szafunek na to odważyła hojny,
Ażeby ludzi tysiącami grzebła,
Albo zrzuciwszy łaskawość z natury,
Ledwo ich z własnej nie odarła skóry.

. . . . . .

Gdzie drab, w niekarnych brykający zbytkach,
W domu i w cudzej wolność wszelką żenie, [1])
W gumnach, w szpichlerzach, w oborach, w dobytkach,
Na zażywanie ma i obelżenie:
Ani w świątnicach pańskich i przybytkach,
Gdzie czcimy ciała boskiego złożenie,
Dyskretniejszego zwykł zażywać serca
Szarpacz, gwałtownik, zbójca i morderca.

Gdzie poświęcone kościoły na szkapy;
Na pojedynki i bitwy cmentarze,
Na proste wyrki [2]), łóżka i kanapy
Poobracano straszliwie ołtarze;

. . . . . .

Gdzie słudzy boscy, pobożni kapłani,
Przez nieuczciwą charakteru wzgardę,
Metresom służyć pokonfudowani,
Albo chędożyć muszą kurdygardę,
A z domów własnych sędziwi plebani
Ledwo nie na łeb skakają przez dardę,
Miejsca i wygód ustępując wielu
Dla nieprzystojnych maszkar i b.....

Gdzie wiara ślubów stwierdzona przed Bogiem
Już nie za swojem w zażywaniu prawem,
Ale za wolnym zwierzchności nałogiem
Kontraktem chodzi, arędą, zastawem;

---

[1]) Wypędza, wygania od *żonąć*.
[2]) Tapczany, prycze.

A męże, włoskim uraczeni rogiem,
Skwasiwszy tylko wejrzeniem łaskawem
Ową dorodną i uczciwą minę,
Przez ścianę muszą cierpieć oskominę.

O! trony, trony! — trumny raczej rzekę,
W których szczęśliwość krajów leży trupem,
W tęż-to wam Pan Bóg podał ich opiekę
Z ludźmi drogimi krwi swojej okupem?
. . . . . .
Tyle przemysłów w otchłań wojny wchodzi,
Niesprawiedliwych w przemysły sposobów,
W sposoby tyle Mars potyczek zwodzi,
W potyczkach tyle sypie mogił, grobów,
W groby tak wielu ludzi z świata schodzi
Za ludźmi tyle łez płynie Niobów:
Osierociałych żon, matek, powinnych...
. . . . . .

Poeta kończy zapytaniem: jak taką „machinę“ zaniosą monarchowie tam, gdzie wypadnie płacić duszą „najmniejszą odrobinę?“ — i dodaje napis, jakiby położyć można na nagrobku złego monarchy:

Tu leży wielki król honorem wszędy,
A dusza jego — djabeł sam wie kędy.

Od tronów przechodzi autor „do najbliższego majestatu dostojeństwa“, do senatorów. Wspomina owych rzymskich *patres conscripti*, co ojcami ojczyzny „nie na pozór mogli się nazywać“, o dobro bowiem pospolite więcej dbali, niżeli o dobro własnych dzieci, „życie i wszystko swoje prywatne niżej od niego pokładając“. Cnota, zasługi i pobożność były stopniami do senatu. Takie tylko państwo potęgą i powodzeniem zaważy, „w którem wszystkie stany na jeden dobra pospolitego ważą się interes“. To

jest: nic dla siebie, nic dla pana, nic dla Rzplitej bez pana partykularnie nie usiłując, ale tego wszystkiego w jednym pospolitym szukając pożytku". Dlatego to sławną i straszną była Rzplita rzymska, bo stała zgodą powszechną i „radą senatu skuteczną, skuteczną — bo zawsze doskonałą, doskonałą, — bo nieprzewrotną, nieprzewrotną, — bo interesowaną, interesowaną — bo ostrożną i uważną, uważną — bo od ludzi doskonałych i przez wszystkie okoliczności czasu i stanu wypróbowanych pochodziła". Cnota to do godności senatorskiej prowadziła, cnota to przekazała dziejom „owe nieśmiertelne w senacie i na urzędach nieumierające Fabrycjuszów, Torkwatów, Brutusów, Fabiuszów, Korneljuszów i insze nomina".

„A że o tem mówi się po polsku, wejrzyjmy też i na dawne Polaków nagrobki, a wzbudźmy w pamięci owe zeszłe przez krzywdę wieków Zasławskich, Ostrogskich, Zborowskich, Żółkiewskich, Tarnowskich i insze stojące jeszcze chwalebnie w wielkich sukcesorach imiona, których pobożności, świętej munificencji, walecznych czynów i obfitych w tryumfach awantażów dowodem i wiekopomną stoją pamięcią owe kunsztowne i wyśmienite kościoły, opatrzne klasztory, dostatnie cenobia (pustelnie), niedobyte fortece, liczne ammunicje i insze Bogu i Rzplitej poświęcone bazyliki i fundusze". Zazdrościć pozostaje przeszłym wiekom tych mężów sławnych. W kosztowne ich fundacje nie wchodziło mienie nabyte krzywdą bliźnich lub złupieniem innych fundacyj, — grosz uczciwie zapracowany lub zdobyty na nieprzyjacielu krzyża świętego był podstawą ich majątku, a zarazem środkiem do zapisania się w pamięci potomności. Nie dla zadowolenia własnej próżności, „ale z czystej ku dobru pospolitemu miłości, ochoty i rezolucji wszystkie ich czyny pochodziły". Senatorowie nie słodzili „słów ucukrowaniem gorzkiego ludowi panowania", ale wiedzeni duchem prawdy i wol-

ności, kołatali dla niego o sprawiedliwość. Hetmani „szablą, nie buławą dokazywali“, nie szczędząc krwi swojej dla dobra ojczyzny. „Nie pocztowali (służyli, pomagali) przewrotom dworskim“, ale robili co publiczna wymagała potrzeba. Laski „nosiły posturę żywej władzy, a nie prostych drągów“. Słowem „wszystkie akcje rzecz i pozór cnót wszystkich miały, a cnoty prawa następującym wiekom dawały“.

Jakżeż dalecy są od tych pierwowzorów dzisiejsi senatorowie! „Zginęła cnota w uczynkach, bezpieczeństwo w radzie, prawda w ustach, powaga w senacie, prawo w urzędach, godność w honorach, w osobach wszystko, co przedtem bywało“. Każdego z tych swoich twierdzeń dowodzi autor po kolei. Mocno go gniewa upadek bezpieczeństwa w radzie, „bo któż teraz radzi i mówi co słuszność każe... Jednym bojaźń zęby przycina, drugim usta respekta krępują... wszyscy prawie radzą, co muszą, co sercu i woli najwyższej przyjemno. Próżne panegiryki, wielbienia klemencji pańskiej, ojcowskiego około dobra pospolitego pieczołowania, fatyg, odwagi i zdrowia na nie dyspensowania... Ustawiczne dygi, z...ów od krzeseł i drążków podnoszenia, i owe za każdym punkcikiem, aż słuchać przykro, ciągnące się: *Najjaśniejszy miłościwy panie, panie a panie nasz miłościwy*, inwokacje, zatrudnią czas i zabiorą, aż tandem rzecz zbawienna skończy się na niczem“.

Następuje anegdotka na temat: „zginęła prawda w ustach“. Niedawno szlachcic „słuszny“, na funkcji ziemi swojej będący w Warszawie, otrzymał bolesną wiadomość, że dom mu z kretesem zrabowano i córkę 15-letnią zgwałcono. Kiedy poszedł upomnieć się o krzywdę swoją, król, widząc boleść na jego twarzy, a nie rozumiejąc po polsku, zapytał obecnego senatora „czegoby szlachcic potrzebował? Zapytany senator odpowiedział, że szlachcic prosi o to, aby mu wojska przez wioski jego przechodzące nie szko-

dziły, a zwróciwszy się do niego, oznajmił w imieniu królewskiem, że król krzywdy mu wynagrodzi i że się nie zawiedzie na swojej wierności. Odpowiedź tę król skinieniem potwierdził i szlachcic odszedł przekonany, że panu krzywdę jego przedłożono. Dopiero powróciwszy do domu, przekonał się, jak go oszukano, gdy mu przy nim samym „onegdajszego poprawiono".

Pod upadek „prawa w urzędach" podciąga autor kradzież grosza publicznego. Złożenie rachunków skarbowych nie kończy się na zwykłem podziękowaniu *pro exacta fidei publicae functione*. Po złożeniu urzędu każdy się zapytuje: „skądeś te albo owe dobra kupił? nie mając na nie z intrat i dochodów substancji własnej? Skąd waszmości córki tak drogi i kosztowny parter noszą i dźwigają na sobie? Skąd tak wielkie posagi i wyprawy idą za niemi!"

Zginęła godność w honorach, bo niezasłużeni, lecz pochlebcy i sługusy je biorą. Kosztem własnego a często i małżonek swoich honoru dostępują zaszczytów, pną się na najwyższe stanowiska. Jednem słowem, senat utracił swą powagę i swe znaczenie, bo w ludziach piastujących buławy, pieczęcie i laski, rozpierających się na krzesłach i drążkach „zginęła doskonałość antecessorów" i to tak dalece, że tylko ich nazwiska w potomkach zostały, „nakształt owych pustych, a pozornych i obszernych bardzo stodół, z których gacek albo sowa czasem wyleci, ale na targ, dopieroż do Gdańska nie masz co wyprawić". A z imion tych odziedziczonych płynie niepotrzebna chluba i wynoszenie się nad równość. Oto jak ostro smaga satyryk te wady:

„Na imię i zasługi antecessorów pełno w nas chluby, dumy, i presumpcji, emulacji i pospozycji równości, ale cnoty imieniowi należącej najmniejszej czasem nie domaca się odrobiny publiczna Rzplitej, ba i prywatna przyjacielska potrzeba. Stąd śmiechem zbywam owe ad ge-

nium teraźniejszego wieku zagęszczone w posiedzeniach i zgromadzeniach wyniosłe rodowitości swojej *Magnificat*, tudzież siłące się w konkurencjach według niej o miejsca, o honory i o jakieś extraordynaryjne poszanowania, pretensje. Jakoby to wszystko imieniowi samemu służyć miało, co znocie, zasługom i chwalebnym należy przymiotom. A oto widujemy w kałużach miesiąc, widujemy i promień słoneczny w smrodzie, a przecież dla udzielonego temu obojgu światła, jaśnie oświeconą nie nazwiemy paskudy. Pójdzie promień za swojem słońcem, dokąd go bieg zwyczajny obróci, a plugastwo żadnej z niego nie nabrawszy istoty, smrodem na swojem miejscu zostanie. Jako i ów parenteliacik, nie wziąwszy nic w siebie z cnót i godności antecessorów swoich, gnojkiem zawsze będzie, albo owym bobkiem, co to ni śmierdzi, ni pachnie, a przecie pretenduje, aby go za pomarańczę ważono i szanowano. Wiemy bardzo dobrze, miły specjale, choćbyś tak dumno nie powiadał o tem, że twój dziad, pradziad, stryj i tam inszy z czoła antecessorów używał tytułu *jaśnie wielmożnego, jaśnie oświeconego*, różne krzesła zasiadał, buławy, pieczęcie i laski nosił, — ale też i to wiemy, że na tych miejscach wielka go z cnót, przymiotów i zasług w ojczyźnie godność należycie osadziła. Wiemy, że na zaszczyt wiary św., wolności, równości szlacheckiej i dobra pospolitego szczerze krew swoją i substancją szafował, trudne nią mury i przeprawy oblewał, wojska nieprzyjacielskie odważnie wojował, wiązał i znosił, chleba obficie i ludzko nie żałował, wszelkiej przyjaciela dzielił się i dogadzał potrzebie. Wiemy, że go tak wysoko utytułowały i oświeciły jasne na cały świat akcje, ale też i to bardzo dobrze widzimy, że te wszystkie aż do ostatniego przymioty w tobie, panie wnuczku, zgasły, że życie twoje zasmrodziła i ściemniła gruba niecnót pomroka. Twój przodek, powiadasz, nieprzyjaciół wojował, w niewolę

i z nich łupy obfite zabierał, mężnem sercem w okazjach stawał, — a ty szlachtę wojujesz, na wartach stawiasz, żony i córki ich w egzekucjach bierzesz, sromocisz i paskudzisz, w domach cudowne sposoby exorbitujesz, dobra ich i Bogu poświęcone łupisz, z okazji (z bitwy) na pierwszy głos trąby bez czoła, bez serca uciekasz, substancji zacnie z przodków nabytej ladajako i niepoczciwie zużywasz, b..... podwiki i wszelkiego nierządu pilnujesz, pijaku, kostyro, niecnoto, niewstydzie i obmierzły kiernozie! a jeszcze tytułem i prawem cnoty sam się z tego chełpisz, nad równość nadymasz i jakiejś między ludźmi dystynkcji pretendujesz. Wiemy bardzo dobrze, bo się tego w dawnych dziejach naczytamy, że przodek twój wszelaką na całe życie bez najmniejszego zakału słynął reputacją, — ale w tobie przemierzły zadku ledwo tyle znajdzie się humoru, ile w nadętym i kilką ziarnek grochu napchanym pęcherzu: churkotania, hałasu i grzmotu siła narobi, niezdolnego szczura albo kota aż za dziesiątą popędzi granicę, a jak się go koniec szpilki dotknie, zaraz owa nadętość i para gdzieś się z niego podzieje, a sam się w momencie w mizerny flak skurczy i obróci".

Jak żywo ten ustęp przypomina satyrę Opalińskiego: „na wyrodków familij swoich". Pan wojewoda poznański również jest zdania, że końcówka „na *cki* lub *ski* nie czyni szlachcica, ale cnota, przystojność".

..... pozwalam mości panie
Żeś wojewodzic, aleś oraz pijanica,
Kostéra, wszetecznik i srogi ladaco.
Nie tak po wojewódzku żyją.....
. . . . . .
Bez ozdób twoich przodków pokaż co wżdy umiesz,
Czyś do rady, czy do zwady, boju czy pokoju.
Czy tylko chcesz, abyśmy twoim się kłaniali
Tytułom, które Dziadom twym służą, nie tobie?...

Czy jednak temu wynoszeniu się ponad równość szlachecką jedynie na mocy zasług przodków, winni tylko sami panowie? Ze smutkiem wyznać trzeba, że wina tu obopólna: panów — że się wynoszą, szlachty — że się im kłania i adoruje. Do zastraszających rozmiarów rozwinęło się u nas wstrętne pochlebstwo, z ujmą prawdy i godności człowieczej. „Czy małoż temi czasy gada do ludzi panegiryków i panegirystów, z krzeseł, stołków, katedr i poświęconych św. Ewangelji ambon oratorów, w różne a ledwo nie przyzwoite samemu Bogu sposoby: *tu pater patriae, tu prospice cunctis, te divum conscripserat honos, tu purpura sagus. te pariter et toga decet* i tam dalej, aż się na żołądku zwija. A oto mój miły *pater* nie ojczyzny ale z ojczyzny ojciec dla licznych dziatek swoich, a często w tych zepsowanych czasach nie dla wszystkich swoich, w różne przemysły, przebiegi, inwencje i sposoby doi, skubie (a że terminem jednego poczciwego szlachcica rzekę) kastruje tę miłą matuchnę, aby jej i to naostatek odjął, czemby się potem pomnożyć mogła. A mój *pater patriae* po cudzych ojczyznach, krajach i narodach spekulując, a imieniem wolnego syna przez abominacją równości womitując, rząd dawny i prawa ojczyste taksuje, mataczy, reformuje, i w niewolę panowaniu przyjemną oczywiście i sekretnie sposobi. A mój *pater conscriptus* nietylko radzi, ale się i pisze na zdradę ojczyzny, na interes z publicznego prywatny, na mutacją status, na handel wolności, a prawie już na samego absoluta. A mój *purpuratus* dla przewrotnych i niepoczciwych akcyj swoich nie bisior, ale wstyd i sromotę, albo krew braci przekleństwem izraelskiem na siebie i radę swoją spływającą w purpurze nosi. A mój *togatus* w publicznym pokoju prywatne niezgody, dissensje, difidencje, zamięszania, kłótnie, zabójstwa do swego awantażu albo do publicznego sposobi upadku. A mój *sagatus* we krwi łowi, śmiercią ży-

je, z wojny pokoje, pałace i dwory buduje, pieniądze, apparencje i dostatki gromadzi, pobratymstwa z nieprzyjacioły i różne interesa wyrabiać praktykuje, kolosy sławie swojej albo trony potędze i imaginacjom stawia i eriguje, zgoła krótkiego sagu (szaty), i kuszy (kusa suknia), w domu i rzeczach swoich kurty — na szlak dłuższy pociągnąć i poprawić usiłuje. Dlaczego radby, i tak pewnie wyrabia, aby utrapiona ojczyzna z kłótni swoich, z zamięszania i nieszczęśliwego odmętu nigdy nie wychodziła, w którymby mógł ustawicznie aż po uszy bobrować, łowić i pożytkować".

Obszerny ustęp o senacie tutaj streszczony, kończy się długim wierszem poety, który ze zgryźliwą ironją cześć swoją oddaje senatorom. Kilka zwrotek początkowych przytaczam:

Czczę cię najbliższa stopniem majestatu
Cna przeświętego kamero Senatu,
Bo nie dla prostej drużyny i ciżby
Honoru prawem masz przywilej Izby.

Czczę i Was tejże dostojności Krzesła,
Bo prócz przedniego kunsztu i rzemiosła,
Z szczerego złota galonem ubitem
I przed nim widzę świetne aksamitem.

I was czczę także dostojne Purpury,
Bo siła przewóz wasz kosztuje z góry,
A więcej jeszcze w kolorze wysokim
Jedwab tyryjskim napojony sokiem.

Dopieroż was czczę świetni Purpuraci,
Na stronę imię odrzuciwszy *braci*,
Bo prócz, że sami marszczycie się na nie,
Ojcami was mieć chciało powołanie.

Czczę i z bojaźni muszę trzymać czapkę,
Aby mnie który nie zdeptał jak żabkę,
Za górnym stanu wysokiego okiem
Stąpając aże pod samym obłokiem.

. . . . . .

Czczę, bo się boję waszych darmostojów
Przy niedostępnych drzwiach, bram i pokojów,
Abym się naraz nie naraził grzbietem,
Albo od draba nie wziął w bok muszkietem.

Albo żeby mi hajduk nie dał w zęby,
Albo za prawdę nie przerzezał gęby,
Albo przez wzgardę równości w chudobie
Pięścią na strony nie obito obie.

Albo żeby mnie żonek waszych wnioski
Przez uciśnienie nie wypchały z wioski,
Sprawiedliwości kiwacąc (urągając) paskudnie,
Wprzódy chudy zdechnie pies, niż tłusty schudnie....

Opuściwszy senat, przechodzi nasz satyryk do szlachty. Rzecz prosta, że stan szlachecki jest dla niego ideałem, instytucją najwspanialszą, podwaliną bytu społeczeństwa. Szlachectwo, owa Górnickiego „rozpalona pochodnia, która objaśnia i kładzie przed oczy dobre i złe człowiecze sprawy i pobudza, zapala ku cnocie“ (Dworzanin) — jest dla niego, jeżeli nie świętością, to przynajmniej skarbem najdroższym, jaki się odziedzicza po przodkach, lub zdobywa własną zasługą. Ale dlatego też skarb ten starannie utrzymywać należy, aby go w całej pełni blasku przekazać potomkom. Nadaje on wprawdzie wielkie prawa, ale i wielkie wkłada obowiązki. Prawdziwy szlachcic życiem swojem dowieść powinien, że w żyłach jego krąży krew szlachetna, rycerska. Tak być powinno, tego wymaga samo pojęcie godności stanu, tak też nie-

gdyś bywało. Dziś, ze wstydem wyznać to należy, mało kto „reguluje się akcjami do tak wysokiej stanu prerogatywy". W tem może przyczyna owego wynoszenia się ponad stan szlachecki, owej manji nabywania cudzoziemskich tytułów. Są tacy „co przez wielkość substancji i kondycji pną się i górują nad równość szlachecką", brzydząc się niesłusznie imieniem szlachcica. „A tu już sobie chodźcie jak chcecie i stąpajcie z góry za światłem tytułów swoich jaśnie oświeceni książęta nasi, ale nam stopnia równości nie deptajcie. Tytuł wasz bowiem jest niejako strój i złotem świetny przybiór, ale ciałem żywem jest szlacheckie urodzenie".

Porównując Rzplitę naszą z rzymską, autor przychodzi do przekonania, że pierwsza ukształtowała się na wzór drugiej. W takiej samej jak w Polsce „konsyderacji i prerogatywach" był w Rzymie stan szlachecki. Stąd też „zakonną niejako regułę", jaką „stan ten opisali i obwarowali Rzymianie", zastosować należy do szlachty polskiej Reguła zaś ta była następującą: *Verus eques et minime simulatus non sit superbus, malitiosus, furibundus, gulosus, timidus, impurus, tenax, mendax, blasphemus, deses, in summa: non calcari aureo, sed vitae integritate glorietur.*

Jak widzimy, dziesięć jest przykazań szlacheckich, równie jak dziesięcioro przykazań boskich. Zejście się takie w liczbie nie zdaje się być przypadkowem, czego dowodem szóste przykazanie szlacheckie (*verus eques non sit impurus*), odpowiadające szóstemu przykazaniu boskiemu, jak również przykazanie ósme (szlachcic nie powinien być kłamcą) przypominające ósme przykazanie boskie: *nie mów fałszywego świadectwa.* Każde z nich rozbiera autor szczegółowo, dając obraz cnót prawdziwego szlachcica.

A więc naprzód: *verus eques non sit superbus*, „gdzie bowiem pod strychulec równości idziemy z urodzenia wszyscy, tam się jeden nad drugiego... piąć i górować nie powinien... Co za korzyść plwać pod niebo, kiedy wymiot twój w oko albo w gębę wraca ci nazad? Dmuchaj jak chcesz, odymaj się i sapaj, tem armaty nie nabijesz, nikomu nie zaszkodzisz, sobie nie pomożesz". Pysznić się z rodu niema podstawy, bo „z jednego drzewa bywa krzyż i łopata". Z mądrości pysznią się ci, co jej nie posiadają. Za bogactwa winno się tylko dziękować Bogu, „że je udzielił tobie, a nie godniejszemu, którego stołu odrobiny polizać nie godzieneś".

Dalej „*verus eques non sit malitiosus et furibundus*, bo złość, zemsta, zapalczywość i wszelakie brawury nie ludziom, lecz bestjom nierozumnym przystoją". Jedna zemsta prowadzi za sobą drugą, a często i w dziesiątem odbija się pokoleniu. „Lepiej miły junaku wskórasz, że spuścisz z brawury niepotrzebnej i zdasz w pasjach twoich na rozsądek trzeciego. W pojedynku niepewna satysfakcja, bo tam szczęście kraje. To też nie jest (z ciebie) tak straszna figura, że na wąsy dmuchasz, na łeb wydupiony pół sałasza wdziejesz, wylot na kark zarzucisz, cybuch za kołnierz, stempel za pas ścibisz, chamelikę na chamelikę zawiesisz i miary marcinowej szarawary, na kształt ułożonego za fujarą cygańską do tańca niedźwiedzia, na siebie zaciągniesz. Skromność i pomiarkowanie wszelakich pasyj szlachcicowi są przyzwoitą, bo przy tej pyska nikt nie zaparagrafuje i krwi zacność na zażycie chwalebniejsze, według powołania i potrzeby ojczyzny konserwuje się".

Trzecią regułą szlachcica rzymskiego było: *verus eques non sit gulosus*, „obżarstwo bowiem świnię raczej a nie człowieka znaczy, lubo i ta ma miarę żarłoctwa swojego". Obżarstwo pociąga za sobą inne szkodliwe występki.

„Niech o tem sami powiedzą, którzy kraktykują, dlaczego krew w sobie zgnoili, zdrowie nadwyrężyli, niesposobności do czynienia i złych obyczajów nabyli, dni w nocy, nocy w dni przeinaczyli... paragrafów i specjałów francuskich ponabywali... Boga i łaskę jego utracili". Kto „łoży na apetyt siła, tyleż i na pragnienie łożyć musi". Następstwem tego pijaństwo, a wskutek niego „wielki błąd i niecnota". Kończy się na utracie zdrowia i majątku, co doprowadza do nędzy, przewodniczki rozpaczy i infamji.

Trudno to wprawdzie przekonać serce, „aby się w lwiej rezolucji i wspaniałości trzymało", niemniej jednak: *verus eques non sit timidus*. „Darmo mi miły indzinierze przy kuflu i piwnym zaciągu swoje armaty rychtujesz, fortece, wały, aprosze i szyki po stołach delinujesz, kiedy sam na to albo przez perspektywę patrzysz zdaleka, albo wstyd i obelgę serca swojego łożysz, kiedy ci stempel w oczach jako krtan (działo, armata) straszny, kiedy ci huk lada strzelby nogi zaraz podcina". Napróżno udajesz zucha i tytułem żołnierza się szczycisz, kiedy śród boju „dla przeraźliwej serca palpitacji w nogi po tebinkach albo na sromotny odwód pobudkę bijesz, uciekasz i konia oślep i bez miary silisz".

Verus eques non sit impurus. Nieczystość brzydka sama przez się, wiedzie jeszcze prostą drogą do zniewieściałości. „Jakoż sercem o nieprzyjaciela uderzysz... kiedyś je pod pierzyną u ulubionej zostawił fryerki" (rozpustnicy, *pani duszki*).

Także i skąpym być szlachcicowi nie przystoi: *verus eques non sit tenax*, „ludzkość bowiem niewoli serca, które się często największym przymiotom zażyć i obligować nie pozwalają... Nie z jałowego stołu rodzi się konfidencja i uprzejmość przyjacielska... Inaksze poznania, inaksze doznania bywają okoliczności: W kościołach i zgromadzeniach publicznych ludzie się poznawać zwykli, u sto-

łów doznają przyjaciele; komunikacją ludzkości wiążą się z sobą serca ludzkie, z tych rodzi się miłość zobopólna, z miłości wzajemna obserwacja, z obserwacji reputacja, a ta jest szlachcicowi prawem zacności przyzwoita. Inaczej, Maciek nagotuje, Maciek zje, — to pewnie parobek albo woźnica, bo się tak szlachta nie chrzci".

Za sprośny występek szlachcicowi rzymskiemu poczytano kłamstwo, stąd też *verus eques non sit mendax*[1]). Z obszernego ustępu tego widzimy, że przysłowiowe omijanie prawdy przez myśliwych ma już swoję tradycją: „człowieka kłamcy, fortelu i sztuki nigdy nie dojdziesz, choćbyś był z Hippolitem myśliwym... Jeźli mówi o niedźwiedziu, to podobno zatrącił wilka, jeźli o wilku, to uszczwał zająca, jeźli o zającu, to pewnie świrczka albo polnego okrutnie zamordował recka". Mniejsza jednak o kłamstwa myśliwskie, bo te przynajmniej nikomu szkody nie przynoszą i na jedno wyjdzie słuchaczom, czy zapalony Nemrod w gardło czy w serce choć bez prochu ubije niedźwiedzia. „Są insze pola, w których przez takowych myśliwych, często szwankują ludzie, honor, reputację tracąc, a czasem i samo pokładając życie. Udać, obwinić, donieść fałszywie, jest nietylko poszczwać, ale raczej oszczekać bliźniego. A jakoż to szlachcicowi przystojnie ma służyć, co kundysowi i samej bełkotliwej złai dało przyrodzenie". Niedotrzymanie umów, niewypłacalność dłużników, oszustwo i „wykręty matackie" są owocami kłamstwa. Często dobra wola choćby najliczniejszych i najrzetelniejszych ludzi, nie może postawić na nogi tego, co kilka szalbierzy i mataczy językiem swoim podetnie, „tysiąc rydlów bowiem nie ustanowi wody, którą zdradliwie w grobli srebra żywego rozleje partykułka".

---

[1]) Jak widzimy, nieznany autor satyry różnił się w pojęciach z babińczykami. *Przyp. późniejszy.*

Dalej *verus eques non sit blasphemus*, bo „nie da się tam widzieć przez usta podkasana aż do powab swoich wszeteczna Wenus, gdzie serce zaległa nagiego pod biczami Zbawiciela przytomność... nie pokali gęby lubieżna paskuda, którym wewnętrzna w czystości władnie i kieruje dyspozycja“...

Wkońcu *verus eques non sit deses*, „bo jako przez czynienie doskonałość w człowieku perfekcjonować się zwykła, tak przez próżnowanie tępieje i upada zwyczajnie. Nie rad cię widzę miły papinku, coś się w bławatny zasznurował żupanik, czuprynkę kaczorową krochmaląc, albo wąsik we zwierciadle gumując i sztafirując. Nie samej tylko płci niewieściej, ale każdemu zalecić się powinieneś, bo jeżeli białejgłowie najbardziej należeć usiłujesz, słusznie cię tem nazwać mogą, co białej płci sekretnie dało przyrodzenie“ [1]). A wreszcie i biała płeć próżniaków nie lubi. Jeżeli będziesz pracował, to i tam „udać się kształtniej możesz, kędy za świadectwem zwierciadła wścibić się i zalecić usiłujesz, bo i ony... wolą raczej, że cuglami albo potem chwalebnej i przyzwoitej pracy swojej trącić nieco, aniżeli piżmem czyli szczurzym ogonem pachnąć i kadzić będziesz. Gnuśność i próżnowanie jest wielki człowieka defekt, bo przez nie nietylko cnoty, które są życia ozdobą niszczeją i upadają, ale też i sama krew trupieje i gnije, która je przez agitacją utrzymywać i pomnażać zwykła. A jeżeli ta w tobie miły fomfornisiu zropieje, jakoż serce zdrowe i sposobne mieć będziesz? którego cnotą i rzeźwością wszystkie dobre rezolucji i mi-

[1]) W starej polszczyźnie wyraz k i e p, który autor ma na myśli, miał dwojakie znaczenie. Stąd np. pod zaborem austrjackim wyraz: „kiepski“, którego używali najwięksi pisarze, uważano za coś ordynarnego, choć nikt nie wiedział dlaczego, gdyż podwójne znaczenie „kpa“ w mowie i druku zaginęło i przechowało się tylko w słownikach jęz. polskiego.

łości tyczące się stoją akcje. Pewnie nie podniesiesz, dopiero nie zażyjesz kopji, jeżeli żyły, moc ręki wzmacniające, zwełnieją ci, obropieją i siła miłości w swojej zawiedzie cię operacji, ogień przyrodzony kiedy zwietrzeje i zagaśnie.... ani mąż, ani mężczyzna doskonały będziesz".

Po bardzo długiej stosunkowo rozprawie o próżniactwie, następuje tego wszystkiego, co się o cnotach i wadach szlachcica powiedziało, streszczenie. Treść cała zamyka się w słowach: *In summa verus eques non calcari aureo sed vitae integritate glorietur* — „nie złocistą ostrogą, albo szablą i sygnetem herbownym, ale życia cnotliwego splendorem błyskać i szczycić się powinno szlacheckie powołanie". Autor daje nam obszerną pochwałę dawnych czasów, a wynik z niej ten, że „co było przedtem grzechem i ohydą, to teraz w proporcją życia i stanu szlacheckiego wchodzi. Pochyłem drzewem nazwą — kto dla pokoju ustąpi swojego; flakiem — kto niepyszny i niehumorowaty; tchórzem — kto nienapastnik i nie wartogłów; papinkiem — kto nie wypije i nie żyje nad miarę; mądrze-odważnym i na ważniejszą ojczyzny potrzebę zachowującym się — kto z okazyi sromotnie uciecze; modnym i galantomem — kto w lubieżnej zbytkuje akcji, albo fr.... dostanie; oszczędnym — kto sknerą; jowialistą — kto wszetecznym albo szalbierzem czyli błaznem; zacnym i delikatnego urodzenia pańskiego — kto próżniakiem; szlachcicem — kto z szablą; dworzaninem — kto z wołoską chodzi czupryną; żołnierzem — kto baby trapi; statystą — kto przewrotnym mataczem; wielkim i godnym panem — kto prawa nie słucha; zgoła poczciwym — kto niecnotą"... „Westchnął serdecznie na to jeden poeta polski" — ale westchnienie to nieco przydługie i bardzo słabe. Sens jego moralny, że klejnot szlachecki upada w znaczeniu, choć jest perłą „bez ceny i taksy" i że „cudzoziemskie harpie odbierają rząd szlachcie, a lada

rajtar znęca się nad jej własnością, nie szczędząc żon i córek".

Na tem kończy się ustęp o szlachcie. W rękopisie następuje cała prawie karta próżna, a zaraz za nią, bez żadnego zwrotu lub wstępu, przechodzi autor do miast i mieszczan.

Ciekawi dowiedzą się tu bardzo mało; widocznie satyryk po wierzchu tylko znał stan mieszczański i sądził o nim z okien zajazdów i z tego, co mimochodem usłyszał. Nad kilka słów nagany dla sądów miejskich, cechów i zajazdów, nic więcej godnego swej satyry nie znajduje.

Sądy miejskie trzymają się zdala od sprawiedliwości. „Często po Osiecku za szewca obwieszają kołodzieja, za ślusarza garncarza, za winowajcę stracą niewinnego. Forma sądów ucieszna, inkwizycja plotki, Saxon na pozór rozłożony zadrze nogi do góry; sentencja racji, dekret żadnego nie będzie mieć fundamentu. Za trzepaczkę na gardło, za wołu na grzywny i gorzałkę, za zabójstwo na misterne pod pręgą plagi, albo z miasta wywołanie i wyświecenie skażą, osądzą i egzekwują. Ale, przez Bóg, inaczej chce mieć prawo i wrodzony rozsądek! Prawda, ale któż prawo przeczyta, kiedy pan wójt jak świnia głupi, pan burmistrz litery nie zna, pan pisarz co czyta nie rozumie, panowie ławnicy tylko z grzywien pić śmierdziuchę umieją: zgoła wszyscy jako nierozumne bestje. Dlatego też i dekret takowyż będzie, a często taką literą napisany, jako szynkarki po ścianach piszą swoje kwaterki, i tak nieborak więzień, jako mucha na ukropie, nic w nim nie zjadłszy — przepadnie".

Również smutny widok przedstawiają cechy. „Pójdźmy do cechów a raczej na błazeńską komedją, gdzie owe ich przyjmowania, wyzwolenia, i tam insze na urzędy osób kreacje. O! jakiego śmiechu, drwin i głupstwa pełne, kiedy owe oracje, exhorty i panegiryki misternym sty-

iem prawić i ceremonje wywodzić będą. O zaleceniu cnoty nie pytaj, o poczciwości i rzetelności, któremi wszystkie kunszta i rzemiosła stać powinny, najmniejszej wzmianki nie będzie; wszystka rzecz napomnienia na tem się oprze: abyście p. Marcinie wiedzieli, p. Marcinie uczciwy, żeście się do uczciwego braterstwa i kunsztu naszego wkojarzyli, na sławę obecności waszej, na chwałę Chrystusa Pana i Najświętszej Panny, i żebyście do cechu naszego dopomocnymi byli, a gorzałki, co ludzkość i grzeczność wasza, wystawili".

Od wódki przejście łatwe do szynków i szynkarzy. Tych ostatnich specjalnością oszukiwanie na miarze. Pijatyka trwa ciągle, nawet niedziela i kościół od kieliszka odciągnąć nie zdołają. Dopiero kiedy się gardło przeleje, pełno pijaków w kościele, ale nie dla modlitwy, lecz dla zgorszenia.

Miejskie zajazdy, izby, podcienia, pełne smrodu i nieczystości. Na ulicach i rynkach psy zdechłe, barłogi i gnoje. Cóż dopiero mówić o ludziach i usłudze? Gospodarza strzeż się, aby cię nie okradł, szynkarki — „żeby gadu nie natrzęsła". Niewygodę tę opisał na ścianach pewnej gospody jakiś cudzoziemiec, pierwszy raz Polskę zwiedzający, co potem przetłumaczono. Wiersz w tem tłumaczeniu podaje autor, jest on jednak tak niesmaczny, że nawet wyjątków z niego przytoczyć nie warto. A jednak „miej kto chcesz za żart te kilka podróżnego cudzoziemca wierszów, ale to jest rzecz pewna, że miast i ludzi zagranicznych porządek od naszych polskich taką, jako raj od piekła, mają dystynkcją. Rynek i każda ich ulica ma w sobie ochędóstwa więcej, aniżeli polskie w swoich rezydencjach domy i kamienice. Satyra zaś leśnego widok nie tak byłby u nich w podziwieniu, jako człowieka z naszych miejskich którego, względem ochędóstwa i ułożenia w grubijaństwie i kroju przykrego. Bolą uszy i serce

słuchać śmiesznych o tem relacyj, albo czytać pisma i wieczyste tych to anatomistów naszych druki i tranzakcje. Wybaczyć zaś im koniecznie potrzeba, bo słusznem sumienia i rozsądku prawem, prawda nikogo urażać nie powinna".

Oto i wszystko, co autor znalazł w miastach dla swojej satyry. Nie miał stąd postępować „niżej", nie chcąc ostrzem satyry dotykać „pracowitego ludu naszego", boć trudno go już prawie „dojrzeć w tłumie i nacisku wszystkich ogółem dolegliwości"... „Zatarła tak piękny (aże doskonalej powiem) najprawdziwszy twarzy boskiej rytrakt (właściwie: rytrat, obraz, portret), trzymająca się pyszno w dystynkcjach wzgarda nasza; poszarpało nieznośne w panowaniach okrucieństwo, zdarło niepomiarkowane w podatkowaniu ździerstwo i niemiłosierdzie; nadeptał i stratował szacowny na wymyślne ustawy(?) koń żołnierski; strawił głód i niedostatek, znużyły nieżyzna na złe czasy i wielorakie plagi boskie, praca, i charłowanie". Przytoczony ustęp prawdziwy zaszczyt przynosi satyrykowi, początek bowiem wieku XVIII. najmniej zważał u nas na godność ludzką w włościaninie. Tylko zaraz potem idzie szlachecki wykręt przy szukaniu przyczyny upadku moralności, chęci do pracy i rozumu chłopa polskiego. Kiedy bowiem nie ulega najmniejszej wątpliwości, że lud jest takim, jakim go sami zrobiliśmy, autor widzi także, oprócz wspomnianego ucisku, przyczynę złego w tem, że „charłaczkowie nie są w tych cnotach, dla których Pan Bóg przodkom ich obficie błogosławił". Skutek tu wzięty został za przyczynę, ale zaraz po tej nieszczęśliwie pomyślanej przyczynie, podaje autor inną jeszcze, bardzo rozumną, a na wiek swój zawczesną; leży ona zaś w tem, że „*dla siebie* przedtem i przeto ochotniej, niżeli po te czasy pracował, zasiewał i zbierał uczciwy chłopek". Stąd praca była mu miłą, w niej czerpał siły, a swobodne i spo-

kojne przestawanie z naturą rozwijało jego umysł i podnosiło serce. „Piórem Augustyna albo Chryzostoma pisaćby potrzeba ową ich niewysłowioną, naturalną prostotę... ustąpiła zawiła teologów explikacja łatwiuchnej i prościuchnej ich rezolucji". To też Najwyższemu „przyjemniejszy był jeden prostaczka paciorek, albo ów głupiuchny: *To tobie, to mnie*, przez przykopę podział, aniżeli wszystkie razem seraficzne z tytułu i z druku swojego bez serca modlitwy, hymny i nabożeństwa nasze„. W ten sposób wysławia dalej autor uczciwość, czystość, prawość i pobożność ludu, ale dodaje na końcu charakterystyczne słowa: „nie widzieliśmy prawda tego, co się tu mówi, a dawnością wieków zaległo". Otwartość ta, czy naiwność, podobać się powinna, gdy się zważy, że satyrycy sławią dawne czasy tak, jakby je widzieć i rozumieć mogli. Wada to prawie wszystkim wspólna. „Nie tak za naszych ojców bywało" — to zwykły frazes codziennej, potocznej rozmowy i zwykły frazes satyryków. A jeżeli zobaczymy, co też współcześni o owych ojcach mówili, to przekonamy się, że satyryk tych czasów, czasów rozbiorowych, z boleścią widzi upadek cnoty i woła: „powróćcie się czasy ojców naszych!" a kiedy pójdziemy dalej do naszych pradziadów, to autor naszego rękopisu i inni znów nas odeszlą do wcześniejszej epoki, a w epoce tej Opaliński, a nawet Kochowski i Sarbiewski znowu wspominać będą o owych „czasach i obyczajach starodawnych" i to na to tylko, abyśmy od znakomitych mistrzów Zygmuntowskich dowiedzieli się tego, co i przedtem, że tak „pierwej nie było" (Zbylitowski). Na ten też temat fantazjuje nasz autor, aby przeciwstawić czasy dawne dzisiejszym, w których „nie masz chłopiej prostoty, którą Pan Bóg chciał mieć korzeniem wszystkich cnót i doskonałości. Francuski przewrót, hiszpański dowcip, wołoski przemysł, moskiewskie okrucieństwo przechodzi po te czasy subtelna

praktyka chłopska". A dalej straszny obraz: oszustwo, pijaństwo, cudzołóstwo, kradzież, przesuwają się przed oczami: „Ma on (chłop) na wołu buty, na kapłona wędę, na szczupaka misterne jarzmo, na plebana bicz, na sąsiada rogi, na żonę kłódkę... Wiary dobrej nie pytaj, praca szczera i poczciwa zginęła, wszeteczeństwa pełno. Trójca Najświętsza u niego widły, dusza para, kościół browar, pacierz misterne plotki, chudoba z cudzej nabycie, dziewka żart i zabawa, krowa albo kobyła u niego nałożnica; zgoła wszystko maniera życia głupia, łakoma i wszeteczna świnia". Dużo w tem wszystkiem pesymizmu i frazesów bez dowodu. A jak ciekawym byłby dla nas obraz obyczajów i stanu ludu naszego przed dwoma wiekami! Autor stara się wykpić i wytłumaczyć swoję pobieżność dwuwierszem:

Tam, gdzie złe dobrze leży nie trzymaj się toru,
Bowiem rozdrażnionego nie zniesiesz fetoru,

i zaraz przystępuje do „wolnego w panieństwie obojej płci stanu".

Początek zajmuje szerokie i szczegółowe porównanie wieku młodego z rośliną, rodziców z gospodarzem uprawiającym ziemię, zasiewającym ziarno i starającym się o wzrost rośliny, aby „wzeszła w kwiat gęsty i wydała plony". Jeżeli z dopuszczenia wyższego w niwecz obrócą się starania, jakże się „nieborak trapi..., że ziarno jego lada jako weszło, że na śniedź i płonną plewę okwitło, że się ziarna w kłosku domacać nie może, że z pracy swojej pożytku niema". Zwróciwszy się zaś do rodziców, pyta się: „dlaczego obfitując w dostatki i wygody... na starość tak sobie nudzicie, lamentujecie, płaczecie i narzekacie. Dziatki winny — odpowiadacie..., bo pan Jan starszy ową powabną i delikatną kompleksyjkę przez zbyteczne pijaństwo w trąd jakoby w jaszczur sobie oprawił, czopa

i szynkwasu podłego pilnując, konie, porządek, rynsztunek i szacowną niejedną wyprawę przemarnował i przemataczył. Że p. Mikołaj średni na kolacyjki b....., na hultajskie kompanijki i debosze wszystko także utracił, zęby w salwacyi wypluł, paragrafów na pyszczek papinkowaty ponabywał, w długach i kredytach po uszy uwiązł, z regiestru dworskiego, czyli wojskowego sromotnie wymazany, wyszczwany i wytrąbiony, po skrytych miejscach tuła się i lawiruje, niebezpieczeństwa gardła za sromotną i kryminalną akcję uchodzi, w gnoju naostatek publiczne sadzele (guzy, wrzody) i ospę liczy, gnije i od kości ropiejąc odpada. Że ów Tomuś najprzyjemniejszy mopsek, najraźniejszy synaczek, najukochańsze dzieciątko, jako świnia głupiuchny, rozgarnienia i bezpieczeństwa niema, złych się nałogów chwycił, pana swojego okradł, na kostki utracił, w więzieniu szubienicę wysiada, okupu i miłosierdzia rodzicielskiego w głodzie i nieznośnej mizerji wygląda. Że owa, aniołek w ludzkiem ciele, Magdusia, koło pępka opuchła, na potrawę womituje, albo pod pretekstem miejsca cudownego, daleko kędyś puchliny zbywa i ratuje się"...

Wszystko to prawda, „ale kto wam mili staruszkowie winien, że z nich ukontentowania i honoru mieć nie możecie? Na siebie płaczcie i narzekajcie, nie dziatki wam, wy dziatkom i samym sobie szkodzicie". Pomijając już niedorzecznie pojętą miłość rodzicielską, a stąd zbyteczne pobłażanie swawoli, zapominają o tem ojcowie i matki jak zły ich przykład wpływa na potomków. Wprawdzie p, Jan pije dzielnie gorzałkę, ale czyż mu się dziwić, kiedy „p. ojciec w tych leciech lepiej i doskonalej to praktykował". A że ty, panie Mikołaju, „w akcjach lubieżnych zbytkujesz", wina w tem twojej matki, co cię „z pobocznej zawiązała rozrywki" i pozwoliła piastunce sypiać z tobą w 6-tym roku życia pod pierzyną. I ciebie, Magdusiu, „nie

trzymano w dozorze“, pozwolono ci patrzeć jak „pani matka z gościem na migi się znosiła, porozumiewała i schadzała“, lub „panna z fraucymeru z mężczyznami dni i nocy jak kokosz na jajcach wysiadywała, gziła się i pajęczynę po kątach omiatała“. Miłość ma swoje prawa, przyjdzie we właściwym czasie, uprzedzać ją i przygotowywać się do niej nie potrzeba. Dorodny młodzian „przylgnie (pannie) do serca prawem porządnej miłości z cnót i przymiotów swoich, choć się z *Magielony*, z *Banaluki*, z *Argenidy* i z inszej którejkolwiek miłosnej książeczki kochania uczyć i naśladować nie będzie. Polubi stan małżeński sama, choć jej go zalecać i słodzić, albo habitu ganić nie będziecie. Podda się kształtnie w konwersacji, bezpieczeństwu, rozrywce, manierze dobrej i gładkiemu w tańcu taktowi, choć jej kosztowny francuski knechta języka przyprawiać, stanu prostować.... nie będzie. Pójdzie godna wcześnie i dobrze za mąż, choć ją nasieźrzałem [1]) kadzić, albo po kiermaszach, odpustach i publikach wodzić nie będziecie“.

Kiedy ci, panie ojcze, dał Pan Bóg chłopca w „pięknej proporcji i sposobności“, od ciebie zależy wcześnie „latorośl podkrzesywać, naginać w surowości i groźbie ojcowskiej„, sposobom dobrej edukacji poddać“. Tymczasem „łzami by tu pisać potrzeba zepsowaną temi czasy młodzieży naturę... Wejrzyjmy owo na wiek dziecinny, aż w nim fizjognomja z figury i znaków swoich przechodzi lat kilkadziesiąt. Znać w minie, jakby je wyrznął, wystarzałe pana ojca opojstwo, w oku stryjowski świder i matactwo, w impeciku wujowskie okrucieństwo i szarpanina, w ruchawości pani matki lubieżny i wszeteczny pochop. Pójdźmyż za dalszemi trochę latami, aż owo onegdajsze dziecko po piecu się za pasterkami czołga, w szkole

[1]) Nasieźrzał, wołowy język, Ophioglossum, rodzaj paproci.

o lepszą u szynkarki z bikiem (drągalem) inspektorem certuje; w nauce, w nabożeństwie i w księgach jak mucha w ukropie smakuje, wakacje sobie ustawicznie wymyśla, butów daleki od szkoły manowcami narabia, koszt rodzicielski marnuje i zawodzi. I tak bez pożytku i umiejętności przeszedłszy jako przez praszczęta (rózgi) niecierpliwie szkoły, na przestrzeńsze pole do dworu, albo do wojska wychodzi. Tamże go dopiero proszę widzieć, jeżeli się z szkół wyszedłszy nie opartolił zaraz". A dalsze dzieje „synaczka" opowiedzą markietanki „i Doroty od szynkwasów".

Autor nasz przyczynę złego wychowania dzieci upatruje w zamiłowaniu do obyczajów cudzoziemskich i kończy wywód zapewnieniem, że „czem przed laty swobodna, silna, potężna, stała i słynęła Rzplita, wszystko się za granicę wyniosło. Skąd dosyć kroju, języka i fantazji mamy, ale regimentów, ich porządku i reguły nie pytaj... Wszystka myśl i rzecz na tem stoi, aby podobać się krojem białogłowie, prawem onego koniecznie cudzołożyć... psy poulicach strzelać, wytwornie szalbirować [1]), do południa sypiać, nocy na niecnotach trawić, nabożeństwa chronić się, cudzych obiadów i deboszów szukać, swoję kuchnię na zawsze zagasić, nos utabaczyć, strojem czas marnować, — zgoła sobie i nikomu na nic się nie przydać. „Tej się „szkoły" chwycili i bracia „pomniejszej kondycji".

W ustępie w wychowaniu młodzieży potrącił autor kilka razy o małżeństwo, z kolei więc rzeczy poświęca mu kart parę swej satyry. Tu jednak występuje w roli zwykłego kaznodziei, powtarza oklepane frazesy na temat niedobranych stadeł, wspomina o wynikających stąd zgorszeniach, gromi wreszcie w sposób pospolity i wielce trywialny niewierność małżeńską i jej owoce. Najlepszym z całego tego kazania, choć mocno słonym, jest wiersz

[1]) Pleść, gawędzić, obełgiwać, blagować.

o „miłych łożnic żeńskich pawilonach“. W nim autor stanął rzeczywiście na wysokości satyry; szkoda, że nie pisał do druku... Dla zbieraczy zdań i przysłów nie od rzeczy będzie przytoczyć parę drobnych wyjątków:

1. Gdzie mocno stoi pochop do miłości,
   Tam lepiej obcy, niżeli swój gości.

2. Za cóż kościelnej dogadzać by zrzędzie,
   Kiedy bliźniemu przez to nie ubędzie.

3. Zawsze smaczniejszy, minąwszy swój stawek,
   Z sąsiedzkich karaś albo karp sadzawek.

4. Lada jak, (mówią), ze swojego żyje,
   Który cudzego mogąc, nie zażyje.

Święty a tak poniewierany sakrament małżeństwa, przywodzi na myśl autorowi inny, również święty, sakrament kapłaństwa. „Z bojaźnią wielką, uczciwością i submisją“ czołga się „na kolanach“ do stanu duchownego. Prosi o przebaczenie za to, co powie, „bo go nie pretensja żadna, ani uraza i zawziętość (uchowaj Boże!) ale rzecz dyskursu“ do tego prowadzi. Kiedy bowiem był zmuszony opisywać i gromić zbytki i swawolę „ludu Chrystusowego“ nasuwa się, rzecz prosta, pytanie, co temu jest przyczyną. „Tedy i odpowiedzieć potrzeba kazała: bo niema do tego pobudki, przykładu i przewodni. Ale czemu niema? pytam się znowu. Odpowie zaraz powołanie wasze“. Potem następuje powtórne usprawiedliwianie się, że o stanie duchownym autor mówić nie miał zamiaru, bo w takim razie pomieściłby go na czele, przyznając mu charakter równy monarchom. Jako potępienia godne uznaje „aksioma, że ksiądz nie jest aniołem, żyć musi jako człowiek, kiedy jak Bóg żyć zawsze powinien“. Dowodzi bardzo obszernie, że tak samo jak on zapatrywali się święci pańscy, męczennicy, słudzy i doktorowie Kościoła. Obec-

nie jednak prawdziwe powołanie zastąpił interes i nie dla chwały Pańskiej, ale dla dobra własnego, przywdziewają dziś ludzie młodzi suknię zakonną. Czynią to, aby się uwolnić z poddaństwa i „od przyrodzonej sobie pracy, robocizny i powinności". Na to zostajesz kapłanem, abyś „tłustym Chrystusa chlebem" zapewnił sobie przyszłość, „podłej rodziny, kolligacji i rodziców" się wyrzekł, albo, żebyś upadającą fortunę familijną na „prelaturach, opactwach i biskupstwach poparł, dostatków, wygód i dochodów bez najmniejszego starania i kosztów używał, od Rzymu, zwierzchności i sprawiedliwości zdaleka zostawał". Jakże więc możesz być dobrym kapłanem, kiedy boski charakter „jako opończę bierzesz, aby cię bieda i mizerja na kształt słoty i gradu przez skórę nie śmigała, świecka ręka w przewinieniu nie chlastała". Stąd też nigdzie niema „więcej amorów, konfidencyj, korespondencyj, umizgów, komplementów, antagonji, z świeckimi o lepszą, cudzołóstw, wygód, strojów, wytworów, powabności, deboszów, trelów, tańców i inszych światowych i wszeteczeństwa zbytków, jak w stanach anielstwu poświęconych... Ledwo nie co plebanja to fraucymer; co folwarczek to brakowny inwentarz; i tam i tu sióstr różnej linji pełno dla obrządku gospodarskiego". Ofiara Mszy świętej odbywa się pobieżnie, bez wzniesienia ducha. Chciwość, pycha i nadętość stały się zwykłemi księży naszych przywarami. A owe stypy, żałobne traktamenta — mało to przyczyniają się do zgorszenia? Cóż dopiero mówić o hucznych odpustach i kiermaszach! Wówczas sługa ołtarza, nadużywając „zbytku i wolności języka", rzuca częstokroć na sławę bliźniego obelgi, „kucharek i gospodyń pochwały, parafjanek uczynności", lub bawi się w udawanie, „przysiadanego, hajdukowego, góralskiego i inszych tańców". Po takiej zaś hulance idzie kapłan nauczać ludzi do kościoła, kazanie im prawić. Nie mając zazwyczaj wykształ-

cenia, prawi co mu ślina do ust przyniesie. Zmienia i tłumaczy dowolnie tekst Pisma św., przytacza najfałszywiej historyczne wypadki, pląta czasy i osoby. *Benedictus Deus in Sion*, znaczy u niego: pobłogosławił Bóg Symeonowi; o Senece wspomni jako o świętobliwej matronie rzymskiej, o Horacjuszu jako o pustelniku; Elizeusz stanie się u niego apostołem, Epicurus papieżem. „Będzie Jozue od braci do Rzymu zaprzedany, Enoch od Hamana na królestwo hiszpańskie wyniesiony, będzie archaniołem Paweł lub Mateusz, a Najśw. Panna ukrzyżowana". „Spowiedzi słucha tylko dla formy". I jak się tu nie gorszyć, kiedy ten, „którego Bóg duszom swoim chciał mieć za przewodnika do siebie, sam się drogi prostej i należytej nie trzyma, błądzi i inszych za sobą nieszczęśliwie prowadzi i od Boga odwodzi.... U prostaczków bowiem jest to rozumienie i pewność, że to i owo nie jest grzechem, bo tak sam ksiądz pleban czyni; a że ksiądz pleban czyni, uczyni to bezpiecznie, bez skrupułu wójt, włodarz, kmieć i parobek"... Po wielu wreszcie radach udzielonych stanowi duchownemu, zbliża się autor do końca, wyrażając obawę, gdyby ta rzecz „miała przyjść przed oczy duchownych. O jakichby tu było inwektyw, nienawiści, cenzur, banicyj, klątew i piorunów; prawdziwego katolika zrobiliby heretykiem i apostatą... A cóż to mój Rewerende jest żyć przeciwko powołaniu, jeżeli nie *apostatare a vocatione*? Ja, uchowaj Boże, dobrych nie tykam, bowiem i wierzę, że na nich wiara moja i zbawienie zawisło, bo ich na miejscu boskiem wyznawam, czczę i szanuję. Ani mówię, aby dobrych nie było, bo wiem, że Bóg nie tak się w namiestnictwie swojem ukrzywdzić i uszczuplić pozwolił, żeby nie miał pobożnych świętych i należytych do pożytku dusz swoich, kapłanów i duchownych".

Bardzo krótko streszczony ustęp o duchowieństwie, jest jednym z najdłuższych w satyrze. Na nim się koń-

czy pierwsza część całego rękopisu. A tu już „*moja małpa w cnotach* schodzi z widoku pospolitego, — tęż samą w obyczajach obaczyć zapraszam".

II.

Przystępujemy do drugiej części rękopisu, noszącej tytuł: *Małpa-człowiek w obyczajach.*

Na pierwszem miejscu kładzie autor: *obyczaj chwały boskiej i nabożeństwa*, wprowadzając jednocześnie nową formę do swego opowiadania, to jest djalog. Rozmowa toczy się pomiędzy p. Mikołajem a panem Stanisławem, dwoma szlachcicami, przebywającymi w Warszawie. Pan Stanisław zachęca towarzysza, aby poszli razem „do kościoła panien Wizytek, bo tam jutro solenny odpust, dziś nieszpór, król na nim, wszystkich panów, pań i panien zgromadzenie i ludzi inszych nacisk wielki będzie". Inaczej się króla (Augusta II.) nie rozpozna w tumulcie. W pałacu go nie zobaczy, bo warty wstępu bronią, w „karecie jako ptak lata, na koniu nieznacznie biega i wyjeżdża". Nieboszczyka króla (Sobieskiego) znał p. Stanisław dobrze — był to pan pobożny, przykładny i poważny, „którego nabożeństwa obyczaj" obiecuje potem opowiedzieć. Zachęta trafia do przekonania p. Mikołaja: i on chciałby widzieć króla, boć „tego pana wielkie renomje, osobliwie u białych-głów, które lada kogo nie pochwalą", wzbudziły w nim „chciwość poznania". Idą więc razem przyjaciele i na sam czas zdaje się przychodzą, bo oto już i biskup poznański we drzwiach z kropidłem stoi i baldachim rozbity oczekuje na przybycie monarchy. Gorszy ich jednak, że wszyscy obróceni tyłem do ołtarza, że na „przyjęcie i honor śmiertelnego pana wszystko się wygarnęło duchowieństwo, a nieśmiertelny wszystkich królów monarcha niema i lajdosza (byle kogo) przy swoim majestacie". Oczekują długo, aż tu i biskup do zakrystji wraca,

świece gaszą, bo pewno „pan wielą plejzyrami (przyjemnościami) zabawny zapomniał, a biskup mu też żaden nie przypomni, że to solennitas wielka i na nią się obiecał". Do tego pan Stanisław widział „kartki na komedją czy operę" toć i król woli się zabawić „w miłym osób braku (wyborze) wesołemi scenami, aniżeli na pauzowaniu chórowem niecierpliwie w kościele siedzieć". Na zegarze zamkowym bije ósma, świece znów zapalają, biskup bieży do drzwi kościelnych, ale po chwili wraca, „zalterowany", a księża jego „między sobą ze śmiechem gadają, że król mimo kościół przejechał do ogrodu Kazimierzowskiego na kolacją, kazawszy ksieni powiedzieć, że za dzisiejszy nieszpór będzie u niej w miłej kompanji jutro na obiedzie". Dwaj szlachcice odchodzą do gospody, prawiąc z oburzeniem o tem co widzieli. „Takiż to u naszych Polaków pobożności obyczaj. Zrzadka kto idzie do kościoła bez interesu i okazji. Ten i ów napatrzeć się białych-głów, ogień pożądliwości do serca porwać, z k.... się poznać i rozmówić, gdzie mieszka; z tym i owym widzieć się i rozgadać, wiadomości publicznych zasięgnąć, kapeli się chórowej nasłuchać i przed gościem, albo importunem z domu uchronić. A cóż o białej płci rozumieć? której wszystka rzecz odpustów, kiermaszów i nabożeństwa na tem stoi, aby się w urodzie, w kształcie, w modzie, w rzeźwości, w aparencji pokazać i zalecić, tego i owego do siebie pociągnąć i obligować, inszych obmówić, potępić i otaksować". — Na drugi dzień rano obudziwszy się, prawią szeroko szlachcice o „spowiedzi królewskiej", a zebrawszy się, idą do Wizytek. Tam ludzi już ciżba wielka, a nie brak „i z kozikami do mieszków". Następuje dość długa dysputa o lekkomyślnem przyjmowaniu ciała i krwi Pańskiej: „widzisz on śmigas z wołoską czupryną, ilem go uważał, w pół mszy do kościoła przyszedłszy, spowiedź, komunją i wszystkie swoje nabożeństwo odprawił i już

się z jakąś krygownisią za rękę prowadzi w takiej minie efronterji i dyspozycji, jakby to było z tańca do łożnice". Wina w tem i księży, co spowiedzi niedbale słuchają. „Ja mam penitenta za pacjenta, a spowiednika za medyka. Medyk należycie kuruje, kiedy chory defekt swój należycie opowie. Często zabija, że się o więcej nie pyta". — Nareszcie laski marszałkowskie pokazują się we drzwiach: król przybywa. Na ołtarz nie patrzy, nabożeństwem mało się zajmuje! Jemu jeszcze przebaczyć można, bo „młody, żywy i światowy, ale z siwowąsów i półbabek wielkie cuda i zgorszenie: usta sine w umizgach, język jak na kołowrocie, twarz zmarszczona pod farbą, oko w pożądliwym świdrze, książki na pozór rozłożone, pod mizerne kolana puchy i jedwabie, osoby od czci i chwały Boskiej, jak przez morza dalekie". Lepiej było za nieboszczyka króla: wiedział on zawsze o każdem nabożeństwie i odpuście, „dwór swój i panów awizował o niem, sam go solennie ze spowiedzią i Komunją św. odprawował i sprawował się w domu Bożym pobożnie i przykładnie, zapomniawszy cale o godności swojej królewskiej, w obecności Najwyższego Pana swojego". A cóż dopiero mówić o dawnych królach i wiekach. Dziś niema nabożeństwa w sercu, a owe „srebrne koniki, pozłociste osóbki, woskowe i insze ofiarki daremnie zaprzątają ołtarze". Wydrze kto, albo „w inszy sposób nabędzie rumaka, zawiesi za to trzechłutowego konika... Krowę jałowicę, wołu sąsiadowi zabije, naleje jedną i drugą lampę. Pasiekę cudzą zrabuje, zaświeci parę świeczek woskowych". Również niewiele warte owe „seraficzne, strzeliste modlitwy". co tylko tytuł taki mają „Lepiej nie silić gęby na te tam wymyślne hymny, koronki i modlitwy, ale raczej przestawać na jednym z uwagą i pobożnością pacierzu zwyczajnym"... Tymczasem król dowiedziawszy się, że jego lekta już się skończyła, rusza z miejsca, spiesząc za klauzurę na obiad. Niedłu-

go po nim wychodzą nasi szlachcice, i tem się kończy rzecz o obyczaju nabożeństwa.

Obyczaj miłości i przyjaźni bliźniego stanowi dalszą część satyry. Przyjaźń istnieje dopóty, dopóki przyjaciel nie jest w potrzebie; poratować go, wspomóc, nie leży w zakresie obowiązków przyjaźni. Obłuda najwięcej krzewi się na niwie tej „rzadkiej cnoty“. Spotka przyjaciel przyjaciela, ściska go, całując zaprasza do siebie, a kiedy zaproszony przyjedzie, to „zamknij wrota, powiedz, że mnie w domu niema, żona na odpust pojechała — czyć go djabeł nadał!“ Przy hulance wznosi się toast „na całą gębę: ej kawaler-że z ciebie dorodny, serdeczny i mężny; właśnie cię natura do buławy uformowała; rozum, godność i rozsądek do senatu prowadzi. Wiwat ozdoba narodu naszego, wiwat wódz nasz przyszły, regimentarz, kanclerz i nie wiem jaki monarcha“. A po chwili mówca na uboczu żartuje z owego „regimentarza“: „owo drwiłem z niego, napiłem się z tej okazji dowoli, wbiłem mu w głowę hipokondryą; nie spostrzegł się błazen, mam sposób najeść się i napić u niego, a mogę co i wydrwić“. Jeżeli z pochwałą jaki mężczyzna wspomni o „z serca, serdecznie, jedynie kochanej siostrzyczce“, to druga przyjaciółka zaraz usłyszy od tej samej, że owa serdecznie kochana „nadstawia się, płaszczy, umizga, a jest wielkie ladaco, krygownisia, pod farbą udatna i rumiana, bez niej trup i glina“...

Przechodząc do *obyczaju inklinacyi i gotowości do małżeństwa,* autor poglądy swoje wyprowadza z djalogu p. Wojciecha z panem Józefem. Pan Wojciech wyraża pojęcia autora, według którego jedyną wyrocznią przy zawarciu małżeństwa winna być wola rodziców, — siedmnastoletni zaś p. Józef broni pojęć ówczesnej młodzieży. Na jedno tylko zgodzić się można, że młody człowiek, przed dojściem do pełnoletności nie powinien myśleć

o tworzeniu rodziny. Ale zdaje nam się, że ów 17-letni, a już pałający żądzą wejścia w związki małżeńskie p. Józef, był i jest do dziś dnia rzadkim wyjątkiem. To jest właściwie, ochota może objawiać się wcześnie, ale statystyka świadczy o małej liczbie małżeństw w tak młodym wieku zawieranych. Tylko wśród „królewiąt“ zawierano wcześnie małżeństwa. Stąd niepotrzebne rzucanie gromów, a całkiem, jak dla nas, fałszywe wyobrażenia o „inklinacji“. Autora oburza to, kiedy młodzieniec „czołem bije, po ziemi się tarza, na komplementa wywnętrza, nogi całuje i liże, na węgiel się pali... w nocy nie sypia, ustawicznie wzdycha, nudzi, melancholizuje“. Te czyste uniesienia serc młodych i niezepsutych są mu wstrętne, stąd zaraz przypuszcza, że zakochany „na upominki ojca kradnie, na fortunę sekretnie zaciąga, muzyków, moczywąsów i darmostojów okrywa, chłopców na kozaki, na błazny i różne cudotwory strzyże“. Gani młode dziewczę, kiedy „na odjazd i pożegnanie jego truchleje, blednie i obumiera, bez niego melancholicznie szlocha, żałośnie nuci, jadać i sypiać nie może, przez sen lada co plecie“... Wkońcu autor przychodzi do wniosku, że małżeństwa z miłości zawarte są nieszczęśliwe, że zaraz „po pierwszej miłości małżeńskiej próbie, czuwają na zaciąg różni sekundanci, adjutanci i koadyutorowie, — stąd zawsze kłótnie, niechęci“, itd. Całe to małej wartości rozumowanie kończy się dwoma „lamentami“ żony i męża źle dobranych. Żona narzeka i łaje małżonka, na co odpowiada „nieborak“ jeszcze większem narzekaniem.

Oto wyjątek:

Ja za twą winę nieszczęsny ginę,
Tyś żywa.
Udatna z twarzy, a przecie parzy
Pokrzywa.

O jak frantowska w złość białogłowska
Płeć bywa!
Krzywdy pozorem, grzechy rankorem
Pokrywa.
W sercu ma węża z żalem na męża,
A w gębie
Nucą miłosne treny żałosne
Gołębie.
. . . . . .
Wszystkie bestyje, uznają, czyje
W dozorze
Ręce ich koją i tych się boją,
Jak tchórze.
Jedna kobiéta tak jadowita
W swej wierze,
Że jej nie zrówna bestyja główna
W cholerze (w złości).
Darmo się miły ze wszystkiej siły
Sposobisz:
Nie chce natura — toć z małpki tura
Nie zrobisz.
W pomocy nieba stanu potrzeba
Nabywać,
Bo przez womity trudno kobiéty
Pozbywać.

Wiersz, z którego wyjątek podałem, stanowi przejście do *obyczaju wiary i miłości małżeńskiej*. Przedmiot ten widocznie traktuje autor z upodobaniem, bo wraca doń już po raz trzeci. Może zapomniał o poprzedniem długiem kazaniu na ten temat, a może przypuszczał, że nie wszystko jeszcze dokładnie wypowiedział. Niewierność małżeńska jest tutaj kanwą, na której wyszywa dość zblakłą włóczką swoje poglądy. Na ich poparcie czerpie z dziejów

starożytnych niesmaczne i podejrzanej wartości przykłady, nawet tłumaczy bardzo nieudolnie z greckiego „żale Kaminy“. Wszystko na to tylko, aby dowieść wierności dawnych żon i miłości mężów, co często „dla całości żon swoich cudowne niebezpieczeństwa przebywali, całe królestwa i dostojeństwa, a nawet życie łożyli, czego świadkiem żałosne dzieje, okropne pobojowiska“.... I w Polsce było „wyraźniej względem wiary małżeńskiej“, choć się obywało bez strasznych przykładów zemsty i zawziętości. „Było co kochać, ale nie było o co się wadzić, bo każde stadło w parze i używaniu powinności swoich nie miało intervenientem, trzeciego“... Nie brak jednak w tym traktaciku humoru, czego dowodem dowcipny nagrobek swarliwej parze małżonków:

Tu leży cna para, wspólna życia kara:
Mąż jako trzepaczka, a żona pijaczka.
Gościu! chciej ostrożnie mieć się tu nabożnie,
Aby czart i w ziemi nie zwichrzył co z niemi,
Było w życiu bowiem, co po śmierci powiem,
Że się z sobą żarli i w gniewie pomarli;
Więc zdaleka, tuszę, lepiej rzec za dusze:
Panie! po tym boju domieść ich spokoju!

Obyczaj rządu i powagi wnika w głębsze zagadnienia społeczne. Miejsce dlań tu niestosowne, treść zaś przywodzi na pamięć pierwsze ustępy satyry, gdzie o królach, monarchach i zwierzchnościach była mowa. Wielki pan, stojąc przed zwierciadłem, marzy o swej potędze, o „wyniosłości czoła, podającej się pod koronę“, o wzroku wyrażającym surowość i zmuszającym do ślepego posłuszeństwa; ręka jego stworzona do berła, laski lub buławy, pierś do orderu, postać i „statura do rządu, do surowości i rozkazywania“. Tak jest mości panie — dodaje satyryk — „bo czeladź i chłopi, wszyscy powiadają, że nie więcej

pięć katów swoją sztuką sprawi, jako WMPan wejrzeniem i postawą poważną. A gdybyś jeszcze mógł wleść w owe szkiełko, którem *tubum opticum* nazywają (gdzie wsza jak baran, a pluskwa jak wielbłąd wydają się pozorne i wielkie) tedy byś miary sobie we wszystkiem dobrać nie wystarczył, waliłbyś z nóg przez hypokondryą giganty, przez gardło Goliata piąłbyś się na majestata, ludzi ubogich jak brytan szczenięta deptałbyś, miliony tysiąców na obiad połykał, jeden nad wszystkich razem zdałbyś się najmocniejszym". Wszystko to służy za wstęp do małej rozprawki o rządzie, jakim być powinien. „Nie to jeno, nie to, miły Długoszu, weź przed siebie zwierciadło: wleź całym sobą *in speculum exemplorum* i tam się dopiero przejrzysz do jakiej miary osoby miał się rząd przed laty. Cnota w małem i wielkiem ciele jednakowo zawsze dokazywała, prawa dawała, narody pod posłuszeństwo skłaniała, w skałach, żelazach i minerałach twardych siłę łamała; łechczywy grzbiet morza ujeździła, wszystkie trudności i niepodobieństwa sfatygowała". Cnota jest podstawą rządu, opoką rządzących. „Łaskawość władzy serca niewoli do miłości, miłość wiarę sposobi, wiara jedność klei, jedność potęgę stanowi, na potędze rząd i powaga stoi, tem bezpieczniej, im bardziej ufundowana. Ale nie temi nieszczęśliwemi czasami, kędy wszystka rzecz rządu i powagi na tem tylko usiłowaniu i prezumpcyi zawisła, aby wymusić, nie wyperswadować, przyciągnąć a nie przyprowadzić, przyniewolić a nie zniewolić, przycisnąć a nie przytulić, ogolić a nie przystrzydz". Dalej wykazuje autor złe skutki zbytniej surowości i despotyzmu, przytaczając słowa, jakie „jednemu wielkiemu z Łokietków człowiekowi na nagrobku położono". O kim tu mowa — niewiadomo, sens zaś taki, że nie ciałem, nie siłą, lecz duchem należy być potężnym, bo nieraz już się to zdarzyło, że „osoba karła olbrzyma zawarła".

Djalog powraca znowu w *obyczaju posłuszeństwa i submissyi*. Różnica pojęcia „skłonności“ od pojęcia uniżoności jest przedmiotem rozmowy pana Zygmunta z panem Wacławem. „Skłonność ma się do proporcji stopniów dającego i odbierającego ukłony, uniżoność zaś przechodzi w proporcji“. Ta ostatnia jest zazwyczaj wynikiem obłudy lub interesu. Jeżeli pan wojewoda, choć senator, tak nisko ukłonił się p. Zygmuntowi, że mu tenże, „choć fałdów nałamał“, ukłonić się niżej nie mógł, — to dowód oczywisty, że wojewodzie uśmiecha się pożyczka owych kilkunastu tysięcy, „które p. Zygmuntowi położono w grodzie“. I ledwo p. Zygmunt, jako „wilk nie wpadł w samołówkę“; szczęściem, że mu p. Wacław jasno wytłumaczył, jaki będzie koniec uniżoności pańskiej: „granica i pretext submissyi, układności, poszanowania, ludzkości i komplementu tych to miłych panów naszych póty, póki nie dasz, dalej żart, zawód... A gdybyś ich uważał, jak cygi, czyli cyganów w obrotach i dziarskości posłuszeństwa królom i zwierzchnościom swoim, tedybyś się jako ucieszną komedyą do woli nasycić nie mógł“. Serwilizm i zabieganie o fawory czynią ich posłusznymi na wszelkie rozkazy i „nigdy tak powolnie niedźwiedzie cyganom, cygani błazeńskim obrywkom nie nadskakują, jako prywatnemu przez zgubę publiczną zyskowi nasi teraźniejsi niektórzy panowie“. Sejmy, zjazdy, rady „i inne publiczne i sekretne akty, są to ich niejakie teatra, albo inaczej targowiska, kędy jak się to oni uwijają, ubiegają, zginają, trudno bez przygany opowiedzieć. Ten za uszy, tamten za usta, ów za nogi, za ręce, chcąc co na respekcie oberwać, jako złaja niedźwiedzia, pana łatwego rozbierają. Potrzebie swojej bez wstydu nadskakują, póty słudzy ochotni, póki skarb nie ubogi“. Dodać do tego należy zabiegi o ordery, choć „niewielka z tego klejnotu dystynkcya, a mnie się zda w proporcji do polskiego kroju, jak figa do nosa“. A za

tem wszystkiem idą „wymyślne i klarowne tytuły“. Dawniej znajomi i przyjaciele mówili do siebie po imieniu: panie Jerzy, panie Stanisławie, chcąc zaś kogo uczcić dodawano, panie łaskawy, panie uczciwy, panie zacny; „tymi czasy wszystko to się zrównało; JMC Dobrodziej Biskup, JMC Dobrodziej Wojewoda, JMC Dobrodziej Podstarości, JMC Dobrodziej burmistrz, JMC Dobrodziejka w Kiernozi albo w Kusienicach wójtowa, Monsieur świec (szewc), monseigneur doktór, albo podły od pęcherza galenus“.

Dalej występują p. Jacek z p. Wincentym i zastanawiają się nad obyczajem służby dworskiej. Pierwszy syna swego Michałka oddaje do dworu, więc mu kazał „głowę jako pudło wydupić, kunią go jakąś pohaną“ na bakier przykrył [1]), niższą część ciała fałdami obłożył, i „przytaśmował do połowy jako tarcicę“, w stąpaniu, minie i obrocie „modno ułożył“. Nie w taki sposób ojcowie przygotowywali młodzież do służby dworskiej, bo nie o modę wówczas panom chodziło, ale o ćwiczenie młodzieży, o zyskanie wdzięczności rodziców, o przygotowanie dobrych obywateli krajowi. Służba dworska była rodzajem nowicjatu i szkoły. Kto okazywał umysłowe zdolności i chęci do nauki, tego zaraz „do pióra, do potocznych i publicznych expedycyj sposobiono, kierując przez dalsze lata na wielkie w grodach i województwach stopnie“; kto tej chęci i zdolności nie posiadał, „znalazł ćwiczenie według sposobności swojej w dziełach rycerskich: do oręża, do lancy, do reguły wojennej sposobiąc się i zaraz brał stopień, na jaki go doskonałość przysposobiła“; kogo wreszcie duch pobożności owionął, „znalazł i z tej miary drogę swoję, pomoc, aplikacyą i wysokie Kościoła stopnie“. Było to nawet ogólnem przekonaniem, że „do rodziców spłodzić, do panów wychować należało“. Dziewczęta oddawane do

[1]) Czy nie *gunią*? Kuni niema ani w Gołębiowskim (Ubiory) ani w Lindem.

fraucymeru uczyły się zajęć kobiecych, w cnocie i pobożności się ćwiczyły, zostając ciągle pod okiem samej pani i wyłącznie do tego przeznaczonej dozorczyni. Dać zaś syna albo córkę „tymi czasy do dworu jest jedność, co i wypchnąć bez wiosła na morze, kędy szumów, wiatrów, i bałwanów niebezpiecznych bez miary... Ledwo nie lepiej zgodzić się na to, żeby dzieci nasze krów i stada w domu pilnowały". Rozmaitość jest dworów, ale wszędzie prawie panuje jeden obyczaj, wszędzie złe przykłady. „Dwór podobno królewski wykształtuje młodego? gdzie panowie sami nadskakują jak chłopcy, albo kędy czczy regestr bezpieczeństwa ustroniów i wygody sekretnej asystuje prywatnie. Senatorski podobno? kędy jako psia jucha, krew szlachecka obmierzła, a puder lada szewca i knechty cudzoziemskiego nad zamiar pięknie i modno pachnie; kędy sikofancyi (intryg, podstępów), pseudo-polityki, zdrady, sekretów na zgubę publiczną pełno... języka polskiego obyczaj ustał, szlacheckie dzieci na kozłach przy oddechu pohanego olędra woźnicy jak maźnicę wieszają, kędy nie masz nic cale do pozoru, obyczaju i doskonałości Polaków. Hetmański podobno? kędy przez sknerstwo, nad dostojeństwo i powagę większe, wszystkie usługi poprzejmował żołnierz i w publicznej poważnej rezydencji nadstawia się powinnościom prywatnym i potocznym, szarzając się za niemi w pancerzu, albo w tygrowej suce, jako w barwie hajduczej. A może u innych panów i górniejszych w urzędach osób? kędy... minę w paliwiosków przyjemność, kibić w słomiany mendel, chód i obrót w złodziejski pozór, głowę w *tarum, farum* przedziwne, wszystkie obyczaje w konfuzją przyjemna panom w naśladowanie sili, przerabia maniera"... Słowem „pożal się Boże krwi szlacheckiej, ba, i prostej poczciwego chłopa, którymi oni teraz najwięcej figurują ozdobę dworów swoich na modelusz cudzoziemskiej służby". Wieśniacy dziwacznie przybrani wyglądają

„z pod peruk swoich jak z pod ogonów kobylich“. Przy stołach pańskich, „nie usłyszysz słówka polskiego (lubo czasem krój polski zagęści) dla dyskursu politycznego i nauki młodzieży, tylko kolejny brzęk kieliszków i ulubione parle, parle“. Wielkie panie dziś nawet nie lubią fraucymeru i nie zajmują się nim wcale, dosyć im „w podróż jednej baby dla wygody sekretnej i pohanej jak bukłada[1]) karlicy; temi najdalsze drogi i publiki opędzać zwykły. Fraucymer zaś na ustroniu, bez oka, bez przyzwoitej roboty, zabawy i wygody zostawiony, tuła się za inklinacyami, amorami, że pani powróciwszy, zastaje nieraz rzecz gotową do chrzcin i do ślubu razem; z czego niebożęta rodzice korzystają mizernie... bo z ludzi służałych, motłochu wszystko ladaco i nicdorzeczy. Browar, tytoń, cudza komora, pańska szkoda, piętna po barwie, ta jest wszystka tej kanalii życia maniera“.

Obyczaj służby wojskowej bardzo szeroko jest traktowany. Autor, który jak powiada wyżej, nauczył się wojować „z niemałą imienia swego reputacją“, pojmuje serjo obowiązki stanu wojskowego, i jaskrawemi barwami maluje jego upadek. „Kędyż leżysz złamana rządu i wojska potęgo? pod którą najmocniejszy nieprzyjaciel padać i grube karki łamać koniecznie musiał; pod którą, jako stalową tarczą, wiara i kościoły śś. niewzruszone stały; pod którą wolność i swobody szlacheckie jako pod łagodnemi słońca darami, milusieńko kwitnęły; pod którą ludzie wszystkich prac i pożytków swoich zażywali spokojnie; pod którą prawa powaga i powinności wszelakie regularnie chodziły; pod którą trony i majestaty w zupełnych ozdobach i wzajemnej konfidencyi reverenter stały; pod którą sławy imienia polskiego cały świat dowoli nasłuchać się i wydziwować nie wystarczył; pod którą sam Bóg

[1]) Bukłada, bukład, bukłak naczynie skórzane do noszenia wody (tatarskie).

z patronami świętymi za nas dokazywał cudownie; pod którą (słowem rzekę) nic przykrego, nic trudnego, nic niebezpiecznego, nic niedoskonałego nie bywało". Urok imienia hetmańskiego upadł, odkąd hetmani nadużywają swej władzy dla celów osobistych i partyjnych. Waleczność żołnierza przerodziła się w burdy i pijatykę, religijność ustąpiła miejsca bezbożności, żądza wojennej zdobyczy pokojowemu podbojowi serc niewieścich. Nie ten lepszy, kto waleczny, ale ten, kto piękniej się przystraja. Przechody wojskowe niszczą mienie obywateli; najwięcej tu cierpią wdowy i sieroty, których dobra, pomimo ochrony hetmańskiej „z przypisem własnej ręki: *pod sądem zalecam*", — są formalnie najeżdżane i grabione. Ledwo znak rotmistrzowski ukaże się we wsi, zaraz w niej „okrutne zamieszanie: kwik, bek, gdak, hałas, lament, trzask, puk, grzmot i wszelka opressia przebijająca obłoki. Już chłopstwo poranione, kobiety pokrwawione i przestraszone, biegają jak szalone, ręce załamując, w knieje i parowy uciekają, mróz i słotę z dziećmi nagiemi cierpią i ledwo się nie zagubią. Już okna w chałupach na wylot przeglądają, piece trupem leżą, naczynia, sprzęty, szkła i fanty potłuczone i porabowane. Już szkapy po uszy z siana wyglądają, owsem i ziarnem przez ochwat mierzą się. Pierza z drobiu jak śnieg po całej wsi latają, ognie w stodołach palą się, we wszystkiem niekarny żołnierz pod niepoczciwą komendą bryka i exorbituje". Dwór koniecznie dostarczyć musi przynajmniej „dwie beczki miodu, cztery piwa, dwadzieścia garncy gorzałki, tyleż korcy owsa, sześć flasz wina jmci panu namiestnikowi w dyskrecyi za siano, słomę i sieczkę". To też po przejściu wojska cała wieś wygląda jak po bitwie.

„Już i jejmość z drobiem dziatek swoich we dworze na zimnie bez drew w zęby jak w cymbały dzwoni, głód cierpi, spiżarkę wyszafowała, piwniczkę wyszynkowała...

A mój miły nad babami Herkules, jako bela opity namiestnik zębami zgrzyta, na wąsy dmucha, jako papuć gębę odyma, władzą swoją bryka, ludziom przystępu, krzywdzie ucha, mizeryi serca, zbytkowi wstrętu, skargom sprawiedliwości nie pozwala..., ale hola, hola mój miły bohatyrze! na odwód proszę, nie tu dokazywać pole twoje, nie tu plac ubogich chałupki, w których jak jazwce (borsuki) mizerne siedzą, wywracać i krwawić, albo z mizeryą ludzką pasować się okrutnie, dla której ochrony powołanie wasze krew lać i umierać rozkazuje koniecznie". Ale gdzie tam myśleć o tem żołnierzowi, kiedy „bronią władnie trwoga, szablę lekką jak piórko przypasuje moda, drugą niedbalstwo i niedozór do skórki węgorzej przykleja nieużytecznie; kopia ręki niema, kurek panewki nie zna, sajdak z wiatrem igra, szkapa na ogień klęka, na huk wędzidła nie czuje"... To też obecnie żołnierz polski stał się pośmiewiskiem obcych, a „inwencya cudzoziemska" wprowadza na zabawne sceny, komedje i opery całą jego pocieszną fantazyą, brawurę, stąpanie, ułożenie, junakieryą... przy nas samych i z pomocą chichotając ze wszystkiego do woli".

III.

„Jako w cnotach, tak i w obyczajach cale się nie mamy proporcyonalnie do oblicza ludzkiego z twarzy boskiej przeformowanego, co samo pokaże się i w kroju". *Małpa-człowiek w kroju* jest więc trzecią i ostatnią częścią satyry, „jako bowiem małpa chęcią i naśladowaniem rada się bierze do ubioru ludzkiego i przez zdradliwy stroju sposób wikła się i dostaje połowem w ręce człowieka... tak i człowiek według inklinacyi nieostrożnej do mody i krojów przeciwnych naturze, ułożeniu, miejscu i stopniowi swojemu, naśladując małpy, sidła się nieuważnie w kosztowne długi, w szacowne expensa, w słuszne cenzury

i błazeństwa u ludzi, wychodząc z znacznych dziedzictw, fortun, skarbów i własności domu i imienia swojego. Albo bierze na siebie postać i figurę owych komedyonalnych błaznów i trefnisiów, którzy... przerabiają się i układają w różne maniery i kroje obcych, na pocieszną patrzących zabawę. A jakoż się przez Bóg do woli i rozpuku nie śmiać, kiedy się rzecz sama podaje ogromnie do tego przez ucieszną nieproporcyą kroju do kibici, kibici do stroju, stroju do osób, osób do gatunku, gatunku do intraty, intraty do kosztu, kosztu do stopnia, stopnia do kapitału i substancyi, substancyi do utraty i zażycia, zażycia do niewczesnego żalu i dobrowolnej mizeryi, zgoła wszystkiego nie do twarzy, sposobności i powołania". Wszystko to zaś obaczy się obszerniej „w następujących podziałach partykularnych, a naprzód — *w podziale kroju białogłowskiego*".

Nie idzie tu autorowi o wytworne i powabne stroje. Kto na nie ma — niech się niemi cieszy i chlubi. Chodzi mu tylko o wydatki na stroje, przechodzące możność ludzi średniej, szlacheckiej fortuny. „Żebym zaś przez bezpieczeństwo prawdy nie uraził kogo, biorę się z obserwancyą do nóg delikatnych, a póki granica pozwala, uważam trzewik, dratwy i kroju turobskiego, jako prośniak pohany, pończochę jedwabiu czyli sztamentu koziego, niby tłumok sudanną (nadobną, udatną), podwiązkę jej z ołowiem szlakowym, szlak koszuli w nici pracowitej, zapracowanej i ostrej, spodnicy duhat i podszewkę z pod szczotki, róg na szyję złodziejom przyzwoity. Widzę modny na wierzchu parter z kilkadziesiąt szacownych łokci wymierzony, modno, dostatnio i sudanno na szlak teraźniejszy pofałdowany, pokawałcony i urobiony. W nim wojewodzinę albo inszą od krzesła i kondycyi damę uczcićby się godziło, ale że wierzchni zbytek spodni niedostatek garnitury znaczą, tedy kogoś inszego od pysznej emulacyi, a nie od intraty strojnego poznam". Gdzież są karety, sługi i cu-

gi do tego stroju odpowiednie? „Facyatę dym wskróś przejął, wewnątrz pluskwy zasmrodziły, czerw na wylot strawił, kiczka [1]) zaniedbana odkryła.... zwierciadło mysz pod ścianę zawlekła, jejmość na pańskie woła, jejmość z warzechą się uwija, a przecie garnitury, stroje i mody aż przez morza Paryż przysyła... Pytam jeszcze skąd przecie koszt i dochody na to? Maciek zrobi, Maciek zje; wół za granicę nie pociągnie, skiba do Gdańska nie wyprawi, gęba i potrzeba dosyć nie mają, dzieci z..... i połyskują, niedostatek w domu świta, a przecie w nim *Musiu Michel* przy kaganku kraje, deseń układa, do szlaku, jako strunę baranią, defekt materyi wyciąga, jejmość do miary coraz się nadstawia, jegomość jak na ukropie gołym z..... siedzi, niecierpliwy i bojaźliwy, aby znowu po przydatek do szlaku na kliny albo falbany do kramu posyłać nie musiał, zastawiwszy na dwa łokcie ostatniego półchłopa“. Na to wszystko jest pospolicie odpowiedź: tak moda każe, „tak i pani wojewodzina, kasztelanowa i tam insze od czoła damy modne stroją się i przystojnie udają. A tu serdecznie rozśmiać się muszę. O niepomiarkowana rozumem płci słabiuchnej emulacyo.... A kędyż róg do ufnala, gdzie są te majętności i intraty wojewodzin i kasztelanowych? Nie jeden klucz przez ręce kredytorów przejdzie, aby do kosztownej garderoby drzwi otworzyć“. Zresztą wielkie damy mają sposobność pokazania swych strojów: „wolne publiki, kompanie, wizyty, akty i ozdobne przytomnościom królewskim asystencye. Mają publiczne o sobie poczty, gazety, wiadomości i relacye“... Ale co tobie po tym zbytku mościa wojska upicka, albo podczaszyno derpska? Męża krzywdzisz i rujnujesz, a sama nic z tego nie masz. Jeżeli to czynisz dla szacunku osoby, to próżny zawód

---

[1]) Pokrycie dachu ze słomy, snop do „strzechy“.

Bo i dudek pstry bywa, a w ozdobę przecie
I w smak stołów nie wchodzi z bażanty w pasztecie;

jeżeli dla naśladowania i emulacyi, to sama z siebie żartujesz,

Bo i głowacz nie jest główna ryba, choć to bywa,
Że przez siłę pod wodę z jesiotrami pływa;

jeżeli dla podniesienia swych wdzięków poniszczonych latami, to mylna twoja rachuba,

Bowiem wiara powszechna ludzi na tem stoi,
Że orłowi południe, noc sowie przystoi.

A może dla przypodobania się mężowi i odświeżenia jego uczuć miłosnych? Ależ to rzecz zbyteczna,

Kto bowiem żabę kocha, rozumie, że pannę
Z bogiń kocha piękniejszą nad insze Dyannę.

Strojnisie takie narażają się na żarty, na ludzkie obmowy. Nawet nazwać strojów nie umieją, zasłyszawszy coś o nich tylko zdaleka i przekręciwszy. Kupiec „przez wstrzemięźliwość śmiechu nieraz krwią plwać musi, kąsając język przy towarze swoim. Będzie tam bowiem i: musiu, mości panie, pokaż mi waszeć *pater*[1]) z materyi *paruskiej*[2]); tylko niech będzie na niej *rexen*[3]) modny, a kolor *amorat*[4]); potrzebny mi *pastor*[5]) pod kamizelę, ba i *rochatyna*[6]) *w pensowym*[7]) kolorze itd.“. Za paniami idą ich sługi. „Jeżeli pani pokaże się jak beczka, pewnie sługa przyczyni obręczy, wydawając się jako kufa ogromnie i tak szeroko, że się ludziom zdawa, iż ta dama zdobiąc tusz swoję, nie bywa bez czopa“. Za sługami idą mieszczki, nie wspominając już o pannach „z lupanarów“. Paryż nadaje

---

[1]) Ma być *parter*. — [2]) Paryskiej. — [3]) Deseń. — [4]) Amarant. — [5]) Kastor. — [6]) ratyna. — [7]) ponsowym.

prawa modzie, ale tam tylko bogate i wysokiego rodu damy do niej się stosują. Każdy stan ma własny ubiór, nie naśladuje jeden drugiego. U nas zaś nie poznasz: która matka, a która córka, która wojewodzina a biedna szlachcianka, która pani a sługa, która praczka a senatorka. Dawniej jedna i ta sama materya przechodziła w spadku z matki na córkę, a nawet wnuczka w tejże koronce i przerabianej szubce ludziom się pokazywała, w której babka szła do ołtarza.

Przystępujemy do ostatniego rozdziału satyry, którego przedmiotem jest *strój męski światowy*. Autor nie rozumie wprawdzie, „żeby ktośkolwiek, poznawszy rzecz dyskursu niniejszego na sobie, rozgniewać się... musiał, wprzód albowiem niż ona przed oczy wynijdzie, każdy pójdzie za pochopem ustawicznie mieniących się krojów naszych i przeinaczy się tak usilnie, że od porzuconej przed kwartałem mody jakoby wiekiem całym zdadząc się być oddalony, wszystko to co tu o sobie samym prawdziwie przeczyta, nie sobie, ale raczej dziadom, pradziadom i naddziadom swoim należeć przyzna“. Przedewszystkiem gniewa satyryka, że wielcy panowie nic „do szlaku godności, pańskości i dostojności“ nie noszą. Nie zobaczysz na nich owego „wieczystego półgranacia [1]), szkarłatu, fioletu, aksamitu, półpalcowego atłasu i adamaszku... sobola i marmurka“ [2]), ale jakieś „wiotkie szypłuchy, ladajakie pytle, podłe z nici i nazwiska łyczaki, kitajki [3])... wilki, barany, popieliczki i bielistki“. Wszystko to zaś tak drogie jak najwspanialsze futra i materje, które przez czas długi wartości nie tracą i są poniekąd majątkiem rodzinnym. Kupcy sprzedając te „błazeństwa“, zyskują jak „na farynie“.

[1]) Grube sukno granatowe.

[2]) Lisy czarniawe marmurowej maści, jedno z najdroższych futer.

[3]) Jedwabna materja gorszego gatunku.

Mniejsza wreszcie o gatunek materji, ale gdzie się podział stary krój polski. Oto „suknia opnie raz z...k jakby weń wrosła tak pociesznie i gładko, że cała jego z podziałem fizjognomja pokaże się jak na afront patrzącym; drugi raz kupą fałdów obłoży, że się zda tonąć jak w bałwanach na morzu; trzeci raz nie dopędzi kupra, jak katanka góralska; owdzie niedostatek a tam zbytek niezmierny“. Powaga sukni jest konieczna, stosować się winna do znaczenia i stanowiska noszącego. „Niech twój modny dworzanin do mody teraźniejszej błazeńskiej z.....m przed tobą i za tobą wierci, pozwalam, niechaj plastrami irchowemi biodra sobie okłada, fałdy łamie, grzbiet pytluje, z...k jak tarcicą taśmuje i w inwencyach pocieszneg kroju i gatunku zbytkuje: — tobie bławat dyktowny, sukna okazały gatunek, guz w dyamencie, włos futra czarny, krój dostatni, strój otworzysty słusznie i poważnie należy“. Szlachta naśladując panów, zmienia coraz modę, traci majątki na modne stroje. „Dobrze i nad zamiar pożytecznie bywało przed laty, gdzie każda sztuka ochędóstwa polskiego miała się wieczystym krojem i potem się pod szlak inszy przydała, według owej do wyrozumienia łaciny: a pamiętasz kontuszu quando feresia fuisti, nunc modo żupan eris, postea curta brevis; z której znowu mogła być portka ba i czapka razem Antosiowi pańskiemu“. Żołnierz po te czasy „w atłasowych portkach do pychy haruje, podjazduje i wojennie pracuje, ubramowawszy je, jak sznurówkę Dorota, galonem, czyli pasamonem“... Służba dworska naśladuje w stroju kobiety, włos pudruje, rękawiczki upiżmowane kładzie. Juryści, instygatorzy wszystkich naśladują po trochu: rodzajem rewerendy przypominają księży, kamizolą wdowy, pętlicą dworzanina... Profesorzy, studenci, „extra limen (za progiem) szkoły i skromności wychodzą pod kroje zbyteczne

i pocieszne". Tę samą niewłaściwość stroju napotyka autor u mieszczan i u chłopów.

Po kroju białogłowskim i męskim światowym przyszła kolej na *krój duchowny*, i taki tytuł napotykamy w rękopisie. Ale zaraz po nim następuje: „koniec A. M. D. G." i czterowiersz:

Żyjcie w górnych ozdobach Chrystusowej wiary
I zbawienia naszego o! święte filary!
Żyjcie w krojów wolności; nie przeszkadzam póty,
Póki za pierwszy dyskurs nie zmówię pokuty.

1882.

JÓZEF JĘDRZEJ ZAŁUSKI I JEGO NIEWYDANE DZIEŁO[1]).

W styczniu r. 1914, cesarska bibljoteka publiczna w Petersburgu obchodziła setną rocznicę swego otwarcia. Z tego powodu tak w dziennikach, jak i ilustracjach rosyjskich pojawił się szereg artykułów, poświęconych jej przeszłości. Przebijała się w nich duma narodowa z posiadania zakładu, należącego do pierwszych w Europie. Nie pozostała obojętną na ten obchód i prasa europejska; oprócz wzmianek w dziennikach, widzieliśmy w niemieckich pismach ilustrowanych reprodukcje cenniejszych zabytków, przechowywanych w tej sławnej bibljotece.

I miałaby rzeczywiście Rosja czem się chlubić, gdyby nie dzieje początków tej bibljoteki, gdyby nie to, że zawdzięcza ona swe powstanie rabunkowi, dokonanemu na Polsce po insurekcji Kościuszkowskiej. Wtedy to Suworow, na rozkaz Katarzyny, kazał spakować słynną bibljotekę Załuskich, i jako trofeum wojenne, przewieść ją z Warszawy do Petersburga (przewiezienie poprzedziła specjalna umowa z rządem pruskim). Mamy świadectwa współczesnych, jak się ten rabunek dokonywał. Wystarczy przytoczyć choć jedno, nie podejrzane o przesadę, bo pochodzące od cudzoziemca. — Przebywający wówczas w Warszawie ks. Goergel, sekretarz ambasady francuskiej w Wie-

---

[1]) Połączyłem życiorys okolicznościowy drukowany w „Nowej Reformie“ z opisem rękopisu Załuskiego, umieszczonym w „Tyg. Ilustr.“ 1914 r.

dniu, tak kończy swą opowieść o wywiezieniu „jednej z najbogatszych i najkompletniejszych bibljotek w Europie“:

„Nie mogę tu zamilczeć o fakcie, w którybym nigdy nie uwierzył, gdyby nie to, że byłem świadkiem wywiezienia bibljoteki Załuskich w Warszawie. Było ono dokonane przez hordę kozaków („par une horde de Cosaques“): tysiące tych tatarzynów brało księgi na ramiona i rzucało je w długie paki, sklecone naprędce. Wielkie, średnie, małe tomy leżały jedne na drugich; gdy skrzynie napełniono, zabijano je deskami. W chwili, gdy zabijano jednę z tych skrzyń, przyszło im na myśl umieścić jeszcze jeden wielki tom, 3 stopy długi, 2 stopy szeroki, oprawiony w safian czerwony ze złotemi wyciskami, zawierający wspaniałe sztychy wraz z objaśnieniami. Tom ten był niewątpliwie zbyt długi by go można umieścić tam, gdzie chcieli. By go umieścić szybko, kozacy przecięli go i dwie części wsadzili do paki. Gdy się widziało te dwie połowy, wzdrygnął się człowiek na takie barbarzyństwo, które stało się powodem przecięcia cennej książki, do której podobnej nie można było znaleść, pomimo poszukiwań“.

Bibljoteka Załuskich, która składała się z 300.000 tomów (inne źródła mówią nawet o 400.000), nie licząc 11.000 rękopisów i 25.000 rycin, była czwartą pod względem wielkości w Europie; ustępowała jedynie bibljotekom: londyńskiej, paryskiej i monachijskiej[1]). I takie to wspaniałe zbiory „przyłączono“ z woli Katarzyny do bibljoteki petersburskiej, liczącej... 20.000 tomów.

Jak ta bibljoteka zamiast wzrastać, zmniejszała się, jak

---

[1]) Dziś, po 120 latach, w czasie największego rozwoju bibljotek, największa nasza bibljoteka, Jagiellońska, posiada 430 tysięcy tomów, 6.500 rękopisów, 10.000 rycin i t. d. To daje miarę, jak olbrzymim był zbiór Załuskich, powstały trudem jednego człowieka. *(Przyp. z r. 1914).*

książki w pakach gniły, jak „zniszczone wskutek braku dozoru, tudzież wilgoci“ sprzedawane były na funty, jak je rozkradano, zanim w r. 1813 nastąpiło otwarcie cesarskiej bibljoteki — o tem opowiadają nam źródła rosyjskie. Wspominały o tem nieco i artykuły „obchodowe“, które jednak sprawę konfiskaty bibljoteki przedstawiły w ten sposób, że rząd rosyjski uratował od zagłady owoc niespożytej zasługi Józefa Andrzeja Załuskiego. To tendencyjne, kłamliwe przedstawienie rzeczy przeszło i do pism zagranicznych.

Co prawda, nie jesteśmy bez winy, ale nie względem bibljoteki Załuskich, lecz względem jej założyciela. Ten znakomity uczony, pierwszy w Polsce bibljograf, pierwszy poniekąd historyk literatury i krytyk historyczny, wielki mecenas i wydawca, największy erudyt polski XVIII wieku, wreszcie twórca największego w Polsce księgozbioru, który złożył w darze narodowi i przy którym próbował założyć Pierwsze u nas Towarzystwo Przyjaciół Nauk — nie posiada dotychczas swego biografa. Wiemy o nim zaledwie tyle, co nam podał jeszcze za jego życia Janocki, a co uzupełnił w kilku krótkich szkicach Juljan Bartoszewicz [1]). Na obszerny, godny tej postaci życiorys, do tej chwili nie zdobyliśmy się. Nie wiedzieliśmy nawet, gdzie się urodził.

Sądzę więc, iż w chwili, kiedy obcy piszą o zasługach wiekopomnej pamięci ks. referendarza koronnego i biskupa kijowskiego, należy podać choćby krótki rys jego

---

[1]) Janocki: „Lexicon derer iszlebenden (jetztlebenden) Gelehrten in Polen“. J. Bartoszewicz: artykuł w Enc. powsz. Orgelbranda, „Młodość Załuskiego“ w „Tyg. Ill.“ 1862 i „O przedrukowaniu Voluminów legum w r. 1732“ (Studja tom I.). — O bibljotece Załuskich mamy sporo prac, zacząwszy od obszernego ustępu w „Bibljograficznych księgach“ Lelewela, aż do monografij Aleksandra Kleczeńskiego i Ignacego Baranowskiego.

życia, oparty na materjale drukowanym i archiwalnym. Notaty, jakie posiadam, starczyłyby na kilkoarkuszową monografję...

* * *

Rodzina Załuskich wyniosła się nad poziom szlachecki dopiero w połowie XVII. wieku, ale wkrótce zajęła pierwszorzędne stanowiska w kraju i w Kościele. Założycielem jej „dynastji“ był Andrzej Chryzostom, biskup warmiński, kanclerz za Augusta II.

Brat Andrzeja Chryzostoma, Aleksander Józef, wojewoda rawski, z Teresy Potkańskiej, starościanki inowłodzkiej, miał czterech synów: Jędrzeja Stanisława, późniejszego biskupa krakowskiego, Marcina, biskupa drażeńskiego, sufragana płockiego, Jakóba, kasztelana liwskiego i Józefa Jędrzeja, biskupa kijowskiego, założyciela bibljoteki.

Józef Jędrzej, najmłodszy z braci, urodził się 12. sierpnie 1701 r. w Załuskach pod Czerskiem, niedaleko Warszawy [1]).

Zaledwie podrósł w domu rodziców, znalazł się w Warmji na dworze biskupim u stryja, ks. kanclerza, który wszystkich swych synowców brał na wychowanie. Chowali się więc u niego na zamku heilsberskim tak synowie wojewody rawskiego, jak i synowie Franciszka, wojewody czerniechowskiego. Miał z nimi kłopot, bo wybuchła zaraza, trzeba więc było umieścić ich raz w Reszlu, drugi raz w Gutsztadzie (1710).

Stryj kochał swych synowców, ale najwięcej, zdaje się, młodziutkiego Józefa. Już ośmioletni chłopak rwał

---

[1]) Miejsce urodzenia z niewydanego rękopisu Załuskiego. Nie był nim więc jakiś Seldeck (?) w diec. gnieźnieńskiej, jak podawały rzymskie „Notizie per l'anno 1760“, za czem poszli biografowie.

logiczne, sławny kardynał, arcybiskup paryski, książę Antoni de Noailles promował go na bakałarza św. teologji. Następnie poświęcił całe pół roku na zawieranie znajomości i stosunków z uczonymi francuskimi. Całe trzy miesiące był gościem wspomnianego już kardynała Polignaca, wielkiego mówcy, porównywanego z Bossuetem, biegłego zarówno w polityce, jak i w literaturze, świetnego znawcy filologji klasycznej, który poematem „Anti Lucretius sive de Deo et Natura“ stanął w rzędzie najcelniejszych poetów nowo-łacińskich.

Zaledwie stanął w Polsce, Adam Ksawery Rostkowski, biskup filadelfijski, sufragan łucki, proboszcz warszawski, przyjął go na koadjutora probostwa warszawskiego z prawem następstwa, co mu zapewniało silne podstawy materjalne. Jednocześnie prawie został kanonikiem krakowskim. W Krakowie też otrzymał stopień doktora obojga praw.

Odtąd zaczęły się na niego sypać tytuły, dostojeństwa i obowiązki. Był posłem na sejm [1]), deputatem na trybunały, piotrkowski i lubelski, został proboszczem jaworowskim, proboszczem-infułatem kodeńskim, opatem hebdowskim, przemętskim i rybczyńskim, kanclerzem królewicza Fryderyka...

W r. 1724 był w Częstochowie na konsekracji swego 29-letniego brata, Jędrzeja Stanisława, na biskupa płockiego.

W r. 1726 wskutek uchwały sejmowej, miał jechać do Rzymu, jako sekretarz przy poselstwie Jana Tarły, wojewody lubelskiego, w sprawie zatargu z nuncjuszem Santinim o prawo patronatu opactw i beneficjów, ale posel-

[1]) Pod r. 1724 zapisuje w rękopisie: „odtąd na sejmach bywałem wszystkich“. Janocki wspomina o wspaniałej mowie (merkwürdigste Predigt) jaką miał na otwarcie sejmu za Augusta II.

stwo to „spełzło (jak się sam wyraża), przeto, że stał się gwałt nuncjuszowi“ [1]). Na sejmie tym był Załuski prezydentem jednej z komisyj. „Całą xięgę praw cessji, transtuzji królowi oddałem“. (Rkps.).

Ważną datą w jego życiu jest rok 1728. W roku tym Tarło, biskup poznański wyświęcił go na kapłana, a król mianował go referendarzem koronnym (19. czerwca). W sierpniu i wrześniu tegoż roku, wygłosił dwie mowy na pogrzebie dwóch hetmanów: litewskiego Stanisława Denhoffa, (w Częstochowie) i koronnego Stanisława Chomentowskiego (w Samborze). Po tym Chomentowskim „koligacie“ swoim, otrzymał kamienne biusta królów polskich, które ozdabiały później bibljotekę Załuskich w Warszawie [2]).

Na tę porę przypada pierwsza, że tak powiem, serja jego podróży po Polsce i zbierania bibljoteki. Jednocześnie pojawiła się w nim szlachetna żyłka wydawnicza. Drukował wprawdzie wówczas Kożuchowski, cześnik wieluński, konstytucje, statuta i przywileje koronne i w. ks. lit., praca ta jednak obejmowała tylko czas od r. 1550. — Załuski zatem postanowił dać krajowi całe *Volumina Legum* i dołączyć do nich uzupełniony „inwentarz praw i konstytucji Ładowskiego“. Żadne przedsięwzięcie wydawnicze — pisze historyk — nie było tyle w duchu czasu... jak ten pomysł Załuskiego. Całe *Volumen Legum* było wtedy nadzwyczaj rzadkie... nikt prawie nie posiadał kompletu. Stąd częste postanowienia sejmowe nakazujące zebranie praw i konstytucyj (Kożuchowski prowadził też swe wydawnictwo z polecenia sejmu), a zawsze naprożno, bo duma, czasem zawiść, czasem interes, zrywały wszystko, a zbiory

---

[1]) O sprawie tej czytaj J. Bartoszewicza: „Ksiądz Wincenty Santini (Szkice z czasów saskich)“.

[2]) Rękopis.

piękne i systematyczne nie zyskiwały sankcji narodu na jego sejmach prawodawczych"... [1]).

Dopełniwszy Ładowskiego, posłał go Załuski do Lipska, do bibljopoli J. Kr. Mości Weidmana. Trudniejsza rzecz była z samemi *Voluminami*. Przedsięwzięcie wymagało wydatku 70.000 złotych, co na owe czasy było wielką sumą, a Załuski ledwie koniec z końcem wiązał przy swoich podróżach i wydatkach na bibljotekę, — są podania, że oszczędzał nawet na jedzeniu, chleb z serem jadał na wieczerzę. Więc wpadł na myśl ogłoszenia subskrypcji, czyli, jak dziś nazywamy, prenumeraty.

Ogłosił o niej „informacje" w „Kurjerze Polskim" (2. stycznia 1732.) — informację tę (odezwę) podpisali prócz niego Jędrzej Stanisław Załuski, biskup płocki i Józef Mniszech, marszałek W. Kor.

Volumina wychodziły w drukarni Pijarów, mającej wyłączny przywilej drukowania wszelkich praw krajowych. Wydaniem zajęli się dwaj pijarzy: słynny ks. Stanisław Konarski, krewny Załuskiego i ks. Bonawentura Raciborski, prefekt drukarni. Konarskiego praca była tu wybitna — układał bowiem dostarczony przez Załuskiego materjał i zaopatrzył go przedmową. Niesłusznie jednak w naszych czasach przypisuje się zasługę wydania *Voluminów* wyłącznie Konarskiemu. Wszak Załuski dał pomysł, dał materjał i zbierał pieniądze. Sam Konarski w przedmowie wyrażał głęboką wdzięczność „Illustrissimo familiae, virtutis et scientiae claritudine viro Josepho Andreae Załuski Referendario Regni", nietylko za dostarczony materjał, „e sua magno studio sumptuque... locupletissima biblioteca", ale i za to, że dzieło zostało wydane jego radą i pomocą materjalną *(ejus beneficio consilioque)*.

Sam ks. referendarz poprzestał na rozciąganiu nad-

---

[1]) Bartoszewicz: „O przedrukowaniu *Voluminum Legum*".

zoru nad wydawnictwem, bo rozliczne jego zajęcia nie pozwalały mu zajmować się pracą edytorską. Z sali sądowej biegał do konsystorza, z konsystorza do swoich zbiorów. Wciąż wyjeżdżał, aby w klasztorach i dworach wyławiać, lub przeglądać stare druki i rękopisy. Jednocześnie kończył wydane w maju tegoż roku, dwutomowe dzieło: „Dwa miecze przeciw dyssydentom". Rozpoczął pracę nad *Specimen historiae criticae.* Pomagał Niesieckiemu w układaniu herbarza. A trzeba było przytem brać udział w rozmaitych uroczystościach lub żałobnych obrzędach, wygłaszać mowy i kazania.

Tak np. podczas druku pierwszego tomu *Voluminów* widzimy go 19. marca przyjmującego szkoły pijarskie, 27. marca przemawiającego wobec króla na reasumcji sądów kurlandzkich — tegoż dnia miał kazanie na passji w kościele św, Jana. „przy wielkiem zebraniu nabożnych panów, biskupów i mieszczan"[1]). 25. maja bierze udział w konsekracji ks. Lipskiego (późniejszego biskupa krakowskiego) na biskupa płockiego — po konsekracji wygłasza kazanie. W trzy dni później znajduje się na pogrzebie Józefa Sapiehy, starosty mielnickiego. Niedługo potem (3. lipca) wyjechał na kapitułę w Pułtusku, ale zaraz wrócił, bo doszła go w drodze wieść o śmierci biskupa krakowskiego, Szaniawskiego.

Więc też już 5. lipca wyjeżdża do Krakowa na kapitułę z bratem Marcinem, sekretarzem W. Kor. Przebywa w Krakowie cały miesiąc, przemawia na pogrzebie biskupa (29. lipca), a gdy umilkły żałobne dzwony, zwiedza szczegółowo zamek wawelski. A nie czyni tego z prostej jedynie ciekawości, ale z polecenia królewskiego. Augustowi II. „przypomniało się", że w starej stolicy Polski wznoszą się święte dla narodu mury, które chronić od upadku jest

---

[1]) „Kuryer Polski".

jego obowiązkiem. Więc kazał Załuskiemu, aby zdał mu sprawę ze stanu, w jakim zamek się znajduje, wskazał, które jego części wymagają restauracji i obliczył w przybliżeniu, jakich na ten cel potrzeba funduszów.

Załuski powrócił do Warszawy 5-go sierpnia, a zaraz potem, wprost ze świetnego „kampementu“, wyprawił go król na jenerał przedsejmowy pruski do Malborga. Zajrzał do Gdańska, a gdy z niego zdążał do Warszawy, tom pierwszy *Voluminów* opuszczał już prasę pijarską.

Wtem król umarł, a z jego śmiercią zachwiały się nadzieje Załuskich, bo właśnie Jędrzej Stanisław miał otrzymać od Augusta pieczęć wielką, a Józef oczekiwał katedry. Podczas interregnum prymas Potocki chciał wyznaczyć Józefa posłem do jednego z dworów z zawiadomieniem o śmierci króla i elekcji. Dawał mu do wyboru dwory: rosyjski, szwedzki i duński, ale do żadnego z nich poselstwa nie przyjął, bo były dyssydenckie [1]).

Oczy ich zwróciły się do nowo wschodzącej gwiazdy. Za poparciem Francji, ogół szlachty z entuzjazmem powołał na tron Stanisława Leszczyńskiego, ale wojska rosyjskie pospiesznym marszem zbliżyły się do Warszawy i pod ich osłoną w Kamieńcu, obok Pragi, kilkuset szlachty z małą garstką senatorów, okrzyknęło królem Augusta III. Leszczyński musiał uchodzić do Gdańska...

O udziale swym w elekcji i o tych wypadkach pisze sam Załuski:

...Jam czytał papieski
List na polu pod Wolą, intonowałem
Te Deum, a w kościele *qua* Proboszcz witałem
Elekta, ale się to na nic nie przydało.
Bo na Pradze Antoni Poniński, Koronny
Instygator...

[1]) Z rękopisu „Polska“ i t. d.

Elektora saskiego wystawił elektem,
Ogłosił go zaś biskup poznański Hozyusz.
Głową był tej partji kardynał i biskup
Krakowski Lipski, wsparty rosyjską potęgą...
In campo Wola było szlachty kilkudziesiąt
Tysięcy, a na Pradze mała trzechset garstka...[1])

Z Leszczyńskim do Gdańska udało się z prymasem na czele wielu senatorów i magnatów, a między nimi był i nasz ksiądz referendarz. Wojska saskie i rosyjskie obległy miasto, król Stanisław uszedł do Prus, zawiązała się w jego obronie konfederacja dzikowska. Po trzechletniej blisko walce zawarto pokój. Leszczyński zrzekł się tronu, utrzymał się tylko przy tytule króla polskiego. Osiadł w Lotaryngji, którą otrzymał w dożywocie z księstwem Baru, stolicę swą założył w Lunewilu.

Załuski pozostał mu wierny. Podczas walki o tron, król Stanisław mianował go biskupem chełmińskim i swoim posłem na dworze papieskim. Oczywiście do biskupstwa nie doszedł — prócz niego stracił opactwa przemętskie i hebdowskie i „dalszą krescytywę *qua Primus Expectans*“. Wprawdzie otrzymał za nie od Ludwika XV. opactwo fontaneckie, ale była to według słów jego „mizerna rekompensa — przemętskie z hebdowskiem razem czyni intraty cztery razy więcej“[2]).

W ciągu trzyletniego pobytu w Rzymie, zawiązał Załuski stosunki z uczonymi, został członkiem Akademji *Infoecundorum*, zapoznawał się szczegółowo z urządzeniem bibljoteki watykańskiej, wreszcie powiększał swe zbiory zakupami i ułożył dwutomowy katalog swych książek.

Przestał być posłem z chwilą, kiedy Leszczyński zre-

[1]) Tamże.
[2]) Tamże.

zygnował z tronu. Zaraz więc pożegnał papieża i podążył do „swego króla“.

Leszczyński przyjął go serdecznie. Dał mu opactwo willaryjskie w Lotaryngji, probostwo infułackie św. Deodata, zależne wprost od stolicy apostolskiej, mianował go konsyljarzem w „najwyższym parlamencie“, uczynił go swym wielkim jałmużnikiem i kanclerzem królowej. Hrabia d'Argenteau, powinowaty jego stryjenki (żona Franciszka wojewody czerniechowskiego ostatnia z rodu hrabiów d'Arschot de la Rivière), chciał mu odstąpić dwa opactwa, do których był przywiązany tytuł księcia cesarstwa — król Stanisław wystarał się dla niego w Rzymie o biskupstwo cezaryjskie. Ale „księstwo“ spełzło na niczem, a biskupstwa *in partibus* sam Załuski nie przyjął. Jest domysł, że grała tu rolę duma rodowa, którą Załuscy posiadali w wysokim stopniu, a która nie pozwalała na przyjęcie godności, udzielanej we Francji ludziom krwi zwykłej, a nie „błękitnej“ [1]).

Załuski miał ochotę na prymasostwo Lotaryngji i podobno król-filozof nawet mu je przyrzekł, ale wdał się w sprawę kardynał Fleury i prymasem został Choiseul. Załuskiego to tak dalece ubodło, że ogłosił list do prałatów i do Rzymu i w sam dzień nominacji Choiseula porzucił dwór króla Stanisława [2]). Przykro mu zapewne było rozstawać się z uczonymi przyjaciółmi, do których zaliczał między innymi Solignaca, autora historji polskiej, Lancellota, a zwłaszcza benedyktyna Cameta, słynnego historyka i archeologa.

Zbiory swe, pomnożone w Lotaryngji i podczas częstych wycieczek do Paryża, pozostawił na razie w 84 pakach w Lunewilu, a sam jeszcze przed powrotem do kraju, puścił się w podróż do Holandji, Anglji, Szwecji i Danji,

[1]) J. Bartoszewicz: Encyklopedja, t. XXVIII.

[2]) Janocki: Lexicon.

aby poznać się z uczonymi tych krajów i nowe paki książek i rękopisów zabrać ze sobą do Polski [1]).

Powrót jego przypadł, zdaje się, na r. 1743, bo dopiero w r. 1744 napotykamy na ślady jego działalności. Wygłaszał wówczas w Wiśniowcu mowę na pogrzebie ostatniego z domu Wiśniowieckich, Michała Serwacego, wojewody wileńskiego, hetmana w. litewskiego; tradycja twierdzi, że był to najwspanialszy pogrzeb w Polsce w XVIII. w. Zapewne jadąc na ten pogrzeb, czy też wracając z niego, zatrzymał się w Lublinie i kazał „in tanta populi affluenti, że prawie po głowach musiał się drzeć na ambonę“ [2]).

W tym też roku powziął zamiar wydać dzieło *Conspectus Scriptorum Poloniae Orthodoxae.* Miał to być, jak sam pisze:

Rejestr autorów,
Ile tylko wiadomych mieć mogłem, piszących,
O duchownych Ojczyzny mojej miłych rzeczach.

Chciał to dzieło równie, jak *Volumina,* wydać drogą prenumeraty, ale rzecz się nie udała z powodu, jak sam nam wyjaśni w rękopisie „Polska“.

Aby powiększyć swą bibljotekę, a zarazem obudzić ruch literacki i naukowy, ogłosił Załuski projekt „asocyacyi kilku lub kilkunastu uczonych, lub w czytaniu nowowychodzących w cudzych krajach ciekawych lukubracyi kochających się osób“. Ta *societas litteraria,* na wzór podobnych za granicą, miała wspólnym kosztem sprowadzać nowości zagraniczne i kolejno je czytać podłóg listy losem ułożonej. Za swoją pracę, korespondencję, starania się, żą-

[1]) Pobyt Załuskiego za granicą, streszczony podług Janockiego.

[2]) Z rękopisu „Polska“ i t. d.

dał Załuski, aby przy końcu roku przeczytane dzieła przeszły do jego bibljoteki.

Uroczyste otwarcie bibljoteki w pałacu biskupa Andrzeja nastąpiło w grudniu 1747 r. Załuscy, chcąc uświetnić ten akt, ogłosili konkurs na prace wierszem lub prozą o pożytkach płynących z bibljotek publicznych. Trzy złote medale były nagrodą najlepszych utworów...

Bibljoteka Załuskich ma już swoich historyków, pomijam więc szczegóły starań Załuskiego, które się złożyły na to „bezprzykładne w dziejach zjawisko“ [1]). Nigdy i nigdzie pracą jednego człowieka nie powstała tak olbrzymia instytucja naukowa. Hołd też Załuskiemu oddawali współcześni tak słowem, jak i piórem, hołd składały mu po śmierci stany sejmowe, zajmując się ubezpieczeniem jego bibljoteki, podziwiał go potem Lelewel, jak „z ruiną własnej sytuacji“ tworzył wiekopomne dzieło. Podziw ten przetrwał do dni dzisiejszych — każdy, piszący o bibljotece Załuskich, musi schylić czoło przed ofiarnością, energją i olbrzymią pracą jej założyciela.

Sława bibljoteki brzmiała szeroko. Na rozgłos jej wpływały ogłaszane przez bibljotekarza Janockiego częściowe katalogi, zwłaszcza katalog 500 celniejszych rękopisów, arcydzieło typograficzne, rozesłane uczonym europejskim i dworom panującym. Sam Załuski przez lat 20 spisywał ogólny katalog swej „księgarni“, który w 15 tomach do druku przygotował. Mianowały go swym członkiem stowarzyszenia uczonych: w Berlinie, Bononji, Florencji, Greiswaldzie, Jenie, Lipsku, Nancy, Petersburgu, Rzymie. Papież Benedykt XIV. wydał bullę, w której pod ekskomu-

[1]) Kleczyński: Dzieje bibljoteki Załuskich (Przemyśl, 1902). Z monografji tej korzystał Ignacy Baranowski (Bibl. Załuskich. Warszawa, 1912), uzupełniwszy ją nowemi szczegółami ze źródeł później wydanych.

niką zakazywał brać bez pozwolenia jakikolwiek druk lub rękopis z bibljoteki Załuskich (1752).

Ale nie sama bibljoteka absorbowała umysł Załuskiego. Trzebaby poświęcić paręset wierszy na suche wyliczanie dzieł i broszur, przez niego napisanych, jego kosztem lub przy jego pomocy materjalnej lub moralnej wydanych (o niektórych była już wzmianka). Bez jego udziału nie wydałby Mizler naszych kronikarzy łacińskich, a Bohomolec polskich. Wydał dzieła Pawła Potockiego. Zebrał w rękopisach zostające i rozproszone utwory poetyckie Drużbackiej i wydał je w r. 1752 — stąd utarło się wyrażenie, iż Załuski „odkrył“ Drużbacką. Jego *Specimen historiae criticae* to „pierwszy u nas przykład rozumnej krytyki historycznej“. Jego *Bibliotheca poetarum* to pierwsze ujęcie dziejów naszej poezji. Pracował nad genealogjami Potockich, Załuskich, Jabłonowskich. Drukował masę swoich mów, wierszy, przekładów oryginalnych i tłumaczonych tragedyj — przekładał nawet dla pożytku ogólnego podręczniki lecznicze i weterynarskie. Olbrzymia jego wiedza zdumiewała współczesnych, a jeszcze za naszych czasów nazwał go Helleniusz „najuczeńszym w całej Polsce swego czasu i w każdej epoce“.

Materjalnym jego kłopotom ulżyło znacznie probostwo warszawskie, które wziął po Rostkowskim i nadanie mu przez Augusta III. opactwa wąchockiego. Ale to i wszystko, co od Sasa otrzymał. Nie mógł mu król zapomnieć jego wierności dla Leszczyńskiego i dlatego, kiedy brat jego starszy rósł szybko w zaszczyty, został księciem biskupem krakowskim i kanclerzem, on wciąż był tylko referendarzem. Bolało go to i przypominał się królowi. Jest w rękopisie jego mowa, miana na sądach sejmowych przed królem i senatem, w której żalił się, że już dwadzieścia lat przepędza na referendarji koronnej [1]).

[1]) Rękopis 3738 Bibljoteki Jegiellońskiej.

W r. 1753 założył w Warszawie Akademję marjańską. Były to posiedzenia, na których różnemi językami sławiono Bogarodzicę. W październiku już podawał do wiadomości, że 7-go grudnia „odprawi się na sali bibljoteki publicznej tutejszej trybem włoskim akademika, czyli akt publiczny krasomóstwa i rymopistwa, na którym wolno będzie każdemu Polakowi czy cudzoziemcowi, prozą czy wierszem i jakimkolwiek językiem, czytać publicznie swe lukubracye". Mówiono więc i czytano po grecku, włosku, łacinie i po polsku. Brali udział w „akademice" Janocki, Bohomolec, Minasowicz... Sławiono za tę myśl Załuskiego, mówiono, że jest „omnium in Polonia nostra scientiarum restaurator", uważano go za „unicum hic saeculo litteratorum Primatem". Akademję tę jednak przerwał i dopiero odnowił za Stanisława Augusta.

W r. 1758, w powrocie z zagranicy, doszła go wieść o śmierci brata Andrzeja. Był to dla niego cios podwójny: stracił nietylko najlepszego przyjaciela, ale i protektora bibljoteki. To mało. Sukcesorowie biskupa po siostrach, korzystając z nieobecności w kraju ks. referendarza, pilnowali biskupa, aby nie legalizował w grodzie testamentu, w którym czynił wspaniały zapis na rzecz bibljoteki. Testament unieważniono, tylko pałac, w którym mieściła się bibljoteka, przypadł Załuskiemu drogą podziału majątkowego.

Śmierć brata przyspieszyła mu jednak otrzymanie tak dawno oczekiwanego biskupstwa. Na książęco-biskupią stolicę krakowską posunął się Kajetan Sołtyk, biskup kijowski, a opróżnioną po nim katedrę August III. oddał ks. referendarzowi. Prekonizowany w Rzymie 24. września 1759, wyświęcony został w Warszawie 4. listopada 1759. W tymże roku we Lwowie, z głośną Kossakowską, kaszte-

lanową kamińską, trzymał do chrztu żonę Franka, „sławnego żydów nawrócicielа“ [1]).

Jeszcze jako nominat przy zwiedzaniu diecezji, której stolica była w Żytomierzu, odwiedził swą tytularną stolicę w Kijowie (w marcu). Przyjmowali go „solennie“ graf Łopuchin komendant, metropolita Arseni, opat pieczerski Łukasz Niełaszewicz i inni [2]).

Tak dobry znawca dziejów Kościoła na Rusi jak Helleniusz świadczy, że był w duchownym zarządzie niespracowany [3]).

W archiwum lipowieckiem Piaseczyńskich znajdowały się jego listy, które świadczyły, jak gorąco zajmowała go naprawa diecezji, jak chciał ująć w kluby i obostrzyć karność świeckiego duchowieństwa, które składało się przeważnie z ludzi mało przykładnych, bo na ukraińskie parafje nikt nie chciał iść z powodu złego uposażenia i ciągłego niebezpieczeństwa w kraju dzikim, pełnym hultajstwa. Załuski musiał suspendować nawet jednego z kanoników, człowieka gwałtownego charakteru i najgorszych obyczajów. Za to duchowieństwo zakonne zalecało się przykładnością [4]).

Gorliwość pasterska Załuskiego była nadzwyczajna. Cały spory rozdział w biografji jego może zająć spis konsekracji, wizytacji szkół, kościołów i klasztorów, zwiedzania miejsc cudownych i obrazów N. M. Panny, kazań, przemówień, bierzmowań... Kazania miewał w sześciu językach, stąd jakiś cudzoziemiec zauważył: „Załuski pourrait être interprète de tour de Babel“... W Żytomierzu swym własnym kosztem fundował zakon Panien miłosierdzia reguły św. Wincentego à Paulo dla poratowania schorza-

[1]) Z rękopisu „Polska“ i t. d.
[2]) Tamże.
[3]) Wspomnienia polskich czasów.
[4]) Rękopis z archiwum autora.

łych, dla dawania edukacji młodzieży stanu białogłowskiego [1]).

W r. 1762—3 był ostatnim prezydentem trybunału skarbowego koronnego w Radomiu. Trybunał ten później zastąpiono komisją skarbową w Warszawie...

Nastały czasy Stanisława Augusta. Na sejmie elekcyjnym wprowadzał Załuski do koła senatu nuncjusza Viscontiego, a na sejmie koronacyjnym wniósł trzy prośby, o których sam opowie. Jedna z nich tyczyła się bibljoteki.

Stanisław August rozumiejąc znaczenie jej dla kraju, proponował umieścić ją przy korpusie kadetów. Załuski na to się nie godził, ale podsuwał myśl królowi, aby do bibljoteki przyłączyć jaką królewszczyznę, co dałoby podstawę do utworzenia przy niej Akademji sztuk i nauk. Wtedy też utworzył projekt rozdawania corocznie trzech premjów w bibljotece za najlepszą rozprawę w obronie wiary, za najlepsze dzieło z dziedziny historji i za najlepszy utwór krasomówczy lub poetyczny.

Kiedy z woli Rosji, pod jej bagnetami, zawiązano konfederację radomską dla równouprawnienia dyssydentów i narzucenia gwarancji rosyjskiej, Załuski znalazł się w obozie opozycji. Na „skrypt“ Repnina wygotował 4 rozmowy katolika z dysydentami i przesłał je do druku Akademji krakowskiej. Troszczył się też wówczas o obchód kanonizacyjny św. Jana Kantego. „Serce mi schnie — pisał do rektora Marciszewskiego — z żalu nad niedolą Almae Matris, że nie wystarcza jej na promocyą czci patrona Polski“. Radził Akademji, aby o pomoc materjalną udała się do sejmu, sam wydał wezwanie do kolekty

---

[1]) Słowa wyjęte z Konstytucji 1778. *Volumina Legum* VII. 917.

w swej diecezji...[1]). Miał też wygłosić mowę na uroczystości kanonizacyjnej[2]).

Ale nie przyszło do tego. Konfederacja radomska przeniosła się do Warszawy, sejm naznaczono na październik. Załuski wydał „Proces do dyecezyi kijowskiej“ nakazujący modlitwy „o szczęśliwy sukces sejmu“ (30. sierpnia 1767)[3]).

Sejm otwarto 5. października. Repnin zażądał wyboru delegacji do traktowania z nim w sprawach Rzeczpospolitej. Sejm miał być odroczony, a pokorna, za wskazówką Repnina, wybrana delegacja, uczyniłaby zadość życzeniom Rosji. Na czoło opozycji wysunęli się dwaj Rzewuscy (hetman koronny i syn jego poseł podolski) oraz biskupi Sołtyk i Załuski.

W walce tej, pisze Załuski:

...jam był niepośledni.
Miewałem po kilkakroć różne mowy w te dni.
Ostatnią, dniem niż spotkał areszt mię surowy,
Kończyłem Ignacego męczennika słowy:
„Jestem — rzekłem — pszenicą Chrystusową. Boże,
Daj to niech przy Chrystusa wierze, życie łożę“...

Repnin, który otrzymał pozwolenie od carowej, aby uwięzić największych „fanatyków“ przestrzegał podobno Załuskiego, ale otrzymał odpowiedź: „wolność gwałt cierpi — służalcom rozkazuj, a nie obywatelom wolnego narodu“[4]).

---

[1]) Listy do Marciszowskiego w archiwum bibljoteki Jagiellońskiej w Nr. 2735.

[2]) Rkps. „Polska“ i t. d.

[3]) Znajduje się w archiwum bibl. Ossolińskich.

[4]) Theiner.

W nocy dnia 13. października porwano wszystkich czterech przywódców opozycji i wywieziono.

Załuskiego zabrano w sutannie, bez brewjarza „z dwoma szóstakami w kieszeni“ — nie pozwolono mu nawet wziąć leżących w biurku pieniędzy. Marcin Załuski, sufragan płocki, napróżno klęcząc błagał, aby mógł bratu towarzyszyć. Porwanych wieziono do Wilna manowcami w obawie przed pogonią. W razie, gdyby usiłowano więźniów odbić, konwój miał rozkaz ich zamordować.

W Wilnie trzymano ich przez dwa miesiące w areszcie ścisłym, każdego osobno. Żądano od nich poręczenia na piśmie, że nie będą przeszkadzać wspaniałomyślnym zamiarom Imperatorowej. Gdy się żądaniu oparli, wywieziono ich w wigilję Nowego roku o 4 rano do Smoleńska, gdzie przebywali również w ścisłem odosobnieniu. Żyli bez Mszy, bez Sakramentu — nie pozwalano im zapalić ognia na kominku, nawet masła do chleba nie dostarczano. Nareszcie po 11 miesiącach przeznaczono im na mieszkanie Kaługę. Tu połączyli się towarzysze niedoli, ale kazano im żyć w warunkach nie do zniesienia. Nie wolno im było trzymać służby, odbierać listów, ani gazet. W Bastylji lepiej — skarżył się Załuski — bo „tam kto chce ma sługi i czyta gazety...“.

Po trzech latach dopiero zwolniono im więzów. Ale i tak jeszcze znosili szykany — nie wolno im było naprzykład umieszczać na listach daty i miejsca pobytu. Załuski pisał więc listy „z szerokiego świata)[1]).

Mimo tych strasznych warunków, Załuski już w Smo-

[1]) Załuski wygnanie swoje opisał wierszami. Wydał je Minasowicz p. t. „Przypadki niektóre JWIMC. ks. Józefa Załuskiego, biskupa kijowskiego, które mu się w niewoli półszścioletniej moskiewskiej trafiły“...

leńsku zaczął układać swe dzieło: „Polska w obszernych wiadomościach swoich skrócona“.

Nie zapomniał Załuski w Kałudze i o swojej bibljotece. Powiększył ją nawet zakupem 3.000 dzieł nabytych w Holandji. W pięknym testamencie spisanym w r. 1769 w Kałudze, zapisał ją w darze Rzeczpospolitej.

A Rzeczpospolitę tę czekał właśnie pierwszy rozbiór. 5. sierpnia 1772 stanął traktat podziałowy między trzema mocarstwami. W kilka miesięcy później (27. grudnia st. st.) wspaniałomyślna Katarzyna „powodowana łaskawością i dla uczczenia Narodzonego Chrystusa“, uwolniła wygnańców i pozwoliła im wrócić do Polski. Załuski, jadąc przez Wilno, zatrzymał się u swej stryjecznej siostry Jadwigi Ogińskiej, wojewodziny trockiej, która miała dla niego pewne obowiązki, gdyż darował jej plac w Grodnie, na którym odbywały się sejmy. O jej gościnności wspomina w opisie swych przypadków:

Stanąwszy u siostry Jadwigi kochanej,
Wraz z pieniędzmi, wszelki porządek był mi dany.
Tak od biedy ostatniej, od ostatniej nędzy,
Przyszedłem do porządku, oraz do pieniędzy.

Gdy stanął na Pradze 17. marca 1773, ludność zgotowała mu serdeczne przyjęcie[1]). Nazajutrz powitała go w swych murach Warszawa.

Bibljotekę zastał w zaniedbaniu. Bacząc na swe wiekiem i wygnaniem nadwątlone siły, chciał zabezpieczyć ten dar złożony Rzeczpospolitej i nadać mu charakter warsztatu naukowego. Poddawał więc Stanisławowi Augu-

---

[1]) Wspomina o tem nuncjusz Garampi, który w październiku 1772 ze swojej strony czynił starania u Stackelberga o uwolnienie biskupów. Theiner: „Monumenta“ IV. str. 520 i poprz.

stowi myśl założenia w Warszawie uniwersytetu i akademji na wzór londyńskiej — z bibljoteki korzystaliby wówczas uczeni, literaci, profesorowie i studenci. Centralny, jedyny uniwersytet w Warszawie zastąpiłby, jak dosadnie i trafnie określał, „szkielet krakowski, trup wileński, embrjon zamojski i lwowski płód poroniony“...

Ale nie danem mu było doczekać się nawet wzięcia pod uwagę tego projektu. Zaziębił się w Nowy rok 1774 przy odprawianiu posług duchownych, a 7. stycznia „l'ottimo e degnissimo vescovo di Kiovia“ (słowa nuncjusza Garampi'ego) oddał Bogu ducha.

Przytomność nie odstępowała go do ostatniej chwili — jeszcze na godzinę przed śmiercią (jak świadczy Minasowicz w wierszu na zgon jego opisanym) dodawał artykuły do testamentu sporządzonego w Kałudze [1]).

Ciało wielkiego siewcy kultury spoczęło w podziemiach katedry warszawskiej. Było to jedyne jego spełnione życzenie, zapisane w niewydanej „Polsce“:

U Fary u nóg Pana, umrzeć li tam przyjdzie
Kazałem się pochować, jak proboszcz tameczny.
Jeśli gdzie w drodze, ubroń Boże, bym wieziony
Miał być — czynią to tylko relikwjom, a nie
Cielsku. Drzewo gdzie padnie, tam gnije, tam leży.
Mniejsza o ciało, lecz o duszę dbać należy.

II.

Egzekutorami testamentu naznaczył Załuski Józefa Szaniawskiego kanonika krakowskiego, Adama Dunina Wąsowicza audytora *Curiae episc.*, kustosza kijowskiego, Jana Andrzeja Janockiego prefekta bibljoteki publicznej warszawskiej, proboszcza babimojskiego i Józefa Epifanie-

[1]) Rękopis.

go Minasowicza sekretarza JKMci, kanonika kijowskiego. Oprócz egzekutorów, może tylko dla zwyczaju, a może w obawie o losy swych zapisów, mianował protektorami testamentu Wacława Sierakowskiego arcybiskupa lwowskiego, Józefa Kierskiego biskupa przemyskiego, Jerzego Hilzena biskupa sandomierskiego i Krzysztofa Szembeka koadjutora biskupa chełmińskiego.

Ale nie pomogli ani możni protektorowie, ani egzekutorowie, naznaczeni, „by każdy punkt był wypełniony do szczętu". Jak mówi Minasowicz:

przemogła prywata,
Na papierze się tylko zostały legata.
. . . . . .
Nie wiem z czyjej doli
Czy też woli ostatnią wolę nieboszczyka
Żyjących wola zniosła — nie pierwsza praktyka!

Z legatów jego spełniły się tylko trzy: sam oddał duszę Bogu, sam jeszcze za życia kosztowną bibljotekę przekazał w darze Rzeczypospolitej — wreszcie, zgodnie z jego wolą, serce jego złożono w katedrze żytomierskiej.

Kiedy to pisał Minasowicz (1774), nie przypuszczał nawet, że dożyje upadku drugiego z tych legatów. Wspaniała bibljoteka, owoc trudów całego życia uczonego biskupa, jego wielka zasługa i jego wielka chwała, tylko przez lat dwadzieścia była własnością Rzeczypospolitej — w rok po zajęciu Warszawy przez Surowowa, przewieziono ją, jak wiemy, do Petersburga.

Ale był jeszcze jeden legat moralny, którego wykonanie powierzył Załuski Minasowiczowi. Szło o przygotowanie do druku i wydanie dzieła „Polska w obszernych wiadomościach swoich skrócona", które Załuski napisał na wygnaniu. Minasowicz uczynił, co do niego należało (sam

nam o tem opowie), i gotowy rękopis złożył XX. Pijarom, którzy mieli go wydrukować. Prosił ich o to ze łzami — przyrzekli. Dlaczego nie wypełnili przyjętego na siebie obowiązku, wyjaśnić trudno. Dość, że rękopis miał się dostać w ręce Czackiego.

Tymczasem dzieło stało się znane uczonym z licznych odpisów. Przepisywano je w całości, lub częściowo. Taki częściowy odpis, uskuteczniony przez Kozłowskiego, „towarzysza bibljograficznej pielgrzymki“ Tadeusza Czackiego, dostał się do rąk Józefa Muczkowskiego, który go ogłosił w 1832 p. t. „Bibljoteka historyków, prawników i polityków polskich“. Muczkowski nie wiedział nawet, że to jest zaledwie trzecia część dzieła.

„Bibljotekę“ przyjęto z ogromnem uznaniem, a ci, co znali całość dzieła w rękopisie (należał do nich i Lelewel), wciąż dopominali się o jego wydanie. „Ze wszystkich dzieł Załuskiego — pisał jeszcze w r. 1868 Juljan Bartoszewicz — to najcelniejsze, bo odkrywa niezmierne bogactwo literatury polskiej. Nieoceniona szkoda, że nie mamy tego dzieła wydanego w całości...“. Takich „upominań“ się można przytoczyć na dziesiątki — były jednak bezskuteczne. Dzieło do tej chwili pozostało rękopisem, o którego kopje postarały się bibljoteki publiczne i prywatne [1]).

---

[1]) Sam znam cztery takie kopje. Jedna jest własnością bibljoteki Jagiellońskiej, dwie znajdują się w bibljotece uniwersytetu warszawskiego, czwartą sporządził dla siebie znany bibljofil Cyprjan Walewski (własność Wł. Miłkowskiego w Krakowie). Kopja Walewskiego jest odpisem ze świetnego egzemplarza bibljoteki uniw. warszawskiego, z którego tu korzystam. Właścicielem tego, prześlicznie pod względem kaligraficznym przepisanego egzemplarza był Jan Chyliczkowski, który przed r. 1831 złożył go bibljotece *Królewskiego* uniwersytetu warszawskiego w zamian za rzadką i cenną „Postyllę“ Reja. Egzemplarz ten ukończono przepisywać 15. Aug. 1822.

Rękopis, przygotowany przez Minasowicza, nosił tytuł:

Polska
w obszernych Wiadomościach swoich skrócona
z podziałem na III Części
z których I *Opisanie Polski Topograficzne i Cywilne;*
II *Historyą Polską literacką*
III *Historyą Polską Duchowną w sobie zawiera.*
Rzecz cała
przez J. W. ś. p. Imci *X. Józefa Andrzeja*
Załuskiego
biskupa Kijowskiego i Czerniechowskiego
Tronu Papieskiego Asystenta
Opata Wąchockiego w Polszcze, Fontaneckiego
w Burgundyi, Wikaryiskiego w Lotaryngii etc. etc.
Kawalera Orderu Orła Białego
Częścią w Smoleńsku, częścią w Kałudze zebrana
i Wierszami Technicznemi dla lepszey pamięci
ułożona R. P. 1768
Indocti discant et ament meminisse periti
Z woli zaś Jego ostatniey
przez *Józ. Epif. Minasowicza,* kanonika katedry Kijowsk.
Pasterskiego Testamentu naznaczonego Executora
przeyrzana, poprawiona, w niektórych miejscach dopełniona i drukiem na widok publiczny podana
Opus Posthumum
w Warszawie 1774.

W „Przedmowie Editora“ Minasowicz dzieło Załuskiego nazywa niejako „pamiętnikiem (upominkiem) ostatnim“, zostawionym przez autora ukochanej ojczyźnie“. Dzieło to „z pomiędzy innych wielu pisanych na wygnaniu“ oddane było Minasowiczowi na dwa tygodnie przed śmiercią Załuskiego, „z wyraźnej jego woli do przejrzenia“,

a w testamencie polecił je Załuski Minasowiczowi ogłosić drukiem. Przynajmniej ten punkt testamentu (cieszył się Minasowicz) będzie wykonany, „gdy innych według ostatniej testatora woli wykonać nie pozwolono". Minasowicz spełniał ten obowiązek „z powodu wdzięczności za stateczną zawsze łaskawego serca przychylność" i chcąc uwiecznić tym sposobem „pamięć godnego z wielu miar nieśmiertelnej wieków pamięci Pasterza". Przez sześć miesięcy pracował nad przygotowaniem dzieła do druku, „przejrzał je, przetrząsnął, rozsadzone tu i owdzie kawałki pozbierał", wreszcie według woli Załuskiego, „gdzie trzeba było, poprawił, a odjąwszy, bez czego obejść się mogło, przydał, co do materyi służyło". Sprawdził wreszcie cytaty, nazwiska, daty, gdyż „pamięć autora, acz wielka i dla obszernego rozlicznych wiadomości objęcia podziwienia godna, potknąć się czasem pod ciężarem lat sędziwych mogła".

„Masz tedy, polski czytelniku — kończył swą przedmowę Minasowicz — zupełne ze wszech miar, jakiegobyś mógł żądać o Ojczyźnie swojej w ojczystym języku Dzieło, które znakomity urodzeniem, znakomity cnotą, nauką i dostojnością autor, biskup i senator, przy pożegnaniu ostatniem, ukochanej Ojczyźnie, niedługo się z nią za powrotem swoim nacieszywszy, w upominku niejako zostawił, pociągającym przez wdzięczność do wzajemnej a tej nieustannej o sobie pamięci, na którą przez swe zacne, nieskażonego życia sprawy, nietylko u żyjących zasłużył, ale też i u potomności zarobił, sprawiedliwszej u nas w rozsądku i nagrodzie, bo do zamiaru wielkich zasług niemniejszą chwałę zawsze wymierzającej".

Po przedmowie Minasowicza następuje krótka przedmowa autora. Jest ona, jak prawie całe dzieło, pisana wierszem, z czego autor na samym początku się tłumaczy:

Pominąwszy lokalną pamięć, którą gdy ma
Kto, ten prędko rzecz pojmie i długo zatrzyma,
O takim, acz nieboszczyk nie jest, ale żyje
Z nami, można *felicis* mówić *memoriae*.
Że jednak nie każdemu dana jest lokalna
Pamięć, niech ją zastąpi artificialna,
Którą pierwszy wynalazł z Ceos wyspy rodem
Simonides...
...Zaś wierszy
Ku pomocy pamięci ułożonych pierwszy
Był Claudiusz Buffier, autor Jezuita[1])
Który się w Polszcze rodził, z Francuza Lechita;
On te wiersze wynalazł, który my techniczne
Nazywamy, a jeszcze lepiej mnemoniczne.
W nich wyraził epochy wszelkie historyczne,
Różnych krajów opisy w nich geograficzne.
Tego ja Ziomka trybem idąc Ci podaję,
Polaku, to o Polszcze, co na cudze kraje
On popisał chwalebnie. Niechże cię zachęci
Historya ojczysta wierszem dla pamięci.
Nauczywszy się tych to wierszy z woli chętnej,
Ujdziesz za mędrca, jeśliś pamięci pojętnej.
Teraz, pókim żyw, pomnij na mnie przy wdzięczności
Po śmierci *Requiescat* zmów, proszę Waszmości.

Po tem usprawiedliwieniu się następuje krótka 18-wierszowa notata p. t. „*Polacy Slawni Slavitae, a nie Schiavoni, Sclavi, Esclavons*“, w której Załuski dowodzi, że co innego *Sclavonia* a co innego *Slavia*, stąd i nomenklatura Polaków „pochodzi od sławy, którą naród nasz nabył przez swe dzielne sprawy“.

---

[1]) B. urodził się w Polsce 1661 r., zmarł w Paryżu 1717 r. Wydał: Pratique artificielle de mémoire pour l'Histoire Sante et Profane. Géographie, Grammaire française i t. d.

I język *słowieński* więcej niż inny „rozwodzi się“ po różnych krajach Europy. Wszak Karol IV. w swej złotej bulli żądał, by każdy syn elektorski w siódmym roku swego życia uczył się języków: łacińskiego, teutońskiego i słowieńskiego —

...gdyż Słowieński z Teutońskim się szczycą,
Że innych pochodzących od nich są *macicą*,
A zaś inne *żyjące*, kto z zdaniem uparcie
Uprzedzonem nie stawa, przyzna, że *bękarcie*.[1]).

Po tej wycieczce w krainę etymologji rozpoczyna się część pierwsza dzieła: *Opisanie Poski topograficzne i cywilne*. Ale odtąd wiersz rymowany zamienia Załuski na wiersz nierymowany, biały, zapewne ze względu na powagę przedmiotu, a może i z powodu trudności, jakąby użycie jego nieraz nastręczyć mogło.

Wstępem do „Opisania Polski topograficznego“ jest wyliczenie polskich map geograficznych. Następnie idą „Imiona dawne narodów polskich, gór, rzek, miast etc. z Ptolomeusza, Strabona, Pomponiusza Meli“ etc. W osobnym rozdziale podaje autor „Alfabet rzek polskich“. Wylicza jeziora, wyspy, puszcze, fortece i zamki dawne. Później idą pomiary geograficzne Polski, jej granice i jej podział na trzynaście części:

Wielką, Małą
Polskę, Litwę, Czerwoną Ruś i także Białą,
Żmudź, Mazowsze, Podlasie, Prusy i Warmię,
Inflanty, Kurlandyę i Pomeraniją.

Każdej z tych części poświęca Załuski osobny opis, podając ich granice, podział na województwa, powiaty,

---

[1]) *Lingua matriae, Langues vivantes* i *Linguae spuriae*, jako to język francuski, włoski, hiszpański, portugalski i t. d.

przyczem często zawadza o wypadki historyczne, wpływające na zmiany dawnych granic. Z kolei następuje opis województw („ziemstw“, „księstw“), a mianowicie ile każde ma senatorów, ile powiatów, starostw, jakie grody i rzeki, gdzie każde sejmikuje i t. d. W rozdziale o Kurlandji maluje smutną jej historję. Ustęp o miastach polskich wymienia ich opisy:

Warszawę wierszem jakiś opisał Jarzembski.
Książka ta rzadka, ledwie żem jeden egzemplarz
Widział i przepisany mam z drukowanego.
Niesiecki w swym Herbarzu miał go za rękopism [1]).
Opisał po łacinie toż miasto Christian
Erndtel, medyk nadworny Augusta Wtórego,
Dziełu dał *Varsovia* tytuł *Illustrata.*

Następują ustępy: *Feuda* Korony polskiej i *Avulsa* albo kraje odpadłe od Polski, — autor przytacza tu sporo dat historycznych. Kończy rozdział pierwszy części pierwszej: „*Liczba miast, obywatelów, i intrat*“, rzecz pisana prozą, gdyż nawet w wiersz nierymowany statystykę tę objąć było trudno.

Rozdział drugi: *Opisanie Polski cywilne,* rozpoczyna się spisem „Imion książąt i królów polskich porządkiem następstwa“, oraz „imion wielkich książąt litewskich tymże porządkiem“. Po imionach idą wierszem rymowanym „Przezwiska niektórych królów i książąt“. Zaczyna się od Leszka pierwszego, Przemysławem zwanego, iż przemysłem poraził Węgry, Morawiany, a kończy się na „zbawicielu Wiednia“, Janie Wielkim.

---

[1]) W innem miejscu jest jeszcze druga wzmianka o Jarzembskim (Jarzębskim, Jarzemskim), którego miał „odkryć“ dopiero J. U. Niemcewicz.

Pochodzenie tych „przezwisk“ tłumaczy nieraz Załuski bardzo oryginalnie. Oto Mieczysława nazwano Mieszkiem dlatego, że się „obawiano zamieszków“. Władysław Herman, właściwie Armen, był tak nazwany, że „z branką z pod Kijowa w bezślubnym żył związku, Ormianką, z którą naturalnego miał syna Zbigniewa, jako dawny dziejopis Goranus opiewa“.

Dalej idą tablice chronologiczne panowań książąt i królów polskich, z datami i miejscami śmierci i pogrzebu.

Później mamy wierszem nierymowanym spisy wszystkich kandydatów do korony polskiej od śmierci Zygmunta Augusta do elekcji Stanisława Augusta. Zwraca tu uwagę dość pokaźny szereg nazwisk senatorów polskich, ubiegających się o koronę. Przed samą elekcją Zygmunta III. wymienia ich Załuski dziewięciu.

W ustępie „o królu w Polszcze“ między innemi porusza Załuski sprawę jednej z prerogatyw królewskich, której sam „dociekł“. Potem podaje historję i opis orderów polskich: 1) „Orła białego“, którego rodowód wywodzi aż od Lecha, 2) „Niepokalanego Poczęcia N. M. P.“, który był ustanowiony przez Władysława IV., aprobowany przez papieża Urbana VIII-go, ale, jak wiadomo, nie wszedł w życie, gdyż upatrywano w nim zamach na równość szlachecką — i wreszcie 3) św. Stanisława. Po orderach idą „Monety“ od „skórzanej“, bitej za Wacława czeskiego, aż do czasów „dzisiejszych“...

Z kolei przechodzi Załuski do senatu polskiego, podając spisy biskupów, wojewodów, ministrów, kasztelanów większych i mniejszych, dygnitarzy koronnych i W. X. Lit. i starostów grodowych — obszerny ten ustęp kończy się wymienieniem tych wojewodów, którzy byli *eo ipso* starostami. Uzupełnia te ustępy opis prozą pierwszych wojewodów polskich, zacząwszy od Żelisława pierwszego, kasztelana krakowskiego (zm. 1120) a skończywszy na

pierwszym wojewodzie gnieźnieńskim, Auguście Sułkowskim (od r. 1768).

Dalej mamy „Ministrów polskich funkcje“, „Porządek urzędników ziemskich, grodzkich i powiatowych“, „Trzy trybunały wielkie“, „O trybunale skarbowym w Koronie“, „O sejmach“, „O Generale pruskim“... Po „liczbie posłów na sejm z miejscami sejmików“, idzie obszerny ustęp, zatytułowany „Sejmy polskie doszłe od r. 1618 aż dotąd“ z imionami marszałków i sekretarzów sejmowych“. Do opisu sejmów za Stan. Augusta wplata Załuski wspomnienia własne. Na sejmie elekcyjnym wprowadził do koła senatu nuncjusza Viscontiego, na sejmie zaś koronacyjnym

...ja, który to piszę,
O trzy rzeczy prosiłem, 1) by Rzeczpospolita
W swą pieczę fundacyę mej Biblioteki
Wzięła, a za to żeby Probostwo Warszawskie
Z rąk nigdy familii mej nie wychodziło.
2-gie By w Żytomierzu grunt mi wymierzono
Przy kościle Katedry, 3) bym miał pozwolenie
Jechać do wód. I tylko też to wyjednałem,
Odmówiono mi pierwsze. Jam przecież ten fundusz
Ofiarował Ojczyźnie, choć *beneficia*
Ad ingratis tolluntur. Co zaś do drugiego,
Wszak nie może być kościół żaden bez cmentarza —
Bez niewdzięcznej Ojczyzny ja ogrodzić każę.

Na sejmie 1766 miał „żwawe mowy, *immunitatem* broniąc Duchowieństwa od podatków i wiary przeciw Dyssydentom“.

Wpadłem przeto w niełaskę, lecz wolę się ludziom
A niż Bogu narazić, bo duszę chcę zbawić.

W rok potem była konfederacja pod laską Radziwiłła i Brzostowskiego. Wtedy to nastąpiło owo porwanie z roz-

kazu Repnina czterech senatorów, o czem Załuski w te słowa wspomina:

> Z tego seymu, z senatu czterech nas porwano:
> Sołtyka krakowskiego i mnie kijowskiego
> Biskupów, Rzewuskiego Wacława woywodę
> Krakowskiego, hetmana polnego i z synem
> Sewerynem, dolińskim starostą, podolskim
> Posłem: i dotąd siedzim już miesiąc dziesiąty.
> Wzięto nas trzynastego października w nocy.
> *Ibam gaudens, quoniam pro Nomine Jesu*
> *Digni contumeliam pati sumus. Amen.*

Oblicza następnie, że wszystkich sejmów było 120, i wskazuje, gdzie się odbywały. W Krakowie było trzynaście, a w Warszawie „tyle, ile lat wieku liczyła Marya".

Po sejmach zajmuje się Załuski „Traktatami polskiemi z mocarstwy postronnemi" od r. 1404 aż po 1736 — poczem następuje prozą spisany „Rejestr abecadłowy miast i miejsc znaczniejszych Królestwa". W spisie tym wysoce oryginalne są wzmianki osobiste Załuskiego. Tak np. przy Berdyczowie notuje, że odprawiał w nim misyę i „straszny wypadek" go spotkał — tam się też spotkał i poznał z X. Sachowskim S. J., późniejszym kaznodzieją królewskim. W Beresteczku częstował go „solennie" koligat jego, Karczewski, któremu order św. Michała wyrobił. Białła — tu mieszkał miesiąc u ks. Radziwiłłowej. Brody nazywa Amsterdamem dla Żydów. Czersk — „stąd niedaleko rodziłem się w Załuskach". W Firlejowie nawiedzał X. Benedykta Chmielowskiego, autora „Nowych Aten". W Piotrkowie chodził do szkół „na konwikcie pijarskim na retorykę". Warszawa — „tu jestem proboszczem, tu Biblioteka mojej fundacyi, tu *Sepulchrum Patrum*, tu kazywałem czterema językami". Wilno — tu go „w r. 1761 przyjęto *Hosanne* a w r. 1767 *crucifige*, byłem tu w areszcie

rosyjskim dwa miesiące". Podobnych wzmianek jest bodaj czy nie cała setka.

Trzecią część dzieła Załuskiego stanowi *Historya Polski duchowna*. Opisuje naprzód rozszerzenie się wiary chrześcijańskiej w Polsce, poczem pisze o kardynałach, arcybiskupstwach i biskupstwach polskich, o biskupach obrządku ruskiego, o archikatedrze ormiańskiej lwowskiej. Z kolei idą opactwa rz.-katolickie, opaci *ritus graeci uniti*, zakony męskie i „panieńskie", seminarja, alumnaty, *Collegia nobilium*, święta roczne polskie i święci patronowie. Obszerną jest rzecz o synodach, pisana prozą; są to spisy synodów „prowincyalnych" i diecezjalnych, zakończone „przydatkiem o soborach graeco-unitów". W tem miejscu Minasowicz wtrąca „przydatek Edytora" na cztery kwestje. Pierwsza kwestja: „Co się może chwalebnego powiedzieć o Królestwie Polskiem ze strony religii"; kwestja druga: „Kto z królów i kiedy arcybiskupstwa i biskupstwa fundował"; kwestja trzecia: „Czy sami biskupi w senacie polskim zasiadali i jak dawno"; kwestja czwarta: „Które zakony znajdują się w Polsce i jak dawno".

Następny rozdział to starannie i obszernie zebrana bibljografja polskich dzieł religijnych p. t. „Pisma autorów polskich do historyi duchownej należące". Załuski przeprowadza podział podług treści. W wierszu nierymowanym podaje krótko treść dzieł ważniejszych, poczem prozą wylicza innych autorów i tytuły ich prac.

Rozdział ten rozpoczął autor krótką wiadomością o swoich pracach literackich:

Wydałem ja, co piszę, *Conspectum Scriptorum*
Poloniae Orthodoxae czyli Rejestr Autorów
Ile tylko wiadomych mieć mogłem, piszących
O duchownych Oyczyzny moiey miłey Rzeczach.
Chciałem przez subskrypcyą to dzieło w druk podać.
(Papież Prosper Lambertin, Benedykt czternasty

Infantes Martyres a Judaeis trucidati są częścią obszernego spisu dzieł i broszur poświęconych świętym, błogosławionym i t. d. Spis ten kończy „Polskę w obszernych wiadomościach swoich skróconą".

Są jeszcze dwa przydatki. Pierwszy to wierszem rymowym napisana w Kałudze w r. 1769 „Protestacya przed śmiercią". Jest to gorąca prośba zacnego biskupa do „najmiłosierniejszego Jezusa", aby go wyposażył we „wszystkie cnoty pasterskie. „Drży ze strachu", gdy wspomni na swe obowiązki. Prosi więc o „serce łagodne, do dobrego skłonne", i prosi, aby „słowa Prawdy" Bóg od ust jego nie odbierał, aby nie był nigdy nikomu przyczyną zgorszenia:

Odwróć odemnie pychy, zawziętości ducha,
Skępstwo, obżarstwo; niech żądz złych serce nie słucha...
Odnów me życie, Panie, popraw obyczaie
Złe, wykorzeń nałogi, w które mię podaie
Zepsowana natura...

Pragnie, aby miłość jego ku „owieczkom" była taka, aby każdej bóle, cierpienia, niemoce tak fizyczne, jak moralne odczuwał i biegł z pomocą. Niech „obłąkaną" wyśledzi i w całości „przywróci", niech „skaleczoną" uleczy, chorą uzdrowi. Cały ten wiersz świadczy wprawdzie źle o zdolnościach rymotwórczych autora, ale bardzo dobrze o szlachetności jego serca.

Drugim przydatkiem są „Przypiski Edytora, wyrażające krótko niektóre okoliczności śmierci, pogrzebu, testamentu etc. ś. p. JWo tey Pracy Autora". Z „przypisków" tych korzystałem na początku mej rozprawki.

1914.

FELIKS ORACZEWSKI

INICJATOR KOMISJI EDUKACYJNEJ.

Na smutnej pamięci sejmie r. 1773 pomiędzy tymi, co przy jego otwarciu stanęli po stronie Rejtana, znajdował się młody poseł krakowski Feliks z Przybysławic Oraczewski. I on, jak Rejtan, żądał sejmu wolnego, a nie konfederackiego pod laską nikczemnego Ponińskiego [1]). „Nie znamy marszałka, bośmy go nie obierali", wołał w izbie sejmowej 20. kwietnia i wraz z posłami nowogrodzkimi i łęczyckimi i kilku innymi nalegał na podczaszego Łętowskiego, aby zarządził wybór marszałka sejmu wolnego. Następnego dnia był świadkiem słynnego protestu Rejtana, który naprzód padł na kolana przed „konfederatami", zaklinając ich na Boga i miłość ojczyzny, aby nie opuszczali posiedzenia i do wyboru marszałka wolnego sejmu przystąpili, a następnie ciałem swem, rozciągnionem na progu, napróżno chciał tamować ich wyjście z izby poselskiej...

Kiedy po opuszczeniu sejmu przez Rejtana trzej ministrowie państw „sprzymierzonych" oświadczyli, że konfederacja musi trwać dopóty, dopóki nie zostanie zawartą ugoda co do ustąpienia krajów i póki wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej nie będą uporządkowane za zgodą trzech mocarstw, i kiedy Stackelberg groził presjami niepowoł-

---

[1]) Poniński był marszałkiem koronnym sejmu a Michał Radziwiłł litewskim. O Radziwille są tylko krótkie wzmianki w opracowaniach. Pierwszą obszerniejszą wiadomość o tej wstrętnej postaci, podałem w książce mojej: „Radziwiłłowie".

nym — zabrał w sejmie głos Oraczewski (29. kwietnia) aby powiedzieć, że oświadczenie trzech ministrów „może temu tylko być strasznem, kto więcej poważa życie i spokojność swoją w szczególności, jak życie, powagę i sławę narodu". „Rzeczpospolita — mówił dalej — dosyć powolności pokazała, kiedy na usiłowania tych ministrów przystąpiła do konfederacji. Dziś jest w zupełnej powadze złączona w trzech stanach — ma sposób uchwalania ustaw, przepisany prawem, który na to przyjęła, aby nam był od gwałtowności zasłoną. Więc my tak czynić powinniśmy, jak nam cnota obywatelska i prawo, nie jak cudza wola nakazuje"...

Kiedy postawiono jego kandydaturę do delegacji, mającej upraszać ministrów państw zaborczych „o ulgę w gwałtach", przyjąć jej nie chciał, gdyż godność posła sejmowego, według jego pojęcia, pozwalała mu być delegatem do monarchów, „ale nie do przedpokoju ministrów". Kiedy pomimo to został wybrany, kazał się „wymazać" z listy delegatów, „oświadczając w oczach zgromadzonych stanów, że ze stopnia prawodawcy nie może poniżyć się na żebraka". Kiedy później wybranej stałej delegacji do układów z ministrami cudzoziemskimi dano moc nieograczoną, sprzeciwiał się temu, „bo mało w niej widział ludzi prawych".

Przemawiał za tem, aby ograniczyć pełnomocnictwo delegatów, gdyż będą „dzieła zbyt wielkiej wagi", aby taką czynnością ich obciążać. Jeżeli przyjdzie do przymierza — mówił dalej — „niech wojska tych mocarzów, żyjące kosztem naszym, ustąpią z kraju, inaczej przymierze nie będzie przymierzem, tylko gwałtem... Czynią swą powinność ministrowie zagraniczni, czyńmy i my naszą... Słabość zgięta przed groźną przemocą, niechaj nie ściągnie na sprawiedliwych tej obelgi, że niewolnicze zdanie najprzyzwoitsze było umysłom naszym, żeśmy zasłużyli na ukrzyw-

dzenie przez nieczułość na krzywdę"... (z mowy mianej 10. maja).

Nazajutrz (d. 11. maja) wygłosił Oraczewski mowę, która mu zapewniła chlubną kartę w dziejach oświaty narodowej. Po ustępie tyczącym się „szafunku łask", zwrócił się do króla ze słowy: „Pozwolisz mi, miłościwy Królu, dopraszać się u gorliwości Twojej o dobro narodu, ażeby w instrukcji Ichmość panom delegatom danej lub w zupełnej mocy sejmujących mógł się pomieścić *projekt Edukacji krajowej*, która zdaje mi się, że będzie *najpewniejszem źródłem wszystkich szczęśliwości naszych. Trzeba nam zrobić ludzi Polakami, a Polaków obywatelami;* stąd nastąpią wszystkie pomyślne dla kraju powodzenia.

„Przez różne ustanowienia możemy pochlebiać sobie, że mamy w kraju wiele sposobów skutecznie używanych, samej tyczących się umiejętności, ale *umiejętność nie czyni człowieka jeszcze tem, czem być jako obywatel powinien.* Daje ona wprawdzie wiele doświadczenia, ale nie daje istności sercu i woli; ogólne mająca ustawy, może być równie od wszystkich przywłaszczona krajów, ale *edukacja narodowa czyni Anglika Anglikiem, Francuza Francuzem i ta powinna czynić Polaka dobrym Polakiem.*

„Sławny między uczonymi naszego wieku (Montesquieu) mówi, że w rządach rzeczypospolitej potrzebna jest najwięcej moc edukacji...

„...Widzimy tak mało między nami obywatelów, szacujących zaszczyt obywatelstwa polskiego... Na każdym prawie z tych, co wychowani w innych krajach, można widzieć maskę powierzchowną społeczności, z którą obcował, ale rzadko w którym znajdujemy ten gruntowny charakter, to przekonanie doskonałe, że cokolwiek czynię, dobrze czynię, jeżeli tak czynię jak Polak obywatel czynić powinien, jako szacujący własny kraj, w którym nauczyłem się sądzić o rzeczach na jego pożytek zdatnych... Otóż ten

charakter, tę pewność rozsądku... należy zaszczepić w kraju naszym... stworzy ona potomności obywatelów, których serca nierozdzielnie z cnotą i z czynnościami poprawią błędy nasze, których miłość powinności i duch narodu sposobić będzie do wrócenia popiołom naszym tej dostojności, którą zawzięci na własną sławę obywatele, gorszącym utracają przykładem"...

Myśl rzucona przez Oraczewskiego przyjęła się. Wiemy, że urzeczywistnienie jej przyspieszyła, a raczej umożliwiła kasata zakonu jezuickiego, którego majątek za staraniem króla, przeznaczono na rzecz edukacji krajowej; wiemy dalej, że Komisja Edukacyjna, która stanęła dnia 14. października 1773, była „utworem" Chreptowicza, podkanclerzego litewskiego, — ale to nie obniża zasługi Oraczewskiego, że on był pierwszym, który rzucił myśl wielkiej reformy szkolnictwa i wymownie przedstawił, czem dla przyszłości narodu może być edukacja *narodowa*. Miano mu to za chlubę i on sam z tego się chlubił. W kilkanaście lat później, w mowie, którą wygłosił jako rektor uniwersytetu krakowskiego, wzmiankę o dniu imienin prymasa ks. Michała Poniatowskiego, przewodniczącego Komisji Edukacji Narodowej, zakończył słowy: „Ja najpierwszy (posłując na owym smutną epokę przypominającym krajowi sejmie) przemówiłem do rozpaczających o losie swoim Polaków o potrzebie tej Edukacji Narodowej, która dziś stała się tak ulubionem cnót obywatelskich tego Pana użyciem".

Oraczewski posiada zatem niezaprzeczone prawo, aby przypomnieć jego skromną, lecz zacną działalność, tem więcej, że mało nim się zajmowano, a przed kilkunastu laty wyrządzono niezasłużoną krzywdę jego pamięci.

O rodzicach jego i o dacie jego urodzenia nie wiemy. Wiadomo tylko, że był potomkiem tej gałęzi Oraczewskich h. Śreniawa, która już w w. XV. posiadała Przybysławice

pod Olkuszem. Niesiecki zna Stanisława Oraczewskiego, sędziego grodzkiego krakowskiego. Pawiński (Małop. 28) wymienia innego Stanisława, który w r. 1581 był właścicielem Przybysławic. Piotr Oraczewski, pisarz ziemski krakowski (1610), był to „mąż zdrową radą, wymową i ludzkością wszystkim miły". Inny Oraczewski „w Wołoszech w potrzebie zginął", inny pod Korsuniem w niewolę był wzięty...

O młodości Oraczewskiego wiemy tylko tyle, że uczył się w Krakowie, a potem czas jakiś przebywał na naukach w Paryżu. Po powrocie do kraju, obrał karjerę wojskową — doszedł do stopnia pułkownika. Wystąpił jednak z wojska, osiadł na roli i w r. 1773 wybrany został w Proszowicach posłem wojew. krakowskiego. Wiemy, jak pięknie rozpoczął funkcję poselską. Ale i dalszy jej ciąg pozostawał w zgodzie z początkiem.

Po przerwie sejmowej, na drugiem posiedzeniu (pierwsze zeszło na sprawozdaniu z czynności delegacji) Oraczewski „w długiej i pięknej mowie" (słowa H. Schmitta) zganiwszy łatwość z jaką zezwolono na ustąpienie tak znacznych prowincyj, ubolewał, że nikt nie chce tego czynu nazwać gwałtem, — dowodził, że pod przymusem niepodobna polepszyć rządu wewnętrznego i z tego powodu wzywał sejmujących, aby porzucili „pełzającą powolność na cudze rozkazy" i radzili nad potrzebami ojczyzny według wymagań jej dobra „a nie obcej woli". Radził wprowadzić oszczędność, ograniczyć się w zbytkach i przyjść z pomocą tym rodakom, którzy porzucili majątek w zabranych prowincjach, aby pod własnemi pozostać rządami. Najwybitniejszym i najpiękniejszym ustępem jego mowy było ujęcie się za ludem wiejskim; żądał opieki ustaw, zabezpieczających mienie i osoby „tej licznej i użytecznej większości". Gdyby odżył — dowodził dalej — duch narodowy, gdyby odżyła dzielność i miłość dobra powszech-

nego „moglibyśmy jeszcze stać się strasznymi straszącym“. Przypomniał wreszcie swój projekt edukacji narodowej, który po zniesieniu zakonu jezuitów tem bardziej należy obmyśleć, ponieważ powracające po nich do Rzeczpospolitej znaczne fundusze na ten cel winny być obrócone. Radził wreszcie najzdatniejszych jezuitów wciągnąć w szeregi uczących, „aby rozpoczęli zawód obywatelski przez pracę około wychowania narodowego“ (mowa z 21. września). Na podstawie tej mowy można przypuszczać, że i pomysł zużytkowania funduszów jezuickich na cele oświaty narodowej wyszedł od Oraczewskiego. Wniosków nie stawiał, bo sprawa ta powierzona była delegacji, która po tygodniowych rozprawach (od 7. do 14. października) gorące życzenia Oraczewskiego, dzięki Chreptowiczowi, w czyn zamieniła.

Oraczewski w opozycji swojej przeciw presji ministrów państw zaborczych nietylko nie ustawał, ale coraz więcej ją pogłębiał, coraz więcej się narażał. Kiedy ministrowie ci zawiadomili, że gdyby nawet król nie ratyfikował ugód już zawartych z delegacją, to dwory ich obejdą się bez ratyfikacji, potrafią ugody utrzymać, a odmówienie ratyfikacji naraziłoby jedynie Rzeczpospolitę na wypowiedzenie wojny. Oraczewski w tem oświadczeniu ministrów widział następstwo „niewolniczej uległości“ sejmu i żądał, „aby przystojniej piastować pełnomocną powagę sejmu i nie zasięgać w każdej trudności trzech posłów woli“. Wbrew opinji wyrażonej przez Sułkowskiego, wojewodę gnieźnieńskiego, dowodził, że delegacja winna przed sejmem zdawać sprawę z swych czynności, a sejm ma prawo ją pochwalić lub zganić. Dziękował temuż wojewodzie, że poparł jego wezwanie do opieki nad ludem, pochwalił też ironicznie jego zamiar (mniemany) wystąpienia z delegacji, ale dawał mu pewniejszy sposób „usprawiedliwienia patrjotyzmu“ przez usunięcie wszystkich członków

obecnego sejmu z przyszłej Rady Nieustającej. „Widzimy z czynności traktowanych — tak kończył mowę — że tylko posłuszeństwo zamiast zaradzenia przyjęto. Na cóż więc zdania cnotliwych obywateli potrzebne? Musiała już przemoc naradzić się z przyjaciółmi swymi, jaki na ojczyznę wyda wyrok i jaki wspierać będzie. Niech się skończy krzywdząca dla czułych scena (zgadzał się na limitę sejmu), niech się ucieszą momentalną mocą chcący czynić, choć nie wiedzą, co czynią“...

Poniński wygadał się przed Branickim, że Sułkowski chce Oraczewskiego za ostatnią mowę oddać pod sąd konfederacki, Branicki zauważył na to, że należałoby w takim razie za każdym posłem postawić dwóch grenadjerów, gdyż inaczej wszyscy staną w obronie Oraczewskiego...

I bez dalszego streszczania licznych mów Oraczewskiego, to, co tu podano, wystarczy do scharakteryzowania jego gorącego patrjotyzmu. „O Oraczewskim — mówi Henryk Schmitt — z wszelką można powiedzieć prawdą, że w tym okropnym czasie zupełnego upadku i rozbicia społeczeństwa naszego, należał do nader rzadkich wyjątków... utrzymał się na wysokości niesplamionego najmniejszą zmazą prawdziwego patrjotyzmu“. Dodajmy do tej zaszczytnej, a zasłużonej opinji, że mowy jego wygłoszone 22. i 28. stycznia 1774 były najsilniejsze, a po części programowe. W pierwszej z nich w gorących słowach potępiał nietylko obcą, ale i „domową“ przemoc, łamanie praw, anarchję, dumę szlachecką, fałszywy patrjotyzm, które nas zgubiły. Żądał prawdziwej równości, dobrego wynagradzania urzędników, „ale bez innych zysków pod karą na życiu i sławie“, zajęcia się ćwiczeniem i edukacją młodzieży, zakładania bibljotek publicznych. Od duchowieństwa, biorącego „dziesiątą część plonów rolnika“ wymagał ofiarności na wzmocnienie sił narodowych i na obronę wiary, nie słowy lecz czynem. Poruszał sprawę podatków, zachęcał szlach-

tę, aby nietylko udoskonalała rolnictwo, ale aby nie wstydziła się pracy w przemyśle i w fabrykach. Przechodząc do Rady Nieustającej, żądał, aby była „ustawiczną“, od sejmu do sejmu — czynność jej w czasie sejmowym uważałby za bezprawie. Kto znosi się tajnie z ministrami trzech dworów, kto z nimi w sprawach kraju na własną rękę radzi, kto ich zdania głosi „przez ciche szepty wymuszone“, ktoby im dawał odpowiedzi, nie spytawszy się wprzód o wolę narodu, ten „natychmiast powinien być uznany za nieprzyjaciela Ojczyzny, od społeczności obywatelów odsądzony i na sławie i na majątku przez konfiskację na publiczny skarb skazany“. „Ale cóż to — wołał do posłów — milczycie? Czy jest jeszcze ojczyzna? czy są jeszcze Polacy?... Jeżeli tak ma być, jak jest dotychczas — mówił dalej — „oświadczam przed Bogiem i światem, że lubom się pisał na tę konfederację, celem służenia Ojczyźnie, wyrzekam się wpisu mego w oczach całej Polski i sejmu i delegację mam za gwałt“.

Szujski w swych „Dziejach“ przytacza jeden z ustępów tej mowy.

W innych mowach wzywał do rozwiązania konfederacji, „tego szkodliwego zjazdu, który nazywamy sejmem, który przynosi wstyd i poniżenie, który z kronik naszych i pamięci wygluzowany być powinien“. To znowu domagał się deklaracji trzech ministrów, że „noty ich będą jako zdania (opinje), a nie rozkazy“, że z nikim w „szepty“ wdawać się nie będą, że „będą traktować a nie wymuszać“, że będą pamiętali „wiele winni poważania narodowi, choć nieszczęśliwemu, ale jeszcze nie będącemu niewolnikiem“, że wreszcie „gwałtownemi krokami nie będą łamać prawa narodowego, chyba, że chcą nas nauczyć i przymusić złym przykładem, abyśmy równie tychże ustaw narodów względem nich zapomnieli“...

Ale wszystko to był groch na ścianę. Większość wy-

konywała ślepo rozkazy Stackelberga i jego towarzyszy (Benoita i Rowitzkiego). Oraczewski na czwartej limicie sejmu dążył do rozwiązania konfederacji, ofiarował się zerwać sejm, ale nikt go nie poparł. „Poznawszy ludzi“ stracił nadzieję i nie powrócił już do izby [1]). Morawski (V. 169) wymienia Oraczewskiego między tymi, co po akcie rozbioru gotowi byli wydać manifest, ale urząd grodzki go nie przyjął, bo miał zakaz.

Patrjotyczne wystąpienia jego nie uszły mu na sucho. Zasekwestrowano mu dom, majątek i wszystkie sprzęty „w oczach całego województwa“, ale jak sam powiada, „za nic miał te straty w porównaniu z powinnością obywatela“.

Za to zyskał sobie uznanie Stanisława Augusta. Historycy tego sejmu przyznają, że król o ile to było w jego mocy, paraliżował niecną robotę Ponińskiego i innych jurgieltników moskiewskich. Liczył się z „faktem dokonanym“, przeciwko któremu opór był niemożliwy, ale pragnął, aby w tem nieszczęściu uratować co się da, zapewnić rzeczywistą niepodległość i rozwój okrojonego państwa. „Mowy jego oddychały miłością ojczyzny“, pisze Schmitt; mowę jego z d. 10. maja nazywa Szujski piękną, a Schmitt piękną i silną. Chwali ją i Teodor Morawski (V. 166) dodając, że Stan. Augusta poparli biskupi: Turski i Okęcki, Szydłowski... a najsilniej Oraczewski poseł krakowski. Umiał też król skupić około siebie nawet „najczystszych“ patrjotów. Zapewne, że szło mu i o własną osobę, Poniński bowiem ze Stackelbergiem dążyli do ukrócenia prerogatyw królewskich, ale bądź co bądź prawie wszystko to, co Oraczewski wypowiadał, było odbiciem zapatrywań króla, może jaskrawem, ale niemniej wiernem echem jego my-

[1]) „Relacja z poselstwa... w r. 1776 na sejmiku w Proszowicach“. Przedtem wychodziły luźne mowy Oraczewskiego, którego ich wydawca nazywał Oraczowskim.

śli, sukursem dla jego polityki. I gdybyśmy mieli ślad znoszenia się bliskiego króla z Oraczewskim, możnaby przypuszczać, że i projekt Edukacji Narodowej wypłynął z rozmów między nimi prowadzonych.

Co robił Oraczewski w pierwszych latach po opuszczeniu sejmu, nie wiemy. Krzemiński (Enc. Illustr.) autor ujemnej, z plotek wysnutej charakterystyki Oraczewskiego, podaje ogólnikowo, że zajęty był przy królu i prymasie, „przy których wyprażał (?) sobie karjerę". W r. 1778 król go wprowadził do departamentu policji, a w r. 1780 książę Michał Poniatowski, biskup płocki, administrator krakowski, późniejszy prymas, powołał go na członka Komisji Edukacyjnej, w której prezydował. Korzon między kilku imionami, „które wspominano w epoce rozbudzenia narodu" wymienia Oraczewskiego (Wewn. dziej, wyd. 2, III. 146).

Już w czasie posłowania, zaczął się oddawać literaturze. W wydawanych przez Naruszewicza „Zabawach przyjemnych i pożytecznych" znajdujemy kilka jego wierszy Talentu poetyckiego w nich nie dostrzeżemy, ale forma ich była wcale poprawna, lekka i potoczysta. Jeden z tych wierszy „Święto natury", napisany w r. 1775, należał do zbioru rymów, napisanych na dzień imienin księcia jenerała ziem podolskich. Wśród autorów, którzy do wieńca tego swe listki wpletli, spotykamy Zabłockiego i Piramowicza. Byłby w tem dowód, że wraz z nimi należał do przyjaciół „Puław".

Palad, Orest, przyjaciele
Tezej, Piryteusz wiele,
Tę słodką czułość zdobili.
Sławni to byli rycerze,
Kochali się wzajem szczerze
Ale tylko... w bajkach żyli.

W tychże „Zabawach“ (tom X.) jest i wiersz Woyny na dzień urodzin Oraczewskiego. Jeżeli Naruszewicz wiersz ten umieścił, to bądź co bądź jeden więcej dowód, że Oraczewski był znany i ceniony. Woyna pisał:

Pochwał twych opis dla tych zostawię,
Co wiernie będą pisali
Którzy Polacy w ojczyzny sprawie
Mężnie do końca stawali

i życzył Oraczewskiemu „winnej nagrody“, choć wolałby mu jej winszować.

Do swych przyjaciół zaliczał Ignacego Potockiego, młodego wówczas pisarza litewskiego. Napisał na dzień jego urodzin (28. lutego) 1774) wiersz „Myśl przyjaciela“. Nie był fałszywym prorokiem, kiedy przewidywał, że Potocki zajmie przodujące w narodzie stanowisko, — pisał bowiem:

Już dawno Polska mężów pożytecznych czeka,
Chcę ją pocieszyć, głosząc dzień twego rodzenia
Potocki! bądź nadziei hasłem...
...Dziękuję przeznaczeniu, że ci istność dało.
W dwudziestym trzecim roku masz dojrzałość ducha;
Błędy, to jarzmo myśli zrzucasz z siebie śmiało,
Śmiesz szukać prawdy, gdy gmin jeszcze bajek słucha.

W r. 1780 wydał u Grölla w Warszawie komedję w 3 aktach p. t. „Zabawy, czyli życie bez celu“. Rzecz słaba, o pięknej jednak tendencji. Jestto satyra na próżniaków, których troską jedyną jak przepędzić dzień przyjemnie. Cała galerja „modnych chłopców“ otacza panią Cześnikową, żyjącą z lichwy, a lubiącą się bawić kosztem wciągnionego do jej orszaku starosty. „Dlatego wstają z rana, aby wieczór poszli spać, a mówią, że się bawią“.

Każdy żyje z tego, co dostał w spadku lub z kasy ojcowskiej. Lustratorowicz np. może hulać, bo „ojciec jego był lustratorem w dobrym czasie po jezuitach, umiał korzystać z okoliczności". Przeciwstawieniem tej bandy bawiących się jest starościna z córką i kochającym ją Zacniewskim. Intryga polega na tem, że przyciśnięty przez wierzycieli starosta w chwili, kiedy go mają tradować, zgadza się oddać rękę córki protegowanemu przez Cześnikową, za otrzymanie lichwiarskiej pożyczki od podstawionej przez nią osoby. Ale zanim Cześnikowa wywiązuje się z przyrzeczenia, Zacniewski wykupuje weksel starosty i oczywiście zostanie jego zięciem. Starościna, to typ polskiej matrony, pracowitej, pilnującej domu i wychowującej córkę na zacną kobietę, rządną gospodynię i dobrą obywatelkę kraju. „Która matka rozumie — są jej słowa — że dała doskonałą edukację córce, gdy ją kazała uczyć języków obcych, tańcować i grać na klawikordzie — bardzo się myli. Mogą te zabawy być wielką pomocą do osłodzenia przykrych nudów, ale rząd domowy, który jest naszej płci powinnością, tyle ma podziałów, gdy go kto chce doskonale pełnić, że często najprzyjemniejszą zabawę zastąpić może, bo skutki jego są najpewniejszą przyczyną trwałego szczęścia". To też córka starościny, kiedy ojciec wzywa ją na zabawę do Saskiego ogrodu, gdzie „na klarynetach grają bardzo wesoło, a oficerów pełno", woli „służyć matce", w domu, tem bardziej, że nie chciałaby opuścić lekcji historji polskiej. „Właśnie — mówi — jestem w tej części historji, kiedy Polska tak szanowana była od wszystkich narodów. Radabym znaleźć co na pochwałę płci naszej, że umiała ożywiać i zachęcać ducha rycerskiego, bo zda mi się, że to powinnoby być celem edukacji naszej, jeżeli we płci męskiej chcemy widzieć obrońców naszych i ludzi dla społeczności szacownych". Na uwagę Zacniewskiego, że „przykładną jest chęć po-

znania historji tym celem", starościna dodaje: „Mnie się zdaje, że jedna z przyczyn mocnych, dlaczego w Polsce mało widać prawdziwych obywatelów, jest ta: że cała edukacja mężczyzn jest obrócona na podobanie się kobietom, iż kobiety nie są dosyć oświecone wiadomością dziejów własnego kraju, żeby im się tylko tacy ludzie podobać mogli, którzy sławę i dobro jego mają za cel"... Dobrą jest następna uwaga starościny: „Polacy dawni, gdy wojażowali, rodzice wysyłając ich zagranicę, musieli sobie zakładać jakiś cel nauki i doświadczenia, które potem na pożytek kraju własnego służyły. Dziś wojaże więcej śmieszność nałogów, jak oświecenia w powracających do kraju wprowadzają, bo nie mają żadnego pożytecznego dla kraju zamiaru"...

Komedja Oraczewskiego, prócz dobrej tendencji ma i tę wartość, że przynosi parę drobnych szczegółów do charakterystyki czasów. Widzimy w niej np. jak się bawił ówczesny modny świat warszawski, dowiadujemy się również, jak się starano o tytuliki, o urzędy. „Pan żadnego urzędu nie masz, pan się niczego nie doczekasz" mówi stary sługa Michał do Zacniewskiego — i tłumaczy mu, jak to wszyscy „wenerują" urzędnika. „Setny ledwo wie, jakiemi sposobami został kto urzędnikiem, a w parafji zaraz się kłaniają, na pierwszem miejscu u stołu sadzają"... Na to Zacniewski odpowiada: „Lepiej, że się dziwujesz, za co nie mam urzędu, jak gdybyś się dziwował, za co go mam"... Czy to czasami nie „przytyk" do czasów... dzisiejszych?

Oraczewski napisał jeszcze tragedję „Zwycięstwo pod Orszą", ale rzecz ta pozostała w rękopisie. Sam tytuł wskazuje, że opiewał w niej sławę oręża polskiego, wielki cios zadany Moskwie przez ks. Ostrogskiego (1514). Zdaje się, że musiała być graną, skoro Michał Mniszech, późniejszy marszałek w. kor. do dzieła swego „Kazimierz Wielki" wy-

jął z niej dewizę: „Narody stoją prawem, prawo posłuszeństwem, posłuszeństwo zwierzchnością, zwierzchność bezpieczeństwem“. (Zwycięstwo pod Orszą, akt II, scena 3-cia).

W r. 1782 widzimy Oraczewskiego na sejmiku województwa krakowskiego w Proszowicach na d. 19. sierpnia, zwołanym dla wyboru posłów sejmowych. Wygłosił na nim swoje „zdanie“. Wkładał obowiązek na przyszłych posłów, żeby „na żadne prywatne ustawy, dogadzające pobocznym żądaniom“ nie pozwalali, póki sprawy tyczące się dobra ogólnego narodu nie zostaną załatwione. Źle nam jest, ale nie rozpaczajmy, „mamy wszystko, co Opatrzność potrzebom krajów daje“, korzystajmy więc z tego. Tu rozwinął Oraczewski program ekonomiczny. Żądał założenia magazynów nad Wisłą między Nieszawą a Toruniem, spławienia Wisły, ulepszenia dróg i mostów. Dalej pragnął „wyświetlenia zbioru praw krajowych“, zniesienia wielu „pysznie brzmiących a nieczynnych małych urzędów“ wojskowych. Żołnierze wobec panującego pokoju mogliby zostać użyci do robót publicznych, jak np. do czyszczenia koryta Wisły i rzek innych, do naprawy dróg itd., za co otrzymywaliby osobną zapłatę. Komisja skarboma winna zaprowadzić oszczędności, a przedewszystkiem znieść „próżne urzędy“. Wspominał następnie o opiece Stan. Augusta nad górnictwem krajowem, żądając, aby i obywatele ze swej strony poszukiwali bogactw w ziemi ukrytych. W końcu potępiał intrygi, wzywał do zgody i jedności. Nie narzekajmy na okoliczności, tylko na siebie, bo sami jesteśmy panami swych losów. Niech oświeceni nie unikają służby publicznej, niech intryganci nie jątrzą, niech nie bierze góry prywata. „Widzicie dziś los mój — kończył — sądźcie, czy o inną starałem się korzyść lub o inne zaszczyty, prócz tego, żebym w oczach waszych

tak w sprawach publicznych jak i w życiu prywatnem był bez zarzutu..." [1]).

Jako członek Komisji Edukacyjnej zjeżdżał Oraczewski kilkakrotnie do Krakowa. Pierwszy raz w r. 1781 dla śledztwa w sprawie zatargu o dobra bieńczyckie między biskupem Sołtykiem a Kołłątajem, wizytatorem Akademji. Po raz drugi był komisarzem śledczym w sprawie rachunków zakwestjonowanych przez Kołłątaja, już jako rektora, a po raz trzeci przybył z Hołowczycem, aby usunąć głośne nieporozumienia między Kołłątajem a młodym profesorem Akademji krakowskiej Janem Śniadeckim.

W tychże latach wyjeżdżał kilkakrotnie do Francji. W r. 1780 bawił w niej dla studjów naukowych, kształcił się w naukach przyrodniczych, chemji i fizyce, uczęszczał na wykłady słynnego Mahera, poznał bliżej Lavoisiera. W r. 1781 wysłał go król dla zapoznania się z postępem górnictwa. Następna jego podróż do Francji przypadła na r. 1783. Wyjechał w sierpniu i bawił do maja 1784 i w tym czasie informował Stanisława Augusta o wszystkiem, co się działo we Francji, a zwłaszcza w Paryżu. Pisał o żegludze, o polityce, o kursach przyrodniczych, na które uczęszczał, o leczeniu elektrycznością, o literaturze, malarstwie, teatrze, architekturze, o handlu, kopalniach, edukacji publicznej, o obyczajach, o życiu towarzyskiem itd. Wśród powodzi tych wiadomości pokaźne miejsce zajęły sprawozdania z postępu aeronautyki. Szeroko opisywał głośne ówczesne wzloty Montgolfiera, Charles'a i Blancharda, który później (1788—1790) popisywał się swym wynalazkiem w Warszawie [2]).

---

[1]) „Zdanie" to wyszło osobno „kosztem Ign. Grölla, typografa i bibljopoli J. K. M. Akademji krak. na Grodzkiej ulicy Nr. 14".

[2]) Listy z tych lat Oraczewskiego znajdują się w archiwum Czartoryskich. Na ich podstawie napisałem artykuł

W roku 1786 Komisja Edukacyjna wysłała Oraczewskiego na wizytację Szkoły Głównej krakowskiej. Zalecony listem Kołłątaja, przyjęty został w d. 19. maja „z wielkim ceremonjałem“. Witał go Śniadecki, sekretarz Akademji. Rozpoczął wizytę uroczystem posiedzeniem, odbywał ją „skrupulatnie i z wielką czynnością“, jak świadczy Baliński (Pamiętniki o Janie Śniadeckim), „gładko“, jak pisze Krzemiński. Akademja Umiejętności w III. tomie Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce, pomieściła obszerną, bo 126 str. obejmującą „Wizytę Szkoły Głównej koronnej przez Feliksa Oraczewskiego“. Jestto materjał niezwykłej wartości. Prócz tego w archiwum senatu uniw. Jagiellońskiego znajdują się jeszcze trzy niewydane, należące do tej wizyty, kodeksy.

Prawdopodobnie sumienność Oraczewskiego w przeprowadzeniu tej wizyty, skłoniła Komisję Edukacyjną do mianowania go rektorem Szkoły Głównej, przez co zostawał jednocześnie naczelnikiem oświaty w całej Koronie. Popierali go na to stanowisko Ignacy Potocki i Kołłątaj. Baliński twierdzi, że „przez zabiegi kobiet został zrobiony tym rektorem od Stanisława Augusta“. Zobaczymy za chwilę z jakiego źródła Baliński zaczerpnął tę wiadomość.

Urząd rektora objął uroczyście w d. 3. października 1786. Kiedy Stanisław August powracał w r. 1787 z Kaniowa przez Kraków, Oraczewski witał go 17. czerwca na Zamku w todze aksamitnej karmazynowej, a 19. czerwca miał do niego mowę. Szkoła Główna przyjmowała króla uroczyście w d. 25. czerwca. Odpowiedź na powitanie Oraczewskiego, rozpoczął król słowy: „Godny Akademji krakowskiej rektorze... dałeś wzór sam z siebie, okazawszy już w poselskiej funkcji swojej dowody, że myśleć

„Aeronautyka w korespondencji Stan. Augusta“, umieszczony w „Tygodniku Illustrowanym“ (1923).

cnotliwie i opowiadać swe myśli wymownie i przy nich obstawać mężnie umiałeś w czasie najkrytyczniejszym, czego jestem świadkiem osobistym". Pochlebnie oceniając pracę profesorów, zachęcając ich do ciągłego doskonalenia się w naukach, podnosił król z uznaniem, że sam rektor „lubo już mając nabytą sprawiedliwie w ojczyźnie reputację", jednak udawał się jeszcze za granicę, „nie z płonnej ciekawości", tylko dla nabycia większego zasobu wiedzy. Przy rozdaniu 26. czerwca w Szkole Nowodworskiej medali *Diligentiae* pięciu najlepszym jej uczniom, między którymi był i Andrzej Śniadecki, młodszy brat Jana, Stanisław August mówił młodzieży „jak wiele jest winna swym nauczycielom, a mianowicie jeneralnemu rektorowi, pod którego rządem z nauk korzystają", poczem oświadczył, że „chcąc przechować pamięć swych odwiedzin, postanowił przez najpilniejszych uczniów ozdobić orderem św. Stanisława JP. Oraczewskiego" (Gaz. Warsz.). Nagrodzeni przystąpili do tronu, puszkę z orderem wręczył król młodemu Śniadeckiemu, z rąk jego odebrał order Oraczewski.

Odtąd pełny urzędowy tytuł nadawany Oraczewskiemu brzmiał: „JW. JP. Feliks z Przybysławic Oraczewski, kawaler orderu św. Stanisława, komisarz Edukacji Narodowej od Prześwietnej Komisji nad Edukacją narodową przełożonej, do Szkoły Głównej Koronnej delegowany wizytator, wszystkich szkół i całego stanu akademickiego w Koronie Jeneralny Rektor i sędzia ordynaryjny".

Protokoły obrad przechowane w archiwum senatu akademickiego świadczą pochlebnie o gorliwości Oraczewskiego. W r. 1787 złożył on Komisji Edukacyjnej Raport o naukach i czynnościach Szkoły Głównej krakowskiej od 1-go października 1786 do 1-go października 1787. Raport ten bardzo sumienny „przez JW. Komisarza i Rektora o zaszczyt Akademji, o dobro kraju i nauk najtroskliw-

szego“ Rada Akademji do swego protokółu, „wciągnąć poleciła“. Za jego rektorstwa opracowano księgę „Źródła funduszów Szkoły Główney Koronney Akademii krakowskiey“. Napisał na niej Oraczewski: „Ta xięga ułożona przez delegowanych do rachunków prokuratorji z roku 1787 na 8-my JWp. Radwańskiego, profesora mechaniki y JMp. Przybylskiego, prefekta bibljoteki, za rządu mego — że za dokładność zasłużyła wdzięczność Szkoły Główney wyznaię“...

Nie wchodząc w szczegóły rządów Oraczeswkiego, zanotujmy tylko, że między innemi wprowadził dwie uroczystości akademickie, a mianowicie obchód rocznicy założenia Akademji przez Kazimierza W. i „uwiecznienie słodkiej pamiątki“ pobytu Stanisława Augusta. Uwiecznienie to polegało na tem, że dwa razy do roku założony w tym celu przez Oraczewskiego Związek Filantropów, rozdawał na uroczystem posiedzeniu w amfiteatrze Nowodworskim nagrody „dla cnót czynnych i użytecznych społeczności“. Sprawozdania z tych posiedzeń Związku Filantropów, instytucji dobrze pomyślanej i dobrze wprowadzonej, wychodziły osobno z mowami wygłoszonemi na nich przez profesorów Szkoły Głównej — stąd też można o Związku podać dość obszerną wiadomość, co jednak wypadnie uczynić osobno, aby nie odbiegać od szczegółów z życia Oraczewskiego.

O ile można sądzić, pierwsze dwa lata jego rządów w Szkole Głównej upłynęły spokojnie. Był zdaje się lubiany, o czem może świadczyć choćby wiersz głośnego prof. Jacka Przybylskiego p. t. „Na imieniny JW. Imci Pana Feliksa z Przybysławic Oraczewskiego itd... 17. stycznia 1788“. W sonecie zatytułowanym „Wydźwiękiem“ Przybylski kazał śpiewać Polimnji, że „dusza Feliksa... ludzkość cenić, ojczyznę kochać nauczyła, rozumem osad naszych sławę rozszerzyła i serc czystych ołtarze zyskała

w Koronie“. Ale „słaba pierś“ Polimnji „zasługom nie wyrówna“, więc idzie „wezwać siostry z Helikonu“, aby „śmielej go z dowcipniejszych orszakiem wychwalać“. W dopisku „Do rodaków“ Przybylski objaśniał, że po raz pierwszy (?) do poezji polskiej wprowadza formę znaną we Włoszech pod nazwą Suonetto, a we Francji Sonnet. „Wydźwięk“ jest pierwszem „nieśmiałem naśladowaniem nowego rodzaju, z szczerem usiłowaniem oddania sprawiedliwości zasłudze obywatelskiej“...

Nagle z powrotem Śniadeckiego z Anglji, gdzie dłuższy czas przebywał, rozpoczęły się w Akademji niepokoje. Śniadecki w życiorysie Kołłątaja tak o tem pisze: „Przysłano do Akademji człowieka skąd inąd zacnego, ale nieobeznanego z tym rodzajem pracy i zatrudnień, pełnego próżności i fałszywych o naukach myśli..., który sprawił wiele zamieszania i niezgody w zgromadzeniu, dla siebie zaś wiele zmartwienia i przykrości“. Baliński entuzjastycznie usposobiony dla Śniadeckiego (był żonaty z jego bratanką) dolewa sosu do tej opinji i z lekceważeniem odzywa się o Oraczewskim. Baliński to wynalazł ową gołosłownie zaznaczoną protekcję kobiet. Nie wstrzymuje się on nawet od żartów „z długiej i cienkiej postaci“ Oraczewskiego. „Zresztą — pisze — nieźle umiał po francusku, co wtenczas niezmiernie popłacało, był dobrym, jak nazywają, człowiekiem — i to były jego zalety“. Krzemiński nietylko ślepo poszedł za zdaniem Balińskiego, ale jeszcze ze swej strony dosolił Oraczewskiemu.

Mało o tem wiemy, jakie to były zamieszania i niezgody, które sprawił „człowiek skąd inąd zacny“. Zapewne w aktach Komisji Edukacyjnej znalazłyby się bliższe szczegóły. Wiemy tylko, że zpoczątku stosunki Oraczewskiego ze Śniadeckim były bardzo przyjazne, jeżeli Oraczewski w listach do niego do Anglji pisanych nazywa go „kochanym Śniadesiem“, ale po powrocie z Anglji Śnia-

desio stanął w szeregach opozycji przeciw Oraczewskiemu. Doszło do tego, że mu otwarcie walkę wypowiedział. Kiedy Oraczewski „dał się nakłonić“, aby ks. Trzciński, profesor fizyki, wielki „oryginał“ został prezesem Kolegjum fizycznego, Śniadecki Trzcińskiego uważając za zero, rozpoczął przeciw Oraczewskiemu kampanję na wielką skalę. Posyłał skargi na niego do Komisji, sam jeździł do Warszawy z memorjałem opozycjonistów, przez siebie napisanym. Mitygował go książę prymas, prezes Komisji, mitygował jej członek Hołowczyc. Prymas wzywał Śniadeckiego listownie, „z praw prezydującego i z praw biskupa“, aby oddawał winne rektorowi uszanowanie. „Człowiek światły i uczony — pisał do Śniadeckiego — ma czem się bawić słodko w naukach, nie trując sobie i innym czasu w powtarzaniu lub protegowaniu zawsze niemiłych i nigdy nieużytecznych kabał“. Prymas mówił do Hołowczyca, że „trzebaby puszkę zrobić i składać do niej listy Śniadeckiego, aby potomność wiedziała, do jakiego stopnia były zuchwałe“. Kiedy Śniadecki przybywszy do Warszawy, prosił o audjencję u prymasa, ten mu odpisał, że dla słabości zdrowia nie może mieć konferencji, „zechcesz mnie więc WPan uwolnić od tej fatygi“. Zresztą może Śniadecki swe *desideria* wnieść do Komisji, byleby „w przyzwoitych wyrazach te czynione były przedłożenia“.

W niewydanych protokółach obrad Szkoły Głównej znalazłem też dowody, do jakiego stopnia dochodziło zacietrzewienie stron obu. Protokoły te mówią o „nikczemnych sporach“, o „nagannej emulacji i hydnej osobistości“. Opozycjoniści nie przychodzili na posiedzenia — „zamiast obrad czynili schadzki pod prezydencją innej osoby, przez siebie wybranej“. Protokół z 29. czerwca 1789 zaznacza, że opozycjoniści opuszczają lekcje, a nawet bez opowiedzenia się wyjeżdżają. „Śniadecki od kilku dni bez upoważ-

nienia wyjechał, nie dokończywszy czasu naukom przepisanego".

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Śniadecki był bardzo kłótliwy (sam przyznawał „drażliwość" w swym charakterze), że znane są liczne jego zatargi, jak np. z Kołłątajem i Czackim, że sam Baliński przyznaje jego „zuchwałość w zdaniach i wyrażeniach przeciw najwyżej położonym osobom" — to łatwo zrozumiemy, iż trzeba bardzo krytycznie przyjmować opinję znakomitego matematyka o Oraczewskim. Śniadecki przytem w sądach swoich był niesłychanie apodyktyczny, decydująco rozstrzygał nawet o rzeczach, na których się nie rozumiał.

Zdaje się, że owe zajścia wypływały z „urządzenia" Akademji. Sam autor tego urządzenia, Kołłątaj, zauważył już pod koniec swego rektorstwa w Krakowie, że Rada uniwersytecka, w której skład wchodzi całe grono profesorów i emerytów, zamienia się w sejmik uniemożliwiający rządy w Akademji i niepotrzebnie odciągający profesorów od zajęć fachowych [1]).

Ostatecznie Oraczewski ustąpił z rektorstwa. Może to było zwycięstwo opozycjonistów, a może on sam z powodu „zmartwień i przykrości" (słowa Śniadeckiego) prosił o zwolnienie go z obowiązków. A może (i to najprawdopodobniej) Komisja Edukacyjna, chcąc położyć koniec zatargom, wprost skorzystała z obowiązujących „Ustaw" i przywróciła profesorom prawo wyboru rektora ze swego grona. Został nim ks. Józef Tomasz Szabel, archidjakon kollegjaty św. Anny. Czy ten długoletni wydawca kalendarzy krakowskich był lepszym niż Oraczewski — można wątpić. „Skutki błędów" urządzenia Kołłątaja, pisze Tokarz, „ukazały się j u ż za Oraczewskiego", (I. 257), a więc

[1]) Tokarz: Ostatnie lata Kołłątaja II. 121.

trwały dalej. Śniadecki, co mu się zresztą słusznie należało, został po Trzcińskim prezesem Kolegjum fizycznego.

W r. 1790 podczas sejmu 4-letniego Oraczewski wydał „List do przyjaciela z Warszawy“. Listu tego w bibljotekach krakowskich nie znalazłem, ale prof. Dembiński pisze, że „świadczył on o duchu obywatelskim i trzeźwości sądu“.

Kiedy przygotowywano ustawę 3. maja Ignacy Potocki z Chreptowiczem skłonili króla, że wysłał Oraczewskiego do Paryża jako „posła extraordynajnego i ministra pełnomocnego“. Krzemiński gromi go bez litości za to, że nie zdołał uzyskać pomocy Francji w r. 1792, kiedy Moskwa wkroczyła do Polski. Pretensje zabawne. Francji ani się śniło chcieć pomagać Polsce. Posłowi jej w Warszawie już przedtem kazano nawet „unikać wrażenia“, że Francja chce wziąć udział w wewnętrznych lub zewnętrznych sprawach polskich. Francja zresztą miała wówczas tyle własnych kłopotów na głowie, a oprócz tego musiała stanąć do orężnej rozprawy z koalicją, że trudno się dziwić, iż nas zbywała frazesami. Wszak nieco później ani dzielny i wymowny Barss, ani nawet Kościuszko wysłany przez „exulantów“ nie mogli uzyskać żadnej pomocy ze strony Francji.

O poselstwie Oraczewskiego pisał obszernie prof. Bron. Dembiński w „Kraju“ petersburskim (1901 dodatek: Sztuka i życie) na podstawie jego korespondencji przechowanej w archiwum Popielów w Krakowie.

Po drugim rozbiorze Oraczewski zniknął zupełnie z widowni. Niema śladu, co się z nim stało. Umarł podobno w r. 1805.

* * *

Już po napisaniu tego szkicu biograficznego, prof. Konopczyński ogłosił wyjątek z nieznanej w Polsce VI. części pamiętników Stanisława Augusta.

Król opowiada, że na tygodniowych obiadach przedstawił swój plan utworzenia Komisji Edukacyjnej. Stanisław August podaje się zatem za jej inicjatora. Jestto bardzo prawdopodobne i jestto zarazem w zgodzie z uwagą moją, że „gdybyśmy mieli ślad bliższego znoszenia się Oraczewskiego z królem, możnaby przypuszczać, że i projekt Edukacji Narodowej wypłynął z rozmów między nimi prowadzonych".

Nie zmniejsza to w niczem zasługi Oraczewskiego. Co więcej, król mówił o swoim „planie" już po kasacie Jezuitów, a Oraczewski wygłosił swą mowę przed tą kasatą. Stąd wniosek: Oraczewski pierwszy myśl rzucił, a król ją w swym planie rozwinął. Wykonał zaś — Chreptowicz.

DODATEK DO ORACZEWSKIEGO.

„FILANTROPI" KRAKOWSCY.

„Zagadką jest — pisze Krzemiński — tytuł wierszowanki Jacka Przybylskiego: Na imieniny JW. Feliksa Oraczewskiego, autora Związku przyjaciół Ludzkości". Dowodzi to najlepiej, jak nieprzychylny Oraczewskiemu jego biograf mało sobie zadawał trudu, aby zapoznać się dokładnie z jego działalnością, nic bowiem w tym tytule nie masz zagadkowego. „Związek" taki istniał, a Oraczewski był jego założycielem. Już w r. 1846 Józef Muczkowski podał „Wiadomość" o tem Towarzystwie filantropijnem (Dwutygodnik literacki, Kraków, t. I.) — a gdyby nawet i tej „wiadomości" nie było, moglibyśmy się o niem dowiedzieć z gazet ówczesnych, z kilku pism ulotnych (Obwieszczenia, Doniesienia, Projekt Związku filantropów itd.), a wreszcie z wydanych drukiem trzech obszernych mów, wygłoszonych na uroczystych posiedzeniach Związku.

Towarzystwo to powstało „ku uwiecznieniu słodkiej pamiątki bytności w województwie krakowskiem Stanisława Augusta, Króla Dobrego, podług projektu JW. P. Feliksa Oraczewskiego“, jak się wyraża w tytule swej „Mowy“ Jacek Przybylski, głośny w swym czasie rymopis, mówca, polyglota, tłumacz, bardzo ale i ciężko uczony profesor starożytności i bibljotekarz Akademji krakowskiej. Oraczewski zawsze szczerze oddany królowi, któremu zresztą, jak wiemy, na polecenie Ignacego Potockiego i Kołłątaja, zawdzięczał swój rektorat Akademji, pragnął pobyt Stanisława Augusta w Krakowie w r. 1787 uwiecznić w sposób trwały i pożyteczny. Ogłosił więc drukiem „Projekt Związku Filantropów, uwieczniający“ itd. i rozesłał go wybitniejszym obywatelom z wezwaniem, aby wnosili ekładki na utworzenie funduszu, który corocznie rozdzielany będzie między rolników, rzemieślników, służących itp., odznaczających się pracowitością, pilnością, zręcznością, a jednocześnie życiem bogobojnem i uczciwem.

Oraczewski nie był wynalazcą nagrody za cnotę. Wiemy, że kilkakrotnie jeździł do Paryża w latach 1780—1784, a w tym właśnie czasie znany ekonomista i publicysta Antoni Jan Robert Auget baron de Monthyon (piszą go i Montyon), kanclerz hrabiego Artois, brata królewskiego, ustanowił kilka fundacyj, a między nimi jedną nazwaną przez niego nagrodą cnoty (prix de vertu[1]). Oraczewski przeszczepił zatem pomysł gotowy, ale zastosował go do potrzeb i warunków miejscowych. Nie był w możności sam dać kapitału, a więc stworzył Towarzystwo filantropijne. Widząc trudności zebrania odrazu funduszu, którego od-

[1]) Montyon między r. 1780—1787 stworzył 6 fundacyj, każda po 12 tysięcy franków, z których odsetki przeznaczył na cele filantropijne i naukowe. Na też same cele zapisał w testamencie znaczną część swego majątku. Nagrodę cnoty do dziś dnia rozdaje Akademja francuska.

setki wystarczyłyby na nagrody, a z drugiej strony pragnąc, aby każdy według możności mógł się przyczynić do dobrego czynu, nie oznaczał wysokości rocznej wkładki, ale prosił, aby mniej niż dwa dukaty nie składano. W sali Jagiellońskiej wyłożono księgę dla zapisujących się do Związku. Na składki przeznaczył Oraczewski zapieczętowaną i trzema kluczami zamkniętą skarbonę. — Pierwszy klucz powierzał osobie duchownej, drugi obywatelowi województwa, a trzeci jednemu z akademików. Uroczyste, doroczne rozdawanie nagród miało się stale odbywać w ostatnią niedzielę przed św. Janem Chrzcicielem, którego pamiątkę obchodzi Kościół 24. czerwca; szło tu o zaznaczenie rocznicy pobytu króla, który 17. czerwca przybył na dwutygodniowy pobyt do Krakowa.

Ponieważ jednak trzeba było kuć żelazo póki gorące, więc nie czekał Oraczewski aż do czerwca 1788, ale na pierwszą uroczystość rozdawniczą przeznaczył ostatnią niedzielę r. 1787.

Zapisanych wówczas do Związku Filantropów było osób 27. Znajdujemy między nimi przeważnie profesorów Szkoły Głównej, pozatem kilku księży (dwóch kanoników Sierakowskich), podkomorzego krakowskiego Michałowskiego, starostę brzegowskiego Jacka Kluszewskiego, założyciela stałego teatru w Krakowie, wojskiego Chwalibogа, radnego miasta i konsyljarza J. K. M., Kasparego i cztery damy, jako to: Potocką z Sapiehów, starościnę Duninową, Annę Oraczewską, żonę rektora i Helenę Czerwiakowską, żonę profesora chirurgji i sztuki położniczej. Listę tych członków, ułożoną alfabetycznie, otwierał „Stanisław August, Król“, który uwiadomiony o „projekcie“ nietylko mile go przyjął, ale zażądał, aby imię jego między członkami było umieszczone.

Na tydzień przed uroczystością Filantropi zbierali się na narady, komu przeznaczyć nagrody. Poprzednio każdy

z nich miał prawo przedstawić kandydatów, kandydaci ze swej strony obowiązani byli dostarczyć wiarogodnych świadectw o swojem przykładnem prowadzeniu się. Z rolników mieli prawo ubiegać się o nagrodę mieszkający w trzymilowem promieniu od Krakowa. Służba obojej płci musiała złożyć świadectwo 20-letniej wierności i zręczności w usługach.

Dnia 30. grudnia 1787 miał zatem Kraków „tkliwe widowisko w pierwszem obchodzeniu uroczystem Związku Filantropów“. Przeznaczeni do nagrody spowiadali się rano w kościele św. Anny. Następnie ks. Wacław hr. Sierakowski, kanonik katedralny, głośny muzyk, literat, mecenas przemysłu, filantrop, odprawił wotywę „z muzyką“ i udzielił Komunji wybranym. Po Mszy udali się oni do gimnazjum Nowodworskiego, gdzie przybywających witało „brzmienie trąb i kotłów“. Nad bramą czytali złotemi literami napis: „Nadgroda Cnót Czynnych i Użytecznych Społeczności“.

„Amfitejatrum“ Nowodworskie zastali przepełnione. Zasiedli miejsce obok stopni tronu, na którym umieszczono portret Stanisława Augusta. „Nim nacisk gości zgromadzonych znalazł spokojne umieszczenie“, przygrywała muzyka, „po której zakończonej zaczął mówić o użytkach Filantropji we wszystkich stanach J. Pan Przybylski“...

We wszystkich stanach? Tak jest. Pan Jacek po oddaniu hołdu Królowi Dobremu (taką go nazwą stale obdarzał), zaczął naprzód per longum et latum dowodzić, że „nie każdy filozof, nie każdy republikant, nie każdy patrjota, nie każdy kosmopolita zasługuje na nazwę filantropa“, a następnie podawszy ogólny obraz filantropa i przeprowadziwszy różnicę między nim a „człowiekiem obojętnym“, przeszedł do wykazania, jak w każdym stanie objawia się filantropja, jak ją uprawia filantrop król,

filantrop kapłan, filantrop sędzia, filantrop żołnierz, filantrop nauczyciel, filantrop lekarz, filantrop bogacz. Każdy z nich osobno jest szczęśliwy, — a jakże dopiero jest szczęśliwa „cała familja szlachetnie czułych filantropów?“ Przedstawiwszy szczegółowo obraz takiej rodziny, pan Jacek prowadził swych słuchaczy ścieżkami filantropa, wykazywał, jak wchodzi pod dachy najlichszych lepianek, aby „szpiegować szlachetnie, gdzie płacz skrapia suchar osieroconego pracownika, gdzie nędza strzeże wrót wstydliwej cnoty“. To znów prowadził filantropa do ludzi skromnych, choć utalentowanych lub zasłużonych, ale ginących w zapomnieniu, bez poparcia, a ginących dlatego, że się nie narzucają, bo „podstępy, nadskoki i płozy bywają powszechnie cechą dusz nikczemnych, a przynajmniej bardzo średnich“. I wiele takich prawd jeszcze wypowiedział nasz profesor starożytności, który jednak sam nie okazał filantropji względem swych słuchaczy, bo ich męczył potokiem swej elokwencji. Mowa jego musiała trwać ze dwie godziny, gdyż zdołał ją zmieścić zaledwie na 18 kartach druku in 4-to (kartach, nie stronicach). Dostało się w niej za swoje nieużytym bogaczom, egoistom, próżniakom, kłamcom, pijakom — natomiast w pełnej i zresztą zupełnie zasłużonej chwale, ukazały się praca i cnota, znajdujące „dziwicielów i nawróceńców“.

„Co za chwała dla województwa krakowskiego — ciągnął dalej Przybylski — co za chwała dla zobowiązanej Królowi Dobremu prowincji, gdzie Obywatel Filantrop i Rządca nauk w Koronie, podał myśl dzielenia nagród między pracowników cnotliwych i znalazł w współobywatelach i współobywatelkach równie szlachetne umysły, jak czułe serca... Co za chwała dla obywatelów krakowskich, gdy odtąd dzienniki głosić będą Europie, że Król Dobry czczony był od nich nie przez pełne kielichy, nie przez zbytkowne obiady, lecz przez obchody uroczystości Filan-

tropów"... Wkońcu mówca zwracał się po kolei do każdego z wybranych, wymieniając, przez co nabyli prawa do nagrody...

Po ukończonej mowie trzy uproszone damy, będące członkami Związku: Potocka, Duninowa i Oraczewska „otworzyły kasę i odrachowały publicznie na stole 9 losów dla 9 osób", które Przybylski przywoływał do odbioru z rąk dam nagrody. Po 216 złotych otrzymały osoby „już zasłużone": rolnik, młynarz, pasiecznik, cieśla, pomocnica połogów i sukiennik, a po 108 złp. dwie młode cnotliwe prządki w fabryce sukiennej, które zachowywały się przykładnie, celowały w robotach i pouczały swe rówiennice użytecznej pracy"...

Następnie do nagrodzonych przemówił Oraczewski, wzywając ich, aby publicznie przyrzekli, że będą trwali w cnotach i będą innych odwracali swym przykładem od nałogów pijaństwa i próżnowania. „Każda z osobna osoba dawała mu rękę na zaręczenie przyrzeczenia".

W dalszym ciągu „autor projektu" zawiadomił, że w kasie „tegorocznej" Związku zostało jeszcze 22 czerwone złote, a że Związek „ma różne zamiary tyczące się dobra ludzkości", przeto doniósł o dwóch projektach w „zamyśle bardzo istotnych dla miasta". Oto zarząd diecezji chce wyprowadzić z miasta cmentarze, tak szkodliwe zdrowiu i „czeka tylko funduszu Przyjaciół Ludzkości na obmurowanie cmentarza generalnego w polu". Drugim projektem „chce się zatrudnić pełna cnót chrześcijańskich i obywatelskich J. Pani Starościna Olbromska", zebrała już bowiem „z własnego dochodu i z dołożenia się ks. Prymasa Poniatowskiego znaczną kwotę na ułatwienie ścieku tych brzydot z pośród miasta, które są przyczyną chorób i nieczystego powietrza w Krakowie". Prosił więc Oraczewski, aby członkowie Związku przeznaczyli pozostałą kwotę po połowie na te oba cele. Gdy nastąpiła zgoda, za-

kończył się „ten pierwszy obrządek, gdzie prawo równości natury, wrócone użytecznym ludziom, dało widzieć rolników pracowitych, siedzących obok z własnymi panami i industrją pierwszych potrzeb, pochwałą i nadgrodą zaszczyconą“. „Przystojność, okazałość i porządek tej uroczystości — pisze współczesna „Gazeta Warszawska“ — godne było pióra Przyjaciół Ludzkości i pendzla wiernych naśladowców najtkliwszych epok natury i społeczności“...

„Obrządek“ drugiego rozdawania nagród odbył się już zgodnie z projektem w d. 22. czerwca 1788. Ceremonjał był taki, jak za pierwszym razem. W opisie „Gazety Warszawskiej“ znajdujmy zaledwię parę drobnych, nowych, albo może tylko przeoczonych poprzednio szczegółów, jak np., że wybrani mieli przypięte do lewego boku bukiety z róż i innych ogrodowych kwiatków, lub że od portretu Dobrego Króla (nazwę tę stale już powtarzano) „spadała girlanda z kłosów, polnych kwiatów i liścia dębowego uwita, która trzymała dziewięć wieńców, oznaczających liczbę obraną do nagrody“. Główna różnica między pierwszym a drugim obrządkiem polegała na osobach. Mszę celebrował ks. prof. Idatte, mowę wygłosił Imć Pan Fijałkowski, „katedrę literatury w Akademji zastępujący“, pieniądze odrachowywał młody ks. Roman Sanguszko, uczeń Akademji [1]), a nagrody wręczała rektorowa Oraczewska. Otrzymało je dwóch rolników, żołnierz, ogrodnik, cieśla, posługacz chorych w szpitalu, stolarz, drukarz i uczeń szkół krakowskich. Żołnierz Gołowski służył przykładnie w regimencie od lat 2ś, bronił odważnie napadniętej Kasy publicznej, ocalił życie oficera i choć ranny „nie przestał jednak do ostatniego się odstrzeliwać“; polecił go jenerał Józef Wodzicki, późniejszy towarzysz Ko-

[1]) Syn Józefa, marsz. w. litewskiego i Anny Cetnerównej, w-dzianki poznańskiej.

ściuszki, poległy pod Szczekocinami. Drukarz Tomasz Patorski czterdzieści lat pracował w drukarniach krakowskich; bogobojny, trzeźwy, był uważany w mieście „za najdoskonalszego w tej sztuce“. Ale czemże mógł się zasłużyć Jan Mazurkiewicz, młodzieniec z Kozienic, na naukę chirurgji do Krakowa przysłany? Oto, gdy stojąc nad Wisłą, ujrzał na drugim jej austrjackim brzegu tonących dwóch synów obywatelskich, „rzucił się w rzekę, którą całą przebywszy, gdy pędem gwałtownej wody porwanych, a już na dnie Wisły osadzonych widzieć nie mógł, płynąc pod wodę pilnie ich szukał“, wreszcie przy pomocy Tomickiego, burgrabicza krakowskiego, również ucznia szkół krakowskich na brzeg polski wyciągnął i otrzeźwionych oddał życiu“.

Mowa Fijałkowskiego była krótsza od grudniowej Przybylskiego, ale też niezmiernie „pakowna“. Czego bo w niej nie było! Naprzód pochwały dla króla, potem traktat „o duchu gorliwości oświeconej względem własnego kraju“. Mówca przechodził rozmaite działy pracy publicznej i wzkazywał co ten „duch“ uczynić dla nich może. Wspominał o duchu Greków, Persów, Holendrów, Anglików, Szwedów, Szwajcarów. Były w tej mowie i Chiny, był Sully i Kolbert, „sławni w celu ekonomiki krajowej“. Ale po co szukać obcych przykładów? Przytaczał więc zasługi obywatelskie przyszłego Targowiczanina Szczęsnego Potockiego. Mowca przypominał Spartę, Koriolana, Sobieskiego, Chrzanowskiego, obrońcę Trembowli, jako przykłady cnoty obywatelskiej, miłości dobra publicznego, „które to czucie tak szlachetne i miłe jest duszą republikańskiego rządu, którego poddani w monarchjach mało co znają, a rządu despotycznego niewolnicy nigdy“.

Trzecia uroczystość rozdawnicza o takim samym programie odbyła się 21. czerwca 1788. Rozdawczyniami na-

gród były: 8-letnia Kasia Sołtykówna, stolnikówna sandomierska i „JPanna Wiktorja Puszetówna, starościanka zawichostka“, mająca lat 7. „Stosowną dyssertację“ czytał znów Jacek Przybylski, który, jak się sam wyraża, „dorysowywał obraz filantropa“ przez siebie przed półtora rokiem zaczęty. Nie obyło się oczywiście bez Kodrusa, Numy, Tytusa itd., ale znów przyznać należy Przybylskiemu, że przemawiał z serca, zwłaszcza gdy gromił egoizm. Ba, był nawet takim demokratą, że oddając pochwały jednemu z nagrodzonych, Wójtowiczowi, kmiotkowi z Bronowic, który własną pracą i zabiegliwością doszedł do znakomitych wyników w gospodarstwie, ośmielił się powiedzieć, że Wójtowicz w Chinach za swe cnoty i prace zostałby mandarynem I. klasy. Przy sposobności Przybylski podniósł zasługi tych, co stają w obronie ludu wiejskiego, wielbił Kołłątajowskie „Listy Anonyma“ i wymienił Oraczewskiego, który „w swoich radach (jako poseł) projektach i rządzie domowym pomimo wszelkie przeszkody, najwięcej dystyngwował zawsze rolnika, a którego projekt o Filantropji dopełnia sławy tego męża, już z wielu innych zalet powszechnie ugruntowanej“...

Pomiędzy nagrodzonymi znajdował się Marcin Oraczowicz, „dziadek“, przy kościele Marjackim „przytułek mający“. Nie jest on z tych dziadków — mówił Przybylski — „profesjonistów tułaczów, co całe życie się włócząc i jałmużny żebrząc, nic dla społeczności nie czynią... ale z klasy tych poczciwych emerytów w towarzystwie ludzkiem, którzy przepędziwszy wiek swój do lat zgrzybiałych na pracach chwalebnych i pożytecznych... mają prawo żywić się kosztem publiczności...“ Oraczowicz był pasamonikiem „zaszczyconym miejstwem krakowskiem“ — nie chcąc na starość próżnować, posługuje kościołowi“...

Marcin Oracewicz? Ależ to imię znane, można nawet powiedzieć historyczne. Wszak na szyi Rondla Bramy Flo-

rjańskiej umieszczono w naszych czasach tablicę z napisem: „Dnia 22-go czerwca 1768 roku Marcin Oracewicz, mieszczanin i pasamonik krakowski, strzałem z murów miasta zabił pułkownika rosyjskiego, skutkiem czego Rosjanie dnia tego od miasta odstąpili“. Wszak kiedy syna jego zapisano w poczet mieszczan krakowskich, dodano przytem, że był synem „pasamonika Marcina Oracewicza — patrjoty“. Wszak o tym Oracewiczu napisał dr. A. Chmiel osobną broszurę (I. tomik Bibljoteki krakowskiej). Biograf nie wie, kiedy Oracewicz umarł i przypuszcza, że koło r. 1780, bo w r. 1787 niema go już wymienionego w spisie majstrów pasamoniczych. Tak jest, nie było go w spisie, bo był już wówczas dziadkiem przy kościele. Zapomnieli o nim bracia-mieszczanie, dopiero przypomniał go im Związek Filantropów. W sprawozdaniu „Gaz. Warszawskiej“ czytamy: „Rozrzewnił wszystkich starzec sędziwy, mieszczanin krakowski, siwą brodą po pas opadającą, wspaniałe wyobrażenie weterana zasłużonego w społeczności, który póki mógł, pracował w rzemiośle, dziś przeszło lat 80 mający, nie chce jednak być nieużytecznym i kościelnej usługi w parafji pilnuje“. Właściwie więc nie był to dziadek, ale kościelny.

Zakończeniem trzeciej uroczystości Związku było oświadczenie Oraczewskiego, że kasa przeznacza nadto 12 czerw. złotych na honorarjum patronowi, który podejmie się prawnej obrony sierot, pozbawionych możności „windykowania majątków własnych z rąk łakomych uzurpatorów i przez to są w niemożności sposobienia się do użytecznego w społeczności życia bądź w rolnictwie, bądź w rzemiosłach, bądź w handlu“.

Jak widzimy, Związek filantropów nie poprzestawał na nagrodach cnoty i pracy, ale starał się i na innych polach nieść usługi społeczeństwu — dbał o sieroty, przyczyniał się do zdrowotności miasta. Gdyby się rozwinął,

gdyby za jego przykładem powstały podobne Związki w innych ogniskach życia społecznego, byłby krajowi pożytek, a jemu chwała. Niestety, jak wiemy, rządy Oraczewskiego w Akademji spotkały się z gwałtowną opozycją, na której czele stał Jan Śniadecki. Rektorat po Oraczewskim objął ks. Józef Tomasz Szabel, kanonik katedralny płocki, profesor wyroków wiary, wydawca od r. 1761 kalendarzy krakowskich „polskich i ruskich“, autor „Konjunktury astrologicznej generalnej z konstellacij asferyzmów“ (1767) i kilku łacińskich oracyj i dyssertacyj (De diligentia oratio, Dissertatio de natura luminarum etc.). Nowy rektor, pomimo, że należał do Związku Filantropów, nie postarał się o utrzymanie go przy życiu. Związek z Oraczewskim powstał, z Oraczewskim upadł.

Po części winien temu był sam Oraczewski przez niepraktyczne urządzenie Związku. Zamiast założyć Towarzystwo, mające stałych członków, on, o ile widzimy ze sprawozdań, co roku osobno zbierał składki, a raczej wzywał do ich składania na ręce Przybylskiego. Naiwnością trąci „Obwieszczenie“ z r. 1788, wyznające „ze skromnością“, że „jeszcze niema skutków nagród“, że „jeszcze próżniactwo, rozpusta i pijaństwo rażą oczy“, ale „nie trzeba rozpaczać o poprawie“ — a więc „przypomina się szczera chęć Filantropów *ponawiania* obrządku i że Imć Pan Przybylski podejmie się chętnie składkę odbierać“... A więc szło o *ponawianie*, a nie o stałe istnienie Związku. Czyż Oraczewski sądził, że dość będzie jeszcze kilku „obrządków“, a cały Kraków odrzeknie się próżniactwa, pijaństwa, rozpusty, wszelkich sprosności i nieczystości ciała i ducha?

Tę dorywczość stwierdzić można na spisach członków. Z 27 zapisanych w r. 1787 ubyło 6, a wśród nich obaj Sierakowscy, przybyło zaś 9, a między nimi Juljan Ursyn Niemcewicz, głośny poseł Linowski, hetmanowa Branicka,

siostra Stanisława Augusta i słynna z cnót starościna Lanckorońska. Jako członek zapisany jest i „Korpus garnizonu krakowskiego“. Z mowy Fijałkowskiego dowiadujemy się, że za przykładem jenerała Wodzickiego, szefa regimentu, „całe znakomite corpus officyerów“ do Związku przystąpiło.

W trzecim roku Związek liczył tylko 22 członków. Przybył tylko jeden, a więc ubyło 9. Zaprzysiężonej wiary Związkowi dotrzymywali jedynie profesorzy Akademji. Śniadeckiego między nimi nie było.

Jeden z tych profesorów pragnął utrwalić byt Związku, zapisując mu w swym testamencie kwotę na owe czasy wcale poważną. Był nim ks. Józef Bogucicki, który w r. 1787 podczas wizyty Stanisława Augusta w Akademji wygłosił rzecz „O Husie i Hieronimie z Pragi“. Wywołała ona niesłychane oburzenie wśród duchowieństwa. „Kto wie — pisze uczony Józef Muczkowski — czy Bogucicki nie uległby był losowi Husa..., gdyby nie wpływy rektora Oraczewskiego, a nadewszystko światło dostojnego dyecezji administratora“ (prymasa Poniatowskiego). „Oddaję — pisał Bogucicki w testamencie — w zupełne prawo i własność... sześćset czerwonych złotych filantropijnemu ustanowieniu. Chcę umierać z czułą wdzięcznością i z prawdziwem uwielbieniem cnotliwego i głęboko oświeconego człowieka i obywatela JW. Felixa Oroczewskiego, komisarza edukacyjnego, rządcy całego stanu akademickiego, autora tego tak pożytecznego związku. Niech cząstka mego pracowitego, a z ujmą moich własnych wygód i nawet niektórych rzetelnych potrzeb dopełnionego zbiorku, przyłoży się do uwiecznienia tak dobroczynnego ustanowienia w ojczyźnie mojej, której zawsze byłem gorącym miłośnikiem, a nad której nieszczęśliwością i niedolą w sercu mojem tkliwie ubolewałem“. Opiekunką swego testamentu obrał Bogucicki Komisję Edukacyjną. Upraszał ją „przez

wszystkie najświętsze obowiązki", aby powagą i wziętością swoją w narodzie dopilnowała jego zapisów, „aby majątek — mój — pisał — na który trzydzieści lat krwawym robiłem potem, na łup sępów, obce dobro szarpiących i cudzą pracą żyjących nie poszedł"...

Bogucicki, „mąż głębokiej nauki" (słowa Muczkowskiego) budzący podziw w Kołłątaju wiedzą, zdolnościami, pięknym wykładem i językiem, oraz świetnem władaniem łaciną, umarł w r. 1798, a więc w 9 lat po upadku Związku Filantropów. Testamentu nie zmienił, a owe 600 cz. zł. przez wiele lat były przedmiotem korespondencji różnych władz. Odzyskał je wreszcie w r. 1844 Senat Rzeczypospolitej Krakowskiej i miał je użyć tak, aby odpowiedziały celom fundatora, — ale w r. 1846 padła Rzeczpospolita, a co się stało z zapisem Bogucickiego, nie wiadomo.

1923.

NAPOLEON W RYMACH POLSKICH

OD 1806—1812.

Sława genjalnego wodza republikańskiej Francji, a potem pierwszego jej konsula, przedzierała się wprawdzie przez granice porozbiorowej Polski, ale nie mogła na jej ziemiach znaleźć echa w pieśni i wogóle w literaturze. Czujne oko trzech ojcowskich rządów nie dopuściłoby do okazania choćby najlżejszej sympatji Bonapartemu i republice francuskiej, zwłaszcza, gdy Dąbrowski, „jenerał lejtnant Rzeczpospolitej polskiej“ wydał 1 Pluviose (20. stycznia 1797 r.) odezwę do Polaków, aby formowali legjony polskie we Włoszech i bili się za „sprawę wspólną wszystkich narodów, za wolność pol walecznym Bonapartym, zwycięzcą Włoch“ — podkreślając zarazem w swej odezwie, że „tryumfy Rzplitej Francuskiej są naszą nadzieją jedyną“, że może przy jej pomocy zobaczymy jeszcze domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili“.

I właśnie wśród tych legjonów, pierwszy raz nazwisko Bonapartego zapisała pieśń polska i to pieśń nie byle jaka, bo ta, która się stała hymnem narodowym, wyznaniem wiary patrjotów, pieśń przez lat 120 krzepiąca serca nadzieją, budząca zapał wśród młodzieży, wyciskająca łzy z oczu starców. Druga zwrotka „Śpiewu legjonistów“ brzmiała:

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami:

Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy...
Marsz, marsz Dąbrowski i t. d.

W trzy lata później Kajetan Koźmian napisał „Odę na wojnę w roku 1800 ukończoną batalją pod Marengo". W tych rymach późniejszy wódz ostatnich klasyków porównywał konsula Bonapartego z Jowiszem, który zgniótł dumne karki Tytanów. Ale oto i wszystko w całem prawie dziesięcioleciu pierwszych nadziei, przywiązanych do „tryumfów Rzeczypospolitej francuskiej". Niesłusznem bowiem wydaje mi się zaliczanie „poezji legionów" do poezji napoleońskiej, utwory te albowiem, jak n. p. Antoniego Goreckiego "Zdobycie wąwozu pod Samo-Sierra", lub Kantorberego Tymowskiego „Dumanie żołnierza polskiego w starożytnym zamku Maurów nad Tagiem", albo powstały znacznie później (w Dumaniu niema nawet wzmianki o Napoleonie), albo też, choć napisane w owem dziesięcioleciu, zajmują się jedynie losem legjonów. Co więcej, Cyprjan Godebski, legjonista, który zginął później bohatersko pod Raszynem, pisząc swój „Wiersz do legiów polskich" (Warszawa 1803 r.), poprzedza go uwagą: „Prawda, że ich ofiara nie sprawiła innej rodakom korzyści nad chwałę — ale naród, coby był na ten upominek nieczuły, nie jest godzien, żeby się nad jego litowano nieszczęściem" — a potem w samym „Wierszu" zwraca się do Francuzów z pełną goryczy apostrofą, wywołaną zatraceniem legjonów na San Domingo i przybraniem ich w obce mundury:

Narodzie niewdzięczny, takaż twa wypłata,
Byś na rzeź słał przyjaciół wśród obcego świata,
Nadzieję matek zmieniał na rozpacz i trwogę?
Takąż nam do ojczyzny ukazałeś drogę?

Chcąc szukać pochodzących z tych czasów rymów napoleońskich, trzebaby się chyba zwrócić do starych szpargałów rękopiśmiennych i wyciągać z nich niedrukowane i nieudatne wierszydła, które zapewne rozchodziły się drogą odpisów, ale nie przynosiły zaszczytu Muzie narodoyej. Jeden z takich wierszy, napisany, jak widać z treści, w roku 1805, a więc już za cesarstwa, przechowany w archiwach Akademji Umiejętności (rks. 1770), wyszedł z pod pióra jakiegoś J. Z., może Zglińskiego, bo z nazwiskiem tem spotkamy się później, przeglądając naszą „poezję Napoleońską". Autor wielbił „cuda rzadkie w dziewiętnastym wieku, znajdując wzór walecznych w jednym człeku — w Bonaparte Francuzie". Dawne „hetmany" najeżdżali narody bez przyczyny i prawa — Francja natomiast ustala prawa świata. Gdy europejskie mocarstwa i Pany zmówiły się do zwalenia tego wolnego narodu, Bonaparte ich pogromił. Autor wylicza jego zwycięstwa i podnosi dążenie do wydarcia monopolu handlu morskiego z rąk Anglji, która sama tylko chce skarby morza... łykać.

Aż nadeszła wreszcie chwila, kiedy „bóg wojny... ciskając grom po gromie w Piramidy, w Tabor, w Marengo, w Ulm, w Austerlitz", rzucił pod Jeną Prusy pod swe zwycięskie stopy i wezwał Dąbrowskiego do tworzenia armji polskiej. Na jej czele, jak wiadomo, Napoleon pragnął postawić Kościuszkę, ale zanim spotkał się z jego odmową, już Dąbrowski z Wybickim w proklamacji z dnia 3. listopada 1808, zapowiadali przybycie Kościuszki. Na wieść tę nieznany autor napisał i wydrukował „Do Szanownego Naczelnika polskiego Tadeusza Kościuszki w Poznaniu d. 23. mies. listopada — wiersz". W wierszu tym odzywał się do Kościuszki:

Mężu szanowny wracasz do narodu,
Wsparty ramieniem dziś Napoleona,
Przyjmij uczucia radosne z dowodu
Czci tej ojczyzny, z której wyszedł łona.
Teraz ci będzie słodszy dym [1]) ojczysty,
Gdy nim odetchnie duch Polaków czysty.

W przypisku wierszem o Napoleonie autor wołał:

Wielki cesarz niechaj żyje.

Wkrótce, bo dnia 27. listopada, cesarz Francuzów wkroczył triumfalnie do Poznania i przyjmował deputację polską. Do zajętej w tymże czasie (28. listop.) przez Murata Warszawy, przybył Napoleon 18. grudnia i organizował rząd polski. Była to chwila niezapomnianego entuzjazmu — zdawały się sprawdzać nadzieje, wyrażone w odezwie legjonowej. Pod wpływem wypadków, 20-letni Franciszek Wężyk, późniejszy dramaturg, autor „Okolic Krakowa“, prezes i mecenas Krakowskiego Tow. Przyjaciół Nauk, napisał w grudniu 1806 gorącą „Odę do Polaków“. Pisał w niej jak

...w zacieku szaleństwa Prus się rozjunaczył,
Zdaje się, że z olbrzymią występuje siłą,
Przyszedł Wielki Napoleon, a skoro zobaczył —
Już go nie było.

Wężyk nawoływał do broni, do odbudowania ojczyzny:

Polacy! jak Bóg szczęście siejący dokoła
Napoleon na waszej objawia się ziemi,
Jak ojciec na swe dzieci, tak on na was woła:
Bądźcie wolnemi!

„Kolęda na rok 1807“, umieszczona w n-rze 1. „Gazety

[1]) Może omyłka druku zamiast: dom.

Warszawskiej“, z podpisem M. (niezawodnie Molski), „przeglądając wypadki roku zeszłego“ głosiła:

Pamiętny dla nas rok w dziejach świata,
Niech odtąd będzie święcony;
Przy jego zgonie ożył Sarmata,
Znaleźli grób swój Teutony.

. . . . . .

Mocarstwo z cudzych krain wzniesione,
Stuletnich przewrotów dzieło,
Napoleona palcem strącone,
Z posady ziemskiej zniknęło.

Niech sobie w licznych obozach cara
Pomyślniejsze wróżą końce, —
Za jedne grzechy taż sama kara,
Czeka podobne obrońce.

Wspominając dalej o wyparciu „dzikiej hordy z łożyska Narwy“, tak zamykał autor swą kolędę:

W takim do końca grudnia szły toku
Wojennych zdarzeń koleje,
Rodacy! Oby początek roku
Dał więcej, niźli nadzieje!

Nadziejom tym najgłośniejszy wyraz dawał warszawski teatr narodowy Bogusławskiego. Zapowiedziano, że 14. stycznia Napoleon zaszczyci go swą obecnością, więc Ludwik Osiński, profesor literatury, sekretarz Tow. Przyjaciół Nauk, napisał na gwałt, podobno w ciągu 24 godzin, drama liryczne w jednym akcie p. t. „Perseusz i Andromeda“, do którego muzykę dorobił słynny kompozytor, Józef Elsner[1]). Osiński przerobił i zastosował do

[1]) „Drama“ to wyszło na dzień przedstawienia z przekładem francuskim dla użytku Napoleona p. t. Andromede drame lyriqué i t. d. — „Andromeda, drama liryczne“ (Warszawa 1807).

chwili baśń mitologiczną o królewnie Andromedzie, przykutej do skały, którą z woli Neptuna, ulegającego zazdroszczącym jej piękności Nereidom, byłaby oddana na pożarcie potworowi morskiemu, gdyby jej nie wybawił Perseusz, powracający ze zwycięstwa odniesionego nad Meduzą.

W pierwszej scenie Polidemon, dawny wódz wojsk syryjskich, opowiada jak Neptun żąda ofiar z dziewic i jak Syrja, utraciwszy niepodległość, upada pod jarzmem zaborcy, króla Traków Fineusza.

Barbarzyniec na tronie rozkazy wydaje,
Obce narzuca nam prawa,
Wydziera język, cnoty, obyczaje,
I krwią się naszą napawa.
Coraz się większe nieszczęścia gromadzą,
Trzy połączone jędze napastują ziemię...

Andromeda, „ostatnie królów naszych plemię", jęczy pod srogą władzą Fineusza, który domaga się jej ręki, ale (pociesza Polidemon Andromedę) „żyje Perseusz, mściciel uciśnionej ziemi".

Perseusz miły niebiosom,
Czcigodne Jowisza plemię,
Co wojnę niesie tyranom
I z zbrodni oczyszcza ziemię.

„Droga nadziejo" — woła Andromeda, na co Polidemon odpowiada:

Ta nas nie omyli,
Kto wie, może i w tej chwili
Niesie nam pomoc żądaną,
Niechaj waleczne szyki powstaną...

W scenie drugiej Fineusz natarczywie prosi Andromedę o rękę; jeżeli nie odda jej dobrowolnie, to ją przymusi, ale Andromeda „kajdany przekłada nad hańbę".

W scenie trzeciej Polidemon przybiega z wieścią, że Neptun wymaga strasznej ofiary oddania Andromedy potworowi. Fineusz powtarza swe żądanie Andromedzie, zapewniając ją, że jeżeli się zgodzi, to żyć będzie. Odrzucony, wydaje rozkaz okuć Andromedę w kajdany i wydać ją „straszydłu". Lud oburzony powstaje, Polidemon obejmuje dowództwo. Walka się toczy.

W scenie siódmej Licetus donosi Fideuszowi:

Rycerz przybiegł nieznany wśród pobojowiska,
Podobny b o g u w o j n y, śmierć na jego czole,
Ręka jego jak piorun zgubne razy ciska...
Całe już trupem okryte pole...
N a r ó d g o s w y m z b a w c ą m n i e m a.

W scenie IX djalog między Polidemonem i Andromedą:

Polidemon: Ciesz się królewno, wygrała ojczyzna,
Andromeda: Ach! któryż z bogów tę nam pomoc zjawił?
Polidemon: Perseusz przyszedł, spojrzał i wybawił.
Andromeda: A wojska Fineusza — owe bitne szyki,
Polidemon: N a w i d o k w o l n y c h, n i k n ą n i e w o l-
[n i k i.

W scenie X. i ostatniej, Perseusz poszukuje Andromedy, która biegnie ku niemu.

Andromeda: Drogi wybawco!
Perseusz: P r z e m o c w a s z g n ę b i ć c h c i a ł a, lecz
[gdzie ja przebywam
Tam w o l n o ś ć n i o s ę i kajdany zrywam.

Zrywa kajdany Andromedy, która woła:

Ach! panie! któżby tyle trudów ci nagrodził?

na co Perseusz odpowiada:

Dość mam nagrody, kiedym dzielnych oswobodził.

Widowisko zakończył „stosowny balet“ i „transparent“ z odśpiewaniem kantaty. Na transparencie znajdowało się popiersie Napoleona, nad którem unosił się genjusz sławy — u spodu popiersia orzeł francuski rzucał pioruny. Poniżej z jednej strony Polska w postaci niewiasty, klęczała z podniesionemi ku „wybawcy“ rękami; z ust jej wychodziły słowa: *Spes in Te* (nadzieja w Tobie); wokoło leżały potrzaskane herby Polski i Litwy. Z drugiej strony pod popiersiem genjusz odwalał grobowy kamień, z pod którego wychodził rycerz polski w zbroi; na grobowcu był napis: *resurgam* (zmartwychwstaję). Między Polską a genjuszem, wznosił się ołtarz ofiarny. „Wynalazek“ tego „malowania“ był dziełem „znanego oddawna z swego kunsztu, p. Plessa, „z przyłączeniem się p. Woyniakowskiego“.

Kantatę rozpoczynało recitativo:

Tak Polska z losów kolei
Z gruzów swoich ożywiona,
Ujrzała cel swych nadziei:
Wielkiego Napoleona.

Następnie Wojciech Bogusławski, który grał rolę Polidemona (Andromedę grała Dmuszewska), wygłosił:

Jego tchnieniem owiane wstrzęsły się mogiły,
Nowym życiem zdumiony, rycerz z grobu wstaje,
Z szablą Chrobrych, której spoczynek niemiły,
Wydarte sobie wskazuje kraje.

Później jeden z artystów opery zaśpiewał „solo“:

Mąż wielki zrządził tę zmianę,
Zdumiewa się ziemia cała —

Ledwie opuścił Sekwanę,
Już go zwycięzcą Wisła ujrzała.

Kończył kantatę duet („dwa głosy“):

On krokami olbrzymiemi
Dziwił świat odgłosem męstwa,
I wnet na biegunie ziemi
Zatknie chorągiew zwycięstwa.

Napoleona jednak na przedstawieniu nie było. Dopiero 18. stycznia, na drugiej „reprezentacji“ „Perseusza i Andromedy“, ukazał się w loży wspaniale, tak jak cały teatr, przystrojonej. Towarzyszyli mu książęta Bergu, Benewentu i Neufchatelu. Przyjęto go entuzjastycznie. Kłaniał się uprzejmie, aż wkońcu dał znak damom, aby usiadły. Miał w ręku przekład „dramy“ — objaśnień udzielał mu Aleksander Sapieha, „czyniący służbę szambelana“. Okazywał „wielką wesołość i ukontentowanie“.

Zatrzymałem się dłużej nad „Perseuszem i Andromedą“, aby dać wyobrażenie o sztukach „ad hoc“ wówczas pisanych i o tem, jak się odbywały za tych dni pamiętnych, uroczyste przedstawienia.

W trzy miesiące później (17. kwietnia) odegrano tragedję Wężyka „Wanda“. W końcu jej 5. aktu, wojewoda Starża przytaczał proroctwo Lecha o potędze, sławie, a wreszcie upadku Polski. Ale przyjdzie czas (brzmiało proroctwo) kiedy upadła powstanie. Bóg powoła bohatera, który „w mgnieniu oka innych sławą przewyższy“. Zstąpi on i na naszą ziemię:

Skoro tylko wyrzeknie, a za tym rozkazem
Natychmiast wojowników powstają tysiące,
Przywdzieje znowu Polak swe zbroje błyszczące
I pójdzie za ojczyznę pod jej zbawcy okiem...

W rocznicę 3. maja odbyło się poświęcenie orłów polskich. Wspaniała ta uroczystość, na której Woronicz wygłosił podniosłe kazanie, zakończyła się przedstawieniem „Perseusza i Andromedy“ i kantatą, wśród której ukazał się na scenie wznoszący się orzeł biały. Kantata wzywała do boju:

Kto dźwignąć oręż jest zdolny,
Kto się nazywa Polakiem
Powstań, biegnij, ludu wolny,
Walczyć pod tym świętym znakiem.

Wielki Napoleon z nami,
Bóg nas ma pod swoją strażą,
Idźmy za tymi orłami,
One nam drogę pokażą.

Lud warszawski biegł sypać szańce na Pradze, więc Ludwik Dmuszewski, aktor i autor dramatyczny, późniejszy redaktor „Kurjera Warszawskiego“, wystawił 14. czerwca komedjo-operę w 1 akcie „na prędce“ p. t.: „Okopy na Pradze“. Opera była pełna piosnek okolicznościowych — a kiedy oficer zaśpiewał: „I Boga mamy za nami i Napoleona“, słuchaczy „na wspomnienie wielkiego imienia“ taki ogarnął zapał, że śpiewak kilkakrotnie kuplet musiał powtarzać. Tenże Dmuszewski już przedtem (1. maja) wystawił okolicznościową komedjo-operę „Pospolite ruszenie“.

Niestety, pokój tylżycki nie przyniósł oczekiwanej Polski, a utworzył tylko Księstwo Warszawskie, będące niejako posterunkiem wojskowym francuskim na ziemi, oswobodzonej z pod zaboru pruskiego. Nastąpiło rozczarowanie. Nie tego spodziewano się po Napoleonie. Nawet imienia Polski na karcie Europy nie wskrzeszono. Ale *nil desperandum!* wołał największy polski statysta. Optymi-

ści widzieli w Księstwie Warszawskiem jedynie zadatek, pierwszy etap na drodze do odbudowania ojczyzny. Jeden z zaborców bądź co bądź pokonany, a choć nie „zniknął z posady ziemskiej“, jak się zdawało „Kolędzie“ Molskiego, to jednak przestał być straszny, został ubezwładniony. Wierzono, że przyjdzie kolej na innych. Bądź co bądź, ów „zadatek“ Polski, choć mały, posiadał swój rząd, swe wojsko, swą konstytucję, swego monarchę z tej krwi, którą „Ustawa majowa“ na tron powołała. Więc optymiści radowali się i z tego, co się stało, a który z nich umiał składać rymy, uspokajał niemi rozżalonych.

Właśnie w tym czasie (w początku listopada) powrócił do Warszawy z Ameryki, nieodstępny towarzysz Kościuszki, Niemcewicz. I on należał do optymistów, albo też podzielając Kołłątajowskie *Nil desperandum*, czuł potrzebę budzenia nadziei. Zaraz też napisał bajkę p. t.: „Iskra“. Poeta wyczytał w starych kronikach z czasów Popiela, że nad Gopłem stała świątynia, która skutkiem niedbalstwa jej kapłanów, padła w gruzy — „zgasły jej ogniowe płomienie“. Ale przybył w te okolice

„Mąż, co Cezara przeszedł swemi czyny
I świat napełnił chwały swej rozgłosem,
Ciągnąc z rycerstwem przez owe krainy,
Ulitował się nad nieszczęsnych losem.

Wszedł więc do świątyni, „pod ciosem jego bułata iskra błyszcząca wypada“, a on ją podnosi, kładzie do ogniska:

Oto — rzecze — jest iskra drogiej wam istoty;
Mała, słaba i jeszcze z życiem się pasuje,
I najczulszych starań potrzebuje...
Umiejcie czystym podsycić ją duchem,

Za waszą sprawą i mojem ramieniem,
Ta iskra z czasem stanie się płomieniem,
Długo żądane uiści nadzieje,
I dawnym blaskiem, znowu zajaśnieje.

Inna bajka Niemcewicza, „Gałązka“, znalazła swego bezimiennego kontynuatora. Niemcewicz opisywał, jak straszna burza z grzmotami i piorunami obaliła dąb okazały, na którym orzeł biały obrał swe siedlisko — orzeł upadł bez życia na ziemię, a z dębu oderwane gałązki rozleciały się w różne świata strony. Jedna z nich upadła „na dalekiej, zbyt dalekiej ziemi“, przyjęła się, ale pomna na swe dawne losy, czuła się samotną, choć w towarzystwie przyjaciela; traciła listek po listku, aż wreszcie uschła i „krzewu swego popioły z obcemi miesza żywioły“. Bezimienny kontynuator opowiadał, że znalazł się bohater, który ożywił dąb pogruchotany:

Wsparł go drzewem swej ziemi, sokom dodał mocy.
Gardzą teraz dąb z orłem szturmami północy.
Znikąd im nie zaszkodzą pioruny i grzmoty,
Kiedy białego orła wspiera orzeł złoty.

Pozatem poezja okolicznościowa wraz z teatrem, zwróciła się głównie ku „królowi“ Fryderykowi Augustowi, przybyłemu w listopadzie do swej drugiej stolicy. Oczywiście i w tych „poezjach“ imię Napoleona wspominane było. Uroczysty obchód rocznicy jego koronacji, wywołał nowe kuplety.

Nie zapomniano i o jego małżonce. W dzień imienin Józefiny, urządzono wspaniały festyn w Warszawie. W rękopisie 620 Akademji Umiejętności przechował się „Wiersz w dzień imienin Najjaśniejszej Cesarzowej Francuzów“. Nieznany poeta zaznaczał, że „do radości Paryża łączy się wdzięczna Warszawa“.

Teraz bracia nieść potrzeba
Czułej wdzięczności daniny,
I dobre uwielbiać nieba,
W chwale wielkiej Józefiny.
Godna największego męża,
Bóg równie obojgu sprzyja —
Ten hardych królów zwycięża,
Ta serca ludów podbija.

Zakończenie tego wiersza opiewało chwałę, potęgę i czyny wielkiego Napoleona.

Wężyk napisał Odę z powodu rocznicy traktatu, zawartego 11. grudnia 1806 r. w Poznaniu między Napoleonem a Fryderykiem Augustem, który na mocy tego traktatu został księciem warszawskim. Rocznicę tę obchodził i teatr warszawski. Do „Frozyny“, granej 11. grudnia, Jakób Adamczewski, regent kancelarji Rady Stanu, dorobił kuplety, odśpiewane przez Frozynę, Damona z „Frozyny“, sułtana Wampana, króla Nigrytów z „Palmiry“ i Stacha z „Krakowiaków i Górali“. Damon z Frozyną śpiewali:

Mądry twórca wszystkich rzeczy
By podźwignąć ród człowieczy,
Z wszechmocności swego łona,
Dał światu Napoleona.

Ginęła ziemia w rozpuście,
On okazał na jej tronie,
Że co świat w Napoleonie,
Polacy mają w Auguście.

Sama Frozyna śpiewała o tem, jak Mars francuski ożywił skrępowanego Polaka i oddawała hołd hufcom polskim:

Waleczna polska młodzieży,
Nic twego męstwa nie studzi,
Nikt cię w boju nie ubieży,
Przyznał to największy z ludzi.

W roku 1808 poezja napoleońska nieco przycichła. Z autorów pierwszej klasy wystąpił jedynie Osiński z „Pieśnią odjazdu dla wychodzącej z Warszawy gwardji cesarskiej".

Z teatrów „trzymanie ręki na pulsie chwili bieżącej", przypadło w udziale scenie kaliskiej. Wybudował ją Bogusławski dla swej trupy warszawskiej i zjechał z nią na lato nad Prosnę. W departamencie kaliskim był rozłożony na kwaterach legjon 2-gi wojska polskiego pod wodzą Zajączka. Właśnie w tym czasie 7 p. piechoty z polecenia Napoleona wymaszerował z Kalisza na zachód, z powodu rozpoczętej wojny hiszpańskiej. Niezadługo karty waleczności polskiej miały ozdobić Samosierra i Saragossa. Wystawiono więc w Kaliszu 3. sierpnia komedjo-operę: „Pożegnanie czyli marsz wojowników", zakończoną „piosnkami".

Zaraz potem wzięła scena kaliska udział w uroczystym obchodzie imienin Napoleona (15. sierpnia). Legjon 2-gi uczcił ten dzień położeniem fundamentu pod monument „Wielkiego Napoleona", w pobliżu którego znajdowały się dwa domy dla inwalidów. W teatrze wystawiono „stosowną komedję" p. t.: „Uroczystość Wielkiego Napoleona czyli Powrót z niewoli". Oto jej współczesne streszczenie w „Gazecie Warszawskiej": „Swobodzki, towarzysz z powstania sieradzkiego, powróciwszy okryty ranami z niewoli rosyjskiej, znalazł w gościnnym domu obywatelskim pod Kaliszem żonę swoją i dzieci w ubóstwie. Przybył właśnie w tej chwili, kiedy legjon 2-gi obchodził uroczystość „założenia" pomnika. Za staraniem sierżanta

Dobryki, kochającego się w jego córce i któremu przyniósł list pomyślny od stryja, Swobodzki otrzymał pomieszkanie w jednym z owych przytułków, dla inwalidów przeznaczonych".

Po odegraniu komedji, ukazał się na scenie transparent z popiersiem Napoleona, uwieńczonem przez genjusza sławy i otoczonem „znakami" Marsa i Minerwy. Odśpiewano kuplety z opery Dmuszewskiego „Okopy na Pradze", oraz nowe piosnki na nutę: „Wanda leży w naszej ziemi", wykonane, zdaje się, przez osoby występujące w komedji, a mianowicie kapitana, sierżanta Odważnickiego, Jerzego obywatela, Marję, której kochanek grenadjer, wychodził z wojskiem, gospodynię Martę, Jonka parobka, Mośka liweranta, Bombę sapera i Podkomorzego. Piosnki te różnią się od innych ówczesnych napoleońskich kupletów tem, że niektóre z nich uderzały w ton weselszy. Kapitan szedł tam, gdzie go wzywał „opiekun wspaniały" i spodziewał się znaleźć „braci nad Sekwaną". Odważnicki żegnał Kaliszanki i wzywał je do zbierania wawrzynów i wianków:

Wszak będziecie uwielbiały
Nasz powrót radosny,
Gdy zwycięski orzeł biały,
Wróci nad brzeg Prosny.

Marta gospodyni jako niewiasta praktyczna, odzywała się do kobiet:

Dalejże wy, panie matki,
I wy też, dziewczęta,
Pakujcie w żołnierskie manatki,
Placki i kurczęta.

Parobek Jonek, widząc odchodzące wojsko, uczuł ochotę wstąpienia do szeregów narodowych:

Pono i ja na wojenkę
Cy się nie pokusę,
Wcisnę na łeb furazerkę
I za nimi rusę.
Niechaj se lezą pod puchem
Pany i próżniacy.
Ja sobie wolę być zuchem
Jak wej ci rodacy.

Ba! i Mosiek odnalazł w sobie żyłkę do żołnierki:

Panicz pójdzie pod karabin,
Żyd nie będzie frantem,
Niewiele dziś znaczy rabin —
Wolę być sierżantem.

Saper Bomba zapewniał, że gdyby rusznicę postradał, to jeszcze toporem stu wrogów powali:

A gdy przyjdzie bić Anglików,
Przysięgam na duszę,
Że tych morskich rozbójników,
Fartuchem zaduszę.

Wystawiona w Kaliszu komedja, była później „reprezentowana w Warszawie 2. grudnia 1808 r. w rocznicę koronacji Napoleona, jako „nowe dramma oryginalnie napisane“ w 2 aktach, pod zmienionym w części tytułem: „Rocznica Wielkiego Napoleona czyli Powrót z niewoli“. „Wszystkie w tej sztuce wspomnienia o Zbawcu (tak) naszym — zapewniał sprawozdawca „Gazety Warszawskiej“ — najżywsze wzbudziły oklaski, a mianowicie piosnki na końcu śpiewane“. Ale nie były to już piosnki kaliskie. Uroczysty nastrój obchodu nie pozwalał na żartobliwe kuplety. Więc też mając na myśli rocznicę koronacji, śpiewano:

...Dzień święty, dzień pełen chluby,
Tyś wzniósł wielkiego człowieka,
Którego dzielna opieka
Z wiecznej nas wyrwała zguby...

Dziś znów w narodów rzędzie,
Świetne znaczenie mieć będzie,
Ojczyzna nasza wrócona,
Potęgą Napoleona... i t. d.

Z niedołężnego streszczenia przez „Gazetę Warszawską“, komedji „Powrót z niewoli“, trudno wyrobić sobie zdanie o wartości tego utworu okolicznościowego. A szkoda, wielka szkoda, że nic o nim więcej nie wiemy, bo autorem jego był człowiek, którego imię ze czcią do dziś dnia wymawiamy, a którego bohaterska śmierć pod Raszynem wywołała żal głęboki w całej Polsce i przeszła na karty historji. Mowa tu o pułkowniku Cyprjanie Godebskim, szlachetnym, nieustraszonym i walecznym żołnierzu. Jako poeta, nie był zapewne Godebski orłem, ale już jego „Wiersz do legjonów“ dowodzi, że śmiało mógł wytrzymać porównanie z ówczesnymi arystarchami, bo mimo formy pseudoklasycznej, było w tym utworze wiele uczucia i wiele zapału, którego nie dostawało Osińskim i Koźmianom. Jako prozaik, odznaczał się darem obserwacji i opowiadania — posiadał niepoślednie zdolności literackie, wspomagane wykształceniem. O „Powrocie z niewoli“ nie wspominają nic jego biografowie, milczy też o niej bibljografja. Niema też jej w ogólnym zbiorze pism Godebskiego, zebranych i wydanych przez Szaniawskiego („Dzieła wierszem i prozą“, Warszawa 1821 r.). Prawdopodobnie za „niepodległego“ Królestwa Polskiego była to komedja niecenzuralna, a może rękopis jej zaginął w archiwach teatru narodowego.

II.

Druga, wznowiona serja „rymów napoleońskich“, przypadła na rok 1809. Był to rok Raszyna, wypędzenia Austrjaków z Galicji, zajęcia Krakowa przez księcia Józefa i pokoju schönbruńskiego, który powiększył Księstwo Warszawskie „Nową Galicją“ z Krakowem (trzeci rozbiór) i cyrkułem zamojskim z pierwszego zaboru austrjackiego. Księstwo Warszawskie stało się już państwem dość sporem, równem obszarem i ludnością państwu pruskiemu. Polska rosła, a z nią rosły i nadzieje. Nie brak było zatem powodu do radości i tematu do rymów.

Powiększyła się liczba poetów. Do wymienionych poprzednio przybyli: Brodziński Kazimierz, Jędrzej Świderski, Dyonizy Lanckoroński, Antoni Wybranowski, oraz podpisujący się pierwszemi literami imion i nazwisk: F. N. J. — H. Z. — J. K. — S. P. i t. d.

Palmy pierwszeństwa nie dali jednak sobie wydrzeć Kajetan Koźmian i Franciszek Wężyk.

Z tych czasów pochodzą dwie najlepsze Ody Koźmiana: Oda na zawieszenie orłów francuskich w Lublinie“ i „Oda na pokój 1809“. Dzięki im głównie stał się Koźmian znanym i popularnym poetą. Na wartość tych utworów wpłynęły i osobiste uczucia Koźmiana, który jako obywatel lubelski, a więc województwa oswobodzonego z pod jarzma austrjackiego, miał tem więcej powodów do wyrażania swej radości. Oto początek „Ody na zawieszenie orłów“:

Drżyjcie ludy wiarołomne,
Drżyj rodzie Ulissa nowy!
Gdzież są zastępy ogromne,
Co światu niosły okowy?

Zaledwie nikczemne zgraje
Nachodzą sąsiedzkie kraje,
Zahrzmiały ich krwawym zgonem
Brzegi Dunaju i Wisły.
Co za szalone pomysły
Chcieć walczyć z Napoleonem!

Chcecie się bronić zdradą, fanatyzmem, ale próżne nadzieje. Pogromca spada

Jak ów Jowisz, co na niebie
Niema władcy, tylko siebie:
Kiedy się gniewem zapali
Za zwrotem jego źrenice
Huczą burze, nawałnice,
Ziemia jęczy, świat się wali.

Dumny Wiedeń gnie kolana — mocarz Germanów tułaczem. Jedynie Dunaj nagłem wezbraniem zwycięskie trzyma szeregi

Ale próżno boje wszczyna,
Szumi, wre, pieni się, wspina;
Ta sama moc niepojęta,
Przed którą drży świat w pokorze,
Dumną rzekę wpycha w łoże
I już cicho nosi pęta.

. . . . . .

Patrzcie, lecą hufce chyże,
Błyszczą miecze, ryczą spiże,
Wszystko się w gruzy zamienia
Chwała Ci, Największy z ludzi,
Jak Cię szczęście świata trudzi,
Już zbrodnia niema schronienia!

Poeta następnie zwraca się do Polaków, których żadna moc nie przełamie, choć ich „granica rozdziela“. Odparli

napaść Austrjaków „świeże ucznie szkoły“ Napoleona, pokazali pod Raszynem, „że się mężnych nie pokona“. Oto są „cuda zapału“ płonącego w piersiach wodza, ks. Józefa.

Wkrótce ujrzą Jagiellony
Potomków i tron zemszczony,
Ludy zniszczoną niewolę;
A jeśli doświadczyć broni
Duma nieprzyjaciół skłoni,
Świat ujrzy nowe Psie Pole.

Wodzu! godny większej sławy
Postępuj za świetnym celem,
I na równinach Morawy,
Złącz się z naszym Zbawicielem.
A gdy wpośród mężnych szyków
Ujrzy naszych ochotników,
Okaż mu ich chlubne blizny,
Niech za krew, która się leje,
Uiści nasze nadzieje
Powrotem lubej Ojczyzny.

„Dzień zawieszenia orłów złotych w kraju przezwanym Galicją“ opiewał prócz Koźmiana i Antoni Wybranowski, obywatel województwa lubelskiego, autor wydanego później zbiorku „Wiersze różne“ (Lublin, 1817). Wybranowski „cieszył się, że orzeł biały wygnał czarnych orłów plemię i że orzeł złoty siada na sztandar polskich wojowników... i zleci na ziemię i stanie wśród szyków“

Kiedy go będą blisko siebie miały
Poznają, że im przyszłość zawsze sprzyja,
I że nie zmienił farby orzeł biały,
Słońce się tylko o niego odbija.

W drugiej Odzie Koźmiana „na zawarcie pokoju r. 1809“, której pierwsze trzy strofki według Tarnowskiego „uchodzić mogą za doskonałość w klasycznym rodzaju“, poeta widzi „zwycięzcę na tronie, podnoszącego księgę wyroków“

Co przyrzekł światu i sobie,
Zmieszawszy piekielne rady,
Zakreśla mieczem po globie
Krajom i ludom posady.
Rozkazał górom i wodom
Stać się granicą narodów,
Znikłe stwarza, harde maże,
Ludy z głęboką pokorą
Przeznaczenia swoje biorą,
A drżą państwa i mocarze.

Jest ustęp o Anglikach, wrogach Napoleona. „Obrzydliwi wyspiarze zgrzytają z zemsty bezbronnej“ — „marne“ jednak ich wycia, „próżne ich wrzaski“. Napoleon potężną swą dłonią zmienił porządek rzeczy.

Czem była ta ziemia wprzódy
Nim ją obdarzył wejrzeniem?
Rozumu, męstwa, swobody,
Jednem ogromnem więzieniem,
Same hordy rozbójników,
Same nieprawe zdobycze,
Cnota w więzach, złość na tronie...

W zakończeniu Ody, poeta zwraca się do walczących szeregów polskich i do Napoleona:

Nieście wrogom zemstę dzielną,
Zbawcy wdzięczność nieśmiertelną.

O ty, co ojczyzną lubą
Raczysz plemię nasze darzyć,
Życie za Ciebie odważyć
Pierwszą będzie naszą chlubą.

Czyli zdepczesz morskie wały
I na groźny przykład świata,
Zniszczysz Albijon zuchwały;
Albo Nilu żyzne brzegi
Zajmiesz mężnemi szeregi. —
Polacy w chlubnym zaszczycie,
Z wiernymi Frankami razem,
Pójdą za Twoim rozkazem
Na reszty świata podbicie.

Oda ta zyskała nawet „najwyższe odznaczenie“, bo pochwałę Mickiewicza, pochwałę zresztą, która nie mogła być miłą Koźmianowi, Mickiewicz bowiem wyraził się, że „ten jeden raz w życiu był Koźmian poetą“.

Prócz tego Koźmian w tym czasie tłumaczył, a raczej przeważnie naśladował, przerabiał, zastosowywał do chwili ody Horacego. Przy „odzie XIV. do Augusta“, zwracał uwagę w przypisku, że „większe dzieła, niż wieku Augusta, dzieją się przed naszemi oczyma“, ale niema Horacjuszów, aby je godnie śpiewać mogli. „W tym niedostatku nie będzie od rzeczy udać się do tłómaczeń“. Tłumaczy więc odę, „w której miło jest znaleźć tak wiele podobieństw do obecnych czasów“.

Idzie zaraz po niej „Naśladowanie Ody III. Horacjusza z ks. III. (Beatus ille...), napisane po przyłączeniu Galicji do Księstwa Warszawskiego“. Już w 3 strofie czytamy o poległych w okopach Pragi i walczących nad Padem. Wśród bogów rady, występuje Mars z „przestrogami“. Mówi o tem, jak Sarmaci upadli „sąsiedzką siłą, zdradą i spiskiem współbraci“, jak nie walczyli w obronie swej

ziemi, a więc Mars wzgardził nimi i „zniknęli“. Ale teraz, kiedy podnieśli swoje ołtarze, dał im obrońcę. Gdy przyszedł — Renu uginał wody, Alpy przyklękły. Przybędą dawni Sarmatów wodze — ich widok zapał roznieci. Ale niech przepadnie bezrząd i wolność burzliwa, niechaj oswobodzeni nie burzą tego, za co krew przelali — niech nie zamieniają cnót własnych na obce przywary.

Niech nadto wspólnej mieszkańce ziemi
Świeżo wróceni do życia,
Nie pragną rządzić jedni drugiemi
Mniemanem prawem podbicia.

Bo kiedy ważę na równi szali
Mężne ich sprawy i dzieła,
Wszyscy jednemi cnoty powstali,
Jedna ich ręka dźwignęła.

Sam Koźmian w liście do Wężyka wyjaśniał, że przetłumaczył z Horacego tylko początek i koniec ody, a środek „zastosował analogicznie do Księstwa Warszawskiego z podobnemi przestrogami“. Przytoczone dwie zwrotki były zwrócone przeciw Wielkopolanom, którzy „mając się za pierworodnych synów, zaczęli Małopolanów, później z nimi połączonych, uważać za podbitych i zgóry ich traktowali...“

Oda ta zresztą ukazała się w druku dopiero w roku 1811, jak i dwie inne, również pełne „analogij“. Do utworów Koźmiana z epoki 1809 roku zaliczyć jeszcze należy kantatę, odśpiewaną w teatrze publicznym w dniu 1. grudnia, „poprzedzającym nroczystość“ rocznicy koronacji Naj. Napoleona Wielkiego, cesarza Francuzów, króla włoskiego, protektora Ligi reńskiej i t. d. W „Hymnie“ tym (taki kantata nosiła tytuł w druku ulotnym) Koźmian odzywał się do „wielkiego wskrzesiciela“:

Władco narodów, wyrok Twój stanie,
Świat się w zasadach zachwieje,
Jednych rozdarte połkną otchłanie,
Drugich spełnią się nadzieje.

Młodszy z dwóch głównych piewców sławy Napoleońskiej, Franciszek Wężyk, w czasie kampanji 1809 roku przeniósł się do Krakowa, skąd w towarzystwie literata, Andrzeja Horodyskiego, który był wówczas przy ks. Józefie referentem dyrektorem cywilno-wojskowym dla Galicji i legjonisty filozofa Jana Kalasantego Szaniawskiego, zwiedzał okolice dawnej stolicy. Wtedy to powstały pierwsze ustępy poematu „Okolice Krakowa“. W grudniu zawitał Wężyk do Warszawy w chwili, kiedy powracały do niej ze zwycięskiej wyprawy galicyjskiej hufce ks. Józefa. Na uroczyste ich przyjęcie napisał „Odę“, w której nie brakowało nieodzownych na te czasy Hydr, Jędz, Gorgon i Neptunów, Rzymów i Kapitolów, ale w której odzywała się i nuta szczerego zapału.

Gotujmy laury i hymny weselne,
Wznośmy do niebios triumfalne łuki.
Oto, spełniwszy dzieła nieśmiertelne,
Mężnych Lechitów powracają wnuki.
Bracia to nasi, nasza krew, zaszczyty,
Bytu nowego puklerz nieprzebity
Przyszłej wielkości wróżby okazałe;
Oto Bóg zwycięstw, co w zastępy blade
Rozsiewał z nimi popłoch i zagładę,
Do ich oręża swą przywiązał chwałę.

Cóż to za odgłos? powietrze się wzrusza,
Zewsząd radosne unoszą się brzmienia,
Cały lud jedna napełniła dusza,
Cały kraj w pole triumfu się zmienia.

Powstają łuki, wznoszą się ołtarze,
Topią się oczy w bohaterów twarze,
Z serca płynące radość łzy wyciska,
Nadchodzą mężni, a stolica cała
Ku ich przyjęciu z murów się wylała;
Niebo zachwyca wielkość widowiska...

Ale nie tu kres trudów bohaterów — zazdrość im długo wytchnąć nie dozwoli.

Lecz wy, w niezłomne uzbrojeni siły,
Walk tych pogodną oczekujcie twarzą,
Jest bóg, co Polskę wydźwignął z mogiły,
Jeszcze się gromy w jego dłoni żarzą.
— — — — — — — — — — —
Czuwa nad nami potężna opieka...
...U kresu pracy nieśmiertelność czeka.
Tak, gdy krwią waszą odbite siedliska,
Gdy ziemia ojców dawny blask odzyska,
Wtenczas spocznijcie na zwycięstwa łonie;
A imion waszych uczyć niemowlęta
Wskaże powinność dla serc naszych święta
Zaraz po Bogu i Napoleonie.

Na to uroczyste przyjęcie wojsk po raz drugi jeszcze wystąpiła muza Wężyka. Nie poprzestał na samej „Odzie". Stało się to zresztą przypadkowo. Na balu, urządzonym 21. grudnia w salach redutowych, postanowiono wystawić „widowisko". Królujący wówczas z Niemcewiczem na Parnasie Ludwik Osiński, miał napisać zastosowany do okoliczności poemat dramatyczny. Ale, gdy mu „zabrakło czasu i wątku", zgłosił się 14. grudnia do Wężyka z prośbą o „pomoc i wyręczenie". Dla młodego poety takie zaufanie było zaszczytem niemałym. Więc w ciągu trzech dni, „wybrawszy zdarzenie, dosyć do obecnego podobne"

(słowa jego pamiętnika), napisał 3-aktowy „Rzym oswobodzony“, który nazwał „sceną historyczną“. Wziął mianowicie z dziejów fakt najścia na Rzym wodza Gallów, Brennusa. Wiadomo, że wojsko rzymskie zamknęło się ze skarbami na Kapitolu, a w Rzymie z kobietami i dziećmi pozostali senatorowie, którzy na krzesłach kurulskich oczekiwali śmierci. Znane jest powszechnie rzucenie przez Brennusa miecza na szalę o k u p u, znany jest jego wykrzyknik: „*vae victis!*“, — któż nie słyszał o gęsiach kapitolińskich, o wymordowaniu senatorów, o odsieczy, która przybyła pod wodzą dyktatora Kamila i doszczętnie Gallów wytępiła. Otóż ten fakt Wężyk uscenizował, pomijając tylko... gęsi.

Analogja była mocno naciągana, bo, oprócz tego, że wojsko polskie po nierozstrzygniętej, lecz chlubnej bitwie pod Raszynem, opuściło mury stolicy, a zostało w niej nieco senatorów ze szlachetnym Aristidesem polskim, marszałkiem Sejmu czteroletniego, Małachowskim na szele — innego podobieństwa trudno się dopatrzeć. Ale Wężyk do swej „sceny historycznej“, wtrącił tu i ówdzie ustępy, nawiązane do okoliczności, przypominające świeżo przeżyte chwile.

Już na samym prawie początku pierwszego aktu senator Papiriusz zwracał się do Marsa ze słowami, w których Wężyk miał na myśli Napoleona:

Marsie! Boże pogromów Rzymu i zwycięstwa,
Ty nas wspieraj twą siłą, ty dodawaj męstwa.
Ciebie lud nasz swym zbawcą i panem ogłasza,
Tobie byt swój i świetność winna ziemia nasza.
Ty nieraz uzbrojony wytępczem żelazem,
Kilka wojsk nam przeciwnych zagładzałeś razem.
Ty bądź naszą nadzieją i wsparciem jedynem,
A kto tobie nie ufa, nie jest Rzymianinem.

Zaraz potem wódz Fabjusz, który walczył z Brennusem pod murami stolicy, zdaje sprawę z boju. Mówi o pięciokrotnie większej sile wroga, o 300 poległych za całość ojczyzny, a między nimi:

Z niezachwianego męstwa i cnót znakomity,
Legł wódz pułku ósmego ranami okryty.
A pierwszy krwią swą znacząc tej ziemi obronę,
Sercom waszym polecał swe dzieci i żonę.[1])

Dalej opowiada Fabjusz, że przeważne siły zmusiły go do odwrotu ku murom, ale jako żołnierz w mieście trzymać się nie radzi.

Wszyscy zgadzają się, aby wojsko odeszło do Kapitolu. Tylko senator Papiriusz, pomimo, że go śmierć czeka z rąk wroga, oświadcza: niech wojsko odejdzie, niech czeka odsieczy Kamila, ale ja tu pozostanę:

O Rzymie, wielkich mężów i bogów pobycie,
Pozwól, bym pierwszy tobie poświęcił me życie.
Ta siwizną i raną obarczona głowa,
Niech się w gruzach tych murów wraz z tobą pochowa.

Oczywiście Fabiusz, to książę Józef, Papirius, to Stanisław Małachowski. Sam Wężyk w pamiętnikach swoich mówi o Małachowskim, że „jak drugi Papirius pozostał w stolicy".

„Scena historyczna" kończy się klęską Brennusa. Gdy aktorzy odchodzą, wstrzymuje ich kroki Sława, zjawiająca się w obłokach i zwraca się do nich ze słowami:

Wy, których myśl chwalebna w tej chwili natchnęła
Wystawiać dzielnych Rzymian niespożyte dzieła,
— — — — — — — — — — — — — —

[1]) Dowódcą pułku 8. pod Raszynem był Cyprjan Godebski.

...Gdy wszystkie narody i wy nawet sami
Dzieł nierównie świetniejszych byliście świadkami,
Gdy dziś hołd odbierają Polacy waleczni,
Niech wasz rym ich zwycięstwa i cnoty uwieczni.

Tu lud, co go niegdyś ukochała sława,
Postradawszy przemożny byt, swobody, prawa,
Ledwie zrzucił orężem cisnące go brzemię,
Wkrótce nowy gwałt ściągnął na spokojną ziemię.
Już pyszny nieprzyjaciel w liczbie zadufany,
Haniebne na lud cały zgotował kajdany,
Już chciał zgasić byt nowy w najdroższej iskierce —
Cóż zostało Polakom? stateczność i serce.
Pod wodzem, co na siebie zwrócił świata oczy,
Który z krwią dawnych Piastów ich dzielność jednoczy,
Wyszli pyszni nie liczbą, lecz cnotą i męstwem.
Pierwszy krok pod Raszynem pierwszem był zwycię-
[stwem...

Później Sława wspominała bitwę grochowską, zdobycie Góry, obronę Wisły, Torunia i Pragi, zdobycie Sandomierza i Zamościa — Jarosław, Częstochowa, Wieniawka i Kraków, to „inne świadectwa dzielności Polaków".

Wymienięż tego męża, co nad Warty brzegi
Sam poszedł i utworzył walczących szeregi. (Dąbrowski).
Z takich to wojowników Polska się zaszczyca,
Tych dziś wdzięczna w swych murach przyjmuje stolica.
Słyszycie te okrzyki wzbite pod niebiosy —
Spieszcie z głosem narodu łączyć wasze głosy.
Oto męstwa i cnoty triumf okazały,
Oto dzielni Polacy w całym blasku chwały!

Kiedy Sława się uniosła, w głębi ukazał się transparent, przedstawiający rycerza polskiego, wieńczonego przez boginię zwycięstwa. Warszawa w postaci niewiasty wy-

nurzała mu swoją radość i wdzięczność. U góry Sława głosiła światu nazwiska miejscowości, wsławionych zwycięstwami. Widowisko kończył „śpiew".

Osiński, wykręciwszy się od dostarczenia dramatycznego poematu, nie mógł się jednak uchylić od napisania i wygłoszenia w dniu 22. grudnia na posiedzeniu Tow. król. Przyjaciół Nauk „wiersza na powrót zwycięskich wojsk polskich do stolicy". Towarzystwo fakt ten uczcić chciało, Osiński był sekretarzem Towarzystwa i urzędowym jego wieszczem, a więc odmówić było niepodobna. Zasiadł zatem do pracy i z pod pióra jego wyszło jedno więcej... arcydzieło. Tak przynajmniej musieli sądzić współcześni, którzy Osińskiego uważali za mistrza nad mistrze. Dowód to jeden więcej, jak sądom literackim współczesnych niezawsze dowierzać należy. Bywa on trafny, jeżeli rzeczywisty talent umie przemówić do ogółu i porwie go za sobą. Jeżeli jednak ten sąd opiera się nie na instynktownem odczuciu piękna, ale na zdaniu patentowanych krytyków, to często zawodzi. Odgrywa tu rolę przeważnie suggestja. Wyrok arystarchów przyjmuje bezkrytycznie dziennikarstwo, a zwykli śmiertelnicy wierzą „drukowanemu", obawiając się, aby ich nie posądzono o brak kultury, poczucia piękna i smaku. Dziś jeszcze jest gorzej, bo rozwielmożniło się bractwo wzajemnej adoracji i przybyły dwa nowe, ważne „kryterja": interes stronnictw i interes wydawców. Stronnictwa reklamują swoich, a każda poważniejsza firma nakładowa posiada własnych krytyków, chwalących w czambuł jej wydawnictwa...

Ale wróćmy do Osińskiego. Jego wiersz jest typowym przykładem, jak się „robiła" poezja. Rozpoczął od wezwania „bóstwa", które „mężnym torowało drogę z grobu do życia", aby „wieszczowi" (jak skromnie sam siebie nazywał) udzieliło potrzebnego męstwa (!) do godnego opiewa-

nia dzielnych Marsa synów, „aby mógł lotem orła ku niebu się wznosić“. Jeżeli bowiem potrzeba odwagi do czynów, to potrzeba odwagi i do ich głoszenia (?).

Był lud, co trzynaście wieków „świętem berłem władał“, ale „lud okoliczny“ chciał jego zagłady. Stało się — gmach runął. Ptak boski (orzeł biały) opuścił gniazdo i siadł na Kapitolu (mowa o legjonach, pożyczka z Godebskiego). Druga narodu połowa ukrywała boski ogień, czekając, aż ...przyjdzie czas. Wreszcie

Przyszedł ten, co ziemią włada,
Jaką chce, postać jej nada,
Orężem grobów dotyka.
Rzekł: dopełnione nadzieje,
Czego nie było, jaśnieje,
Co było, w ciemnościach znika.

Polak ożył, choć właściwie „ten, co laurami grób mniemany ubierał, nigdy nie umierał“. „Ala znów jędze roznoszą wojny pożogi“. Lecz zwycięzca wydał swój wyrok. Z nad Ebru zgubę dumnym zapowiadał i „śmierć stanęła nad Dunaju brzegiem“. „Niemniejsze dziwy“ oglądała Wisła. Austrjacy

Danego życia niepamiętne plemię [1])
Śmiało nachodzi dobroczyńców ziemię,
Zwycięstwo głosi... O, raszyńskie niwy,
Powiedzcie wnukom naszym, jako Bóg zwycięstwa
Nie liczby — Bogiem jest męstwa.

Poświęciwszy wspomnienie „drogim ofiarom“, „wieszcz“ przemawia wkońcu do żyjących:

Dalekim pokoleniom pamiętne imiona!
Do waszych czynów, do waszej ozdoby,

[1]) Aluzja do odsieczy wiedeńskiej.

Należeć będą miecz, berło, korona,
Wyście królów Polakom odzyskali groby.

. . . . . .

Zwycięzca wśród triumfów i wśród waszej straży,
Wolą i mocą wyższy nad człowieka,
Na płytkim teraz mieczu losy świata waży,
A ziemia w posłuszeństwie swych wyroków czeka.

Cały „wiersz“ suchy, napuszony, wymęczony, bez śladu zapału, bez źdźbła poezji, mógł zadowolić jedynie skromne wymagania, jakie współcześni stawiali „kunsztowi pisarskiemu“. „Wieszcz“ Osiński nie sprostał nawet ośmieszonemu później wierszopisowi, pułkownikowi Molskiemu. Bo i Molski witał powracające wojsko bardzo długim i wcale nie najgorszym wierszem. W tych czasach nie mówiono jeszcze o nim: „Idzie Molski — w ręku oda dla Chrystusa, dla Heroda, a w zapasie wierszów trzysta dla przyszłego antychrysta“, ale czytano i przepisywano chętnie jego wiersze, które mu przyniosły sporą popularność i nazwę poety. Z łatwością rymowania, łączył pewną płynność wiersza i lekkość formy. Umiał czasem uderzyć w ton serdeczny; w utworach jego okolicznościowych nie brak było nieraz i szczypty humoru.

W wierszu, o którym mowa, witał żołnierza polskiego, wracającego na spoczynek zimowy po ośmiomiesięcznej „olbrzymiej pracy“. Weselej go przyjmują mieszkańcy, niż się z nim rozłączali, kiedy „po cudach odwagi pod Raszynem“ przeniósł się za warownie Pragi.

Któż mógł wtedy tak świetne przewidzieć koleje,
Jakich śladu wojenne nie przekażą dzieje,
By żołnierz, spoczywając na wierze pokoju,
W dwa dni na głos napaści zebrany do boju,
Na pół świeży i w mniejszej czwartą częścią mocy,
Z ogromem wojsk ćwiczonych, walczył do północy.

„Mniemanym zwycięzcom“ żołnierz tylko z terasu zamkowego pozwolił widzieć Pragę. Cofając się (jeżeli odwrót w porządku można nazwać cofaniem się), nie zakrywał się lasami, nie szukał warowni — ale rozpoczął kroki zaczepne. Wytchnąwszy pod Modlinem, „bił wroga jednocześnie w tej samej godzinie“ pod Grochowem i Radzyminem.

Waleczna młodzi! takim rozwiązałaś czynem
Akt drugi pięknie granej sztuki pod Raszynem.
Odtąd zaczął się krzepić duch powstania w kraju,
Spuszczał z tonu nadęty przybysz od Dunaju,
A ziomek pogodnego nie mający czoła,
Odczytywał z uśmiechem brednie z Odrzywoła [1]).
Naprożno Trautenbergi, Baumy i Schauroty,
Tając nam zawiślane wojsk naszych obroty,
Przez kuglarskie odezwy, przez kościelne pienia
Wmówić chcieli zwycięskie swoich powodzenia.
Te hymny po świątyniach, stokrotne z dział huki,
Te fałszem i potwarzą zapychane druki,
Niezgodne z zasępioną starszyzny postawą,
Wnieść kazały, że Bóstwo nie jest za ich sprawą.
Kiedy tak triumfalnym darzą głupców prochem,
A żydostwo z cierpianym niewdzięcznym motłochem
Wiwatami celniejsze przeraża ulice,
Nagle z praskich warowni ryknęły haubice.
Jak piorun, wpadający z trzaskiem w dom biesiady.
Przelęknione rozpędza od stołów gromady,
Tak wodze i żołnierstwo, motłoch odurzony,
W różne z placu Saskiego rozbiegli się strony [2]).

---

[1]) Odezwa arcyksięcia Ferdynanda przy wkroczeniu wojsk austrjackich do Księstwa.

[2]) Dnia 1. maja z powodu zwycięstwa (?) arcyks. Karola było Te Deum w kościele św. Krzyża, poczem urządzono „paradę“ wojskową na placu saskim.

Kto żył, leciał nad brzeg Wisły. Prócz wystrzałów, zwiastowały klęskę wroga i światła gorejących na Pradze pochodni. Przez niedopatrzenie, czy „zuchwalstwo“, puszczono w „Gazecie Warszawskiej“ przyznanie się do niepowodzenia pod Ratysboną.

Balsamem dla nas była tej wagi nowina,
Położona w rozkazie dziennym z Radzymina.
Stwierdziła się nareszcie przez opis zwycięski,
Zadanej Karolowi w Ratysbonie klęski [1]).

Jak widzimy z przytoczonego, Molski kreślił w swoim wierszu przeżycia i uczucia Warszawy w czasie pobytu w nich nieproszonych gości, aż do dnia, kiedy Austrjacy opuścili stolicę w nocy z 1. na 2. czerwca.

Warszawa, która tyle dni świetnych pamięta,
Nigdy równego temu nie widziała święta;
Nigdy lud z duchowieństwem przy weselszej twarzy,
Nie obchodził strojonych na mieście ołtarzy.

Po części „opisowej“, zwracał się Molski do ks. Józefa, który „w najcięższej hetmaniąc potrzebie, przewyższył nadzieje i samego siebie“. Prawo do chwały przyznawał i naczelnym dowódcom oddziałów, obrońcom twierdz, „urzędnikom sztabu“, a wreszcie żołnierzom, którym wdzięczna jest Matka „za powrócone dziatki“ (przyłączenie części Galicji). Wspomniałby i „cienia“ poległych, ale niech nikt smutnym nie będzie w dniu powszechnej radości, przypominającym powrót Sobieskiego z pod Wiednia.

---

[1]) W „Gazecie Warszawskiej“ wydrukowano rozkaz dzienny pułk. Rautenstraucha z Radzymina, w którym było „uwiadomienie“ ks. Józefa o zupełnem zniesieniu wojsk austrjackich między Ratysboną a Landshut.

Mała tylko (jeżeli powiedzieć się godzi)
Między królem a wodzem [1]) różnica zachodzi.
Zmyliły się oręże: wódz królowi chybił:
Którego ten ratował, Józef w sto lat wybił.

Przypuszczać można, że nie kto inny, tylko Molski był też autorem „Pieśni patrjotycznej wojsk austrjackich", napisanej z powodu raportu, w którym zajęcie małej kępy na Wiśle pod Tokarami (w pobliżu Płocka) ogłoszono, jako wielkie zwycięstwo. Wyprawę tę nakazał jen. Gerniger, a rozkaz wykonał kapitan Ballog. Oto w całości owa „Pieśń patrjotyczna":

Stanąwszy bracia u zwycięstwa mety,
Włóżmy z jałowcu laury za kaszkiety;
Potem niech każdy kielich sznapsa łyknie
I wiwat *unser Franz zweite* niech krzyknie.
Teraz nam wszyscy wielkość przyznać muszą.
Inni lat kilka lądować się kuszą.
Dziś nasz regiment z rady Gernigera
Wyspę [2]) na Wiśle walecznie odbiera.
Wielki Ballogu! przed tobą w tej porze
Nelson zapewne wyznałby w pokorze,
Że zdobiąc się tak zwycięstwem wspaniałem,
Lepszym od niego byłbyś admirałem.
Niech naszą wielkość w tej wodnej wyprawie
Głoszą przychylne szpiegi po Warszawie:
Piszmy po gazetach — niech szerzy się sława,
Niech drżą Polacy, Sasi i Warszawa!

Ponieważ treść wierszy Molskiego [3]) cofnęła nas w cza-

[1]) Sobieskim i ks. Józefem.
[2]) „Insel" w oryginale raportu.
[3]) Nie wspominam tu o jednej jeszcze odzie, która wyszła z pod pióra jakiegoś H. Z., rzecz ta bowiem, jako zbyt słaba, tylko do bibljografji należy.

sy chwilowej gospodarki Austrjaków w Warszawie, zanotować należy, że teatr narodowy wystawił w dniu 30. kwietnia „na rozkaz nieprzyjaciela“ operę „Genowefa“, ale loże były puste, a parter „samymi tylko Niemcami zaludniony“. Potem teatr narodowy, „zawsze dający istotne dowody patrjotyzmu, przerwał swe prace, chcąc jedynie służyć ziomkom, a nie bawić najezdnych przybyszów“. Dopiero w trzy dni po ich wyjściu, 4. czerwca, otworzył swoje podwoje ulubioną operą „Krakowiacy i górale“. Autor jej, Bogusławski, przy wejściu na scenę, przyjęty został długotrwającemi oklaskami. „Orkiestra między aktami grała Poloneza Kościuszki i mazurka Dąbrowskiego, „co wznieciło największy zapał“. Wchodzącego do loży min. francuskiego Serrę, powitano oklaskami i długo trwającemi okrzykami: Niech żyje cesarz! Do zakończenia opery wstawiono nową scenę: Gdy Krakowiacy i górale mieli się udać na ucztę weselną, dał się słyszeć głos trąby wojskowej. Gdy wszyscy są zdziwieni, wpada jeden z Krakowiaków i oznajmia, że Polacy blisko, że spuszczają się wąwozem poza Kościelniki i przez Mogiłę pewno wejdą do Krakowa. Jedni nie wierzą, drudzy powtarzają wieści, jakie ich doszły o zwycięstwach wojska polskiego. Wśród zapału zabiera wreszcie głos Bardos, aby powiedzieć „prawdę“. Prawda ta, przerywana radosnemi uwagami i gorącemi życzeniami słuchaczy, brzmiała w skróceniu:

Już dawniej przez Wielkiego moc Napoleona
Cząstka naszej ojczyzny została wrócona.
Wrogi, co ją na sztuki chciwie poszarpały,
Znowu ją podbić, zedrzeć i zagarnąć chciały.
. . . . . .
Wiecie, jak tu niedawno idąc Austrjacy,
Przegrażali się dumnie, że zginą Polacy,
„Że w małej liczbie, sami, bez żadnego wsparcia,
I jednego ich wojska nie zniosą natarcia“.

Ale przekonali się, że nie liczba, lecz męstwo „cuda w boju działa“. Opowiada dalej Bardos o Raszynie, o śmierci Godebskiego, a kiedy wspomniał naczelnego wodza, „jako poszedł za Wisłę i wkroczył w wasze kraje“, nastąpiła długa, burzliwa owacja, do której przyłączyli się i artyści, grający na scenie. Takąsamą owację, choć w mniejszych rozmiarach, zgotowano majorowi Hornowskiemu, kiedy Bardos natrącił o „skaraniu zapędów wroga“ pod Pragą. Cała publiczność wstawszy, wołała: „N i e c h ż y j ą F r a n c u z i !“ przy wzmiance:

Wziął Zamość z mnóstwem armat dzielny Peletije (Pelletier)
Francuz, co się dla polskiej sprawy mężnie bije —

na co obecni w teatrze Francuzi odpowiedzieli okrzykiem: „*Vivent les Polonais*“. Musiano na ogólne żądanie powtarzać kilka ustępów, a między niemi i ten:

Całe Księstwo Warszawskie chwalebnie powstało
I dowody miłości ku ojczyźnie dało.
Płockie, Łomżyńskie, oraz Kaliskie, Podlasie
I Poznańskie do ofiar pierwsze w każdym czasie
Szlachta, mieszczanie, rolnik, wszystko stawa w szyki
I zdawna sławne strzelbą, już walczą kurpiki.
Wszystko, co się krwią polską szczyci, co nią żyje,
Chwyta broń, nieprzyjaciół zewsząd ściga, bije,
Wreszcie zwycięzcy do nas i tak się zbliżają,
Dziś jeszcze do Krakowa, pewno zawitają.

Więc wzywał Bardos do godnego ich przyjęcia, poczem odśpiewanie kilku okolicznościowych piosenek, zakończyło przedstawienie.

Poza tem teatr przy każdej uroczystości lub okoliczności, a czasem i bez tego, nowemi sztukami, wstawkami,

przeróbkami i kupletami zastosowywał się do chwil. Tak n. p. w bardzo popularnej, wielokrotnie granej komedji Dmuszewskiego „Dworek na gościńcu“, przerobiono Brzuchalskiego na von Barnabasa, właściciela dworka w Galicji, który postanawia „z kamratami drapnąć w inne kraje“, bo się w złym czasie wybrał ze swojemi „kabały“ (intrygami); Barnabasa grał słynny Żółkowski i zbierał huczne oklaski za grę i kuplety. W lipcu (23-go) dano reprezentację nowej, jednoaktowej sztuki Dmuszewskiego: „Wojsko polskie w Krakowie“, która zawierała „wiele myśli, pełnych patrjotyzmu“, autorowi zaś „tem większą jednała pochwałę, że ją po szczęśliwej wieści o wnijściu wojsk naszych do Krakowa, w półtora dnia napisał“. Treścią sztuki były objawy radości mieszkańców Krakowa. Wystawiono „przepyszną“ dekorację, wykonaną przez Plerscha. Na 12 palmowych drzewach umieszczono 36 portretów królów i książąt polskich. Akademik Zacniewski wchodził na scenę i objaśniał czyny każdego z panujących. Dłużej zatrzymał się przy portrecie Sobieskiego, aby napiętnować niewdzięczność Austrji. Przy portrecie Stanisława Augusta wspomniał o jego bratanku, „wodzu, który dziś drogie popioły wszystkich tych monarchów od niewolniczej obcemu tyranowi uwalnia podległości“. Przesunął się przez scenę triumfalny pochód polskich wojowników, witanych z rozczuleniem, obsypywanych przez dziewice kwiatami, przy śpiewie popularnego marsza „Powracajcie cni rycerze“. Oczywiście, był na końcu transparent, był genjusz Sławy, były i „piosnki“ na nutę Krakowiaków. „Jedna z panien“ śpiewała:

Były to czasy niestety
Próżniactwem shańbione,
Lubiły nasze kobiety
Fraczki wypieszczone.

Książę! gdy jesteśmy z tobą,
Znikły mody cacka,
Dziś wąs tylko jest ozdobą
I czapka sarmacka.

Akcję patrjotyczną teatr warszawski prowadził i za stolicą. Od połowy czerwca do lipca grał w Kaliszu i w Poznaniu, a w sierpniu połowa artystów z Bogusławskim udała się do oswobodzonego Krakowa.

I nam wraz z nimi udać się do niego wypada, bo, jeżeli gdzie, to w Krakowie rok 1809 nabył prawa „do wdzięcznej Lechitów pamięci".

Równo w półtora miesiąca po odprawionem nabożeństwie z „Te Deum" w kościele Marjackim „na podziękowanie Wszechmocnemu Bogu za odniesione nad cesarzem Francuzów świetne zwycięstwo nad Dunajem" — wkroczył książę Józef do Krakowa (15. lipca). Obywatele Krakowa, „nie posiadając się z radości z przybycia walecznych rycerzów i współrodaków", przez trzy dni iluminowali miasto i „kupami cisnęli się na ratusz dla wykonania przysięgi wierności Naj. Cesarzowi Napoleonowi Wielkiemu, potężnemu istności naszej wskrzesicielowi". Natychmiast i Muzy rozpoczęły swoją pracę. Pierwszym ich płodem był bezimienny „wiersz na przybycie wojsk polskich do Krakowa". Drugi takisam wiersz napisał imieniem współziomków przychylny „rodak" F. N. J., który jednocześnie w osobnym rymie przemawiał „Do obywateli Krakowa", wzywając ich, aby zasilali szeregi ojczyste:

Pókiż to, bracia, tak gnuśnieć będziemy,
Kiedy ci męże krwią za nas szafują?
Wszak i my imię Polaka nosiemy,
Czyż nasze serca męstwa już nie czują?

Więzy nam pękły, wolne nasze dłonie,
Zrzućmyż z ócz letarg, który Lecha wstydzi,
Jąwszy z zapałem za hartowne bronie.
Kogo miał w więzach Niemiec, niech uwidzi.

Z tej próbki można „uwidzieć“, że F. N. J. nie był ulubieńcem Muz. Niestety, wszystkie ówczesne wierszydła krakowskie są tejże miary. Może były i lepsze, ale zaginęły. „Gazeta Krakowska“ przy opisie obchodu urodzin a zarazem imienin Napoleona (15. sierpnia) wspomina: „Z powodu tej uroczystości napisano także wiele stosownych wierszy, ale ich nie umieszczamy, albowiem po większej części ogłoszone zostały drukiem“.

A szkoda, że „Gazeta“ zgrzeszyła zbytkiem skrupulatności, ponieważ może znalazłyby się między temi wierszami lepsze od umieszczonych w „Gazecie“. Ulotne druki łatwo giną — większa część ich przepada. Najlepszy dowód, że dopiero niedawno przedrukowano wydany w Krakowie w roku 1809 wiersz napoleoński Kazimierza Brodzińskiego. Bibljografowie coś o nim wiedzieli, ale niedokładnie — żaden wydawca w zbiorach pism Brodzińskiego go nie wydrukował, bo się z nim nie spotkał. Tytuł jego: „Oda w dzień urodzin Napoleona W. dnia 15-go sierpnia 1809“. Utwór ten, bardzo słaby, zasługuje na uwagę jedynie z tego powodu, że był niejako pierwszym publicznym występem 18-letniego Brodzińskiego. Ukończył on właśnie szkoły w Tarnowie i 20. lipca zaciągnął się w Krakowie do pułku artylerji. W „Odzie“ opowiadał, jak złoty orzeł napoleoński

Zwrócił na dawne Lecha gniazdo lot wysoki,
Obudził dzieci śpiące; pierzchły czujne mroki.
Po tylim nas dręczeniu przed tobą, mścicielu,
Zniósł czarnego, sam osiadł na gruzach Wawelu.
. . . . . .

Zbawcę, którego imię świat dziś, drżąc, obchodzi,
Który tysiąc radości w synach Lecha rodzi,
Nućcie, Bardy słowiańskie, setne wojska szyki,
I wy, mury Krakusa, wydajcie okrzyki:
„Niech żyje Napoleon!“ wołaj ludzie tkliwy,
Niech żyje po tysiąc lat (kto z nas będzie żywy),
Niechaj Polak ostatni z tem czuciem umiera,
A hasło: Napoleon! — niech mu usta zwiera.
. . . . . .
A wy, coście przez Niego jeszcze Polakami,
Mężni — krwią, gdy trzeba będzie, a wy czuli — łzami,
Nieście mu wdzięczność, pewni, iż na nowej ziemi,
Pierwsza nasza powinność — być Jemu wdzięcznemi.

Najwięcej kwitnęła w Krakowie w tym czasie „poezja“ transparentowa i kupletowa, mało co gorsza, a czasami nawet i lepsza od drukowanej — ale ją pomijam, gdyż próby takiej poezji już podałem, a krakowska mało od nich się różni. Należy jedynie zauważyć, że bohaterami jej, jak wogóle całej poezji roku 1809, był zarówno Napoleon, jak „wojska kochanie“ książę Józef. Można nawet powiedzieć, że więcej rymów poświęcono księciu Józefowi, co było rzeczą naturalną. Napoleon bowiem był daleko, a cała kampanja roku 1809, prowadzona przez ks. Józefa, była czysto polską: pierwszy raz Polak po rozbiorach walczył sam za siebie, bez niczyjej pomocy, sam własnym orężem odbierał część swojego dziedzictwa.

Dla uzupełnienia obrazu patrjotycznego rymotwórstwa polskiego w roku 1809 dodam, że z pomiędzy „poetów“ nieznanych, niezapisanych na kartach literatury, najwięcej płodnym i dość poprawnie piszącym, okazał się jakiś H. Z., o którym już wspominałem, a którego kilka utworów przechowało się na szpaltach dziennikarskich. Kilka wierszy napisał Djonizy Lanckoroński. Wiersze do ks. Jó-

zefa pisali F. Wigura w imieniu „Polaków Galicjanów". jacyś F. Z., B. P., J. G. i F. W. (nie Wężyk). „ Pewna panna" po zdobyciu Zamościa „zrobiła wiersze do wojska polskiego, wchodzącego w mury tego miasta". W „Gazecie Poznańskiej" znajdujemy „Marsz patrjotyczny" pióra J. Rynarzewskiego, muzykę do tego marsza „dorobił" P. Paroni w Gotowach. Józef Olędzki, fizylier pułku 16 kompanji 4, ranny w pierś prawą, napisał w obozie pod Krakowem wiersz na pół humorystyczny, w którym opisywał, jaki duch panuje w wojsku. Ponieważ jest to rodzaj dokumentu, więc posłuchajmy:

Kto wojsku służy z miłości ojczyzny,
Miłe ma dla niej poniesione blizny.
Na niedostatek nigdy się nie żali,
Ani się przykrzy, by mu rangę dali.
Niesie karabin, słucha i kaprala,
Szanuje starszych, kocha i wychwala;
Marsz po mil siedem spacerem nazywa,
Bitwa z Niemcami igraszką mu bywa.
Smakuje suchar, pleśnią malowany,
Od furjera dnia piątego dany.

. . . . . .

A bywszy nawet dawniej posesorem,
Sam rad gotuje sobie groch z rosołem.

. . . . . .

Mówi, że rana za krzyż złoty staje,
Śmierć za ojczyznę honor mu nadaje.
Wszystkie wypadki ponosić jest miło,
Aby się łono ojczyste wróciło.

Transparentową poezję szeroko uprawiała i prowincja przy obchodach patrjotycznych i uroczystościach napoleońskich. Zdobywały się na nią: Lublin, Kielce, Końskie, Łuków, Opoczno, Siedliszcze, Podgórze, Biała galicyjska

i t. d. Brali w niej udział i żydzi. Tak n. p. w Warszawie w dniu 15. sierpnia wystawili przy sklepach swoich na ulicy Senatorskiej transparent z trzema wierszowanemi napisami. Najkrótszy z nich brzmiał:

Trwałość cedrów Libanu runie i przeminie,
Napoleona sława nigdy nie zaginie.

Składała swoje hołdy i muza łacińska. Prócz Jacka Przybylskiego, Marcin Zuchowski, „uczony kanonik“ słynnego opactwa Bożogrobców w Miechowie, napisał na obchód urodzin Napoleona w tem mieście dwa wiersze: „Napoleoni Primo... Caesari orbis maximo — gens Polona“ i „Celsissimi Principis Josephi Poniatowski, supremi ducis exercituum — epigramma“.

Pozostał mi do omówienia jeden płód rymotwórstwa napoleońskiego z tych czasów, utwór rozmiarami największy, jest to bowiem „poema w sześciu pieśniach“, wydane w Krakowie bezimiennie pod tytułem: „Galicja oswobodzona“. Autorem poematu był podpułkownik Jędrzej Świderski, lekceważony, bo zapomniany przez historyków literatury, choć często dosiadał pegaza i nie można powiedzieć, aby był jeźdźcem zbyt gorszym od tych współczesnych sobie, którzy w turnieju poetyckim pierwsze nagrody brali.

W pieśni pierwszej Świderski przedstawiał smutny obraz czasów przednapoleońskich w Europie, ucisk poddanych, fanatyzm, dzikość samodzierżców, deptanie praw narodów — Napoleon położył temu koniec. Pieśń druga daje charakterystykę losów narodu polskiego pod berłem zaborców. Trzecia jest poświęcona wspomnieniom roku 1807, wreszcie trzy ostatnie kreślą wypadki r. 1809, których wynikiem była... Galicja oswobodzona. W każdej z tych pieśni są ustępy, zasługujące na przytoczenie, ale poprzestańmy tylko na jednym, najwięcej zgodnym z te-

matem niniejszej rozprawki. Ustęp to o Napoleonie, będący niejako streszczeniem tych motywów, które budziły dla niego entuzjazm, lub uznanie. Bodaj, czy je Świderski nie najlepiej, choć krótko ujął. Nie nadymał się, nie szukał zawrotnych porównań, nie wkraczał w krainy mitologji, ale ze stanowiska patrjotycznego i demokratycznego tak prosto rzecz tłumaczył:

...Ster rządów objąwszy Napoleon dzielnie,
Okręt kraju z przepaści burzliwych ratuje,
Niezwalczonym zastępom hetmani naczelnie,
Na tronie, jak filozof, z ludzkością panuje.
Dźwiga ołtarz, utwierdza dla Bóstwa cześć winną,
Ale wściekły fanatyzm gromi i obala.

. . . . . .

On ujął władzę królów w szranki im właściwe,
Bałwanowi wszechwładztwa uniżył kark dumny,
By nie rządził gwałt, ale prawa sprawiedliwe
I nikt nie był niewolnym, jak zwierz nierozumny.

. . . . . .

Tak zwierzchnik jak podległy świadom swego celu,
Tamten skromnie panuje, ten słucha z ochotą.
Jedynym wzorem w świecie, praw naszych mścicielu,
Łączysz oblask zwycięzcy z ludzkością i cnotą,
Broniąc swobód człowieka, prawdę z gruzów dźwigasz,

. . . . . .

Drży Albjon, bo w tobie pogrom swój poznaje.
Zlepiasz byt tylu krajów przez mądre ustawy,
Cieszy się biedny kmiotek z doli swej poprawy,
Bo swoboda w lepiankach wzgardzonych nastaje.
Milczą pienne wybiegi, prawo wszystkich równa:
Możny panem w pałacach, biedak w swojej chacie,
Sprawiedliwość dla wszystkich jedna, nieodzowna.
Dręczyciel musi uznać człowieka w swym bracie.

Złączyłeś wspólnym węzłem Włochy i Germany,
Starłeś swe napastniki, a nasze tyrany.
Zbawco mego narodu! skryte wznosił modły
Do górnych niebios Pana każdy ziomek tkliwy,
By odważne twe hufce zwycięski bój wiodły,
A on dożył oglądać Twe orły szczęśliwy.
Teraz, gdy z Twojej łaski już oddycha śmiele,
Grzmią po polskich świątyniach radosne odgłosy.

* * *

Po roku 1809, polskie rymotwórstwo napoleońskie nieco ucicha, aż dopiero z podwójną siłą występuje w roku 1812. Pisano o niem sporo w setną rocznicę wielkiej wojny, przedrukowywano nawet niektóre utwory — rzecz to zatem już więcej znana. Później znów następuje przerwa — i to dłuższa — aż Napoleon staje się bohaterem już nie rymów, ale wielkiej naszej narodowej poezji. Część jej wydał w osobnym zbiorze p. Glinka.

Zaledwie w tomowem studjum dałoby się omówić wszystkie rymy i poezje napoleońskie. Należałoby do nich zaliczyć i — „Pana Tadeusza".

1921.

A. N. MICKIEWICZ

(NOTATKA).

Pod wierszem Mickiewicza „Zima miejska“, drukowanym w „Tygodniku wileńskim“ w r. 1818 (nr. 125, str. 254), znajduje się podpis: *A. N. Mickiewicz.* Taki sam podpis położył poeta i pod artykułem: „Uwagi nad Jagiellonidą Dyzmasa Bończy Tomaszewskiego“ („Pamiętnik warszawski“ z r. 1819, nr. 1, str. 17).

Litera *N.* zaciekawiała zawsze biografów poety. Estreicher w „Rozmaitościach lwowskich“ (1859, Nr. 25) przypuszczał, że oznacza ona herb poety Nałęcz. Wprawdzie w Paprockim i Okolskim niema wzmianki o Mickiewiczach, wprawdzie Stryjkowski nadawał im herb Poraj, ale już Niesiecki zna Mickiewiczów herbu Nałęcz, którzy „są na Żmudzi, w Mińskiem i Upickiem“, zna ich i Krasicki, przytaczając pod r. 1788 Ignacego, miecznika sierpskiego i Michała, krajczego upickiego. Przypuszczenie więc Estreichera miało pewne cechy prawdopodobieństwa, zwłaszcza, że już przed nim Bobrowicz, wydawca przedruku Niesieckiego, przy Mickiewiczach herbu Nałęcz, dodał od siebie: „tu zapewne należy żyjący dziś Adam Mickiewicz i t. d.“

Przypuszczenia jednak Bobrowicza i Estreichera rozwiały się z chwilą, kiedy zebrano wyraźne dowody na to, że przodkowie poety pieczętowali się herbem Poraj. Litera *N.* pozostała więc znowu zagadką. Usiłowano ją zatem rozwiązać, upatrując w niej już to zwykłą omyłkę

druku, już to początek drugiego, nieznanego imienia chrzestnego poety. I te domysły wkrótce się rozprószyły wobec oryginału listu Mickiewicza, pisanego w r. 1818 do Lelewela, (dziś własność Muzeum narodowego w Krakowie), na którym znajduje się również podpis *A. N. Mickiewicz* — i wobec odnalezienia metryki poety, opiewającej, że otrzymał na chrzcie świętym imiona Adam Bernard, — to ostatnie po ojcu chrzestnym, Bernardzie Obuchowiczu.

Koło r. 1885 powstał co do owej litery *N.* pomysł bardzo śmiały, a nawet zabawny. Oto ponieważ ojcu poety było na imię Mikołaj, po rosyjsku Nikołaj, przeto (twierdzono) mógł Mickiewicz używać zwyczajem rosyjskim imienia ojca: Adam Mikołajewicz, Adam Nikołajewicz. Pomijając, że zwyczaju takiego na Litwie nie było, że co najwyżej tylko w urzędowych pismach mógłby poeta uwzględniać „otczestwo“ rosyjskie, pozostałoby pytanie, dlaczego pisząc po polsku podpisywałby się Nikołajewicz, a nie Mikołajewicz, dlaczegoby wreszcie używał tej formy urzędowej na listach prywatnych i jako podpisu pod swoimi utworami. Dodać jeszcze należy dla zupełnego usunięcia tej zabawnie pomyślanej bajeczki, iż na pismach urzędowych z czasów uniwersyteckich i kowieńskich kładł poeta jedynie swoje pierwsze chrzestne imię: Adam.

Dopiero w r. 1889 rzucono jaśniejsze światło na tę sprawę. Chryzostom Ładzic, nowogrodzianin, (ś. p. Aleksander Walicki) w pierwszym tomie „Pamiętnika Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewcza“ umieścił artykuł: „Kilka wspomnień z lat dziecinnych“, w którym literę *N.* wyjaśnia w sposób niepozbawiony logicznej podstawy. Walicki przypomina sobie mianowicie, że kiedy w roku 1833 otrzymał w darze od swego ojca „Wypisy polskie“ Zakrzewskiego i kiedy w nich znalazł dużo dwuimiennych poetów (Tomasz Kajetan Węgierski, Antoni Edward Odyniec, Franciszek Dyonizy Kniaźnin, Józef

13/3 43 - 6 zł (3)

Bohdan Zaleski itd.), chciał się koniecznie dowiedzieć jak brzmi drugie imię Mickiewicza. „Dokuczał“ więc, jak mówi, wszystkim zapytaniami, aż wreszcie ktoś (kto — nie pamięta) w kilka lat później objaśnił go, że Mickiewicz otrzymał przy bierzmowaniu imię *Napoleona*.

Naturalnie, że trudno polegać na pamięci człowieka starszego i przytem nieco fantasty, jakim był Walicki. On sam wreszcie wyjaśnienia swego „nie podaje za pewnik“, a nawet uczony Wł. Wisłocki przypominał sobie wybornie, jak mu Walicki opowiadał, iż ów *Napoleon* „przyśnił mu się“. Tem niemniej, powtarzam, wyjaśnienie Walickiego ma za sobą pewną podstawę logiczną. Nie zapominajmy, że Mickiewiczowska litera *N.* powstała w czasie największego u nas kultu Napoleona, że kult ten Mickiewicz przez całe życie uprawiał i wskutek niego utracił nawet katedrę w *Collège de France*. Moda zaś nadawania i przybierania sobie pewnych imion trwała zawsze. Zwróciłem już na ten drobny fakt uwagę niegdyś w *Kraju*, przytaczając na to pewne dowody. Tu poprzestanę tylko na przypomnieniu, jak w początkach wieku XIX. zaroiło się u nas od Józefów i Tadeuszów; był to hołd składany Kościuszce i ks. Józefowi. Wiara w mniemanego „wskrzesiciela Polski“ Aleksandra I., znacznie powiększyła u nas liczbę Aleksandrów, natomiast po r. 1831 bardzo pospolite w Polsce imię Mikołaj, prawie zginęło na kartach metryk urodzenia. Nie będzie też zapewne przesady w twierdzeniu, że pomiędzy r. 1800 a 1830 pojawiło się u nas z jakie tysiąc Napoleonów, choć poprzednio imienia tego nie znano, a później bardzo już wyjątkowo go udzielano. Łatwo więc zrozumieć, że mógł Mickiewicz przyjąć to imię przy bierzmowaniu, lub też nawet dodać je sobie i bez bierzmowania. Przykładów takiego własnowolnego dobierania sobie głośnych imion możnaby nieco przytoczyć. Sam znałem n. p. przed 25 laty młodego poetę, który, lubo go ochrzczono

innem imieniem, podpisywał się Hugonem przez kult dla Wiktora Hugo i choć potem porzucił poezję (bez szkody dla literatury) nie porzucił jednak przybranego imienia.

Była więc logiczna podstawa do przyjęcia (choćby z zastrzeżeniem) wyjaśnienia Walickiego. Znalazła się jednak przypadkowo i podstawa faktyczna.

W roku 1818, a więc w czasie, z którego pochodzi litera *N.* w podpisie Mickiewicza, wydał w Warszawie Józef Elsner, znakomity kompozytor muzyczny dziełko pod tyt.: „Rozprawa o metryczności i rytmiczności języka polskiego, szczególniej o wierszach polskich we względzie muzycznym przez..... z przykładami rzecz objaśniającemi przez Kazimierza Brodzińskiego". Nie potrzeba chyba dowodzić, że rozprawa ta mogła zająć Mickiewicza i że mógł postarać się o jej egzemplarz dla siebie. Przypuszczenie stwierdza fakt, że... znajdowała się ona w jego bibljotece.

Rzadkiego tego dziełka nie posiadała bibljoteka Jagiellońska i dopiero w ostatnich czasach sprowadziła je z warszawskiej księgarni antykwarskiej Giejsztora. Na tekturowych okładzinkach tego egzemplarza „Rozprawy" znajduje się na środku współcześnie położony napis: „Rozprawa o Metryczności i Rytmiczności Języka Polskiego", a u dołu: *s ksiąg A. Napoleona Mickiewicza.*

Napis ten w połączeniu z podaniem Walickiego sprawę litery *N.* prawie wyjaśnia, a wyjaśniłby ją całkowicie, gdyby można mieć przekonanie, że wyszedł on z pod ręki samego poety. Co do tego miałem pewne wątpliwości, gdyż porównawszy napis ze współczesnemi autografami listów Mickiewicza, postrzegłem poważne różnice w charakterze pisma. Natomiast Władysław Wisłocki różnic tych znacznie mniej dostrzegał i tłumaczył słusznie, że charakter pisma jednej i tej samej osoby zmienia się stosownie do tego, czy pisze ona prędzej lub wolniej i co pi-

sze. W listach charakter pisma łatwiej stale się utrzymuje, przeciwnie zaś, każdy prawie, kto wypisuje tytuł na okładce książki i kładzie swoje nazwisko dla zaznaczenia, że książka jest jego własnością, stara się zazwyczaj o wyraźne, więcej ozdobne pismo, czyli mówiąc utartem wyrażeniem: więcej *sztychuje*. Zdanie Wisłockiego popierają zresztą pewne szczegóły, jak używanie litery *s* zamiast *z*, co było właściwością Mickiewicza i typowy zakręt przy literze *z* na końcu nazwiska poety.

Jest jeszcze jedno przypuszczenie, a mianowicie, że napis, o którym mowa, mógł wyjść z pod ręki Odyńca, gdyż jest bardzo zbliżony do jego pisma z tej epoki. Wprawdzie w roku 1818 nie był jeszcze Odyniec w bliskich stosunkach z Mickiewiczem, ale też i napis na dziełku Elsnera może pochodzić z czasów o kilka lat późniejszych, a ponieważ Odyniec, jak wiadomo, był przez dłuższy czas jakby rodzajem sekretarza, totumfackiego, przy Mickiewiczu, mógł więc zajmować się i uporządkowaniem jego bibljoteczki.

W każdym razie, czy napis na dziełku Elsnera wyszedł z pod ręki Mickiewicza, czy kogo innego, fakt zostaje faktem, że egzemplarz tego dziełka był własnością jakiegoś A. Napoleona Mickiewicza. A ponieważ treść rozprawy Elsnera każe przypuszczać, iż nie inny Mickiewicz tylko Adam miał je w swoim zbiorze, ponieważ Mickiewicz literą *N.* jako drugiem imieniem przez pewien czas się podpisywał, ponieważ wreszcie Walicki z pamięci swojej wydobył imię mickiewiczowskie Napoleona — przeto dopóki jakiś fakt niezbity nie obali podanego tu przypuszczenia, trzeba będzie przyjąć je za jedynie uzasadnione wytłumaczenie zagadkowej litery *N.*

Jeszcze jedno. W egzemplarzu Elsnera znajduje się kilka współczesnych poprawek, których charakter zbliża się więcej do pisma Mickiewicza, aniżeli sam napis na

okładce. Są to poprawki językowe i gramatyczne, z których kilka przytaczam. I tak w zdaniu: „Człowiek przyszedłszy do rozwagi, mocniejszego potrzebuje powabu do *rozgrzania* imaginacyi“, przekreślony jest wyraz: *rozgrzania* a zamiast niego wstawiony: *obudzenia*. Dalej zamiast: „język *uczuciów*“, poprawiono „język *uczuć*“, zamiast: „*obiedwie* sztuki“, poprawiono: „*obie* sztuki“. Mógł te poprawki poczynić sam autor (Elsner), ale prędzej przypuszczać można, że uczynił je właściciel książki. A ponieważ wszystkie one są poprawkami językowemi, robił je przeto znawca języka, a tym chyba Mickiewicz był w całej pełni.

1896.

Dopisek. W kilkanaście lat po napisaniu powyższej „notaty“ domysł mój przemienił się w pewność. W wydanem przez Akad. Umiejętności pod redakcją prof. Czubka „Archiwum Filomatów“ (1913) znajduje się kilka listów Mickiewicza podpisanych: A. Napoleon, Adam Napoleon, lub Napoleon z Nowogródka. Pochodzą one z lat 1817—1819 — w drugiej jednak połowie r. 1819 znika Napoleon, pozostają tylko podpisy: A. M., Adam — A. Mick. lub samo A. — Malewski w jednym z listów do Mickiewicza pisze: Kochany Adamie N. (str. 127).

BIBLIOTEKA ... edagogicznej ... W KRAKOWIE